Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
ROZDZIAŁ 1. Szykuje się Coś Wielkiego
ROZDZIAŁ 2. Uchodźcy we własnym kraju
ROZDZIAŁ 3. Nowa Rosja?
ROZDZIAŁ 4. Biznesmen
ROZDZIAŁ 5. Sprzedaję muszelki
ROZDZIAŁ 6. Kiedy mieszkasz w domu wariatów, przyłącz się do szaleństwa
ROZDZIAŁ 7. Tu jest Rosja, panie John
ROZDZIAŁ 8. Kawior dla wybrednych
ROZDZIAŁ 9. Nie znajdzie pan takiego ziemniaka w całej Rosji
ROZDZIAŁ 10. Mieszane uczucia co do spódniczek baletowych
ROZDZIAŁ 11. Płyniemy z nurtem historii
ROZDZIAŁ 12. Ziemniaki i zarazki
ROZDZIAŁ 13. Słodkie kłamstwo jest lepsze niż gorzka prawda
ROZDZIAŁ 14. Grzybobranie
ROZDZIAŁ 15. Kto nie smaruje, ten nie jedzie
ROZDZIAŁ 16. Serowy Car
ROZDZIAŁ 17. Czy ryby wyjeżdżają na Florydę?
ROZDZIAŁ 18. Kozy na straży kapusty
ROZDZIAŁ 19. Czy jestem orzechem kokosowym?
ROZDZIAŁ 20. Free jazz
ROZDZIAŁ 21. Dobroć nie śmierdzi
ROZDZIAŁ 22. Jaja diabła
ROZDZIAŁ 23. Jak unikać wampirów
ROZDZIAŁ 24. Park Gorkiego
ROZDZIAŁ 25. Musimy zapłacić
ROZDZIAŁ 26. Wyszło jak zawsze
ROZDZIAŁ 27. Mam nadzieję, że nasi mali Rosjanie będą tutaj szczęśliwi
Przypisy
Seria Bieguny
Okładka — tył

John Mole

Byłem ziemniaczanym oligarchą

JAK PROWADZIĆ BIZNES W ROSJI I NIE ZWARIOWAĆ

TŁUMACZENIE
EWA KLESZCZ

:: carta blanca

Dla Nuali, która wciąż czuje się rozbawiona.

Dla Władimira, Alexa i Malcolma,

którzy sprawili, że Wielkie Coś stało się możliwe.

Z podziękowaniami dla Nicka Brealeya,

Sally Lansdell, Angie Tainsh i Victorii Fedorowicz,

bez których ta książka by nie powstała.

ROZDZIAŁ 1

Szykuje się Coś Wielkiego

Swojego rosyjskiego olśnienia doznałem w saunie bazy rakietowej sto sześćdziesiąt kilometrów od Moskwy. Kiedy wpadam na świetny pomysł, który z pewnością uczyni mnie bogatym, mówię rodzinie: „Szykuje się Coś Wielkiego". W minionych latach wymyśliłem mnóstwo Wielkich Cosiów, ale z czasem wszystkie one skurczyły się do Małych Cosiów.

Tamto popołudnie spędzałem z moim przyjacielem Miszą. Znosiłem właśnie piętnastominutową sesję tortur w gorącym pomieszczeniu, zanim mogłem wrócić do głównej atrakcji spotkania, czyli potrawki z gołębi z grzybami oraz litra wódki. Wcześniej poradziliśmy już sobie z kilkoma rodzajami wędzonego jesiotra, kiełbasą z dzika i talerzem świeżych warzyw, które przyleciały z południa wojskowym samolotem. Dowódca bazy dorabiał na boku, wynajmując samoloty czeczeńskim przedsiębiorcom monopolizującym miejskie hale targowe.

— A więc, John, co myślisz o naszej biednej Rosji?

— Uwielbiam ją, Miszko. Jeszcze nigdy nie widziałem czegoś takiego. To rewolucja! Wszystko tu jest możliwe. Wszystko się zmienia. Jest tu taka energia!

— Tak naprawdę szalejemy ze strachu. Dla was zmiana zawsze jest dobra. Dla nas zawsze jest zła. Dla optymisty pluskwy pachną jak koniak. Dla pesymisty koniak zajeżdża pluskwami.

— Nieważne. Chciałbym tu trochę dłużej posiedzieć. To takie ekscytujące!

Misza sięgnął po kubeł z lodowatą wodą. Wiedziałem, co zamierza zrobić, i bardzo chciałem wymyślić coś, co go powstrzyma. Nie lubię sauny. Nie lubię gorąca, palenia w płucach, oczu szczypiących od potu, parzącego drewna pod pośladkami. Nie lubię urywanych, nic nieznaczących konwersacji zrodzonych przez gotujące się mózgi. Nie lubię macho, którzy rzucają sobie nawzajem wyzwanie, polewając wodą gorący piec. A już najbardziej nie lubię, kiedy wylewają mi tę wodę na głowę.

— Misza, czekaj. Mam pomysł na biznes. Genialny pomysł!

Zadziałało. Oparł wiadro o kolano. Musiałem mówić wystarczająco długo, aby zapomniał o swoich zamiarach.

— Z czego słynie Rosja?

— *Znaczit*, z kawioru.

Znaczit to był jego werbalny tik, ekwiwalent „znaczy się" albo „to jest".

— Ciepło.

— Z wódki.

— Nie to miałem na myśli.

— Czajkowski. Dostojewski.

— Wróć do jedzenia.

— Kapusta.

— Cieplej. Z czym je się kapustę?

— Z kaszą.

Rosyjska papka z gryki, zwana kaszą, przypominała mi semolinę albo amerykańską kaszę kukurydzianą. Mdliło mnie już na sam dźwięk tego słowa.

— Ziemniaki. Rosja jest jednym z ważniejszych producentów ziemniaków.

— To muszę ci powiedzieć, że w tym biznesie siedzi już mnóstwo ludzi. *Znaczit*, większość populacji.

— Nie myślałem o uprawianiu ziemniaków. Myślałem o ich sprzedawaniu.

— Sprzedawać ziemniaki Rosjanom? A może śnieg Eskimosom? Nie jeździ się z samowarem do Tuły[1].

— Brytyjską odpowiedzią na dania z restauracji McDonald's i Pizza Hut są pieczone ziemniaki. W mundurkach, z serem albo fasolą w sosie pomidorowym, z sałatką lub gulaszem. Ziemniaki stanowią tylko bazę do nadzienia. To jedna z moich ulubionych przekąsek.

— Bo jesteś w połowie Irlandczykiem.

— Daj spokój ze stereotypami. Wiesz, kto w Europie zjada najwięcej ziemniaków?

— Niemcy.

— Portugalczycy. Jedzą ich tyle samo na głowę ile Rosjanie.

— *Znaczit*, żaden Rosjanin nie pójdzie do restauracji na ziemniaka. Mogą go zjeść w domu.

— Siekane mięso w bułce też mogą zjeść w domu. Rosjanie nie chodzą do McDonalda ze względu na jedzenie. Chodzą, żeby dostać kawałek Zachodu. Otwórzmy restaurację z pieczonymi ziemniakami. Smak Wielkiej Brytanii. Tradycja, wyrafinowanie, elegancja, brytyjscy policjanci przed drzwiami, kelnerzy w melonikach, kije do krykieta na ścianach...

— ...ciepłe piwo, deszcz, kibole...

— ...zdjęcia królowej...

— ...i Fatcher[2]...

Już prędzej powiesiłbym w restauracji powiększone kolorowe zdjęcie pałeczki salmonelli niż tej baby, ale puściłem komentarz Miszy mimo uszu. Otarłem spoconą twarz przemoczonym prześcieradłem. W rosyjskiej saunie przynajmniej oszczędzają ci widoku golizny. Niektórzy mężczyźni zawiązują sobie prześcieradło na ramieniu jak togę. Inni owijają je wokół piersi niczym kobiety wychodzące spod prysznica. Jeszcze inni utykają materiał pod brzuchami jak zapaśnicy sumo. Ja preferuję stylizację na *Śmierć Sokratesa*. Wiedziałem, że muszę dalej ciągnąć swój wywód.

— Wszystko w takiej potrawie jest naturalne. Ser, masło, śmietana, sałatki. W ramach gorących sosów wykorzystamy rosyjski gulasz i podrasujemy go curry. Tradycyjnie angielskim...

— *Znaczit*, gdzie jest haczyk? W czym tkwi różnica?

— Personel mógłby się uśmiechać do klientów. To byłaby nasza unikalna propozycja sprzedaży.

Rosjanie dużo się uśmiechają, ale nie przy obcych.

— Klienci pomyślą, że to idioci.

— Właśnie w tym tkwi haczyk. Spodoba ci się to, Misza. Możemy zrobić z tego całą franczyzę. Albo małą sieć. Albo rodzinny interes. Cokolwiek. Ty robisz w małym biznesie, więc ty mi powiedz, jak to działa.

— W Rosji to będzie bardzo trudne.

— Płacą ci za to, żebyś mówił ludziom, jakie to łatwe. Poprzyj słowa czynami. Sam rozkręć taki biznes, a latami będą cię zapraszać na konferencje. Może nawet się wzbogacisz.

— Na ziemniakach?

— Tu nie chodzi o ziemniaki, Misza, tylko o wartość dodaną. O koncepcję. O wizerunek. Handlujemy aspiracjami. Sprzedajemy marzenia.

— Rosjanie mieli już wystarczająco dużo marzeń i aspiracji. Przez siedemdziesiąt lat.

— Nie mówię o Rosjanach. Mówię o naiwnych kolesiach z Zachodu, którzy lubią uszczęśliwiać innych na siłę. O eurokratach. O biurokratach. O Brukseli. O brytyjskim Funduszu Know-How[3]. O George'u Sorosie[4]. Będziemy mieć w bród grantów i dotacji. Pomyśl o analizie wykonalności. Węszę w tym służbowe diety, Misza, diety! No, co o tym myślisz?

— *Znaczit*, nie ma najmniejszych szans.

Zajrzał gniewnie do wiadra, po czym chlusnął jego zawartością na piecyk. Woda eksplodowała kłębami pary. Z tego też nie byłem zadowolony, ale przynajmniej uniknąłem lodowatego prysznica. A moja propozycja mu się spodobała. Jeśli Rosjanin mówi ci, że coś jest dobrym pomysłem, równie dobrze możesz o tym zapomnieć. Nie traktuje tego poważnie. Najlepiej, żeby powiedział, że realizacja planu będzie bardzo, bardzo trudna, ryzykowna i stwarzająca mnóstwo problemów nie do pokonania. Wtedy wiesz, że naprawdę rozważa twoją sugestię. Pesymizm to nie tylko życiowa postawa Rosjan, lecz także głęboko zakorzenione przekonanie dotyczące tego, jak działa świat.

— A najpiękniejsze w tym wszystkim jest to, że nie trzeba się martwić o surowce. Jedyne, co musimy zrobić, to zebrać ziemniaki z pól. Potem pójdą prosto do pieca, a my będziemy je serwować. Nawet nie musimy ich obierać.

Słowa zaznaczone kursywą na zawsze wyryły się w mojej świadomości razem ze wszystkimi innymi idiotyzmami, które kiedykolwiek padły z moich ust, a które sprawiają, że do dziś gryzę poduszkę w środku nocy. Gdybym tylko wtedy ugryzł się w język...

Jak trafiłem do Rosji? Miałem pecha i brakowało mi kasy. Wszystkie moje przedsięwzięcia oraz inwestycje skończyły się klapą. Moja ostatnia powieść leżała pod stosem odmownych odpowiedzi od wydawców, a redaktorzy gazet nie odbierali ode mnie telefonów. Jedyna książka mojego autorstwa, jaka trafiła do druku — *Mind Your Manners*, o różnicach kulturowych w Europie — radziła sobie całkiem nieźle. Co roku sprzedawało się kilka tysięcy egzemplarzy, ale przy tantiemach w wysokości około funta za książkę zyski ledwie starczały na spłatę kredytu mieszkaniowego. Co mogłem zrobić? Iść do pracy? Kiedy rezygnowałem z posady w banku, żeby zostać pisarzem, złożyłem sobie uroczyste przyrzeczenie: „Nigdy więcej!”. Nie miałem żadnych kwalifikacji zawodowych ani poszukiwanych umiejętności. Zawsze pozostawało mi doradztwo w zakresie zarządzania, ale wolałbym już pracować jako taksówkarz na telefon.

I wtedy los się do mnie uśmiechnął. Wyłudziłem przepustkę prasową na konferencję dotyczącą prywatnych przedsiębiorstw w Europie Wschodniej, żeby zebrać materiał na temat kultur biznesowych kształtujących się w nowych demokracjach. Tabele i wykresy w materiałach informacyjnych dla prasy były przekłamane, a wystąpienia śmiertelnie nudne. Pragnąłem usłyszeć jakąś anegdotę, historię z życia, coś, co do mnie przemówi. Jeszcze nie wiedziałem, że niedługo sam stanę się bohaterem takiej opowieści.

Pośród bankierów w dwurzędowych marynarkach, handlowców w marynarkach jednorzędowych oraz nauczycieli akademickich w marynarkach sportowych rozpiętych od czasów asystentury wyróżniał się jeden facet w dżinsach i brązowej skórzanej kurtce. Nie widziałem podobnego kombinatora od czasów, kiedy kupowałem kawior pod hotelem Aurora w Petersburgu za rządów umierającego Konstantina Czernienki. Zdradzał go nie tyle ubiór, ile sposób, w jaki mierzył wszystkich wzrokiem, oraz postawa człowieka przywykłego do wystawania na rogach ulic. Podszedłem do niego i zmrużyłem oczy, odczytując nazwisko z identyfikatora. Od razu trafił mi się Rosjanin z międzynarodową firmą. Zaproponowałem mu wspólne wypicie kawy.

— *Znaczit*, czym się pan zajmuje? — zapytał.

— Piszę o kulturach biznesowych.

Zerknął na mój identyfikator i szeroko otworzył oczy.

— Pan jest John Mole? Ten John Mole?

Istnieje John Mole poeta i John Mole apologeta katolicyzmu, John Mole basista i John Mole ekspert od wad konstrukcyjnych mostów wiszących. Więc nie mogłem rościć sobie prawa do przedimka określonego.

— Z pewnością jakiś John Mole.

Uśmiechnął się promiennie, błyskając złotymi zębami, i uścisnął moją dłoń.

— Wspaniale! Korzystamy z pana książki na naszym szkoleniu.

— Co? Gdzie?

— W Rosji.

Wedle mojej wiedzy rosyjskie wydanie nie istniało.

— Z której części korzystacie?

— Z całości. To lektura obowiązkowa w naszym syllabusie.

— Kto ją wydaje?

— Pan Xerox.

Czułem się zaszczycony. Moja praca krążyła w samizdacie, w postaci tajnych kserówek. W dawnych czasach Rosjanie czytali ukradkiem *Doktora Żywago* i *Jeden Dzień Iwana Denisowicza*. Teraz królowały takie książki, jak *How to Read the Financial Pages* czy *Principles of Marketing*. Miłe, aż poczułem ukłucie nostalgii.

— Tylko niech pan nie dopuści, żeby mój wydawca się o tym dowiedział. Pozwie was.

— W Rosji? — Roześmiał się. — Niech tylko spróbuje.

Wymieniliśmy się wizytówkami. Tytułował się konsultantem małego biznesu, a jego firma miała siedzibę w Rzymie. Pod koniec przerwy na kawę byliśmy już na „ty" — Misza i John. Wróciliśmy wspólnie do audytorium, usiedliśmy z tyłu i pozwoliliśmy, aby nasze głowy wypełniły prywatyzacja polskiego handlu detalicznego, czechosłowackie kupony prywatyzacyjne oraz sprywatyzowana sieć autobusów w Bułgarii. To było jak medytacja — oczyszczanie umysłu z trosk życia i wypełnianie go wzniosłymi bezsensami. Potem stanęliśmy w kolejce po kisz[5].

— Mam pomysł — powiedział. — Przyjedziesz do Rosji wygłaszać wykłady. My to zorganizujemy.

— „My", czyli kto? — zapytałem.

— *Znaczit*, nasza grupa. Zajmujemy się organizacją szkoleń i doradztwem w zakresie inwestowania i marketingu.

Dał mi kolejną wizytówkę, na której widniało: „ICBM — międzynarodowe doradztwo i zarządzanie przedsiębiorstwami". Firma miała adresy w Moskwie, Londynie, Rzymie i Nowym Jorku.

— Myślałem, że zajmujesz się...

— ICBM to prywatny biznes.

— Ile mi zapłacicie?

— Nie martw się. Dzięki nam zostaniesz milionerem.

— Brzmi nieźle.

— *Znaczit*, milionerem w rublach.

— To jakiś początek.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, czemu towarzyszyły liczne wyrazy dobrej woli i nadziei na przyszłą współpracę oraz inne tego typu sentymenty. Przez resztę przerwy na lunch samotnie krążyłem po sali, potem uciąłem sobie popołudniową drzemkę w tylnym rzędzie i wymknąłem się z konferencji w porze podwieczorku, aby zdążyć na wczesny seans filmowy w kinie Ritzy. Misza też zniknął. Jego pomysł dotyczący moich wykładów uznałem za grzecznościową propozycję typu „powinniśmy zjeść razem lunch", więc byłem całkowicie zaskoczony, kiedy trzy dni później otrzymałem faksem oficjalne zaproszenie od ICBM. Pięciotygodniowa trasa po Rosji, Ukrainie i Białorusi z pokryciem wszelkich kosztów plus pięćdziesiąt procent zysków z honorariów za wykłady. To było zdecydowanie lepsze niż praca taksówkarza.

ROZDZIAŁ 2

Uchodźcy we własnym kraju

Samolot do Moskwy był pełen rumianych nafciarzy, specjalistów od prania brudnych pieniędzy z City, schludnych mormońskich misjonarzy, pulchnych rosyjskich bankierów, prawników o kwaśnych minach, poważnych obserwatorów z organizacji praw człowieka, smutnych Rosjan, którzy właśnie zostawili dzieci w brytyjskich szkołach, zarozumiałych dziennikarzy, introwertycznych naukowców studiujących jakieś papiery, poważnych eurokratów, podekscytowanych studentów z wymiany, posłów z rozmaitych komisji i biznesmenów kolekcjonujących kolejne mile spędzone w przestworzach. Pili, czytali, rozmawiali, ślęczeli nad laptopami. Był to powietrzny statek szaleńców unoszący się dzięki zbiorowej nadziei na osiągnięcie zysków w chaosie Rosji Jelcyna. Czułem się tu jak w domu.

Misza odszukał mnie w tłumie na lotnisku. Wyglądało na to, że poczuł taką samą ulgę, gdy mnie zobaczył, jak ja na jego widok. Umówiliśmy moją wizytę dzięki jednemu przypadkowemu spotkaniu w Londynie oraz kilku faksom i żaden z nas nie był pewien, czy ten drugi traktuje sprawę serio. Nie było to wylewne powitanie. W miejscach publicznych Rosjanie są tak samo pełni zahamowań jak Brytyjczycy. Podczas gdy on poszedł po samochód, ja ćwiczyłem znajomość języka rosyjskiego na oprychach w skórzanych kurtkach, którzy naganiali klientów do taksówek stojących w śnieżnej zadymce na zewnątrz. *Niet.*

Na samochodzie Miszy, srebrnym kombi marki Volvo, widniały naklejki poświadczające wcześniejszą karierę w Szwajcarii przed przeprowadzką do kraju prawdziwej zimy. Auto miało podstawowe wyposażenie, tymczasem mniej istotne elementy, na przykład klamki, trzymały się dzięki kawałkom drutu i sznurka. Po tym jak uspokoiłem Miszę, że podróż minęła mi przyjemnie, rozmowa przestała się kleić na autostradzie do miasta. Uciekłem się do starego bankierskiego chwytu i zapytałem, jak sobie radzi rubel. Gdy on nawijał na temat budżetu, inflacji i cen benzyny, ja gapiłem się przez okno. Wyboje, czarna breja z błota wymieszanego ze śniegiem, ogromne ciężarówki bekające spalinami diesla, walące się parkany, wiszące nad głową kable, ogólna atmosfera tymczasowości, improwizacji i jarmarczności na dużą skalę — to przypominało mi Amerykę.

Dotarliśmy do kompleksu budynków w pobliżu stadionu Dynama. Surowa czerwona cegła, metalowe drzwi, graffiti, samochody ze złomowiska; zniszczone ścieżki, stara trawa, kałuże błota, gnijące liście; ciemne przygarbione postacie w narciarskich czapkach i kurtkach z kapturami brnące przez zapadający zmierzch; zimny wiatr i flegmatyczne krople deszczu; żadnych ulicznych latarni, samotna naga żarówka w bramie. Misza zarzucił na ramię moją torbę i wcisnął kod na klawiaturze przy drzwiach. Ruszyłem za nim korytarzem, ściskając w dłoni teczkę i rzutnik, najważniejszy składnik naszych aktywów.

Miejsce wyglądało jak squat. Zepsute lampy, obłażąca farba, zniszczona betonowa klatka schodowa, kocia kupa gdzieś w ciemnym kącie. Wcisnęliśmy się do windy wielkości budki telefonicznej, również pozbawionej oświetlenia, i grzechocząc w mroku, wjechaliśmy na szóste piętro. Drzwi do mieszkania wykonano z surowej stali, ze zgrzewanymi punktowo zawiasami i dziurką od klucza wypaloną palnikiem acetylenowo-tlenowym. Pośrodku pyszniła się ozdobna mosiężna kołatka.

— *Znaczit*, drewniane rozwalają siekierami — wyjaśnił Misza, tłukąc kołatką niczym komornik.

Drzwi otworzyły się z impetem. Wewnątrz było jasno i ciepło, a w powietrzu dało się wyczuć zapach tytoniu, kapusty, wosku oraz cytrynowego odświeżacza powietrza, który

bezskutecznie próbował stłumić pozostałe wonie. Wyciągnąłem rękę do chudego mężczyzny w czarnym swetrze, czarnych dżinsach i okularach w czarnych oprawkach, który przedstawił się jako Oleg. Misza wepchnął mnie do środka, zanim zdążyłem popełnić jeden z największych rosyjskich grzechów i przywitać się przez próg lub co gorsza nadepnąć na niego, ale buty zdjąłem już bez podpowiadania, za co zostałem nagrodzony parą puchatych różowych kapci. Obowiązkowe noszenie kapci wspaniale niweluje różnice między ludźmi. Niezależnie od tego, czy jesteś w designerskiej koktajlowej sukience, szytym na miarę garniturze czy casualowych ciuchach od Armaniego, trudno robić ceregiele we włochatych papuciach.

Do przedpokoju weszła żona Olega — Olga, wycierając dłonie w ściereczkę do naczyń. Była starsza od męża, dobrze po czterdziestce. Północny typ Rosjanki, o grubych kościach, blond włosach, niebieskich, nieco skośnych oczach, otulona puszystym liliowym kaszmirem i gryzącym zapachem. Wydawała się nieśmiała i zakłopotana. Byłem pierwszym obcokrajowcem w jej mieszkaniu.

Poprowadziła nas prosto do stołu w salonie, na którym już czekały *zakuski*, czyli zimne przystawki, kilka rodzajów szynki, kiełbasa, wędzony jesiotr i łosoś, sałatki, czarny i czerwony kawior, ser, ziemniaki, małe ciasteczka i tarty. Do picia były: wódka, mołdawskie białe wino i wodnisty kompot, ale oczekiwano ode mnie, że dołączę do innych przy szklaneczce włoskiego amaretto, którym w tamtym czasie delektowali się wyrafinowani moskwianie. Smakowało jak płynny marcepan, więc wypiłem je szybko jak lekarstwo. Było to przejawem złych manier, jako że nie czekałem na toast powitalny, i braku roztropności, bo Oleg natychmiast znowu napełnił mi szklankę tym obrzydlistwem.

Nasz gospodarz pracował jako korektor w dzienniku „Izwiestia" i jako wolny strzelec dla „Moscow Business Times". W rzeczywistości nazywał się Oleg Josef Santana i był wnukiem jednego z tysięcy hiszpańskich komunistów, którzy uciekli do Odessy pod koniec hiszpańskiej wojny domowej. Wygląd oraz imię stanowiły jego jedyne latynoskie dziedzictwo. Po poślubieniu rosyjskiej dziewczyny dziadek Olega wyjechał do Ameryki Południowej, kiedy pakt Stalina z Hitlerem ostatecznie zgasił jego nadzieję na europejski komunizm. Oleg spędzał czas wolny na nauce hiszpańskiego oraz próbach odnalezienia aktów urodzenia i ślubu dziadków, dzięki którym miałby szansę na hiszpańskie obywatelstwo i paszport na Zachód.

Olga teoretycznie była zatrudniona przez organ planowania gospodarczego Ministerstwa Transportu, ale zajmowała się głównie sprzedażą kaszmirowych sweterków na stoisku pod dworcem Biełaruskij. Pracowała dla kobiety, która kursowała pomiędzy Moskwą a Stambułem i Dubajem, kupując towary, którymi później handlowała na ulicy.

Wkrótce dołączył do nas ich syn Pietia. Wszedł do mieszkania w olśniewająco białym trenczu, niosąc w dłoni telefon satelitarny, który wyglądał jak akumulator samochodowy ze słuchawką na wierzchu. Chłopak mógłby pozować do plakatu przedstawiającego bohatera ZSRR obok kombajnu. Pięknie rzeźbione rysy, blond włosy, wesoła twarz, muskuły — nieodrodny syn swojej matki. Nie było po nim widać ani śladu podobieństwa do Olega, z czego wywnioskowałem, że jest owocem poprzedniego związku. Jako że osiemdziesiąt procent rosyjskich małżeństw kończy się rozwodem, było to rozsądne przypuszczenie. Pietia studiował w szkole inżynieryjnej, gdzie wykładał jego wujek. Pewien znakomitych ocen ze względu na rodzinne koneksje, przez większość czasu zajmował się sprzedażą telefonów satelitarnych dla amerykańskiej firmy.

— Wszyscy macie dodatkowe prace — zauważyłem.

— *Znaczit*, to są nasze główne prace — wyjaśnił Misza. — Jak inaczej mielibyśmy przeżyć? W czasach komunizmu mówiliśmy: „Udajemy, że pracujemy, a oni udają, że nam płacą". Teraz nikt nie udaje. Dziesięć dolarów miesięcznie to dobra pensja. Ale wielu ludzi nie

otrzymuje wypłaty przez sześć miesięcy. A kiedy już ją dostają, nie jest nic warta. Miesięczna inflacja sięga stu procent. Jeśli dostajesz ruble, natychmiast wymieniasz je na dolary. Dolar to teraz nasza waluta.

— Boże, dopomóż tym, którzy są na emeryturze — dodał Oleg.

— Jak ci ludzie w ogóle żyją? Ci, którzy nie mogą zdobyć dolarów?

— Dostają paczki żywnościowe z Ameryki i Europy. Jesteśmy uchodźcami we własnym kraju — powiedziała Olga.

— My nie mamy kraju, mamo — zaprotestował Pietia. — Byliśmy obywatelami Związku Radzieckiego, który teraz nie istnieje.

— Rosja to nasz kraj — upierał się Misza.

— A Rosjanie w republikach? Ich ojczyzna nagle stała się dla nich obcym krajem.

Zaczęliśmy jeść. Tym razem czekałem na toasty. Zarówno w sytuacjach prywatnych, jak i publicznych następowały one w tej samej kolejności: powitalny — za panie — za przyjaciół — za pokój — za pomyślność. Jedzenie było pyszne, a ja zdołałem zamienić amaretto na wódkę. Inni pili kompot. Rosja słynie z konsumpcji alkoholu, który uważa się za główną przyczynę drastycznie obniżonej średniej długości życia mężczyzn, ale młodzi specjaliści i naukowcy z klasy średniej, z którymi nawiązałem znajomość, pili bardzo mało, kobiety zaś nie piły w ogóle. Jeśli ktoś prowadził, automatycznie zakładano, że przez cały wieczór będzie pił tylko kompot, więc ktoś inny musiał wypić jego przydział. Zagraniczni biznesmeni narzekają, że rosyjscy gospodarze celowo ich upijają, tymczasem my, Brytyjczycy, nie potrzebujemy zbyt wiele zachęty i popełniamy ten błąd, że pijemy pomiędzy toastami. Ten jeden raz tego nie zrobiłem, więc według londyńskich standardów byłem całkiem trzeźwy.

Po kolacji Oleg i Misza zabrali mnie na plac Czerwony. Okolica była wyludniona. Przestało padać i jasny księżyc rozświetlał noc. Gdy byłem tu poprzednim razem, to miejsce stanowiło serce groźnego mocarstwa. A teraz? Obca, złowieszcza aura wyparowała razem ze Związkiem Radzieckim. Mury Kremla wydawały się wręcz urocze, a rubinowe gwiazdy na jego wieżach — przepiękne. Cerkiew Wasyla Błogosławionego wyglądała jak z bajki. O północy żołnierze przemaszerowali zabawnym defiladowym krokiem do grobowca Lenina, gdzie zastąpili dwóch strażników stojących przy wejściu.

Podeszła do nas piękna kobieta w futrzanej czapie. Zaoferowała nam pocztówki, mówiąc, że jest nauczycielką i mieszka z kaleką matką. Kiedy kupiliśmy kilka, zaproponowała plan Moskwy. Kiedy zapłaciliśmy także za niego, zasugerowała, że może pójść z nami do łóżka. Misza dał jej pięć dolarów i życzył dobrej nocy.

ROZDZIAŁ 3

Nowa Rosja?

ICBM miało dwóch pracowników: Miszę i Olega. Światowa centrala firmy mieściła się w alkowie sypialni Olgi i Olega, gdzie stał komputer. Zaczęliśmy planować naszą misję. Oleg przycupnął przy toaletce, a Misza rozwalił się na łóżku. Ja miałem zaszczyt usiąść na krześle.

Podstawową działalnością ICBM w Rzymie była sprzedaż szkoleń dla kadry kierowniczej dyrektorom rosyjskich firm. Instytucje te płaciły piętnaście tysięcy dolarów za szkolenie, które ICBM w rzeczywistości przeprowadzało za darmo, pokrywając koszty z funduszy uzyskanych z europejskich programów pomocowych. Misza i Oleg udzielali uczestnikom rabatu w postaci zwrotu części ceny — pięciu tysięcy dolarów, które trafiały do kieszeni kursantów. Po odliczeniu kosztów podróży i zakwaterowania reszta pieniędzy stanowiła zysk ICBM. Niezły biznes, zwłaszcza jeśli potrafi się znaleźć klientów — i w tym właśnie miałem pomóc ja. Cykl wykładów prowadzonych przez światowej sławy guru zarządzania Johna Mole'a skierowany do firm w trakcie prywatyzacji. Oleg miał zadbać o szeroko zakrojoną kampanię reklamową oraz szczegółowe relacje z tournée w „Izwiestiach" i „Moscow Business Times".

— *Znaczit*, konsultant małego biznesu powita gości i zrobi wprowadzenie. Będzie się streszczał. Pół godzinki. Profesor John Mole, uczony z Anglii i Ameryki, zrobi prezentację. Dwie godziny. Potem prezes ICBM wygłosi podsumowanie.

— Dwie godziny! To za długo!

— Tak naprawdę to tylko godzina. Będziemy tłumaczyć konsekutywnie.

Oznaczało to mówienie na zmianę.

— A mamy tłumacza?

— Oczywiście. To poważny projekt. Otrzymaliśmy europejskie granty na administratora, tłumacza, przewodniczącego seminarium, głównego prelegenta, eksperta ds. audiowizualnych i kierowcę.

— Głównego prelegenta znam, ale kim są pozostali?

— Misza, Misza, Misza, Oleg i Oleg — wyjaśnił Oleg, wyliczając etaty na palcach.

— Każą sobie słono płacić, ale znają się na rzeczy. I Brukselę na to stać — uzupełnił Misza.

Miło było usłyszeć, że chociaż część wsparcia rzeczywiście trafia do zwykłych Rosjan, zamiast do kieszeni zachodnich konsultantów i właścicieli luksusowych hoteli, w których ci się zatrzymują.

— A co ja będę z tego miał? — zapytałem.

— Pokryte wszelkie koszty. I połowę zysków ze sprzedanych wejściówek. Za ogólne, dostępne dla wszystkich wykłady wynagrodzenie będzie płacone w rublach, bardzo mi przykro. Ale przy prezentacjach dla prywatnych firm będziesz dostawał pięć dolarów od łebka.

— Pobieracie od nich opłatę w wysokości dziesięciu dolarów za słuchanie mnie? To przecież miesięczna pensja!

— Ich firmy płacą po dwadzieścia dolarów.

— Dwadzieścia dolarów! To rozbój w biały dzień...! Hej, więc dlaczego ja nie dostanę dziesięciu dolarów?

— Bo uczestnicy otrzymują rabat w postaci zwrotu części ceny. Biorą do kieszeni dziesięć dolarów.

— Przekupujecie ich, żeby przyszli. Pieniędzmi ich własnych firm.

— Oni nie przyjdą. Wezmą kasę i wyślą swoich zastępców.

— To absurd.

— To jest Rosja.

— Nowa Rosja.

— Nie. Ta sama stara Rosja, tylko w nowych szatach.

Pierwszy wykład miałem wygłosić w Centralnym Rosyjskim Domu Wiedzy, rezydencji z szarego kamienia mieszczącej się w pobliżu placu Łubiańskiego, którą wzniosła jedna z wielkich arystokratycznych rodzin Petersburga, Czertkowowie. Po rewolucji miejsce to zamieniono w publiczną aulę wykładową, ku oświeceniu ludu. Ściany przy schodach ozdobiono ziarnistymi fotografiami poprzednich wykładowców. Występowało tu przede mną wiele sławnych nazwisk: koktajl Mołotowa, park Gorkiego, balet Kirowa...

— Słyszałeś o Kirowie? — zapytał Misza. — Stalin kazał go zabić, bo był zbyt popularny. Słynął z romansów z balerinami. Więc Stalin nazwał później szkołę baletową jego imieniem. Tak dla żartu.

Naszych słuchaczy miały przyciągnąć afisz na ulicy oraz rozdmuchane reklamy w „Izwiestiach" i „Moscow Business Times". *Jak stworzyć odnoszący sukcesy biznes w Europie*. Bilety kosztowały tysiąc rubli, czyli około pięćdziesięciu pensów. Do tej pory sprzedaliśmy tylko dwa, ale Misza powiedział, żebym się nie martwił. Przed czwartą ludzie będą stać w kolejce zakręcającej wokół budynku. Kiedy dotarliśmy na miejsce, nasza sala na pierwszym piętrze była jeszcze zajęta. Dwieście osób, głównie mężczyzn w wojskowych mundurach, słuchało małego człowieczka w szarym garniturze z poliestru, który wygłaszał wykład na temat strategii radzenia sobie na emeryturze, trzymając mikrofon zbyt blisko ust.

— Biedne dranie — rzucił Misza. — Z takimi emeryturami spędzą resztę życia, sprzedając pączki na ulicy.

Toalety były tak obrzydliwe, że raz na zawsze wyleczyłem się z wielokrotnego biegania na siusiu na tle nerwowym przed publicznymi wystąpieniami. Kręciłem się po półpiętrze przed naszą salą, coraz poprawiając krawat i przygładzając włosy pod masywnym muralem przedstawiającym Lenina czytającego coś z papierowego paska. Wyglądał jak belgijski dentysta sprawdzający stan swoich akcji. W końcu wojsko wymaszerowało z sali, wszyscy z czarnymi plastikowymi teczkami i smętnym wyrazem twarzy. Zwracali się do siebie per „towarzyszu", co kiepsko wróżyło ich przystosowaniu do życia w cywilu w czasach kapitalizmu.

Ustawiłem rzutnik, dostosowałem obraz, pobawiłem się notatkami, odetchnąłem głęboko. Byliśmy w Sali Luster — trafnie nazwanej, bo nie tylko ściany, lecz także kolumny oraz sufit pokryto lustrzanymi taflami. Kiedy skinąłem głową, siedemnastu innych Johnów zrobiło to samo. Pomyślałem, że to będzie jedyna widownia, do której będę miał okazję przemawiać. Sekundy ciągnęły się niemiłosiernie. Zbliżała się czwarta po południu. Podszedłem do miejsca, gdzie Misza i Oleg kłócili się po cichu.

— Powinniśmy zaczekać, aż pojawią się nasi dwaj posiadacze biletów?

— *Znaczit*, już tutaj są. Oleg i ja kupiliśmy po jednym, żeby rozkręcić sprzedaż.

— Och, świetnie. No to wracajmy do domu.

— Nie możemy. Mamy tu ekipę filmową. Ogólnokrajowa stacja. Będziesz sławny na całą Rosję.

— Mam nadzieję, że nie będą chcieli nagrywać reakcji publiczności.

— Nie martw się — uspokoił mnie Oleg. — Pierwszy naleśnik nigdy się nie udaje.

Misza wyszedł na ulicę, by skompletować publiczność na zasadzie obławy. Wrócił z kilkoma przygnębionymi kolesiami w grubych kurtkach i czapkach narciarskich, kobietą w czerwonym płaszczu z głową całkowicie owiniętą białym wełnianym szalem, tak że wyglądała jak Niewidzialny człowiek[6], kilkoma maruderami z poprzedniego wykładu w czapkach

wojskowych z czerwonym otokiem, odsuniętych na tył głowy niczym aureole, oraz sprzątaczką w szarych ogrodniczkach, wciąż obmacującą dziesięciorublowy banknot, który dyskretnie podsunął jej Misza. Pierwszy rząd zajęło pół tuzina postaci żywcem wyjętych z powieści *Wojna i pokój*. Byli tam huzar z czerwoną marynarką zarzuconą na jedno ramię, ładna dziewczyna w balowej sukni i peruce, hrabia w niebieskim mundurze z medalami i gwiazdami, biskup w wysokiej czarnej czapie... Grupa odbijała się w dziesiątkach luster, dzięki czemu miało się wrażenie, że salę wypełnia tłum statystów z teatru epickiego Brechta.

— Jest tu później premiera książki — wyjaśnił szeptem Misza — o carze Mikołaju.

— Jak mam zachować poważną minę?

— Myśl o swojej zmarłej matce.

— Moja matka jeszcze żyje.

— To nawet lepiej.

Przyjechała ekipa kanału trzeciego. Zażyczyli sobie fragmentów prezentacji oraz wywiadu. Ekipy telewizyjne na całym świecie zdają się traktować wszystko, co mówisz, jak pretensjonalne śmiecie, podczas gdy wielkie czarne oko zagląda ci prosto w twarz w poszukiwaniu najdrobniejszych oznak zdenerwowania. Jak stworzyć odnoszący sukcesy biznes w Europie? Gdybym to wiedział, nie musiałbym tutaj być.

Podczas gdy ja się denerwowałem, Misza zachowywał się mentorsko. Wygłosił piętnastominutowy monolog do kamery na temat potrzeby edukacji w zakresie międzynarodowego zarządzania oraz misji ICBM zapewniającej tę edukację.

Reszta spotkania była nieznośna. Po jakimś czasie wszedłem w rolę, przerywając na końcu każdego zdania, żeby Misza mógł je przetłumaczyć. Nie jestem zbyt inspirującym mówcą nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, ale ten zrodzony w spazmatycznych bólach wykład był nawet bardziej wymuszony niż zazwyczaj, a musiał brzmieć jeszcze gorzej dla każdego biedaka znającego angielski, który wszystkiego wysłuchał dwukrotnie. Podczas gdy Misza mówił do kamery, ja spoglądałem na smętne twarze osób wpatrzonych w potylice słuchaczy siedzących przed nimi i zastanawiałem się, co na litość boską to wszystko dla nich znaczy. Równie dobrze mógłbym mówić o biznesie na Księżycu. Pocieszałem się, że to typowe zachowanie radzieckiej widowni na wykładzie. W czasach komunizmu prelekcje nie pełniły funkcji informatywnej czy rozrywkowej, lecz miały umacniać status mówcy oraz poczucie przynależności do grupy wśród słuchaczy. Samo wydarzenie było okazją do osobistych rozmyślań lub drzemki. W ten sposób racjonalizowałem sobie niemrawe oklaski oraz widok gości pędem biegnących do wyjścia po zakończonym występie.

— I jak poszło? — zapytałem Miszę ochrypłym głosem, spocony od nadmiaru adrenaliny.

— Świetnie — pochwalił mnie. — Wszyscy to zobaczą. Od Mińska po Władywostok, od Archangielska po Odessę. ICBM zostało wylansowane, mój przyjacielu.

Podszedł do nas jeden ze słuchaczy, niedożywiony mały człowieczek w wyświechtanym czarnym garniturze, bladej koszuli i spranym czerwonym krawacie. Przedstawił się jako kierownik placówki i powiedział, że mój wykład był ostatnim tutaj. Następnego dnia robotnicy mieli rozpocząć renowację budynku, a wieści głosiły, że mer Moskwy, Łużkow, zamierza go potem przejąć, by organizować tu przyjęcia i uroczyste obiady. Byłem wzruszony. Poczułem, że miałem stosowny wkład w historię tego miejsca. Od zmierzchu komunizmu do świtu wolnorynkowego kapitalizmu. Ojcowie rewolucji musieli przewracać się w swoich niszach w murach Kremla...

Potrzebowałem drinka. Oleg pakował rzeczy do samochodu, a Misza gawędził z ekipą telewizyjną i podsuwał jej dolary. Pod muralem przedstawiającym Lenina stali dwaj chuderlawi

młodzieńcy przebrani za carskich kozaków, strzegli wejścia na premierę książki i nie wpuszczali na salę nikogo, kto nie nosił krawata. Odmówili też prawa wstępu kilku zbliżającym się do emerytury wojskowym, którzy uwolnili tłuste karki z kołnierzyków i wciąż wałęsali się po budynku z plastikowymi teczkami w dłoniach. Skorzystałem ze starcia armii białej[7] z czerwoną i przemknąłem się do środka. Premierom książek zawsze towarzyszy alkohol. Tym razem było to półwytrawne *szampanskoje*, owocowe wino musujące o niewielkiej zawartości alkoholu, którego nie należy mylić z szampanem. Bukietem przypominało słodki jabłecznik, jakim w wieku nastoletnim wymiotowałem na progu podczas powrotów z imprez. Ale po tak męczącym popołudniu smakowało jak nektar.

Salę urządzono w stylu osiemnastowiecznym, z drewnianym parkietem i żyrandolami zawieszonymi pod sufitem zdobionym sztukaterią. Urocze pastelowe błękity, róże i ochry zdążyły się pokryć patyną czasu i dymu tytoniowego. Moi nieco skrępowani statyści z *Wojny i pokoju* stali skupieni przed marmurowym kominkiem. Resztę gości tworzyła podejrzana grupa darmozjadów, jakich można spotkać na premierach książek na całym świecie — obmacujących na zmianę tacę z drinkami i siebie nawzajem i unikających tematu publikacji.

Pod oknem, przy małym stoliku zastawionym książkami, stał wysoki, chudy mężczyzna o dziecinnej twarzy i czarnych włosach przylizanych jak czepek pływacki. Najwyraźniej miał na sobie najlepszy garnitur i z determinacją żłopał *szampanskoje*. Musiał być autorem promowanej publikacji i pewnie zastanawiał się, dla kogo tak naprawdę zorganizowano to przyjęcie i dlaczego nikt nie chce kupić egzemplarza jego dzieła z autografem. Ruszyłem w jego kierunku w ramach zawodowej solidarności. Wyprzedziła mnie rozmemłana kobieta w średnim wieku, ubrana jak na galową premierę z lat pięćdziesiątych, w koktajlową sukienkę z lamy i brzęczącą biżuterię. Oboje spojrzeli na mnie, jakbym wpadł im do sypialni.

— Gratulacje — rzuciłem i uniosłem kieliszek.

On nerwowo skinął głową, podczas gdy ona łaskawie wyciągnęła rękę do uścisku. Skłoniłem się lekko i przyciągnąłem dłoń w akrylowej koronkowej rękawiczce niemal do ust, w polskim stylu. Nie przychodziło mi do głowy nic więcej, co mógłbym im powiedzieć, sięgnąłem więc po książkę i zacząłem wertować wkładkę ze zdjęciami. Odszyfrowując napisy zamglone przez kiepską jakość druku, wywnioskowałem, że są to fotografie rozmaitych dymiących fabryk na przemian z portretami Romanowów. Ostatnie zdjęcie przedstawiało ozdobioną chorągiewkami lokomotywę parową z odgarniaczem z przodu. Kiedy zgrzytliwy głos przerwał moje rozmyślania, instynktownie zwróciłem się ku mężczyźnie. Ale okazało się, że mówiła kobieta.

— To historia industrializacji za czasów carskich. Gdyby rewolucja 1917 roku zakończyła się fiaskiem, Rosja miałaby dziś gospodarkę potężniejszą niż Ameryka.

— Tak — włączył się mężczyzna. Miał przenikliwy głos, raz wysoki, raz niski. Brzmieli tak, jakby pomieszał im się dubbing. — Proszę pomyśleć o Kolei Transsyberyjskiej. Według planów miała łączyć Paryż z Nowym Jorkiem poprzez most nad Cieśniną Beringa.

To nie była lektura w moim guście. Taka bez rozmów, jakby to powiedziała Alicja[8]. Rozważanie tego, co by było gdyby, nadaje się do książek science fiction. Ale wciąż byłem we wczesnym stadium pobytu w obcym kraju, kiedy to człowiek koniecznie chce przypochlebić się tubylcom. A ponieważ sam przeszedłem przez tę mękę, żywiłem ogromny szacunek do każdego, kto napisał książkę, niezależnie od tego, czy była to historia literatury sanskryckiej, zwykłe romansidło, czy poradnik hodowania fasoli.

— Ile kosztuje? — zapytałem.

Na jej zatroskanej twarzy odmalowała się wdzięczność.

— Tylko dwa tysiące rubli — powiedziała.

— Nie mam rubli. Czy dziesięć dolarów wystarczy?

Pewnie że tak. Błyskawicznie zostałem uwolniony od nowiutkiego banknotu, który pokryłby koszt dwudziestu egzemplarzy, ale wziąłem tylko jeden. Solidarność z innymi autorami i takie tam. Wymieniliśmy pożegnalne ukłony i ruszyłem do źródełka po kolejny łyk wina musującego przed powrotem do Miszy. Ściskając książkę pod pachą, czułem, jakbym należał do literackich kręgów Moskwy. Gdy już wychodziłem, zatrzymała mnie pulchna młoda kobieta w czerwonej sukience. Wskazała na książkę.

— One są na sprzedaż — powiedziała.

— Wiem. Kupiłem jedną.

— Nie sądzę. Ma pan rachunek?

— Kupiłem ją od autora.

— Autor zmarł w zeszłym roku.

Rozejrzałem się gorączkowo za żyjącym autorem i jego towarzyszką o zgrzytliwym głosie. Nic z tego. Zwiali z równowartością miesięcznych pensji. Tym razem wręczyłem pięć dolców pani w czerwonym. Misza zbeształ mnie za zniknięcie. Od owocowego sikacza dostałem bólu głowy.

Aby upamiętnić naszą pierwszą prezentację, wpadliśmy z wizytą do ojca rewolucji, Włodzimierza Iljicza Lenina, do jego mauzoleum wzniesionego na placu Czerwonym, tuż przy murach Kremla. Leżał w przeszklonym sarkofagu, w słabo oświetlonej sali udekorowanej szkarłatnymi zygzakami, które przywoływały na myśl triumf rewolucji październikowej albo ognie piekielne, w zależności od poglądów zwiedzającego. W wydanej w 1933 roku książce *First Russia Then Tibet* Robert Byron opisał Lenina następująco: „Musiał być mężczyzną niewielkich rozmiarów...". Z kolei pięćdziesiąt lat później wielki Colin Thubron napisał o nim w *Among the Russians*: „Lenin leży tam, większy, niż sobie wyobrażałem...". Jak dla mnie wyglądał dość przeciętnie. Tuż przed Wielką Wojną Ojczyźnianą przebrano go z wojskowego munduru khaki w cywilne ciuszki. Jego garnitur bankiera oraz biały kropkowany krawat są odświeżane co trzy lata, a co roku Lenin przechodzi kompleksowe badania lekarskie.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, Misza rzucił pod jego adresem zjadliwą uwagę:

— Przyczyna wszystkich naszych kłopotów.

— Więc nie jesteś zatwardziałym komunistą?

— *Znaczit*, oczywiście że jestem komunistą. Wszyscy jesteśmy komunistami. Nic innego nie znamy. Myślisz, że Nowi Rosjanie przybędą z Księżyca? Wilk co roku zrzuca sierść, ale pozostaje szary. Co nie znaczy, że jesteśmy głupi. Widzisz tę flagę, tam na Kremlu? Rosyjską flagę. Mamy teraz rosyjskie Święto Niepodległości, 12 czerwca. Niepodległości od kogo? Od nas samych? To nonsens. Musimy się zmienić. Nie od razu Moskwę zbudowano. Pokażę ci, gdzie ja znalazłem swoją niepodległość. To będzie miły spacer.

Opuściliśmy plac Czerwony, a po drodze Misza pokazywał mi swoje ulubione widoki: okno apartamentu, w którym zmarł Stalin, czerwone gwiazdy na szczycie wież Kremla zrobione z syberyjskich rubinów, studzienkę kanalizacyjną zamkniętą na kłódkę, żeby nie wyłaziły tamtędy bezdomne dzieci mieszkające w kanałach. Skręciliśmy ostro w lewo i ruszyliśmy wzdłuż murów Kremla Ogrodem Aleksandrowskim do Grobu Nieznanego Żołnierza. Była to granitowa płyta zwieńczona ołtarzem, na którym spoczywały hełm i sztandar z brązu. Pośrodku znajdowała się pięcioramienna gwiazda, w której centrum płonął ogień.

— Proszę, wyjmij ręce z kieszeni. To świętość dla wszystkich Rosjan. W dzień ślubu pary przychodzą tu zrobić sobie zdjęcie. Wiesz, jakie jest najważniejsze święto w Rosji?

— Pierwszy maja? Rocznica rewolucji?

— Dzień Zwycięstwa. Pokonanie faszyzmu w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej. To była najwspanialsza rzecz, jaką Rosja zrobiła dla świata. Nie Lenin.

— Myślę, że chyba jednak trochę wam pomogliśmy.

— Walczyliśmy od Moskwy po Elbę. Dwa tysiące kilometrów. Wy mieliście do pokonania kanał La Manche. Sześćset kilometrów. Straciliśmy dwadzieścia milionów ludzi. Jedną piątą populacji. Ilu wy straciliście?

Zadumałem się nad płomieniem, podczas gdy Misza poszedł kupić nam lody. Wtedy zacząłem rozmyślać nad lodową gałką pełną niewidzialnych bakterii.

— Czy powinniśmy jeść lody z takiego miejsca?

— Zjedz za poległych.

Ruszyliśmy dalej, a mnie udało się wyrzucić swoją porcję z rożka do rynsztoka, podczas gdy Misza pokazywał moskiewski Maneż, wspaniałą klasycystyczną ujeżdżalnię, która teraz pełniła funkcję sali wystawowej.

— Komuniści używali jej jako garażu dla państwowych ziłów — powiedział. — Teraz sprzedaje się tu mercedesy i chryslery.

Gdy minęliśmy Maneż, wskazał przez ulicę kolejny klasycystyczny budynek z kolumnami i posągami — okazałą bibliotekę im. Lenina. Po rozpadzie Związku Radzieckiego uroczyście przemianowano ją na Rosyjską Bibliotekę Państwową, ale imię wodza rewolucji pozostało obecne na drzwiach i w nazwie pobliskiej stacji metra. Przeszliśmy przez jezdnię. Misza wbiegł po marmurowych stopniach i po drodze do wejścia poklepał cokół pomnika Dostojewskiego. Jak mógł znaleźć niepodległość w bibliotece? To było zastanawiające. Wiedziałem, że ja uciekam w książki, ale on nie wyglądał na kogoś, kto kryje się w równoległych światach literatury.

Misza miał kartę biblioteczną, więc mój paszport oraz chwila formalności wystarczyły, abym otrzymał jednodniową przepustkę. Pośrodku auli znajdowały się imponujące schody, które wiodły na ogromne półpiętro oświetlone przez kryształowe żyrandole i pełne szafek z katalogiem fiszkowym. To miejsce przypominało każdą inną wielką bibliotekę: niepowtarzalny zatęchły zapach, woń pasty do podłóg, szeptane rozmowy czytelników i głośne uwagi, na jakie pozwalały sobie bibliotekarki. Misza zastukał knykciem w bok jednej z szafek.

— To było wielkie kłamstwo. Nieszkodliwe książki i propaganda.

Poprowadził nas w dół po innych schodach, szerokich i krętych, które — aż nazbyt dosłownie — prowadziły do trzewi biblioteki. W korytarzach unosił się koszmarny smród — zatęchłe szczyny, świeże odchody, nieszczelne przewody kanalizacyjne i ten rodzaj środka dezynfekującego, który tylko podkreśla pozostałe wonie, tak jak sok cytrynowy uwydatnia zapach truskawek. Wstrzymałem oddech, co zdusiło moje pytanie, dokąd idziemy, jeśli nie tam, gdzie to oczywiste. Jednak zanim dotarliśmy do toalet, Misza otworzył pomalowane ciemną farbą drzwi ze złotym napisem: „Zakaz wstępu — wejście tylko dla personelu”.

— W dawnych czasach siedział tu milicjant. To jest prawdziwa biblioteka. Jeśli ktoś nas zatrzyma, jesteś z Biblioteki Brytyjskiej. Wyglądaj na ważną personę.

Przemierzaliśmy długie, pomalowane na kremowo korytarze, aż dotarliśmy do wahadłowych drzwi przeciwpożarowych prowadzących do małego lobby, z którego odchodziły węższe korytarzyki.

— Tu siedział kolejny strażnik. Sprawdzał wszystkie moje dokumenty. Potrzebowałem specjalnego zezwolenia od biblioteki, z uniwersytetu, z ministerstwa i od KGB. Załatwienie tych papierów zajęło rok.

Ruszyliśmy jednym z korytarzyków. Po około dwudziestu metrach Misza zatrzymał się, otworzył jakieś drzwi, włączył światło i odsunął się, żeby pozwolić mi przejść. Pomieszczenie wyglądało jak pokój przesłuchań. Obłażące zielone ściany, świetlówka pod sufitem, metalowy stół, judasz w drzwiach. Zadrżałem, mimo że powietrze było ciepłe i zatęchłe.

— *Znaczit*, tutaj robiłem swój doktorat.

— Mówiłeś, że z zarządzania przedsiębiorstwem.

— Oczywiście. To bardzo niebezpieczna nauka. Zamykali cię tu. Żeby wyjść, naciskałeś guzik, ale długo trwało, zanim przyszli. Na wszelki wypadek brałem ze sobą butelkę do siusiania.

— Co ty, na litość boską, studiowałeś?

— Napisałem pierwszą w ZSRR pracę naukową na temat zarządzania małymi przedsiębiorstwami.

— Rzeczywiście niebezpieczna sprawa.

— Nie śmiej się. To było dla mnie ogromne ryzyko. Nie mogłem nikomu powiedzieć, nad czym pracuję. Podczas obrony zamknięto drzwi. Na sali byłem tylko ja i profesorowie. Nie wiedzieli nic o zarządzaniu, więc nie robili mi problemów. Następnego dnia złożyłem podanie o oddelegowanie do międzynarodowej organizacji. Nie byłem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych ani z nomenklatury, ale potrzebowali kogoś, kto wie, o czym mówią Amerykanie. Tak zyskałem niepodległość. Wszystko zaczęło się tutaj.

— Co czytywałeś?

— „BusinessWeek", „Management Today", „Fortune". Moją biblią było *In Search of Excellence* Toma Petersa.

— Badałeś też rosyjskie prywatne przedsiębiorstwa?

— Żeby mafia mnie zabiła? Tylko mój profesor wiedział, co robię, i on też bał się o mnie. To była ciężka praca, ale czasy się zmieniły. Wyszliśmy z więzienia. Powinniśmy robić pieniądze.

ROZDZIAŁ 4

Biznesmen

Każdy w Rosji chciał robić pieniądze. Albo żeby przetrwać, albo żeby się wzbogacić. Dla najbiedniejszych: emerytów, bezrobotnych i tych, którzy nie otrzymywali wynagrodzenia, ocierało się to niemal o żebranie — w Jekaterynburgu wykupiliśmy od jednej babuszki cały jej towar, czyli lewy but. Dla reszty było to jak eksplozja tłumionego pożądania. Zarówno artykuły pierwszej potrzeby i dobra luksusowe, jak i te dziwaczne, bezwartościowe czy bezużyteczne, kupowano i sprzedawano dla czystej przyjemności handlowania zakazanego przez trzy pokolenia. Klienci tłoczyli się na stadionach, placach, dworcach kolejowych, ulicach i w metrze. Na każdego sprzedawcę przypadało dziesięć osób oglądających towar. Nikt nie chciał rubli. Płaciło się dolarami albo marlboro.

— *Znaczit*, ktoś powinien napisać o tym pracę naukową. Najstarszym zawodem świata nie jest kurwa, tylko ekspedient.

To zjawisko w dużym stopniu ujawniało coś, co działo się w sekrecie przez lata. W czasach stagnacji gospodarczej wszystkie towary były racjonowane i deficytowe. Każdy nosił ze sobą siatkę na zakupy „na wszelki wypadek", gdyby natknął się na coś — cokolwiek — co można by kupić. Oglądanie witryn sklepowych nie miało sensu, bo niczego na nich nie eksponowano. Zamiast tego spędzało się czas w kolejkach. Przedsiębiorstwa otwierały sklepiki dla swoich pracowników i zaopatrywały je w rzeczy, które same wytwarzały albo uprawiały. Nadwyżkami handlowało się z innymi firmami. Kwitł czarny rynek dóbr i usług, od zdobycia daczy po miejsce na uniwersytecie. Słodzenie, pochlebstwa i łapówki oliwiły system. Jednak oficjalnie krzywo na to wszystko patrzono, a określenie „biznesmen" było synonimem nadużycia.

To samo działo się w przemyśle, tyle że na większą skalę. Surowce, dobra przemysłowe i zapasy kupowano za bezcen, przywłaszczano albo po prostu kradziono, a potem eksportowano

lub sprzedawano dalej. Oficjalne licencje na wydobycie ropy, gazu i minerałów oraz na eksploatację lasów rozdzielano po znajomości i przehandlowywano. Dyrektorzy firm zmawiali się z członkami partii, dzielili między siebie ogromne konglomeraty, a to, co z nich zostało, dalej działało pod kontrolą państwa. W ten sposób państwowe monopole nagle stawały się monopolami prywatnymi pod protektoratem partii. Dobra trafiały nie do tego, kto oferował najwyższą cenę, lecz do tego, kto był lepiej uzbrojony. W salach posiedzeń naprawdę toczyły się walki. Ważniejsze gałęzie przemysłu, na przykład przemysł aluminiowy, trafiały w prywatne ręce w wyniku strzelanin i zamachów. Całe miasta znajdowały się we władzy gangsterów rządzących lokalnym przemysłem, milicją i sądami.

Czasy się zmieniły, od kiedy Misza siedział zamknięty w trzewiach biblioteki im. Lenina i czytywał „Business Week". Miałem wystąpić z wykładem na podyplomowych studiach biznesowych na uniwersytecie w Moskwie, w wielkim, przestronnym audytorium, dla setki studentów w dżinsach, czystych adidasach i o schludnych fryzurach, chętnych, by robić notatki. Po raz pierwszy na widowni zobaczyłem kobiety. Wszyscy mówili po angielsku, co miało dobre i złe strony. Wystąpienie nie było tak rwane jak przy tłumaczeniu konsekutywnym, ale jednocześnie musiałem mówić dwa razy dłużej. Miałem nadzieję, że uda mi się przygotować wystarczająco dużo materiału. Bardziej jednak martwiło mnie to, że nie byłem pewien, na jakim poziomie ustalić przemówienie. Te dzieciaki wychowały się w czasach komuny. Co one w ogóle wiedzą? Czego uczą teraz w rosyjskich szkołach biznesu? Moje studia MBA traktowały o tym, jak być kierownikiem średniego szczebla w amerykańskim przedsiębiorstwie międzynarodowym. Czy tu mogłem mówić o tym samym?

Słuchacze grzecznie wysłuchali mojej prelekcji, chociaż niewiele osób robiło notatki. Najwyraźniej moje rady co do międzynarodowego i międzykulturowego zarządzania były dla nich za trudne do zrozumienia. Z ich pytań odgadłem, że nie są pewni, jak rozmawiać z prawdziwym, żyjącym na Zachodzie bankierem przedsiębiorcą. Przy samowarze po wykładzie podjąłem wysiłek, aby ich ośmielić, a jednocześnie uniknąć protekcjonalizmu.

— A więc co chcesz robić, kiedy skończysz studia? — zapytałem wyglądającego na nieśmiałego chłopaka o wyjątkowo młodzieńczej twarzy.

— Hmm, próbuję kupić firmę w Wielkiej Brytanii. To lepsze niż zaczynanie czegoś od zera, nie uważa pan?

— Eee, jak zamierzasz to zrobić?

— Hmm, może powinienem kupić firmę na londyńskiej giełdzie.

— Tak po prostu?

— A czemu nie. To wolny rynek, prawda?

— No tak, ale potrzebujesz pieniędzy — starałem się łagodnie przekazać mu tę przykrą prawdę.

— Mam pieniądze.

— Potrzebujesz sporo pieniędzy.

— Mam dwa miliony dolarów.

— Co?

— Hmm, importuję części komputerowe z Tajwanu i składam je tutaj. Mam warsztat zatrudniający dwadzieścia osób.

— Eee, z chęcią ci pomogę. Dam ci moją wizytówkę.

— Nie trzeba. Prowadzę rozmowy z bankiem Kleinwort Benson.

Zatkało mnie. Filiżanka w mojej ręce zadrżała pod samowarem.

— On ma komputery, ja mam telefony komórkowe — wtrącił uprzejmy ciemnowłosy południowiec. — Inwestowanie za granicą to zły pomysł. Tutaj stopa zwrotu jest o wiele lepsza.

Można rozkręcić biznes za tysiąc dolarów.

— Ach, ale ryzyko jest o wiele większe — powiedziałem, próbując odgrywać rolę wszechwiedzącego człowieka Zachodu.

— Moja firma jest zarejestrowana na Cyprze. To raj podatkowy. Wystarczająco bezpieczny. Zajęli się tym dla mnie ludzie z Pricewaterhouse.

Uważnie rozejrzałem się po pomieszczeniu. Dżinsy były designerskie, koszule z jedwabiu, swetry kaszmirowe, roleksy autentyczne, a buty zdecydowanie przekraczały możliwości mojego budżetu.

— Powiedzcie mi, ilu jeszcze przedsiębiorców milionerów tutaj jest?

Młodzieńczo wyglądający student rozejrzał się wokół.

— Hmm, widzę czterech. Większość z nas ma własne biznesy.

— To po co tutaj jesteście?

— Żeby podszkolić angielski. Nie ma nam pan nic nowego do powiedzenia.

— Och, dziękuję. Miałem na myśli, co robicie na studiach biznesowych.

— Musimy się nauczyć, jak robić interesy we właściwy sposób.

Najstarszy student miał dwadzieścia cztery lata. Siedzieli w komputerach, materiałach budowlanych, telefonach komórkowych, pirackich grach Nintendo, butach doktora Martensa, wysokiej wartości substancjach chemicznych. Pochodzili z ustosunkowanych rodzin z klasy średniej, inaczej nie dostaliby się do tak prestiżowej szkoły. Ich rodzice byli naukowcami, dyplomatami, inżynierami i administratorami, których świat zawalił się wraz z rozpadem ZSRR. Niektórych z moich słuchaczy zawstydzało to, że wspierają rodziców, żyją jak Amerykanie, zarabiają tak dużo pieniędzy. W języku rosyjskim słowo „biznesmen" oznacza kombinatora, ulicznego handlarza, czarnorynkowego spekulanta. Oni przyszli na te studia, żeby zdobyć poważanie i szacunek.

Ruszyliśmy w trasę do Petersburga, Jekaterynburga, Niżnego Nowogrodu, Kijowa i Mińska. Jeździliśmy nocnymi pociągami, kiedy tylko było to możliwe. To przyjemny sposób podróżowania. Wagony sypialne były ciepłe, a łóżka wygodne. Po wyłączeniu górnego oświetlenia małe żółte lampki do czytania rzucały blask przypominający światło świec. Zawsze towarzyszyły nam przeszmuglowana butelka wódki, kilka butelek coli oraz niezbędny rosyjski dodatek przy jakiejkolwiek podróży pociągiem — pieczony kurczak. Za pierwszym razem Misza kupił mi bilet przeznaczony dla rosyjskich obywateli, tańszy od tego dla obcokrajowców, i poinstruował mnie, żebym siedział cicho i udawał pijanego, dopóki nie zamkniemy się bezpiecznie w naszym przedziale.

— Ale ja mogę zapłacić więcej — zaprotestowałem. — To nie jest duża kwota.

— *Znaczit*, mamy swoje zasady — uciął ze śmiertelną powagą. — I pracujemy dla dobra Rosji.

— A co, jeśli nas przyłapią?

Oleg poklepał karton marlboro leżący w jego torbie. I tak miał papierosy dla członków obsługi, co gwarantowało dodatkowe poduszki, nieprzerwaną dostawę świeżej herbaty oraz przymykanie oka na wódkę.

Zgodnie z instrukcją siedziałem jak katatonik w trakcie sprawdzania biletów, płacenia za pościel i sączenia herbaty, którą przyniesiono nam w wysokich szklankach umieszczonych w ażurowych metalowych koszyczkach. Wyglądałem przez okno, podczas gdy pociąg przecinał opuszczone miejskie pejzaże. Płatki śniegu wirowały w kręgach wokół białych ulicznych latarni i uderzały niczym ćmy o szyby budynków jarzące się żółtym blaskiem. Wkrótce wjechaliśmy w ciągnący się bez końca las brzozowy. Białe pnie i gałęzie wyskakiwały z ciemności zaskoczone światłami lokomotywy.

Każdy pociąg miał własny charakter. Te do Petersburga odjeżdżały co pół godziny, zaczynając od najbardziej luksusowego, zwanego Czerwoną Strzałą, który opuszczał dworzec o dziesiątej, aż po najtańszy i najbardziej niewygodny wyruszający o drugiej w nocy. We wczesnych pociągach w przedziałach pierwszej klasy stały po dwa pojedyncze łóżka z czystą pościelą i kocami, a młodzi, kompetentni członkowie obsługi byli gotowi o każdej porze serwować wrzącą herbatę z elektrycznego samowara. Przedziały w ostatnim pociągu miały po cztery kuszetki i szmaty zamiast pościeli, zazwyczaj nie było w nich ogrzewania, wszystkie żarówki poza jedną były przepalone lub porozkradane, a podróżnych „obsługiwały" stare babsztyle cały czas skulone przy piecyku naftowym w swojej kabince i zazdrośnie strzegące cennego zapasu herbaty. Pasażerowie też byli inni. Po północy przeważali ci zaniedbani, w połatanych filcowych butach i z bagażem zrobionym ze starych koców i sznurka, podczas gdy wcześniejszymi pociągami podróżowali pulchni wymuskani mężczyźni w płaszczach z wielbłądziej wełny zarzuconych na ramiona i panie od stóp do głów ubrane w futra, których walizy prezentowałyby się idealnie na taśmociągu bagażowym w Zurychu czy Cannes. Można było zauważyć wśród nich przepiękne młode kobiety uwieszone ramion zmieszanych obcokrajowców, którzy wydawali swoje dzienne diety na noce z dziwkami pracującymi za obcą walutę.

W przerwach między wykładami spędzaliśmy dnie na pospiesznym zwiedzaniu kolejnych miejsc, rzucając się w wir oglądania cebulastych kopuł, ikon, muzeów, pałaców, galerii i stacji metra. Preferowałem te muzea, które były urządzone w domach pisarzy, naiwnie licząc na to, że może spłynie na mnie odrobina geniuszu któregoś z nich. Brzytwa Puszkina, czapka Dostojewskiego, fajka Pasternaka, papucie Czechowa, puchowa kołdra Tołstoja, upstrzone malunkami ściany Bułhakowa, umywalka Gogola, skrobaczka do butów Jewtuszenki i pióro Gorkiego — wszystkie te przedmioty zlały się w mojej pamięci w jedno z rzeczami, których nie potrafię już przypisać do konkretnego miejsca: prostacką klatką schodową, wysuwanym łóżkiem czy wypchanym niedźwiedziem trzymającym w łapach tacę na wizytówki.

Wieczory z kolei stanowiły oszałamiającą mieszankę pląsających balerin, podrygujących marionetek, śpiewających bojarów, uprawiających gimnastykę akrobatyczną klaunów i skaczących niedźwiedzi. Zaopatrywałem się w matrioszki, pudełeczka z laki, malowane jajka oraz drewniane łyżki, z którymi nie wiadomo co zrobić po powrocie do domu, poza tym że trzeba je trzymać z dala od jedzenia i dzieci, na wypadek gdyby farba była trująca. Ale atrakcje turystyczne traciły na znaczeniu w porównaniu z historią, która rodziła się właśnie poza murami muzeów.

ROZDZIAŁ 5

Sprzedaję muszelki

Kiedy miałem szesnaście lat, dręczyły mnie nawracające koszmary senne, w których widziałem grzyb atomowy na tle szkarłatnego horyzontu. Strach przed zagładą nuklearną przenikał życie wszystkich wokół. W 1962 roku sparaliżowała nas wiadomość o wybuchu kubańskiego kryzysu rakietowego, kiedy to marynarka wojenna Johna F. Kennedy'ego rozpoczęła izolację morską Kuby, blokując transport środków bojowych dostarczanych Fidelowi Castro przez statki Chruszczowa. Przez początkowe dwadzieścia cztery godziny konfliktu żyliśmy w obliczu realnego zagrożenia ogólnoświatową wojną atomową. Tamtego wieczoru po raz pierwszy upiłem się piwem — nie tyle alkoholem, ile euforią wymieszaną ze strachem przed śmiercią. Kiedy zaproszono ICBM do wygłoszenia wykładu w bazie rakietowej, po czym miała nastąpić wizyta w saunie tamtejszego zakładu badań satelitarnych, pokusa infiltracji systemu

obronnego Rosji stała się nie do odparcia.

Pewnego rześkiego jesiennego ranka ruszyliśmy autostradą na Dmitrów, na północ od Moskwy. Po pokonaniu około stu sześćdziesięciu kilometrów dotarliśmy do punktu kontrolnego, skąd odeskortowano nas bocznymi drogami do nieoznakowanej zardzewiałej bramy z nierzucającą się w oczy budką wartownika. Po drodze minęliśmy jeszcze trzy punkty kontrolne. Przy ostatnim zabrano nam dokumenty. Dziesięć minut później wrócił z nimi wysoki rangą wojskowy z mosiężnymi gwiazdkami oficerskimi na palcie i ze złotą odznaką na czerwonym otoku czapki. Podniósł do góry mój paszport i poprosił, żebym wysiadł z samochodu. Przez myśl przemknęły mi wszystkie najgorsze scenariusze, począwszy od drobiazgowej kontroli osobistej, skończywszy na zesłaniu do gułagu.

— Jesteś pierwszym obcokrajowcem, jakiego tu widzę — powiedział. — Witamy!

Uroczyście uścisnęliśmy sobie dłonie.

Wzdłuż drogi stało mnóstwo pustych billboardów, między którymi migały nam fragmenty jesiennych drzew. Po leśnym terenie były porozrzucane liczne podziemne silosy, ale nigdzie nie widziałem ani śladu pocisków, które terroryzowały mnie w młodości. W lesie mógł przebywać tylko jeden cywil — święty mąż imieniem Grigorij, który nosił futro, miał długie czarne włosy oraz długą czarną brodę i mieszkał w szałasie. Strażnicy znali go i zostawiali w spokoju. Możliwe, że kiedyś przycupnie na dziobie rakiety i spróbuje wznieść się ku niebu w ostatniej podróży. Czy będzie myślał, że to sam Bóg w końcu po niego posłał? Niewiele jest rzeczy, których można się uczepić na głowicy pocisku rakietowego, więc pewnie i tak spadnie prosto w piekło wyrzutni.

Bunkier, gdzie wygłaszałem wykład, był ponurym miejscem pełnym surowego betonu i nieosłoniętych świetlówek. Wszyscy na widowni mieli co najmniej jeden doktorat, a wielu nawet dwa lub trzy. Słuchali z ledwie skrywaną nietolerancją dla moich nienaukowych teorii co do różnic kulturowych, a potem zadawali pytania na temat technicznych kwestii dotyczących umów licencyjnych z Japonią i ze Stanami Zjednoczonymi. Kiedy stało się jasne, że nie mam nawet tyle wiedzy, żeby wciskać im kit, zaczęli wychodzić małymi grupkami. Tylko jeden został do końca — okrągły mały człowieczek w butach na grubej podeszwie, który wyglądał, jakby miał pod pięćdziesiątkę, choć mógł być zdecydowanie młodszy. Surowy klimat, uboga dieta, papierosy, tania wódka i niepewność jutra sprawiają, że średnia długość życia Rosjan płci męskiej waha się w granicach pięćdziesięciu kilku lat, czyli aż o piętnaście lat mniej niż w pozostałych krajach Europy. Widać to również po ich powierzchowności. Szara bluza z monogramem Juventusu nie pasowała do niezdrowej bladości tego człowieka. Brwi miał bezustannie ściągnięte. Skóra na czubku jego głowy drgała co kilka minut, a wtedy czoło wygładzało się na chwilę, jakby próbował przesunąć uszy do tyłu w geście psa żebrzącego o miłość. W tych momentach jego oczy robiły się skośne i przez ułamek sekundy aparycją przypominał Tatara. Nazywał się Andriej Denisowicz. Poczekał, aż Misza i Oleg zajmą się pakowaniem projektora, i wziął mnie na stronę.

— Mam coś do sprzedania — wyszeptał i spojrzał przez ramię na drzwi.

Serce zabiło mi mocniej. System naprowadzania rakiet? Napęd czerpiący energię z promieniowania słonecznego? Jak ja to przeszmuglуję na zewnątrz? Jak się sprzedaje takie rzeczy Pentagonowi? To musi być pułapka. Jestem pod ziemią, w jednym z największych na świecie kompleksów badawczych nad rozwojem rakiet. Kamery i mikrofony z pewnością słyszą wszystkie moje myśli, nie mówiąc już o tym, co mówię. Andriej nachylił się ku mnie konspiracyjnie. Też się nachyliłem.

— Mam *pantacrene*.

Wytrzeszczył oczy i zamrugał dwukrotnie. To musiał być jakiś kod. Albo wstydliwa choroba.

— *Pantacrene*?

— Taaaak.

— I co ja z tym zrobię?

Otworzył oczy jeszcze szerzej. Najwyraźniej uważał mnie za ignoranta.

— To jak żeń-szeń. Otrzymywane z rogów małego górskiego jelonka. Z Mongolii. Najwyższa jakość gwarantowana.

Mój przyjaciel Paul handluje olejem z młodych foczek zatłuczonych na śmierć pałkami w Kanadzie. Młode górskiego jelenia byłyby jeszcze trudniejsze do sprzedania.

— Czy masz cokolwiek bardziej... związanego z technologią?

— Mamy licencję na Morze Barentsa.

Gdzie leży Morze Barentsa? Miałem mgliste pojęcie, że gdzieś na Syberii. I kim jesteśmy „my”? Chodzi o ten instytut?

— Oni nic już więcej nie mają. Nasza grupa.

Grupa taka jak ICBM? Dwóch kolesi z biurem w sypialni walczących o utrzymanie, po tym jak ich świat się zawalił?

— Ach, bardzo dobrze. Na wydobycie ropy?

— Na muszelki.

Badawczo przyglądał się mojej twarzy, szukając oznak entuzjazmu. Pozwoliłem, żeby moje milczenie mówiło samo za siebie, na rosyjską modłę. Miałem nadzieję, że weźmie moją pokerową minę za oznakę poważnego namysłu, a nie objaw tłumionego śmiechu.

— To ta część, którą nazywamy Morzem Białym. Jest bardzo płytkie. Warstwa muszli sięga dziesięciu metrów. Ich wydobycie zajmie z pięćdziesiąt lat. Możemy je transportować bezpośrednio przez Norwegię. Bez problemu.

A zatem nie Syberia.

— Czy Norwegowie nie mają własnych muszelek?

— Wszyscy kochają muszelki.

Spojrzałem na niego uważniej. Wreszcie zrozumiałem. Nasza papużka zajadała się kością mątwią.

— Pasza dla drobiu?

— Wspaniały cement. W Niemczech uwielbiają cement z muszli. Wszystko, czego potrzebujemy, to bagrownica.

— Więc do czego jestem wam potrzebny?

— Finansowanie. Dziesięć tysięcy dolarów zaliczki.

— Zrobiliście analizę wykonalności?

Ciężko się pozbyć starych bankierskich nawyków. Kiedy pytasz o analizę wykonalności, oznacza to, że nie jesteś zainteresowany. Jeśli druga strona jednak ją przeprowadzi, prosisz o przygotowanie biznesplanu. Jeśli go opracuje, pocałunkiem śmierci będzie żądanie oceny oddziaływania na środowisko.

— Tysiąc dolarów za analizę. Zrobimy spółkę z kapitałem mieszanym i podzielimy koszty *fifty-fifty*.

A więc o to chodziło. Koleś chciał dostać pięćset dolców. Jedna imprezowa noc w Londynie, ponadroczna pensja dla niego.

— Najpierw analiza. Potem pieniądze.

W ciągu następnych kilku miesięcy otrzymałem wiele takich kuszących propozycji: wodoloty z Niżnego Nowogrodu; częściowo garbowane skóry reniferów z Archangielska; maszyny do wyrabiania cegieł ze ścieków oraz ciasteczek dla psów z kurzych odchodów z Saratowa; ceramiczna rurka, przez którą wsysało się ścieki, a wychodziła czysta woda — z

Kijowa. Tak wiele okazji. Tak wiele ciekawych miejsc do odwiedzenia. Rozpaczliwie chciałem być częścią tego wszystkiego.

ROZDZIAŁ 6

Kiedy mieszkasz w domu wariatów, przyłącz się do szaleństwa

Wróciłem do Londynu z postanowieniem, że jeszcze odwiedzę Rosję. Z jednej strony miałem nadzieję, że uda mi się zarobić trochę kasy, ale głównym powodem było to, że wszystko tam mnie fascynowało. To był kraj w przebudowie i wspaniale byłoby stać się elementem tego procesu. Polubiłem Rosjan, których spotkałem, i chciałem poznać ich lepiej. Byli pełni sprzeczności: gościnni i ksenofobiczni, otwarci i introwertyczni, potrafili z siebie żartować, a jednocześnie źle znosili krytykę, byli dobroduszni i ponurzy, odważni i niezdecydowani, uparci i grymaśni, okrutni i sentymentalni, idealistyczni i cyniczni. Powróciłem ze stereotypami, a chciałem się dowiedzieć, jacy ci ludzie są naprawdę.

Franczyzowa sieć restauracji z pieczonymi ziemniakami to był najlepszy pomysł, jaki mógł przyjść mi do głowy. Misza obiecał, że spróbuje znaleźć partnera w Rosji. Do moich zadań należało pozyskanie brytyjskiego współpracownika i kapitału na rozpoczęcie działalności.

Moją ulubioną restauracją z pieczonymi ziemniakami na wynos było Jackets tuż obok stacji metra Brixton w południowym Londynie. Nie był to oczywisty wybór partnera do spółki, ponieważ wydawało mi się, że Jackets nie ma innych oddziałów, i zakładałem, że jeśli firma będzie miała zamiar rozszerzyć horyzonty, pomyśli raczej o bardziej oczywistych częściach świata, na przykład sąsiednich społecznościach Stockwell i Norwood. Ale rzut oka do książki telefonicznej powiedział mi, że technicznie rzecz biorąc, jest to łańcuch restauracji, jako że istniały jeszcze dwie filie w Clapham, bardziej eleganckiej części południowego Londynu. Malcolm, prezes i dyrektor generalny Jackets, stracił w moich oczach, kiedy bez oporów zaprosił mnie do swojej siedziby głównej nad restauracją na Clapham High Street, abyśmy mogli przedyskutować mój pomysł. Czy nie miał nic lepszego do roboty?

Jechałem do Clapham, zastanawiając się, jakiego rodzaju osoba może być właścicielem trzech restauracji szybkiej obsługi w południowym Londynie. Stawiałem na pochodzącego z klasy średniej czarnoskórego w trzecim pokoleniu, zapewne byłego sportowca, z oszczędnościami zainwestowanymi w wygodny biznes. Nazwijcie to intuicją pisarza. Okazało się, że facet był białasem po trzydziestce z wytwornym akcentem, w nierównomiernie farbowanym T-shircie, dżinsach i espadrylach bez skarpet. Zaraźliwie radosny Malcolm wysłuchał mojego pomysłu bez mrugnięcia okiem.

— Brzmi świetnie — powiedział, tym samym trafiając na zawsze na moją listę wspaniałych kolesi.

Po uzyskaniu dyplomu nauk politycznych Malcolm miał problem z wyborem kariery oparty na dylemacie natura-kultura. Jego ojciec był ważną personą w Lloyd’s of London, brytyjskiej instytucji ubezpieczeniowej z kapitałem dostarczanym przez zamożnych inwestorów z nieograniczoną odpowiedzialnością osobistą. Nikt wtedy jeszcze nie śnił o kryzysie, jakiemu musiała stawić czoła ta instytucja na początku lat dziewięćdziesiątych, więc Malcolm mógł bez wysiłku pójść w ślady rodziciela i wieść dostatnie życie w City. Kusił go jednak syreni śpiew tirów i ostatecznie wybrał życie króla szos. Po niespełna dekadzie wiele grubych ryb z Lloyd’s musiało się przerzucić na uprawianie takich zawodów, jak taksówkarz czy malarz pokojowy, ale zanim masowe bankructwa sprowadziły ich na ziemię, nieczęsto bywali w barach dla kierowców ciężarówek. Pomiędzy trasami Malcolm spędzał dnie na tropieniu i fotografowaniu jeleni w Szkocji albo na rodzinnych pobytach w Oxfordshire. To z pewnością różniło go od pozostałych

tirowców, którzy gawędzili o wędkarstwie lub grali w piłkę wokół stołów z laminowanymi blatami. To, że wolał pieczone ziemniaki od frytek, też nie działało na jego korzyść. A jednak nic z tych dziwactw nie zrażało do niego kolegów. Jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, z kim łatwiej byłoby się dogadać i kto byłby mniej skażony uprzedzeniami czy snobizmem.

Kiedy się ożenił, uznał, że kariera kierowcy ciężarówki jest szkodliwa dla życia rodzinnego, więc rozejrzał się za innym zajęciem, które trzymałoby go z dala od City. To był akurat początek boomu na fast foody. Dostrzegł niszę rynkową wielkości ziemniaka pomiędzy zalewem hamburgerów z przemysłowego mięsa a pizzami z topionym serem i otworzył pierwszy oddział Jackets na Clapham High Street. Spędziliśmy wiele miłych chwil nad piwem i winem, rozmawiając o tych pięknych początkach. Opowieści o poszukiwaniach idealnego ziemniaka, idealnego łyżkowidelca (hybrydy łyżki i widelca) i idealnego pojemnika utrzymującego dania na wynos w odpowiedniej temperaturze układały się w sagę o komplikacjach i sukcesach.

Przez dziesięć lat Malcolm nieustannie poszukiwał najlepszej jakości produktów i dbał o najwyższą jakość usług, na których oparta jest cała koncepcja Jackets. Wszystko było przygotowywane od zera, ze świeżych składników. W przepisach mogła się znaleźć puszka czerwonej fasoli czy pomidorów, ale mięso pochodziło od rzeźnika ze sklepu obok, a warzywa z targu. Malcolm pracował po nocach nad przepisami na gorące nadzienie, rozważał dywersyfikację oferty przez uwzględnienie ryżu z groszkiem i croissantów i zmagał się z sumieniem, myśląc nad włączeniem do menu hamburgerów i frytek. Nauczył się naprawiać piece, serwisować szafy grzewcze i chłodnicze, wyszukiwać i usuwać usterki w systemie płac. Dzięki jego determinacji, pasji i talentowi do motywowania ludzi biznes prosperował, a po Clapham High Street przyszła pora na Clapham Junction oraz flagowy punkt sprzedaży w Brixton.

Imponuje mi każdy, kto ma wystarczająco dużo energii, wyobraźni i odwagi, żeby rozkręcić biznes od zera. Czego zazdroszczę takim ludziom najbardziej, to umiejętności poświęcania się tej samej rzeczy dzień po dniu. To inspirująca lekcja dla każdego przedsiębiorcy, czy to w Wielkiej Brytanii, czy w Rosji.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, pieczętując nasze partnerstwo. Jackets miało nam służyć doświadczeniem technicznym w zamian za nieokreślone honorarium i nieokreśloną część zysków. Malcolm właśnie zakończył renowację najwyższego piętra swojego budynku. Podczas gdy czekał na chętnych lokatorów, zorganizowałem tam nasze rosyjskie biuro. Powiesiłem na ścianie zdjęcie moskiewskiej cerkwi Wasyla Błogosławionego, a na biurku ustawiłem aluminiowe popiersie Lenina.

Przesiadywałem tam częściej, niż musiałem, ze względu na aromat docierający do mnie z restauracyjnej kuchni. Na *basso ostinato*[9] pieczonych ziemniaków nakładały się melodie smażonych cebul i czosnku, duszonych pomidorów, ziół, przypraw, curry i kawy, na przemian *crescendo* i *diminuendo*. Ta ziemniaczana symfonia była równie wspaniała jak zapach pieczonego chleba i rzadko kiedy udawało mi się wytrzymać dłużej niż do południa, zanim zszedłem na dół na pierwszego danego dnia ziemniaka w mundurku.

Na poziomie zawodowym wygodnie było mieć kogoś, kto zna się na rzeczy, dosłownie pod nosem i móc obserwować proces produkcji. Po czterdziestu minutach w piecu ziemniaki były wykładane do podgrzewanej witryny. Jeśli nie zostały sprzedane w ciągu dwudziestu minut, Malcolm wyrzucał je, aby utrzymać jakość. Nie ma nic gorszego niż ziemniak pieczony za długo albo taki, który zbyt dużo czasu spędza na wystawie, stygnie, staje się mączysty i woskowaty, jego skórka gorzknieje i robi się twarda jak podeszwa, a maślana konsystencja, aromatyczny zapach i subtelny smak ścinają się w papkę o konsystencji kitu. Podgrzewanie w mikrofalówce tylko pogarsza sprawę. Od mojej pierwszej wizyty w Jackets wzdragam się na widok zimnych

brązowych bobków leżących na kupie w rogu witryny w barach kanapkowych i kafeteriach.

Tylko jedna rzecz wciąż stanowiła dla mnie zagadkę. Malcolm był taki praktyczny i zrównoważony. Miał ręce pełne roboty przy kierowaniu trzema restauracjami i planowaniu ekspansji do nowego centrum handlowego na Wimbledonie. Czemu, do licha, chciał się angażować w kontakty z Rosją? Odpowiedzią był nepotyzm. Jego wuj był dyplomatą, ostatnim gubernatorem miasta Aden, a zakończył karierę w Australii jako wysoki komisarz. Był również erudytą, miłośnikiem języka rosyjskiego specjalizującym się w dziełach Aleksandra Puszkina, a na dodatek poślubił rosyjską księżniczkę ze starej petersburskiej familii. Malcolm pokazał mi wykonane przez niego tłumaczenie *Jeźdźca miedzianego*, prawdopodobnie najsłynniejszego wiersza Puszkina, traktującego o pomniku Piotra I Wielkiego w Petersburgu.

Wujek i ciotka Malcolma już nie żyli. Było coś wzruszającego w tym pragnieniu nawiązania kontaktu z rosyjską częścią rodzinnej legendy. Czy to nie byłoby romantyczne i stosowne zarazem — otworzyć filę Jackets w cieniu Jeźdźca miedzianego? Obiecałem Malcolmowi, że odwiedzimy Petersburg przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Brytyjski Fundusz Know-How był oczywistym źródłem finansowania początkowego etapu rozwoju naszej działalności. Został założony przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych, aby dostarczyć wsparcia byłym krajom socjalistycznym Europy. Ponieważ zjadłem biznesowe zęby w amerykańskim banku, którego motto brzmiało „Nic dobrego nigdy nie przychodzi od rządu", bałem się ogłupiającej biurokracji oraz ograniczonych drobiazgowych urzędników, którzy bez wątpienia zarządzali funduszem.

W rzeczywistości ludzie ci okazali się wspaniali. Obdarzeni wyobraźnią, służący wsparciem, efektywni. Pomogli mi wypełnić formularze i po tygodniu mieliśmy gotową ofertę.

Misza zadzwonił z Genewy z wieścią o potencjalnym rosyjskim wspólniku. Był akurat na konferencji, gdzie spotkał szefa nowego Związku Rolników, który uznał, że nasz projekt może pozwolić rosyjskim gospodarzom na sprzedawanie produktów rolnych powyżej ceny nominalnej.

Spędziłem więc sobotę z kamerą wideo, nagrywając materiał na temat Jackets i opracowując propozycję, którą mógłbym przedstawić w Genewie w poniedziałek rano. Misza zadzwonił raz jeszcze i poprosił, żebym przywiózł ze sobą pół tuzina policyjnych hełmów — wystarczą kartonowe repliki ze sklepu z pamiątkami. Założyłem, że będzie chciał je rozdać uczestnikom prezentacji.

Poleciałem do Genewy w niedzielę i przybyłem akurat w porę na *barbecue* w domu jednego z członków rosyjskiego stałego przedstawicielstwa handlowego. Było tam około pięćdziesięciu osób, wszyscy z rosyjskiej społeczności międzynarodowej. Okazało się, że większość z nich należy do obsady adaptacji operetki *Trial by Jury* Gilberta i Sullivana[10], z którą grupa miała zamiar wystąpić przed genewskim Light Opera Society w następny weekend. Byli jednym z najbardziej cenionych rosyjskich amatorskich chórów. Po grillu miała się odbyć próba kostiumowa, a hełmy, które przywiozłem, służyły za rekwizyty. Wybierając pomiędzy burgerami a kiełbaskami, goście zaczynali nagle śpiewać *A nice dilemma we have here* oraz *Never, never, never, since I joined the human race*. Po angielsku, następnie po rosyjsku, a potem w obu językach jednocześnie.

Gdy wróciłem do Londynu i opowiedziałem o tym mojej rodzinie, nikt nie chciał mi uwierzyć. Gładzili się po brodach i stukali w bok nosa. „Taaa... *Trial by Jury*. Rosjanie w perukach i policyjnych hełmach. Nie z nami takie numery". Ale to było coś, czego nie mogłem sam wymyślić, a nawet gdybym to zrobił, wyrzuciłbym pomysł przy pierwszych poprawkach. Tamten popołudniowy epizod stanowił dobre wprowadzenie do farsy w stylu Gilberta, w jaką się pakowałem.

Utwór *Jilted Bride* śpiewała ładna tłumaczka. Była bosa i niemal naga, pomijając kawałek

żółtej gazy, którym się owinęła. Jej czarne włosy były modnie przycięte, a oczy bardzo zielone. Dała mi skrzydełko kurczaka, a ja opowiedziałem jej o naszym projekcie.

— Dlaczego zajmujesz się takimi drobnostkami? Tak bardzo cię obchodzi, co jadają Rosjanie?

Nie wiedziałem, czy jestem bardziej zakłopotany jej pytaniem, czy szelmowskim półuśmiechem.

— Kiedy mieszkasz w domu wariatów, przyłącz się do szaleństwa.

— Czy to cytat?

— Będzie, jeśli jeszcze raz to powiem.

— Czy naprawdę obchodzą cię ziemniaki?

— Jest wielki świat, w którym są wielcy ludzie i wielkie rzeczy. I jest mały świat dla małych ludzi i małych rzeczy. W tym pierwszym założono ONZ, napisano *Martwe dusze*, doleciano na Księżyc. W drugim zrobiono lalkę Barbie, wymyślono taniec kaczuszki i prasownicę do spodni. W wielkim świecie ludzie próbują sprawić, by człowiek był szlachetniejszy. W małym walczą o to, by postawić jedzenie na stole[11].

— To już na pewno cytat. *Dwanaście krzeseł* Ilfa i Pietrowa?

— *Złote cielę.*

— Nie odpowiedziałeś, czy obchodzą cię ziemniaki.

— Znasz wyrażenie „źródło utrzymania”? A co ciebie obchodzi?

— Przyszłość rosyjskiej demokracji.

— Ach... Smaczny ten kurczak.

Nadszedł czas na próbę kostiumową. Panna „Jilted Bride” poszła sobie i mogłem wreszcie przestać wciągać brzuch. Podczas gdy chórzyści się przebierali, włożyłem kasetę wideo z materiałem z Jackets do odtwarzacza w salonie. To była dobra okazja, żeby przetestować koncepcję restauracji z pieczonymi ziemniakami na rosyjskiej grupie fokusowej, zwłaszcza że jej członkowie byli przebrani za sędziego i ławę przysięgłych. Zapewne powinienem zacząć prezentację od słów Obrońcy: *Oh, gentlemen, listen, I pray*, ale ponieważ w szkolnym chórze tylko udawałem, że śpiewam, nie pamiętałem tekstu.

Pierwsze, co zauważyli, to że obsługa oraz połowa gości są czarne.

— Czy to jest afrykańskie jedzenie? Rosjanie nie lubią Afrykanów — poinformował mnie Przewodniczący Ławy Przysięgłych.

— Ale ten cały Johnston jest biały. Dlaczego nie zatrudnia białych ludzi? — dopytywał Sędzia, podejmując temat.

— Czy to Kleppem jest w getcie? — zapytała Pierwsza Druhna.

— To nie są Afrykanie. Są Brytyjczykami tak samo jak ja. W Anglii nie jesteśmy uprzedzeni rasowo — powiedziałem, żarliwie pragnąc, żeby to była prawda.

Ława przysięgłych spierała się, czy dla Rosjan ziemniak jest produktem równie aspiracyjnym[12] co ćwierćfunciak z serem. Za pomocą promocyjnych zdjęć próbowałem ich przekonać, że klienci nie będą kojarzyli naszych symetrycznych przysmaków o gładkiej skórce z gruzłowatymi twardoskórymi mutantami z moskiewskich targów. Na szczęście ktoś wspomniał o Idaho i amerykańskie skojarzenie uspokoiło wątpiących. Jednak decydujący argument pojawił się pod koniec nagrania, przy ujęciu restauracji z ulicy. Nieopodal Jackets stał nowiutki McDonald, niebezpieczna konkurencja dla Malcolma, która nieoczekiwanie stała się teraz naszą główną referencją. Skoro działaliśmy w sąsiedztwie Złotych Łuków, oznaczało to, że jesteśmy w tej samej lidze.

Pewnie nie powinienem oczekiwać, że pokaz zakończy się chórem *Joy unbounded, with wealth surrounded*, ale liczyłem na odrobinę więcej entuzjazmu z ich strony. Z ogromnym

wstydem muszę przyznać, że poświęciliśmy wieczór na przemontowanie nagrania, tak aby stworzyć mylne wrażenie co do etnicznej różnorodności południowego Londynu, a widok McDonalda zajmował niemal tyle samo miejsca ile materiał na temat Jackets.

W poniedziałek rano stawiliśmy się w siedzibie misji dyplomatycznej Rosji w Genewie, na Avenue de la Paix. Wrzało tam jak w ulu, jak przystało na miejsce, gdzie dyskutowane są doniosłe sprawy Wielkiego Świata. Ważni i poważni mężczyźni, niektórzy w mundurach, przemierzali korytarze z lśniącymi aktówkami. Dostaliśmy do dyspozycji pokój konferencyjny, gdzie za godzinę miały się zacząć przygotowania do negocjacji w Pałacu Narodów. Technik, który obsługiwał sprzęt wideo, zapewnił nas, że jest tam bezpiecznie, ściany są dźwiękoszczelne i codziennie sprawdza się pomieszczenie pod kątem ewentualnego podsłuchu. To było ekscytujące. Znajdowaliśmy się w samym centrum globalnych wydarzeń. Byliśmy dumni, że mamy wkład w światowy pokój dzięki handlowej współpracy między do niedawna antagonistycznymi siłami i przyczyniamy się do rozwoju wolnych i demokratycznych rynków w byłym Związku Radzieckim.

W oczekiwaniu na spotkanie Misza raz jeszcze przypomniał mi pokrótce, jak wygląda sytuacja Związku Rolników. W trakcie liberalizacji z 1992 roku przeznaczono miliony rubli z państwowego budżetu, by wesprzeć rozwój prywatnych gospodarstw rolnych. Państwowe kołchozy zostały zobligowane do przekazania dziesięciu procent swoich ziem prywatnym jednostkom. Rolnicy otrzymali dotacje kapitałowe oraz roczne pożyczki. Związek Rolników założono, aby ich reprezentować i dystrybuować hojne dary. Odgórna instytucja państwowa stale rywalizowała z Ministerstwem Rolnictwa, nadal rządzonym przez niereformowalnych zwolenników państwowego systemu spółdzielczego.

Szef Związku Rolników był dystyngowanym profesorem ekonomii i członkiem Komisji Ekonomicznej powstałej z niedawno zlikwidowanego Państwowego Komitetu Planowania, zwanego Gosplanem, który od 1921 roku zajmował się tworzeniem tzw. pięciolatek dla Związku Radzieckiego. Miałem nadzieję, że nie był za bardzo skupiony na wielkim obrazie i docenił subtelność handlu jedzeniem na wynos.

Jak przystało na profesora, przybył z piętnastominutowym opóźnieniem. Był wysoki i siwowłosy, lekko przygarbiony, jak to wysocy ludzie, ale jego twarz nie pasowała do reszty. Była młoda i pozbawiona zmarszczek, jakby w jego rolę wcielił się student. Natychmiast go polubiłem.

Przyszedł z czterema pochlebcami, których wizytówki obwieszczały różne skomplikowane stanowiska w Ministerstwie Rolnictwa oraz przedstawicielstwie handlowym, którzy jednak byli ubrani zbyt modnie jak na typów z ministerstwa. Już nigdy więcej ich nie zobaczyłem ani o nich nie słyszałem, więc mogli być gorylami z ambasady. Nowa Rosja miała dopiero trzy latka, a przecież trudno pozbyć się starych nawyków. Studiowałem wizytówki tak uważnie nie po to, by odgadnąć status moich rozmówców, ale by nauczyć się ich nazwisk i patronimików, którymi zwracaliśmy się do siebie przez resztę spotkania; z tym że ja, ku własnemu rozczarowaniu, pozostałem panem Mole'em, a nie Johnem Genriwiczem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, mierząc się wzrokiem z kamiennymi twarzami i mamrocząc *oczeń prijatno*, czyli „bardzo mi miło". Uśmiechanie się na pierwszym spotkaniu jest uznawane za przejaw głupoty. Nasi rozmówcy usiedli w rzędzie, z rękami skrzyżowanymi na brzuchach. Pamiętałem też, żeby nie zaczynać prezentacji od żartu, jak bym to zrobił z Amerykanami, bo to jest z kolei uznawane za przejaw prostactwa. Siedzieli nieruchomo, z pozbawionymi wyrazu twarzami, przez cały wyświetlany materiał oraz moją analizę powodów, dla których projekt przyniesie korzyści rolnikom, klientom i międzynarodowemu pokojowi. Przypisałem duże znaczenie wsparciu od brytyjskiego rządu w ramach Funduszu Know-How. Decydującym

argumentem było to, że skromna restauracja na pięćdziesiąt miejsc będzie potrzebowała stu ton ziemniaków, trzydziestu ton produktów nabiałowych i dziesięciu ton mięsa rocznie. W Wielkiej Brytanii, żeby uzyskać sto ton ziemniaków nadających się do upieczenia, trzeba ich wyhodować czterysta ton. Wiele małych gospodarstw będzie musiało nas zaopatrywać.

Kiedy skończyłem, mężczyźni ze Związku Rolników wstali bez słowa i skierowali się do wyjścia. Profesor uścisnął nam ręce ostatni.

— Hmm. To niemożliwe w obecnych warunkach. Nasi rolnicy nie są przygotowani. Nie mamy infrastruktury. Nie mamy ramy prawnej dla franczyzy. Nie da się znaleźć takich nieruchomości w Moskwie. Nie mamy zasobów do sfinansowania takiego biznesu i odpowiednich kandydatów wśród rolników. Całe wyposażenie musiałoby zostać importowane ogromnym kosztem. Przeszkody są nie do pokonania. Hmm.

Misza zamknął za nimi drzwi i padliśmy sobie w ramiona.

— Taaak! Kupił to.

I rzeczywiście, profesor zadzwonił do Miszy z lotniska jeszcze tego samego wieczoru. Mieliśmy przyjechać do Moskwy przy najbliższej okazji i przedyskutować „możliwą współpracę".

ROZDZIAŁ 7

Tu jest Rosja, panie John

Dostałem biurko na czwartym piętrze kwatery głównej Związku Rolników. Po pokonaniu zasieków w postaci srogich pań stróżujących, niskich i okrągłych Rosjanek w zrobionych na drutach czapeczkach przypominających ocieplacze na imbryki, człowiek zanurzał się w atmosferze biurokracji, nieświeżego podgrzanego powietrza, słodkiego tytoniu, drażniącego środka dezynfekującego, jajecznych wyziewów z kanalizacji, a także odoru papieru i ciał. Dzieliłem biuro z Afanazym, który miał pełnić funkcję koordynatora projektu, i z Nataszą, naszą asystentką i tłumaczką.

Afanazy, mężczyzna po pięćdziesiątce, był łysy, opalony i nosił okulary w złotych oprawkach oraz trochę zbyt eleganckie szare garnitury w szerokie prążki, jakby inspirowane modą panującą wśród torysów. Mimo że miał wygląd mieszczucha, jego pasją było łowienie ryb. Wiele lat wcześniej znalazł się w radzieckiej delegacji do ONZ, mówił więc po angielsku z silnym akcentem z Brighton Beach. Był tak dobry w koordynowaniu projektów, że wszystko przekazywał innym. Na każde moje pytanie potrząsał głową.

— Jarn, jestem tylko koordynatorem. W żadnym wypadku. Musisz zapytać kogoś innego...

„W żadnym wypadku" to był jego werbalny tik, podobnie jak „znaczy się" Miszy.

Natasza miała pod trzydziestkę. Przychodziła do pracy ubrana jak na imprezy koktajlowe, w połyskliwych sukienkach z rękawami z jedwabnej siateczki i w błyszczących szpilkach, albo jak na lewicowe przyjęcia z obiadem, w szalach i warstwach etnicznych spódnic. Spędzała pierwsze pół godziny każdego dnia na swoim krześle, medytując ze skrzyżowanymi nogami i rękami na biurku. Zapytałem ją, czy jest buddystką. Powiedziała, że wyznaje kult astralny. Nie drążyłem dalej, żeby mimowolny uśmieszek przypadkiem nie zniszczył naszych relacji.

Moim pierwszym zadaniem było znalezienie dostawców surowców. Wywołałem konsternację, kiedy zasugerowałem, że powinniśmy odwiedzić kilku rolników i dowiedzieć się z pierwszej ręki, co mogliby nam dostarczać i jakiego wsparcia potrzebują. Usłyszałem, że wiąże się to z wieloma przeszkodami.

— W żadnym wypadku. Nie ma sensu. Oni nie wiedzą, czego potrzebują — wychrypiał

Afanazy.

— To może ich zapytamy?

— Jarn, ja znam rolników — oznajmił, ostrożnie wkładając dunhilla do bursztynowej fifki. — Oni nie rozumieją.

— Więc na czym oprzemy nasz plan?

— Dyrektorzy regionalni przygotują raporty.

— Wolałbym sam zobaczyć.

— Marnujesz czas. W żadnym wypadku. Dadzą ci fałszywe informacje, żeby wyciągnąć kasę ze związku. Ci wieśniacy to łase na forsę sukinkoty. Trzymaj się od nich z daleka.

— Gospodarstwa rolne są na wsi — wyjawiła Natasza, jakby to była obraza dla natury. — Jak ich znajdziesz? Jak do nich dotrzesz? Dżorn, to nie jest praktyczne.

Przez kilka minut przetrząsałem słownik w poszukiwaniu znaczenia słów *Jarn* i *Dżorn*, nim zorientowałem się, że to moje imię.

Poprosiłem o radę Flora Iwanowicza, kierownika wydziału badań. Był młodym człowiekiem o okrągłej twarzy, bladoniebieskich oczach, przerzedzających się jasnych włosach i z zamiłowaniem do koloru musztardowego — miał musztardową tweedową marynarkę, musztardowe spodnie, musztardową koszulę i musztardowy krawat. On też uważał, że badania terenowe to dziwactwo. Dał mi więcej argumentów przeciwko temu pomysłowi.

— John, my wstydzimy się pokazywać obcokrajowcowi, jakie warunki panują na wsi. A związek się boi, że usłyszysz o nim złe rzeczy.

— Ale przecież związek jest organizacją rolników. My ich reprezentujemy. Służymy ich interesom.

— Teoretycznie tak. Niestety, większość ludzi w tym budynku oddelegowano z Ministerstwa Rolnictwa. Spędzili całe życie na walce z rolnikami. Nienawidzą wsi.

— Nie jeżdżą na dacze w weekendy?

— Dacznicy pogardzają ludźmi ze wsi. Mówią, że brakuje im ogłady i są nieuczciwi. A wieśniacy nienawidzą daczników, bo ci mają pieniądze i samochody, a do tego są aroganccy.

— Jezu, Flor. Jak ja mam cokolwiek załatwić?

— Tu jest Rosja, panie John.

A więc zrobiłem to, co robi się w Rosji w takich sytuacjach — poszedłem prosto do kierownictwa. Spędziłem w poczekalni profesora około godziny, gawędząc z jego sekretarką i oglądając z nią meksykańską operę mydlaną, zanim zostałem wezwany do środka. Narożne biuro było jasne i przestronne, z oknami na dwóch ścianach i boazerią z miodowego drewna. Dominowało w nim masywne biurko pokryte książkami i papierami. Na innym stole stały komputer i dwa telewizory. Dwie brązowe skórzane sofy ustawione pod kątem prostym przeznaczono dla gości. Skórzany tron gospodarza znajdował się przed nimi. Reszta biura była zagracona prezentami i pamiątkami związanymi z rolnictwem.

Centrum dowodzenia profesora składało się z sześciu telefonów, każdego w innym kolorze. Nie były to aparaty tylko na pokaz; właśnie tak rosyjski dyrektor generalny rządzi swoim imperium. Nie dość, że ma telefon, który zawsze działa — a już samo to świadczy o wysokim statusie — może też podnieść słuchawkę i wydać rozkaz, a osoba po drugiej stronie linii go wykona. To dopiero jest oznaka prawdziwej władzy.

Dał mi pięć minut na przedstawienie sprawy. Stwierdził, że odwiedzanie rolników to nowatorski pomysł, ale podniósł słuchawkę i załatwił wszystko jednym telefonem do Afanazego. Mój koordynator szybko pozbył się obiekcji i znalazł gospodarstwo, którego właściciel był gotowy zaakceptować najście obcokrajowca.

W Rosji robienie czegoś samemu jest uważane za przejaw ekscentryzmu. W sprawach

biznesowych należy podróżować z delegacją, a dla przyjemności — koniecznie w grupie. Dlatego pewnego wilgotnego poniedziałkowego poranka do jaskrawożółtego minibusu zapakowali się ze mną Afanazy, Natasza oraz dwóch mężczyzn, których nigdy wcześniej nie widziałem. Wszyscy byliśmy w wakacyjnym nastroju. Nowatorski charakter naszej misji, a także odskocznia od marazmu dnia w biurze sprawiły, że wesołość udzieliła się nawet Afanazemu.

Nasz kierowca, Igor, miał na sobie tweedowy płaszcz, długi szalik, rękawice ochronne i skórzaną czapkę myśliwską z niezawiązanymi nausznikami, które majtały mu się przy twarzy. Już zacząłem się martwić, czy w minibusie jest ogrzewanie, ale okazało się, że niepotrzebnie. Igor najwyraźniej nauczył się jazdy za kierownicą traktora i to był jego zwyczajowy uniform. Zaczął narzekać, że ten bus to zagraniczny śmieć wyprodukowany na Łotwie i że powinni nam przydzielić przyzwoity rosyjski. Dałem się nabrać, traktując jego słowa serio. Zorientowałem się dopiero, gdy wyszczerzył zęby w uśmiechu. Rosjanie potrafią żartować z kamienną twarzą, podobnie jak Anglicy. Łotwa zyskała niepodległość dopiero dwa lata temu i rosyjskie wojska wciąż jeszcze stacjonowały na jej ziemiach.

Wyjechaliśmy z miasta autostradą, a po mniej więcej godzinie skręciliśmy na pełną wybojów asfaltową drogę. Przez kolejne dwie godziny trzęsło nami niemiłosiernie, kiedy w mżawce pokonywaliśmy niekończący się las. Poza kilkoma traktorami oraz przyczepami i długą ciężarówką wyładowaną kłodami drewna na drodze nie było żadnego ruchu. Od czasu do czasu mijaliśmy jakiegoś pieszego, z mozołem brnącego przed siebie z siatką na zakupy. Dokąd oni szli, na litość boską? Przecież byliśmy w samym środku pustkowia. Asfalt skończył się na skrzyżowaniu na wycince, skąd dalej prowadziły trzy drogi gruntowe. Nie było tu żadnych oznaczeń ani punktów orientacyjnych, a Igor nie miał mapy, jednak z przekonaniem wybrał najmniej uczęszczaną trasę. Kiedy Afanazy zapytał go, czy jest pewien swojego wyboru, postukał palcem w bok kartoflowatego nosa. Boczne okna szybko pokryły się warstwą błota, ale piaszczysta droga przynajmniej nie była tak wyboista.

To, co udało nam się dostrzec przez szyby, było wspaniałe. Rosyjskie lasy to nie tylko monotonne rzędy brzóz, to ogromne arboreta przeróżnych drzew. Nie żebym potrafił rozpoznać jakieś inne gatunki. Moja edukacja w tej kwestii zakończyła się w szkole kadetów na sosnach i jakichś drzewach o gęstych koronach, które służyły nam za punkty orientacyjne w trakcie biegania po lesie ze staroświeckimi karabinami.

Mieliśmy okazję zawrzeć bliższą znajomość z gęstymi koronami tutejszych drzew, kiedy silnik minibusu zarzęził i zgasł, a auto wypełnił zapach benzyny. Wysiedliśmy. Lśniąca od deszczu droga znikała w oddali w obu kierunkach, ciągnąc się aż po horyzont. Nie było słychać niczego poza szelestem liści, uderzeniami kropel deszczu, trzeszczeniem stygnącego silnika oraz przekleństwami Igora majstrującego pod maską i złorzeczącego na wszystkich Łotyszy i ich matki. Stłoczyliśmy się pod drzewem i paliliśmy w milczeniu — mieszczuchy przerażone bezmiarem natury i perspektywą długiego mokrego spaceru. Jako że pochodziłem z Anglii, gdzie tereny wiejskie to po prostu zaledwie bardziej rozproszone przedmieścia, ta bezkresna pustka wyprowadzała mnie z równowagi. A byliśmy zaledwie sto sześćdziesiąt kilometrów od Moskwy. Trudno było sobie wyobrazić, że w promieniu najbliższych osiemdziesięciu kilometrów powinniśmy natrafić na inne istoty ludzkie, nie mówiąc już o zabudowaniach.

— Jakieś problemy, towarzysze? — zapytał mężczyzna, wychodząc spomiędzy kępy drzew za naszymi plecami.

Wzdrygnęliśmy się jak jeden mąż i odwróciliśmy na pięcie, by ujrzeć człowieka w brązowym sztormiaku i miękkim kapeluszu w kolorze khaki. Był dobrze po pięćdziesiątce i miał ozdobioną grubymi czarnymi wąsami szorstką twarz kogoś, kto dużo przebywa na świeżym powietrzu. Z zagięcia jego łokcia zwisała strzelba, a spod klapy wypchanej torby myśliwskiej

wystawały rudobrunatne skrzydło i włochata łapa, co poświadczało jego umiejętności strzeleckie. Podszedł do busu, gdzie Igor rozładowywał wypełnioną po brzegi skrzynię z narzędziami, bez której żaden rosyjski kierowca nie rusza się z domu.

Igor wyciągnął stertę pustych worków i rozłożył je w błocie pod autem. Położył się na plecach i powoli wsunął pod podwozie z kombinerkami i drutem.

— Poszedł przewód paliwowy — wyjaśnił. — Benzyna przecieka, ale chyba nie straciliśmy za dużo.

— Przytrzymać ci szluga, bracie? — zapytał myśliwy.

Igor podał mu papierosa, a ten natychmiast zdusił go w błocie.

Przedstawiliśmy się sobie. Nazywał się Iwan i z zawodu był robotnikiem wysokościowym. Było to określenie, którego ani oni nie znali po angielsku, ani ja po rosyjsku, ale jakoś doszliśmy do tego na migi, poprzez chirurga drzew, alpinistę i pilota helikoptera. Iwan miał daczę w pobliżu. Wypytywał mnie o warunki pracy robotników wysokościowych w Anglii. Bardzo elokwentnie wypowiedziałem się na ten temat, omawiając liczbę zatrudnionych w branży, wysokość stawek, techniki wspinaczki, stosunek nowo powstających budynków do tych wyburzanych i tak dalej. Wszystko to oczywiście zmyśliłem, ale kiedy obcokrajowiec wyraża zainteresowanie jakimś aspektem brytyjskiej rzeczywistości, wydaje mi się chamskie po prostu powiedzieć, że nie mam o tym bladego pojęcia. Zrewanżowałem się, pytając go o gospodarkę wiejską w okolicy, a on prawdopodobnie również zmyślił swoje odpowiedzi. Naturalne pragnienie zadowolenia rozmówcy wyjaśnia wiele fałszywych informacji w analizach wykonalności i książkach podróżniczych, bez wątpienia włączając w to również tę. Kiedy zapytałem go, co myśli o sytuacji polityczno-gospodarczej, wzruszył ramionami.

— My żyjemy w naszej Rosji. Oni żyją w swojej — uciął.

Igor wyłonił się spod busu i włożył rękawice. Zakasłał razem z silnikiem, po czym obaj zapalili i ruszyliśmy w dalszą drogę. Iwan zabrał się z nami. Zapach mokrych liści i prochu z jego strzelby jeszcze zagęścił woń dymu papierosowego i ludzkich ciał fermentującą w busie od wyruszenia z Moskwy.

Iwan poprowadził nas z powrotem na skrzyżowanie z asfaltową drogą. Po mniej więcej półgodzinie wyjechaliśmy spomiędzy drzew na płaską trawiastą równinę. Błoto zmieniło się z gliniastego w czarne. Powiedział, że ta ziemia należała do kołchozu, dopóki władze nie zadecydowały o przekazaniu jej prywatnym rolnikom dwa lata wcześniej. Afanazy zauważył, że prawdopodobnie z radością się jej pozbyli.

Iwan wysiadł przy swojej ciężarówce. Życzyliśmy sobie nawzajem wszystkiego dobrego, czemu towarzyszyły liczne uściski dłoni i braterskie pozdrowienia dla robotników wysokościowych w Anglii. Które niniejszym przekazuję.

Ruszyliśmy wzdłuż pola, gdzie dwie kobiety grzebały w błocie. Chociaż stawiałem dopiero pierwsze kroki w rolnictwie, od razu rozpoznałem stertę małych brązowych ziemniaków. W zasięgu wzroku nie było żadnego wózka, pojazdu ani innego mechanicznego sprzętu do pomocy. Przed nami pojawiły się dom i zabudowania gospodarcze. Ornament płotu rysował się na tle bezkresnego pociemniałego nieba. Droga zdążyła już stać się rzeką rozwodnionej brei, głęboką mniej więcej na trzydzieści centymetrów, która wlewała się przez bramę do jeziorka gęstszego błota, w jakie zamieniło się podwórze gospodarstwa.

Igor wiedział, że nie powinien się teraz zatrzymywać. Wrzucił niższy bieg, zwiększył obroty silnika i ruszył ku szopie, gdzie dwaj mężczyźni pracowali na dachu ze spawarką. Zarzuciło nami w kierunku płonącego niebieskiego światła, latarni morskiej w morzu błota pokrywającego przednią szybę. Poślizgnęliśmy się, silnik zgasł i szybko utknęliśmy w bagnie.

Afanazy otworzył przesuwne drzwi. Od stałego lądu dzieliło nas jakieś dwadzieścia

metrów. Błoto podchodziło pod próg. Świnia pluskała się w nim jak delfin, wyginając ciało w łuk i gwałtownie wpadając z powrotem do brei. Jeden z mężczyzn zszedł z dachu i zaczął brnąć w naszym kierunku w wysokich gumowych butach, w błocie po kolana. Niski i muskularny, z pałąkowatymi nogami i rękami, miał na sobie krótką skórzaną kurtkę i pasującą do niej czapkę leninówkę w kolorze błota. Prawdziwy syn tej ziemi.

Podczas gdy Igor znęcał się nad rozrusznikiem, my tłoczyliśmy się w drzwiach auta, aby się przedstawić. Nasz gospodarz miał na imię Wasilij. Jego okrągłą, różową, nijaką twarz ożywiały zdumiewająco niebieskie oczy.

Mój garnitur bankiera i eleganckie półbuty z pewnością nie pasowały do takich warunków. Obawiałem się, że może ktoś będzie musiał zanieść mnie na barana do brzegu. Byłoby to pikantne wprowadzenie do pełnienia oficjalnych obowiązków międzynarodowego konsultanta Związku Rolników. Wasilij powiedział, że ma zapasową parę gumiaków, których możemy po kolei użyć.

Tymczasem Igorowi udało się wreszcie odpalić silnik. Przyciskał gaz do dechy na zmianę na trzecim biegu i na wstecznym, zakopując nas coraz głębiej w fontannie błota. Wtedy Wasilij wpadł na pomysł, żebyśmy wszyscy zabawili się w sardynki i upchnęli z tyłu wozu nad osią napędową, żeby zwiększyć przyczepność. Zadziałało. W chmurach dymu i błota prześlizgnęliśmy się po lepkim jeziorze do krawędzi stałego gruntu.

Przestało padać. Niebo się przejaśniło, a wilgotny wietrzyk zrobił się bardziej rześki. W migoczącym blasku spawarki przeprowadziłem inspekcję gospodarstwa, zapuszczając się na tyle daleko, na ile pozwalały cholewki moich butów. Omijając krowie i świńskie placki, oceniałem placówkę okiem mieszczucha. Dom miał dwa piętra, dwuspadowy dach i był w całości zrobiony z drewna. Wyglądał amerykańsko, tyle że drewno było autentyczne, a nie imitowane przez metalowy siding. Zabudowania gospodarcze miały bardziej irlandzką atmosferę — rozpadające się szopy sklecono ze wszystkiego, co było akurat pod ręką: drewna, cegieł, pustaków, blachy falistej. Spawacze robili właśnie stalową ramę kolejnej szopy z dźwigarów tak mocnych, że nadawałyby się na schron przeciwbombowy.

W zagrodzie zrobionej ze słupków i gałęzi przebierało nogami pół tuzina krów. Dwanaście małych prosiaczków wypadło z obory, zakwiczało, zasapało i wbiegło z powrotem do środka. Podążyliśmy za nimi. W jednym rogu na drewnianej palecie stały stołek do dojenia mleka, metalowe wiadra i bańki, które w Wielkiej Brytanii można dziś zobaczyć tylko w modelach kolejek. W drugim kącie, chroniona przed świniami przez drucianą siatkę, leżała sterta ziemniaków, małych, brązowych i gruzłowatych. Nie było tam wiele więcej do zobaczenia. Przyczepa, coś przypominającego pług i zdezelowana niva. Wszystko wydawało się bardzo prymitywne. To miała być przyszłość rosyjskiego rolnictwa? Bardziej wyglądało to na przeszłość.

Wasilij zaprosił nas do domu. Gdy usiedliśmy wokół kuchennego stołu, przeprosił, że nie czekają na nas z posiłkiem jego żona i córka. Były to kobiety, które widzieliśmy po drodze. Wyjął z lodówki butelkę wódki, ogórek i talerz z peklowanymi ogonami prosiaków, które są smaczniejsze, niż wskazuje na to nazwa, i znacznie smaczniejsze, niż wskazuje na to ich wygląd. Za czasów ZSRR Wasilij był brygadierem w kołchozie. Zarządzał brygadą pięćdziesięciu pracowników, był pewny siebie i miał autorytet, o czym świadczył ton jego głosu. Nawet najbardziej neutralne komentarze zmieniały się w jego ustach w rozkazy.

— Jedzcie! Pijcie! Witajcie!

Przed dwoma laty przejął dwadzieścia hektarów gruntów rolnych i właśnie wynegocjował dzierżawę kolejnych dziesięciu. Dostał związkowy grant na wybudowanie domu, a gospodarstwo dało mu traktor. Zapytałem, czy wziął pożyczkę dla rolników z banku.

— Musiałbym dać trzydzieści procent łapówki dyrektorowi banku! Pożyczanie jest nierozsądne! Udzielanie pożyczek to przestępstwo! Nie tak się robi w Rosji!

Wasilij wziął ładunek sadzeniaków z kołchozu na przedłużenie kredytowe, a potem sprzedał plony na lokalnym rynku z zyskiem tysiąc procent. Wykorzystał te pieniądze, żeby kupić krowy, świnie i więcej sadzeniaków. Ale teraz nie mógł już sobie pozwolić na sprzedawanie ziemniaków na targu. W imię prywatyzacji miejscy urzędnicy wydzierżawili sobie nawzajem koncesje na miejsca na rynku za śmieszne pieniądze, a potem narzucili sprzedawcom niebotyczne czynsze. Na przewiezienie towaru ciężarówką do Moskwy też nie było szans. Hale targowe kontrolowali Czeczeni.

— Pieniądze! Kto ich chce? Ruble? Bzdura!

— Więc jak płacisz za nową szopę?

— Daję świnie i śmietanę do kołchozu! To oni ją dla mnie budują!

Wasilij znalazł się poza systemem walutowym. Zamiast kupować i sprzedawać, stosował handel wymienny, od benzyny po wódkę. To był radziecki *błat*[13] — dyrektorzy przedsiębiorstw wymieniali się między sobą towarami i usługami. Albo stary system kołchoźników pracujących tyle i tyle dni dla kolektywu oraz tyle i tyle dni na własnych działkach. Albo jeszcze starszy system chłopów pańszczyźnianych, zobowiązanych do odpracowania iluś dni u pana i spędzających resztę czasu na prywatnych skrawkach ziemi. Podejrzewałem, że powiązania Wasilija ze starymi towarzyszami z kołchozu są bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać, ale wiedziałem też, że nigdy się tego nie dowiem. Co do naszej misji rozpoznawczej, mogłem być pewien jedynie tego, że Wasilij spadł na jedno z najniższych miejsc na liście potencjalnych dostawców ziemniaków.

Pod pretekstem znalezienia kibelka wyszedłem na zewnątrz w nadziei, że kilka głębokich haustów świeżego powietrza pomoże mi utrzymać świńskie ogonki w żołądku.

Spawacz wciąż pracował, oświetlając podwórze migoczącą niebieską poświatą. Ciemne chmury nad głową przypominały o zapadającym zmierzchu, podczas gdy złote jasne niebo nad odległym lasem zalewało blaskiem wiejski pejzaż. Był w tym widoku jakiś ponadczasowy urok. Na wpół zapomniane opisy rosyjskich krajobrazów u Iwana Turgieniewa, Nikołaja Gogola i Lwa Tołstoja rywalizowały o pierwszeństwo w mojej głowie. Nagle przestałem się czuć jak obcokrajowiec w garniturze i z teczką. Ta ziemia mnie wzywała, a ja byłem na niej gościem. Gdzieś tam kryła się dusza Rosji, a ja chciałem się do niej zbliżyć. Chciałem znaleźć się z dala od budynku i spawarki. Stojąc na tarasie z surowych desek, nagle zauważyłem w błocie kilka kamieni umożliwiających przejście na stały grunt.

Uświadomiłem sobie swój błąd już w pół kroku, co jest bardziej upokarzające, niż gdy człowiek zostaje wzięty z zaskoczenia. Może wasze podejrzenia wzbudziło już sformułowanie „kamienie umożliwiające przejście". Może już zgadliście, co to naprawdę było. Nie jestem pewien, co wzbudziło moje pierwsze wątpliwości. To mógł być ruch pod stopą, chrząknięcie, spiczaste ucho wyłaniające się z błota i gwałtownie stające na baczność, a może lśniące acetylenowe oko. Kiedy rekonstruuję w pamięci tę scenę, a staram się to robić tak rzadko, jak to tylko możliwe, przypomina mi się James Bond przeskakujący po grzbietach krokodyli. Tyle że krokodyle różnią się od świń. Ich skóra jest gruzłowata, a nie śliska. Pływają płasko i nie wierzgają jak konie na rodeo.

W tej właśnie chwili na dwór wyszła Natasza i zobaczyła, co wyprawiam. Zafundowałem jej pierwszy pokaz sportu zwanego świńskim surfingiem. Przez jeden radosny moment rzeczywiście sunąłem po błocie. Niestety, okazało się, że surfing na świni idzie mi równie kiepsko jak ten na desce, więc rezultat mógł być tylko jeden.

Wszyscy byli bardzo mili. Po tym, jak polano mnie wodą z gumowego węża, żeby pozbyć

się najgorszej warstwy błota, wszedłem do środka, aby wziąć gorący prysznic. Wasilij pożyczył mi bieliznę, roboczą koszulę, drelichy i gumowe buty. Wszyscy klaskali, kiedy wróciłem do kuchni.

— O! Kołchoźnik! Witamy w Rosji!

Wyjechaliśmy, zanim kobiety wróciły, by podać nam obiad. Wpakowaliśmy się do minibusu i znowu usiedliśmy nad osią napędową, aby prześlizgnąć się przez podwórze. W drodze powrotnej raz jeszcze minęliśmy dwie zgarbione postacie, pochylające się nad ziemniakami w gęstniejącym zmierzchu. Nie było już śladu po Iwanie, robotniku wysokościowym, więc króliki pasły się bezkarnie przy poboczu. Moja rosyjska koszula drapała jak diabli.

ROZDZIAŁ 8

Kawior dla wybrednych

Misza wrócił do etatowej pracy w Rzymie i z typową dla Rosjan gościnnością użyczył mi swojego mieszkania w Moskwie. Znajdowało się około piętnastu minut spacerem od zielonej linii metra. Trasa prowadziła przez uliczny targ, park, obok kina i przez osiedle ceglanych bloków mieszkalnych. To była porządna dzielnica zamieszkiwana przez ludzi z klasy średniej, urzędników państwowych, nauczycieli akademickich i specjalistów z różnych dziedzin. W hierarchii znajdowała się tylko kilka szczebli poniżej luksusowych osiedli na nabrzeżu i szczytach wzgórz zajmowanych przez przedstawicieli nomenklatury i nowobogackich.

Wejście na parterze miało domofon, od dawna zepsuty, oraz zamek otwierany za pomocą klawiatury numerycznej kodem 1812. Klatka schodowa była brudna i kiepsko oświetlona. Sprzątaniem i konserwacją zajmował się ten, kto nie mógł już dłużej znieść danej awarii. Kiedyś przez trzy dni żyliśmy bez żarówki, wymacując drogę w ciemnościach i zapalając zapałki, żeby zobaczyć dziurkę od klucza. Mój sąsiad Aleksiej złamał się wtedy pierwszy. Okna na połowie pięter były porozbijane i zasłonięte jutowymi workami, żeby ptaki nie dostawały się do środka. Nadgryzionym zębem czasu kamiennym schodom brakowało fragmentów pośrodku stopni, więc kiedy się po nich schodziło, wskazane było trzymanie się ściany. Dominował fetor kociej kupy, jako że właściciele trzymali kuwety przed drzwiami. Na klatce unosiły się też inne zapachy: pleśniejący beton, woń kolacji i oczywiście kapusta — albo może kanalizacja, łatwo to pomylić.

W Wielkiej Brytanii, jeśli kupisz własne mieszkanie, zastępujesz typowe drzwi ze sklejki nabijanym gwoździami mahoniem osadzonym w ramie z kutego żelaza. Rosyjskim odpowiednikiem są kuloodporne stalowe drzwi ze wzmocnionymi zawiasami i szeregiem zamków. Wprawdzie drzwi Miszy były pokryte plastikową imitacją skóry, ale inne w bloku świeciły surową stalą. Były masywne, prymitywnie zespawane i poplamione śladami po palniku do cięcia metalu, ale za to z interesującą, mieniącą się patyną.

Rosjanie tłumili okrzyki zdziwienia, kiedy zapraszałem ich do siebie po raz pierwszy. Chociaż próbowali tego nie okazać, czuli się onieśmieleni. Z ponurymi minami, co jest przejawem grzeczności przed pierwszym drinkiem, siedzieli obuci w kapcie na białej skórzanej sofie i dyskretnie lustrowali otoczenie.

Standardowe rosyjskie mieszkania były ciemne, małe i przypominały więzienne klitki. Kuchnie o ścianach wyłożonych białymi kafelkami albo pomalowanych klejówką przypominały te angielskie z lat czterdziestych. Czasami był tam stolik, przy którym mogły coś zjeść dwie albo trzy osoby. Od przedpokoju odchodziły jedna lub dwie małe sypialnie i salon zagracony meblami, z gramofonem, telewizorem, a obecnie i komputerem. Główną różnicę pomiędzy rosyjskimi a brytyjskimi domami stanowiły regały na książki, które w Rosji zajmowały ściany od podłogi aż po sufit we wszystkich pokojach i przedpokojach. Każda powierzchnia była pokryta

bibelotami, ozdóbkami i pamiątkami stojącymi na podkładkach i papierowych serwetkach powycinanych w koronkowe wzory. Lokale były zapchane, podobnie jak te zamieszkiwane przez rodziców, którzy sprzedali duży dom, po tym jak ich dzieci wyfrunęły z gniazda, ale nie potrafili znieść myśli o pozbyciu się zbieranych przez dziesięciolecia gratów. W zimowy wieczór w burzy śnieżnej przy minus dwudziestu stopniach jest im cudownie i przytulnie, lecz ja zawsze czuję się w takich miejscach, jakbym odwiedzał babcię.

Misza pozbył się tego wszystkiego. Wyburzył ścianki działowe i zrobił otwarty salon z kącikiem jadalnym na podwyższeniu i przypominającą kambuz kuchnią za przepierzeniem. Drzwi do sypialni, łazienki i toalety prowadziły prosto z salonu. Jakby mało było udogodnień, pralka i suszarka zabudowane były pod sufitem, a dostęp do nich umożliwiała poręczna składana drabinka. Funkcję przedpokoju pełniła niewielka nisza, wystarczająco duża, żeby dwie osoby mogły zdjąć tam buty.

Jeśli układ nie był dość rewolucyjny, umeblowanie zapierało dech w piersiach. Przynajmniej w rosyjskich. Biała skórzana sofa i fotele. Stół jadalny z blatem z dymnego szkła i ze złotymi nóżkami, a do tego pasujące krzesła z czerwoną tapicerką. Kryształowy żyrandol. Oświetlenie punktowe. Włoska lampa z przełącznikiem nożnym, która wywoływała okrzyki zdumienia. Łóżko w postaci ogromnego materaca leżącego wprost na platformie pokrytej wykładziną. Pościel w kolorze granatowym. Ściany i drzwi szaf robionych na wymiar pokryte lustrami. Ściana obok łóżka całkowicie wytapetowana górską leśną scenerią — w porannym słońcu człowiek czuł się jak na balkonie domku w stylu alpejskim, skąpanego w świetle i lodowym blasku, podczas gdy nocą zielonkawożółte latarnie uliczne opromieniały ścianę, zamieniając ją w świecący w ciemnościach las po awarii w Czarnobylu.

— Twój przyjaciel ma znajomości. Bądź ostrożny — powiedział Flor z wydziału badań.

— Widzisz, jaki Rosjanie potrafią mieć gust, kiedy mają taką okazję? — skwitował Afanazy.

Kobiety były pod jeszcze większym wrażeniem niż mężczyźni.

— To jest takie międzynarodowe... takie eleganckie... takie wyrafinowane — zachwycała się Natasza, głaszcząc nylonową wykładzinę na ścianach.

— Czy twoje mieszkanie w Londynie też tak wygląda? — zapytała Olga.

— Och tak, poza tym mam dywan na suficie i przezroczysty fotel z żywą rybą w środku.

Z kuchni nie korzystałem za często. Moi rosyjscy przyjaciele byli wyjątkowo gościnni. Jeśli musiałem zrobić zakupy, szedłem na lokalny targ po świeże warzywa i owoce, z których wiele było uprawianych na działkach lub daczach sprzedawców i miało rozsądną cenę. Duże hale targowe zdominowali mieszkańcy Kaukazu, którzy importowali produkty z południa. Ich towary były drogie, poza zasięgiem ludzi żyjących z normalnych pensji. Najlepsze pieczywo znalazłem w państwowej piekarni, gdzie stało się w kolejce do okienka po prostokątne bochenki pysznego czarnego chleba, który w rzeczywistości jest brązowy, ma wspaniały zapach i orzechowy posmak. Po resztę produktów zazwyczaj chodziłem do supermarketu Irish House. Niedzielne śniadania spędzałem przy irlandzkim boczku i audycjach BBC World Service niczym prawdziwy ekspatriant.

Z poczucia winy, a jednocześnie ze skąpstwa czasami wyruszałem na zakupy do rosyjskich sklepów, *gastronomów* i *produktów*, po takie specjały, jak kwaśna śmietana czy wędzona ryba, oraz po mniej urocze rzeczy, jak szprotki w sosie pomidorowym w puszkach zwanych nieoznakowanymi grobami, zawierających obrzydliwą mieszaninę oczu i ości, od której uzależniłem się w zastanawiający sposób. Ale to był taki kłopot, stać w kolejce trzy razy. Najpierw do lady, żeby usłyszeć cenę od gburowatej sklepowej, potem do kasy, powtarzając w pamięci kwotę, żeby zapłacić, a potem znowu w kolejce do lady z rachunkiem, żeby odebrać

zakupy.

Robiłem, co mogłem, by żyć na poziomie tak wyrafinowanym, jak to sugerowało moje mieszkanie. W hali targowej obok moskiewskiego cyrku kupiłem półkilowy słoik kawioru, wart około pięciu dolarów. Bardzo drogi według rosyjskich standardów, ale zawsze kupowałem tylko najlepszy kawior z bieługi. Należało uważać, żeby nie naciąć się na podróbkę, na szczęście Misza przedstawił mnie handlarzowi, któremu ufał. W sklepie obok stadionu Dynama dorwałem tuzin skrzynek wina Chablis, rocznik 1982, po skandalicznie wysokiej dla obcokrajowców cenie — wychodziło po dolarze za butelkę. W innym sklepie znalazłem dwanaście pudełek cygar Romeo y Julieta, po trzy dolce za opakowanie. Po ciężkim dniu w ziemniaczanym biznesie mogłem się zrelaksować w wielkim stylu. Był to awans społeczny w porównaniu z moją zwyczajową *happy hour* w postaci pinty lagera, *Hamleta* i paczki skwarek.

Odkryłem, że kawior najlepiej smakuje z czarnym chlebem, ale kilka łyżek na makaronie *tagliatelle* też nie zaszkodzi. Przysmak sprawdzał się także z odrobiną śmietany i zadziwiająco dobrze pasował do sadzonego jajka. Za to kompletnie nie nadawał się do fasoli w sosie pomidorowym. Wszystko robiło się za słone.

Wywożenie kawioru z Rosji było nielegalne, chyba że kupiło się go w specjalnym sklepie na lotnisku i po specjalnej cenie. Przy wyjeździe bagaże były prześwietlane w poszukiwaniu małych okrągłych puszeczek. Obchodziło się te przepisy, przelewając kawior do torebek śniadaniowych i rozpłaszczając je pomiędzy koszulami. Kawior dobrze się zamraża, więc nieźle zaopatrzyliśmy lodówkę, tracąc tylko jeden ładunek, który wylądował w pralni Sunlight Shirt w Camberwell. Niestety, wszystko co dobre...

Z czasem przepisy dotyczące handlu kawiorem jeszcze się zaostrzyły i trzeba było zapłacić pięć dolców za jedną małą niebieską puszeczkę. Przyzwoite wino trafiało tylko do nowych ekskluzywnych restauracji, a jakiś bardziej wizjonerski przedsiębiorca niż ja zagarnął cały moskiewski zapas ekskluzywnych cygar, którego nie dało się już uzupełnić z powodu zaprzestania wymiany barterowej z Kubą.

Po raz pierwszy spróbowałem rosyjskiego kawioru w epoce zastoju[14]. Byliśmy na zorganizowanej wycieczce do Moskwy i Petersburga, a właściwie Leningradu, jak się wtedy nazywało to miasto, w samym środku zimy. Handlarze czatowali pod naszym hotelem. W tamtych czasach było to ryzykowne, chyba że mieli koneksje i płacili milicji procent od utargu. Ryzykowali również ich klienci. Krążyły historie o obywatelach Zachodu aresztowanych za wymienianie pieniędzy czy sprzedawanie dżinsów. Wszędzie zdawały się czekać na mnie pułapki, ale patrząc na szczerą twarz i ujmujący uśmiech Jurija, trudno było uwierzyć, że może pracować dla KGB. Wyszedłem z hotelu i przeciąłem spacerkiem ulicę, by popatrzeć na zamarzniętą Newę. Stanął obok mnie. Zignorowałem go. Gapił się na lód jak turysta, a nie kombinator.

— Skąd jesteś? — zapytał.

— Nie mam dolarów ani dżinsów.

— To jesteś w kiepskiej sytuacji. Ja mam i dolary, i dżinsy. A kawior masz?

— Nie, kawioru też nie mam.

Postawił słoik po dżemie na szczycie murku przede mną. Jego zawartość wyglądała jak czarny i lepki dżem z jeżyn i ze śliwek, który robiła moja mama. Słoiczek był uszczelniony krążkiem pergaminu i gumką recepturką.

— Kawior — powiedział — dla *the general.*

— Nie jestem generałem.

— Słowo *general* może też przecież oznaczać ogół, szeroki krąg odbiorców, a nie tylko stopień wojskowy. To z Szekspira. *Hamlet*, jeśli się nie mylę.

— Jesteś Rosjaninem. Skąd znasz Szekspira?

— Wszyscy Rosjanie znają Szekspira. I Robbiego Burnsa. I Jacka Londona. Byłem w specjalnej angielskiej szkole. A to jest prawdziwa bieługa. Kawior dla wybrednych.

— Powiedziałem, że nie mam dolarów ani dżinsów.

— Wy, ludzie z Zachodu, jesteście takimi materialistami. Wasza cywilizacja się zawali. To prezent od Jurija. Spróbuj.

Zdjął recepturkę oraz krążek papieru i wyjął drewnianą łyżkę z tubki po lodach. Oczyścił ją o skorupę zmarzniętego śniegu pokrywającego murek i podał mi.

— Częstuj się.

Jadłem już wcześniej kawior, w Iranie, ale łyżeczką do mokki. Nabrałem całą drewnianą łyżkę i oblizałem ją. To był prawdziwy kawior. Było też prawdą, że Jurij nie chciał dolarów ani dżinsów. Chciał moje gacie.

— Widziałeś rosyjską bieliznę? — zapytał.

— Nie miałem tej przyjemności.

— Gruba, czarna, workowata. Gryząca, dopóki nie upierzesz jej z dziesięć razy. Tylko dzieciaki pragną tutaj dżinsów. Dorośli faceci idą po południu do swoich dziewczyn i chcą paradować w prawdziwych slipach. Wolsey, tak?

— A może Marks & Spencer?

Przez jedzenie kawioru łyżeczką deserową do każdego posiłku cierpiałem na zaparcie całe dwa tygodnie. Na szczęście i tak nigdzie nie mogłem się wybrać, bo miałem tylko jedną parę czarnych workowatych gaci, które Jurij dorzucił mi do transakcji. Musiałem je prać każdego wieczoru, ale nie przeszkadzało mi to, bo kaloryfery były bardzo gorące.

Frontowe drzwi budynku Miszy wychodziły na podwórze. W zimie placyk był niemal opuszczony, pomijając jakąś opatuloną postać pędzącą do domu, kierowcę zdrapującego szron z szyb czy kilku właścicieli psów wałęsających się wokół żółtych plam na śniegu. W okolicy królowały owczarki niemieckie, dobermany i skundlone psy stróżujące, druga linia obrony po stalowych drzwiach, ale trafiały się też pieski salonowe, pudle, chihuahua, jamniki i kudłate mieszańce, wszystkie piękne dla właścicielek, lecz będące obciachem dla mężczyzn na drugim końcu delikatnych smyczy, którzy musieli je wyprowadzać.

Kiedy było wystarczająco ciepło, kobiety w chustach na głowach siadały na ławkach przed blokiem, żeby plotkować i obserwować przechodniów. Mężczyźni majstrowali przy rozpadających się samochodach. Dzieci bawiły się na huśtawkach i zjeżdżalniach w zagródce wysypanej piaskiem. Z jednej strony podwórza stały garaże, gdzie podejrzani młodzi mężczyźni w czarnych skórzanych kurtkach i dżinsach ładowali i rozładowywali worki i pudła z nieoznakowanych furgonetek. Gdy podeszło się za blisko, mierzyli człowieka groźnym spojrzeniem.

Pomijając Aleksieja, starszego mężczyznę notorycznie ubranego w trzyczęściowy ciemny garnitur oraz haftowane syberyjskie skarpety, z którym dzieliłem piętro, nie rozmawiałem z nikim. Reszta mieszkańców mijała się, ledwo burcząc powitania. Podobno takie nastawienie do innych — brak interakcji, kontaktu wzrokowego, milczenie — to dziedzictwo czasów radzieckich, kiedy nie ufano obcym. Byłem ignorowany, nigdy mnie nie witano i nie zatrzymywano, a jednak musiałem rzucać się w oczy.

Stopniowo zacząłem się mniej wyróżniać. Nie miało to nic wspólnego z cechami fizycznymi. Moskwa była stolicą imperialną i ulice wciąż roiły się od egzotycznych fizjonomii: wysokich Mongołów o płaskich twarzach, Tatarów o lekko skośnych oczach, ciemnolicych mieszkańców Kaukazu, obywateli pochodzenia germańskiego, latynoskiego, bałkańskiego, fińskiego, uzbeckiego, kirgiskiego, chińskiego i japońskiego.

Moim pierwszym krokiem było kupienie czapki. Tylko ludzie z Zachodu chodzili w zimne dni po ulicach z gołą głową. Kupiłem sobie narciarską czapę pomocnika Świętego Mikołaja z długim pomponem i wzorkiem w śnieżynki, żeby nosić ją do długiej, szarej, watowanej kurtki. Kluczem do anonimowości były nie tyle ubrania, ile postawa. Rozwinąłem moskiewski mozolny chód, z plastikowymi torbami w każdej dłoni, ze zwieszoną głową, bez rozglądania się ani na prawo, ani na lewo. Odniosłem sukces, w chwili gdy ludzie zaczęli mnie pytać o drogę.

Jedyną osobą w okolicy, która mnie pozdrawiała, był Jefrem, *bomż* — czyli bezdomny — który koczował w klitce pod schodami prowadzącymi do sutereny budynku obok mojego. Był dobrze po czterdziestce i wszystko w nim liniało — potargane włosy, broda, szalik, futrzana czapa i palto, a nawet obrzydliwe buty. Paciorkowate czarne oczy i nos jak truskawka wyglądały znad kołnierza. Nasze stowarzyszenie mieszkańców płaciło mu psie pieniądze za zamalowywanie graffiti na osiedlu. Tuzin budynków mieszkalnych i cztery podwórza, więc roboty miał mnóstwo. Graffiti stanowiło nowe zjawisko, skutek uboczny *głasnosti*, która wyzwoliła artystyczną ekspresję. Rosjanie nie tylko przejęli z Zachodu sztukę bazgrania po murach, lecz także połowę rzeczy wymalowywali po angielsku.

Praca Jefrema gwarantowała mu szeroki zasób słownictwa, który trenował na mnie. Czaił się pod schodami, a kiedy widział mnie pędzącego rano przez osiedle i z mozołem brnącego z powrotem do domu wieczorem, wyskakiwał z cienia, żeby się przywitać.

— *Can't buy me love.*

— Witaj, Jefremie.

— *Fook Livairpool.*

— Święte słowa, Jefremie.

— *Make lyorve and vore.*

— Postaram się.

To było jak audiobook z graffiti dla niewidomych. Dlaczego recytował mi te frazy? Częściowo dlatego, żeby ćwiczyć wymowę, choć szybko zrezygnowałem z poprawiania go, bo w kółko robił te same błędy. Częściowo z gościnności, abym poczuł się jak w domu. A poniekąd pewnie dlatego, że był pijany albo stuknięty. Albo i to, i to.

Według przybliżonych szacunków w Moskwie żyje około pięćdziesięciu tysięcy *bomżów*. W całej Rosji są ich aż cztery miliony. *Bomż* to akronim od urzędowego określenia osoby bezdomnej, nigdzie niezameldowanej, czyli „bez określonego miejsca zamieszkania"[15]. W języku angielskim sformułowanie *of no fixed abode* oznacza po prostu, że nie masz stałego adresu. W rosyjskim znaczy to dużo więcej. Każdy Rosjanin powyżej czternastego roku życia musi mieć tzw. wewnętrzny paszport, ekwiwalent dowodu osobistego, w którym wpisane są takie informacje, jak: nazwisko, data i miejsce urodzenia, stosunek do służby wojskowej, stan cywilny oraz imiona dzieci poniżej czternastego roku życia. W takich paszportach znajduje się też obowiązek meldunkowy, nazywany *propiską*. *Propiska* upoważnia właściciela do korzystania ze szkolnictwa, służby zdrowia i z pomocy opieki społecznej. W 1991 roku decyzją Komitetu Kontroli Konstytucyjności Prawa *propiskę* zniesiono, ale mer Moskwy, Łużkow, zadeklarował, że będzie to ignorował.

Ekonomicznym imigrantom, uchodźcom i innym outsiderom bardzo trudno jest zdobyć *propiskę*, zwłaszcza jeśli nie stać ich na wymagane opłaty i łapówki. A tracisz ją, gdy odbierają ci mieszkanie, przeprowadzasz się do innego miasta albo idziesz do więzienia. Wskutek repatriacji z byłych republik radzieckich oraz wojny na Kaukazie setki tysięcy wewnętrznych uchodźców straciły prawo do pracy i stałego pobytu. Kiedy już człowiek raz stanie się *bomżem*, bardzo trudno jest przestać nim być. *Bomż* nie ma ani domu, ani prawa do niego, ani dostępu do

schronisk czy hosteli. W Moskwie i innych miejscach nagina się przepisy, udzielając schronienia w zimie tym, którzy w jakichś okolicznościach stracili *propiskę*, lecz już nie tym, którzy nigdy nie byli do niej uprawnieni. Kilka organizacji charytatywnych próbuje im pomóc, ale ogólnie mówiąc, *bomży* są prześladowani i pogardzani. Mniejsze miasta, jak Włodzimierz, rozwiązały problem *bomżów*, robiąc na nich obławę i wywożąc wszystkich na miejskie wysypisko śmieci. Był to akt zarówno symboliczny, jak i praktyczny. Jefrem miał szczęście. Był *bomżem*, ale naszym. Miał miejsce do spania i środki do przeżycia.

ROZDZIAŁ 9

Nie znajdzie pan takiego ziemniaka w całej Rosji

Podstawą naszego projektu było założenie, że nie będziemy mieć problemu z dostawami surowców w kraju, gdzie produkuje się tak dużo ziemniaków. Rosjanie jedzą niemal dwadzieścia milionów ton ziemniaków rocznie.

Musztardowy Flor z wydziału badań przedstawił mnie Bazylowi Juriewiczowi, prezesowi Russian Potatoes. Jego biuro mieściło się w Ministerstwie Rolnictwa. Wcześniej był szefem Soviet Potato Board, dopóki nie zmieniono tej jednostki w niezależną firmę i nie przeszła ona w ręce producentów i centrów badawczych. Teraz znowu, jak za dawnych czasów, zajmował się przede wszystkim zestawianiem i segregowaniem raportów, które zalewały jego zaniedbane mieszkanie. Wciąż nosił też gruby szaro-niebieski garnitur, palił papierosy Drużba i miał zdjęcie Lenina na ścianie za biurkiem.

Wyłuszczyłem mu nasz plan. Powiedział, że osobiście zdobędzie dla mnie tyle ziemniaków, ile tylko będę chciał. W Rosji jest ponad sto osiemdziesiąt odmian, więc któraś z pewnością będzie dla nas idealna. Deklamował ich nazwy jak poezję: Ariadna, Kalinka, Tałowskij, Arganiok. Wymienialiśmy uśmiechy nad szklankami z herbatą, już upajając się obopólnymi zyskami i sukcesem. W końcu podałem mu kolorowe zdjęcie przedstawiające ziemniaka z Jackets, idealną odmianę Estima z gładką lśniącą skórką, otwartego jak kwiat i stanowiącego kołyskę dla smakowitego sosu z mielonego mięsa, czerwonej papryki i fasoli. Wziął fotografię w obie ręce i kontemplował to cudo w milczeniu przerywanym jedynie syczeniem jego papierosa.

— Nie znajdzie pan takiego ziemniaka w całej Rosji — oświadczył w końcu.

— Ale ja takie widziałem. Na targu. Śliczne egzemplarze.

— Są z Węgier.

McDonald’s tak dobrze radził sobie w Rosji, że pomagał rolnikom i inwestował w gospodarstwa. Podejrzewałem, że dysponują nadmiarem ziemniaków, którego z przyjemnością pozbędą się za dopłatą do ceny podstawowej. Postanowiłem spotkać się z Dave’em, kierownikiem technicznym McDonalda, bardzo uprzejmym i pomocnym gościem, w ośrodku produkcyjnym w Sołncewie.

Wziąłem ze sobą Pietię, syna Olgi. Był w głębokim szoku, gdy zobaczył, że musimy nosić białe kitle i siatki na włosy. Ostrzegł mnie, że jeśli będę chciał zatrudnić jego albo jego przyjaciół w Jackets, nigdy nie zgodzą się na zakładanie siatek. Byli Rosjanami. Byli mężczyznami. Uspokoił się, kiedy powiedziałem, że mogliby nosić czapki baseballowe.

Wyłożyłem sprawę Dave’owi. Kupowalibyśmy największe i najlepsze ziemniaki od McDonalda za dowolną wielokrotność ceny rynkowej. To będzie malutki ułamek tego, co zużywają do produkcji frytek. Dave zaproponował swój układ. Kupi wszystkie ziemniaki, które wyprodukujemy i których nie zużyjemy, po dowolnej wielokrotności ceny rynkowej. To było przerażające. Okazało się, że nawet McDonald’s nie daje rady. Co nam pozostało?

W poszukiwaniu nadającego się do pieczenia ziemniaka pojechaliśmy z Nataszą osiemdziesiąt kilometrów na północ od Moskwy, do miasta Dmitrów. Zabraliśmy się jej starą nivą, kanciastym autem z napędem na cztery koła. W Rosji taki napęd rzeczywiście jest przydatny. Jazda terenowa nie kończy się na parkingu przed supermarketem czy na żwirowanym podjeździe. Kiedy już opuścisz centrum miasta albo zjedziesz z autostrady, czekają na ciebie śnieg, błoto, korzenie i wyboje. Niva nie była wygodna, ale za to silnik odpalał przy siarczystych mrozach, a auto miało taki prześwit, że wyglądało, jakby cały czas stało na lewarku.

Wyruszyliśmy po śniadaniu, pewnego pięknego późnojesiennego poranka. Droga przecinała kanał im. Moskwy. Sunęliśmy przez trawiasty pofałdowany wiejski krajobraz, mijając brzozowe lasy i chatki jak z piernika. Natasza miała na sobie miejski pastisz kostiumu wieśniaczki — delikatne buty za kostkę, białą bluzkę z falbankami i powłóczystą spódnicę o kwiatowym wzorze, którą w trakcie jazdy podciągnęła aż na uda, żeby móc prowadzić. Zaaranżowaliśmy wizytę u Lawrentego Mikołajewicza, który uprawiał ziemniaki w gospodarstwie wielkości stu akrów. Planowaliśmy kupić dla niego najwyższej jakości sadzeniaki z Holandii, w zamian za co on dałby nam prawo pierwokupu zbiorów. Chroniłoby go to przed gwałtownymi załamaniami cen, podczas gdy my moglibyśmy oprzeć biznesplan na mocnych fundamentach.

Dotarliśmy do Dmitrowa przed południem i udaliśmy się do Hotelu Turysty, gdzie mieliśmy umówione spotkanie z Lawrentym. Sądząc po standardzie wystroju i stanie toalet, placówka adresowała swoją ofertę do ludzi z małymi wymaganiami co do wakacji. Lawrenty był mniej więcej w moim wieku i równie wychudzony, jak ja jestem pulchny. Wszystkie jego rysy — nos, broda, uszy, palce — były pociągłe i spiczaste. Próbując odgadnąć jego zawód, powiedzielibyście, że to właściciel zakładu pogrzebowego albo malarz ikon, ale z pewnością nie jowialny rolnik.

Związek ufundował nam lunch w ponurej poradzieckiej sali restauracyjnej. Byłem już przyzwyczajony do jedzenia tych samych rzeczy o każdej porze dnia i nocy — mnóstwo sałatek i przystawek, mięsa i ziemniaków, budyń, ciasto i herbata, a wszystko to popijane wódką, winem, piwem i rozwodnionym kompotem. Doceniłem więc wyżerkę o godzinie, o której w domu cieszyłbym się filiżanką herbaty i ciasteczkami owsianymi. Ale nie moi towarzysze. Jadłem za troje. Natasza skubała swoją porcję, podczas gdy Lawrenty tylko grzebał w talerzu.

— Biała śmierć — skomentował, podając mi sól.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego wygląda tak, jakby przymierał głodem. Miał hopla na punkcie diet. Zrobił nam wykład na temat soli, cukru, czerwonego mięsa, białej mąki, drożdży, octu, jajek, zielonych warzyw, warzyw korzeniowych, owoców, do wyboru do koloru. I ten człowiek był rolnikiem... Wszystko, co hodował, uważał za zagrożenie dla ludzkości. Znałem ludzi konstruujących bomby kasetowe, którzy bardziej kochali swoją pracę. Kiedy wstaliśmy od stołu, czułem się jak worek toksycznych odpadów. Po drodze do wyjścia powiedział kierownikowi coś, co nabrało sensu dopiero później: „Proszę, może pan już z powrotem włączyć muzykę”.

Następną katorgą była wycieczka po mieście przed lunchem. Na szczęście nie było tam zbyt wiele do oglądania. Historyczne centrum stanowił kreml, czyli forteca. Mur i fosa otaczały dwie ładne katedry z cebulastymi kopułami. Kopuły lśniły czernią, a mury były oślepiająco białe. Wyglądało to stylowo na tle błękitnego nieba. W pobliżu znajdowała się tablica upamiętniająca miejsce, w którym Wehrmacht dotarł najbliżej Moskwy.

Potem pojechaliśmy za Lawrentym na wieś. Żywopłoty, lasy, upstrzone kwiatami pola i stawy z kaczkami były jak sielskie wspomnienie angielskiej wsi, zanim system wspólnej polityki rolnej nie odarł jej z zieleni i nie zamienił w pola żółci kadmowej. Skręciliśmy w wyłożoną

balami drogę na terenie podmokłym, a w końcu zatrzymaliśmy się przed nowym przestronnym drewnianym domem z szeroką werandą i ornamentami wokół okapu.

Żona Lawrentego, Irena, wyszła nam na powitanie — piersiasta, obsypana piegami, ruda, w chustce na głowie i w fartuchu, z policzkami rumianymi jak jabłuszka, muskularnymi ramionami, mięsistymi dłońmi i nogami jak pnie. Jej zawodu nie trzeba było odgadywać — „żona rolnika" od razu przychodziło na myśl. Była młodsza od męża i najwyraźniej nieczuła na jego dietetyczne wykłady. W jej obecności Lawrenty rozpromienił się, jakby czerpał z jej energii i radosnego usposobienia. Zaprosiła nas do środka, ale zapytałem, czy najpierw moglibyśmy zrobić obchód po gospodarstwie. Dzięki temu wyglądałem na bardziej profesjonalnego, a poza tym chciałem mieć to szybko z głowy.

W porównaniu z innymi gospodarstwami, które oglądałem, to z pewnością było dobrze wyposażone. Lawrenty miał pikapa, traktor i sprzęty do kopania, skrobania oraz przesuwania różnych rzeczy i ładowania jednych na drugie. Objaśniał nam, co to jest, ale jako że nie znam tych nazw nawet po angielsku, nie mówiąc już o rosyjskim, nie zmądrzałem ani o jotę. Wśród zabudowań gospodarczych znajdowała się specjalnie skonstruowana szopa na ziemniaki. Stała pusta. Akurat o tym coś wiedziałem. Przeglądałem techniczne broszurki Idaho Potato Board na ten temat, więc przybrałem poważną minę i zacząłem zadawać inteligentne pytania dotyczące pojemności, cyrkulacji powietrza, wentylacji i zabezpieczenia przed wilgocią. Lawrenty sfinansował szopę za pomocą grantów ze związku, co było dowodem na to, że pieniądze rzeczywiście docierały z budżetu państwa tam, gdzie były potrzebne.

Zapytałem, czy możemy obejrzeć pola. Ruszyliśmy spacerkiem po trawiastej ścieżce, aż dotarliśmy na ładną łąkę z trzech stron otoczoną lasem. Zamaszystym teatralnym gestem Lawrenty zaprezentował nam swoją plantację ziemniaków. Była zarośnięta polnymi kwiatami i tętniła życiem. Latało nad nią pełno pszczół i ostatnich w sezonie motyli. Natasza postanowiła wykorzystać to, że ma taki strój, i zaczęła snuć się po łące, zbierając kwiaty i odrzucając przez ramię potargane włosy. To było słodkie, ale jednocześnie niepokojące. Na tyle znałem się na rolnictwie, żeby wiedzieć, że dzika przyroda musi zostać wytrzebiona, zanim na polu będzie można coś zasadzić. Zarzuciłem Lawrentego dociekliwymi pytaniami na temat środków chwastobójczych i owadobójczych. Odpowiadał wymijająco i wyglądał na zażenowanego. Związkowe granty i pożyczki nie pokrywały tych podstawowych specyfików, które były drogie i na dodatek stanowiły towar deficytowy.

Marszcząc brwi niczym prawdziwy ekspert, zadałem kluczowe pytanie:

— Gdzie jest system nawadniania?

Lawrenty wziął mnie za ramię i zaprowadził do betonowego sklepionego kanału, który biegł przy drodze, wzdłuż pola.

— Ten kanał nigdy nie wysycha. Wypływa z rzeki.

— A jak woda dostaje się z rowu na pole?

— Za pomocą pompy.

— Możemy ją zobaczyć?

— To podwodna pompa.

— Mimo wszystko chciałbym ją zobaczyć.

Obdarzył mnie smętnym półuśmiechem, jaki czasami widywałem i często sam przybierałem w trakcie partii pokera, kiedy to gracz pasuje i rezygnuje z dalszej gry. Bez słowa poprowadził mnie do kwadratowego dołu pełnego wody, zasilanego przez strumień. Wystawały z niego rury z zaworami potrzebnymi do podłączenia rozpylaczy. Zajrzałem do zbiornika.

— Gdzie jest pompa, Lawrenty?

On też zajrzał do dołu. Wyglądał na zakłopotanego, jak człowiek kontemplujący puste

miejsce parkingowe, gdzie po jego samochodzie pozostało tylko kilka odłamków szkła z bocznej szyby. Westchnął.

— Wiem. Władze samorządowe nie dadzą mi pozwolenia. Woda idzie do gospodarstwa rybackiego Andrieja.

— Czy nie powinna trafiać najpierw do ciebie?

— Andriej jest wiceburmistrzem. Co mogę zrobić?

My, mężczyźni, ruszyliśmy z powrotem do domu przygaszeni. Natasza pląsała po łące obojętna na czarne chmury, które kłębiły się nad naszymi głowami. Bez środków chwastobójczych, nawozu i systemu nawadniania Lawrenty nie miał szans na wyhodowanie nadających się do pieczenia ziemniaków. Plotłem bez ładu i składu, jak ładne ma gospodarstwo i jak świetnie sobie radzi, ale obaj wiedzieliśmy, że jego niewyrośnięte, zżerane przez insekty plony będą się nadawały tylko na uliczne targi.

Kolejny test dyplomacji przeszliśmy w domu. Irena zapędziła nas do kuchni jak kurczaki na grzędę. Na stole czekał posiłek złożony z siedemnastu dań. Większość produktów pochodziła z lasu, pól i kuchennego ogrodu, który uprawiała ze zdecydowanie większym sukcesem niż jej mąż resztę gospodarstwa. Dzikie grzyby, jagody i korzenie, warzywa i zioła, królik i gołąb z lasu oraz drób z kurnika, wędzony w domu okoń z rzeki, przepyszne paszteciki z ciasta lekkiego jak beza z kremowym chrzanem i cierpką śmietaną (wymawiało się to *smietána* — nie mylić, jak to często robiłem, z zupełnie inaczej akcentowanym kompozytorem Smétaną). Do picia były zwyczajowy rozwodniony kompot oraz aromatyczna kminkówka, którą sąsiad Lawrentego nielegalnie destylował z jego ziemniaków.

— Żadnej soli, żadnych chemikaliów — pochwalił Lawrenty, gdy usiedliśmy, ale nawet to nie skłoniło go do zjedzenia czegokolwiek innego poza gotowanym kartoflem.

Zacząłem wcinać z ciężarem na sercu równym temu, jaki czułem w żołądku. Tylko częściowo wynikało to z tego, że zjadłem obfity posiłek zaledwie dwie godziny wcześniej. To był uroczysty obiad na cześć naszej współpracy, od której zależały losy tego gospodarstwa, planowany na kilka dni z wyprzedzeniem. Kiedy wznosiliśmy toast za przyszłość i kooperację, nie potrafiłem spojrzeć Lawrentemu w oczy. Irena nic nie zauważyła. Nakładała mi jedzenie na talerz i opowiadała, jakie wspaniałe rzeczy Rosjanie i Brytyjczycy potrafią razem osiągać, gdy bardzo chcą. Komplementowałem jej pracę w gospodarstwie oraz talent kulinarny, mówiłem o tym, że rolnicy tacy jak oni są pionierami w odradzaniu się wolnej Rosji, bla bla bla — pamiętajcie, że to była już moja druga runda picia wódki tego dnia, a jeszcze nawet nie nadeszła pora podwieczorku.

— Ale my nie jesteśmy rolnikami — zaprotestowała. — Ja jestem pielęgniarką. Lawrenty jest profesorem gry na akordeonie.

Ich historia wyłoniła się w anegdotach i dygresjach. Dzień rozpływał się w zmierzchu, a wydłużające się cienie, kłębiące się stado drobiu i zimne pomarańczowe słońce stanowiły odpowiednie elegijne tło dla tej opowieści.

Lawrenty był synem dwojga słynnych akordeonistów, którzy czasami grywali dla Stalina. Publicznie zadebiutował w wieku sześciu lat, właśnie przed Ojcem Ludu, którego pamięta jako sympatycznego i wesołego pana. Stalin wybijał rytm na kolanie i śpiewał z nim refreny patriotycznych piosenek. Z takim pochodzeniem i patronatem Lawrenty bez wysiłku trafił do specjalnej muzycznej szkoły podstawowej, a potem do konserwatorium, gdzie podobnie jak rodzice specjalizował się w repertuarze tradycyjnego rosyjskiego akordeonu zwanego *bajanem*. Instrument miał klawiatury guzikowe dla obu rąk, w przeciwieństwie do zachodniego akordeonu, który z jednej strony ma klawisze i wydaje inny dźwięk. Lawrenty poświęcił się dziełom T.I. Sotnikowa, swego pierwszego nauczyciela i starego przyjaciela rodziny, który włączył rosyjską

tradycję ludową w proste, nastrojowe, optymistyczne motywy rewolucyjne akceptowane przez Związek Kompozytorów Radzieckich. Sotnikow napisał pierwszy koncert na *bajan* i orkiestrę symfoniczną, który miał premierę w 1937 roku, ale niestety chwilę później przestał być wykonywany. Kompozytor zmarł w tym samym roku co Stalin, a jego skromna sława rozmyła się bezpowrotnie.

Odniosłem wrażenie, że talent Lawrentego nie rozkwitł naturalnie, lecz był hodowany w szklarni oczekiwań innych ludzi. Nasz gospodarz twierdził, że z wyboru przyjął posadę w liceum muzycznym na prowincji, zamiast w prestiżowym konserwatorium. Upierał się, że walkę o *bajan* toczoną przeciwko nachalnemu zachodniemu akordeonowi z jego tangami i jazzem należało rozpocząć pomiędzy młodymi i podatnymi na wpływy. Bronił repertuaru takich kompozytorów, jak Sotnikow, a krytykował dekadencję profanów pokroju Siergieja Prokofiewa, Dymitra Szostakowicza czy Alfreda Schnittkego, który miał nawet czelność napisać koncert na *bajan.*

Lawrenty ustatkował się, poślubił koleżankę z pracy i został ojcem niemuzykalnej córki. Zgodnie z życzeniem rodziców wciąż brał udział w konkursach. W 1966 roku Związek Radziecki zakończył dobrowolną izolację i zadziwił zachodni świat zwycięstwami w międzynarodowych konkursach akordeonowych. Rywalizacja pośród chętnych do reprezentowania ojczyzny była zacięta. Poza prestiżem oznaczało to podróże zagraniczne i przydział dewiz. Punktem kulminacyjnym muzycznego roku były spotkania barażowe w Moskwie. Oczywiście ustawiane. Kontakty, wpływy, kumoterstwo, jeden czy dwa prezenty, czysty rejestr w Związku Kompozytorów, ideologiczna słuszność — tylko to liczyło się na liście najpoważniejszych kandydatów. Poza tym trzeba było być Rosjaninem. Jeśli ktoś był Tatarem, Kozakiem albo Cyganem, mógł zapomnieć o karierze, nieważne, jak dobrze grał.

Lawrenty stopniowo torował sobie drogę przez gąszcz kandydatów, aż w końcu w 1986 roku dotarł do finału w Państwowym Pałacu Kremlowskim. Z dwunastu muzyków miano wybrać, czy też właściwie już wybrano, sześciu reprezentujących ZSRR podczas konkursu w Klingenthal, w NRD. Lawrenty znalazł się wśród nich.

Z biegiem lat obostrzenia dotyczące dopuszczalnego repertuaru uległy rozluźnieniu. Zrehabilitowano „dewiantów", takich jak Prokofiew czy Szostakowicz, i zezwolono na granie George'a Gershwina. W latach osiemdziesiątych jedną z największych gwiazd pośród kompozytorów była kobieta, a do tego Tatarka, Sofia Gubajdulina. Ale Lawrenty miał swoje przyzwyczajenia i był zbyt konserwatywny, żeby się przystosować. Wciąż trzymał się starego radzieckiego repertuaru i podobnie jak wielu innych w epoce zastoju Breżniewa trwał w martwym punkcie, dopóki wszystko nie wywróciło się do góry nogami przez Gorbaczowa oraz *głasnost* i *pierestrojkę*. W Związku Kompozytorów doszło do rewolucji i stara gwardia została zmuszona do dymisji. Dwa miesiące przed koncertem w Państwowym Pałacu Kremlowskim runął mur berliński. Uczestników poinformowano, że do Klingenthal nie pojedzie nikt z radzieckimi utworami w repertuarze, chyba że wykonywanymi przez byłych dysydentów.

Lawrenty był w szoku. Od dnia, kiedy zagrał dla Stalina, jego kariera meandrowała pomiędzy miernotą a porażką. Klingenthal to była ostatnia szansa, by wszystko naprawić. Żona już wydała pieniądze z nagrody i diet, a córka złożyła zamówienie na walkmana marki Sony. Miał czas, żeby nauczyć się nowych utworów, ale kiedy patrzył na partyturę, duchy rodziców stały po obu jego stronach i szturchały go, żeby grał złe nuty. Duch T.I. Sotnikowa, który uczył go, walczył za niego i pisał muzykę żywiącą jego rodzinę, siedział w rogu z rękami na uszach.

Lawrenty wszedł na ogromną scenę Państwowego Pałacu Kremlowskiego z rezygnacją zrozpaczonego człowieka. W świetle reflektorów nie widział nikogo, tylko bezkresną ciemność. Założył akordeon, podszedł do mikrofonu i obwieścił, że nie będzie grał współczesnych utworów, które widnieją przy jego nazwisku w programie, lecz aranżację na jeden instrument

Concerto for Bayan T.I. Sotnikowa. Usłyszał, jak cała widownia wstrzymała oddech.

Grał jak jeszcze nigdy wcześniej. Wszystkie obietnice i oczekiwania z jego dzieciństwa w końcu się spełniały. Pod jego palcami Rosja lat sześćdziesiątych — kraj z czasów jego młodości — połączyła się z Rosją młodości Sotnikowa, z latami dwudziestymi, pełna energii i nadziei dla świata. Lawrenty przytrzymał ostatni triumfalny akord pięć razy dłużej, niż kazała partytura, dopóki nie wyciekła z niego ostatnia kropla emocji. Unosił się w ciemnym i cichym morzu — dopóki gromka fala oklasków nie porwała go i nie sprowadziła z powrotem na ziemię. Owacja na stojąco trwała pięć minut. Widownia była z nim — grał dla nich, za ich młodość, za ich Rosję. Jurorzy nie mieli wyboru. Bali się o swoje bezpieczeństwo, gdyby odmówili mu biletu do Klingenthal. Ale bali się też o swoje posady, gdyby zagrał tam reakcyjną radziecką muzykę.

Lawrenty rozwiązał ich problem. Kiedy wezwano go na scenę, aby odebrał pierwszą nagrodę, nie pojawił się i nie można go było nigdzie znaleźć. Zaginął na pół roku. Razem z pierwszymi śniegami znalazł się w szpitalu w Dmitrowie, niemal umierający z głodu i wychłodzenia. Nie pamiętał, gdzie był ani jak żył. Zdiagnozowano u niego chorobę psychiczną i wysłano go do sanatorium w jednym z kołchozów, gdzie pacjenci pracowali w ramach terapii. Żona się z nim rozwiodła, a córka się go wyparła. On z kolei wyrzekł się wszelkich dźwięków i to właśnie dlatego poprosił dziś rano, aby wyłączono muzykę w restauracji.

Irena była pielęgniarką w sanatorium. Łatwo zrozumieć, dlaczego Lawrenty się w niej zakochał, ale dlaczego to uczucie zostało odwzajemnione, pozostawało dla mnie zagadką. To był klasyczny przypadek przyciągania się przeciwieństw. Ich szansa, by ułożyć sobie wspólne życie, pojawiła się, kiedy kołchozy zostały zobligowane do przekazania ziemi w prywatne ręce. Pierwszeństwo miały mieć osoby już zatrudniane przez gospodarstwa, co bardzo liberalnie interpretowali wdrażający przepisy biurokraci, którzy wzięli pod uwagę również siebie, choć wielu z nich wiedziało o rolnictwie mniej niż ja i wykorzystywało granty, aby budować ładne dacze i ogradzać swoją ziemię, jak wiceburmistrz Andriej. Irena, technicznie rzecz biorąc, była członkinią kooperatywy kierującej gospodarstwem i złożyła aplikację wspólnie z Lawrentym. I oto siedzieli przede mną, kończąc nawzajem swoje zdania, wymieniając uśmieszki, żartując z siebie, powtarzając sobie, jacy są szczęśliwi.

Przeprosiłem i wyszedłem do toalety, a w drodze powrotnej wymknąłem się na werandę, by spojrzeć na słońce zachodzące za lasem. Gdyby to był film, w tym momencie dźwięk akordeonu napłynąłby z oddali, pośród szelestu liści i świergotu ptaków. Dzięki Bogu tak się nie stało. Nienawidzę akordeonów.

ROZDZIAŁ 10

Mieszane uczucia co do spódniczek baletowych

Jeśli żywicie mylne wrażenie co do moich kompetencji w zakresie języka rosyjskiego, muszę wyprowadzić was z błędu, choć kusi mnie, by tego nie robić. Moje konwersacje z Rosjanami wcale nie były tak płynne i rzeczowe, jak to tutaj opisałem. Pilnie studiowałem *Teach Yourself Russian* i ćwiczyłem na przypadkowych przechodniach, ale nawet jeśli udało mi się znaleźć odpowiednie słowa, myliłem samogłoski i kładłem akcent w złych miejscach. Ludzie, z którymi rozmawiałem, mieli na twarzach permanentny wyraz konsternacji. Dla biznesmena zajmującego się tym co ja podobieństwo między słowami *kartoszka* (ziemniak) i *kartoczka* (wizytówka) często stanowiło źródło zamieszania podczas pierwszych spotkań. Zacząłem szukać nauczyciela i w końcu znalazłem ogłoszenie Anny w „Moscow Times". Prowadziła konwersacje w języku rosyjskim i/lub lekcje baletu.

Żywię mieszane uczucia co do spódniczek baletowych. Kiedy miałem piętnaście lat,

kościelne kółko młodzieży postanowiło zorganizować bal przebierańców. Przekonałem moją zafascynowaną baletem siostrę, żeby pożyczyła mi swój strój. Jestem trzy lata starszy, a w szkole miałem ksywkę Tłuścioch, jednak moja siostra, teraz smukła i elegancka, również była nieco pulchnawa. Kiedykolwiek widzę tańczące balet hipopotamy Disneya, przenoszę się myślami do leniwych letnich popołudni, kiedy to pląsała po trawniku. Tak więc spódniczka pasowała. Tak jakby. Wciąż czuję jednoczęściowy satynowy trykot gryzący mnie i wżynający mi się w ciało, widzę nylonowe falbanki, różowe getry, buty tenisowe firmy Dunlop, puder, szminkę i różdżkę ze srebrną gwiazdą. Ponieważ chodziłem do innej szkoły niż pozostali członkowie kółka i byłem samotnikiem, nie wiedziałem, że reszta stchórzyła i postanowiła się nie przebierać. To było wejście triumfalne i koszmarne zarazem. Sala znajdowała się tylko dziesięć minut drogi od mojego domu, więc mogłem pobiec i przebrać się w norweski sweter i spodnie z diagonalu, ale jestem dumny, że tego nie zrobiłem i pozostałem w stroju baletnicy. Chrzanić ich.

Tamtego wieczoru zmarł papież. Radio Luxembourg przerwało listę przebojów Top 20, aby ogłosić, że jest Ojciec Święty *in extremis*[16]. Ojciec Raymund przerwał tańce i wszyscy zgromadziliśmy się w kręgu na modlitwę: franciszkanin w habicie, pięćdziesięcioro nastolatków i Wieszczka Cukrowa. Wcześniej nękał mnie powracający koszmar, w którym znajdowałem się w miejscu publicznym, nie mając na sobie nic poza podkoszulkiem zbyt krótkim, żeby go obciągnąć, ale od tego momentu już na wieki zastąpił go sen, w którym pojawiam się na scenie bez majtek, za to w spódniczce baletowej, której sztywny dysk unosi się z tyłu, kiedy obciągam ją z przodu, i na odwrót. A więc balet budził we mnie specyficzne konotacje i na każde przedstawienie, które widziałem, nakładały się wstyd, gniew i seksualna ambiwalencja tamtego wieczoru.

Anna miała za sobą karierę tancerki w Teatrze Bolszoj, a teraz pracowała w biurze. Miała nieco ponad czterdzieści lat, urocze brązowe oczy i przyjemny uśmiech. I chociaż była pulchna i okrągła, wciąż prezentowała postawę i fryzurę baleriny. Chadzałem do niej w środowe wieczory na konwersacje bez tańca.

Zaprzyjaźniliśmy się od pierwszego spotkania. Zaprowadziła mnie do salonu, gdzie na kredensie koło samowara stała czarno-biała fotografia *corps de ballet*[17] w trakcie tańca. Badawczo przyjrzałem się zdjęciu.

— Och, to *Giselle*[18] — rozpoznałem. — A to pani, na czele willid[19]. Wygląda pani wspaniale!

Czyżby się zarumieniła? Gdyby sufit był wystarczająco wysoko, mógłbym spróbować unieść ją do góry w jednej z baletowych figur.

Mimo ogólnie negatywnego nastawienia do baletu jestem ekspertem, jeśli chodzi o *Giselle*. Tylko trzy razy widziałem balet na żywo, i to w ciągu jednego tygodnia. Kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Moskwy, Misza zdobył bilety na *Giselle* w Teatrze Bolszoj. W Petersburgu zafundowano nam *Giselle* w Teatrze Marińskim do zgrzytliwej muzyki puszczanej z płyty. Gdy wróciliśmy do Moskwy, zostaliśmy zaproszeni na niedzielne wieczorne galowe przedstawienie *Giselle* w Państwowym Pałacu Kremlowskim. Nie mogłem się pozbyć z głowy tych cholernych melodii przez kilka tygodni. Fabuła opiera się na idei, że dziewczęta, które umierają w dzień swojego ślubu, zmieniają się w niebezpieczne nimfy — willidy. W drugim akcie jest fragment, kiedy baleriny stoją gęsiego na jednej nodze, zgięte w arabeskę, i robią taki podskok i krok do przodu, zupełnie jak w jednym z tańców odstawianych przez Flanagana i Allana[20]. Śmieszyło mnie to niezmiernie i za każdym razem czekałem na ten moment jak na miły przerywnik, ale wszyscy inni zachowywali powagę, więc nauczyłem się nie chichotać w trakcie. I oto na kredensie zauważyłem zdjęcie Anny stojącej na czele willid, z niebiańskim uśmiechem na ustach.

Od tej chwili stałem się jej ulubionym uczniem. Ukrywałem ignorancję co do reszty repertuaru baletowego za ubogim rosyjskim słownictwem i chociaż od czasu do czasu patrzyła na mnie dziwnie, kiedy myliłem Sylfidę z Sylfidami albo Swanildę z Czarnym Łabędziem, wybaczała mi te wpadki.

Mąż Anny — Paweł — był od niej młodszy. Pracował w urzędzie patentowym i był mistrzem sztuk walki. Po drugiej stronie samowara stała kolorowa fotografia przedstawiająca go w groźnej pozie — łysego, w białej piżamie, właśnie mającego przełamać niewidzialną cegłę na pół. Nie byłem pewien, czy zwodzi mnie wyobraźnia, czy rzeczywiście widzę ślady ćwiczeń na meblach. Pęknięty blat stołu z formiki, rozłupane drzwi od szafki kuchennej, wgniecenia w ścianach. Paweł był drugim mężem Anny. Pierwszy miał coś wspólnego ze scenografią, ale moje słownictwo nie było wystarczające, żeby to zrozumieć.

Jurij, ich osiemnastoletni syn, mieszkał z ojcem na terenie Teatru Bolszoj, w niezależnej wiosce dla tysiąca ludzi.

— Czy Jurij tańczy?

— Jak słoń. Składa komputery. To dobry chłopak. Woli być ze mną, ale tam ma lepszą szkołę. Odwiedza mnie, jeśli nie ma za dużo pracy domowej. Pracuje bardzo ciężko.

Starała się być dzielna, lecz jej brązowe oczy były tak smutne, że miałem ochotę objąć ją ramieniem i przytulić. Jednak mogłaby źle zrozumieć taki gest.

Któregoś wieczoru po naszej lekcji zaprosiła mnie, żebym został na kolację i poznał Pawła. Nie pozwoliła, bym pomógł jej nakryć w zagraconym salonie, mówiąc, że powinienem nauczyć się zachowywać jak Rosjanin. Na stół trafiły sardynki, dziesięć różnych rodzajów warzyw — w tym ziemniaki smażone na gęsim tłuszczu — oraz smakowite marynowane grzyby domowej roboty, rozwodniony kompot, oczywiście, i pół butelki stolicznej z głębi kredensu. Anna zamartwiała się i wciąż przepraszała, że nie ma kawioru, jesiotra, mięsa albo wina, którymi mogłaby mnie poczęstować. Tłumaczyła, że według Pawła ich na to nie stać. Kłopotliwą sytuację przerwało pobrzękiwanie windy i stalowych drzwi zwiastujące jego przybycie. Od razu usiedliśmy do jedzenia.

Paweł był zatroskanym człowiekiem, ale starał się to ukrywać. Nie był całkowicie łysy, chociaż bardzo jasne włosy i blada skóra sprawiały takie wrażenie. Miał głęboko osadzone czarne oczy, które, jak sobie wyobrażałem, mogły onieśmielać przeciwnika na drugim krańcu maty. Od razu przeszedł do ofensywy, tłumacząc różnice pomiędzy rosyjskim a brytyjskim prawem patentowym, a potem między sztukami walki. Oddałem cios, omawiając różne odmiany ziemniaków.

W chwili względnej ciszy, podczas gdy dłubaliśmy w zębach, Anna radośnie oświadczyła Pawłowi, że udało jej się zdobyć dwa bilety do Teatru Bolszoj na następny czwartek. W tylnym rzędzie, ni mniej, ni więcej.

— Znakomicie — wymamrotał, wciąż pracując nad tylnym zębem trzonowym. — Pod teatrem mogę za nie dostać czterdzieści dolarów.

— Nie, Pawle, to jest gala. Jeśli cię zobaczą, już nigdy nie dostanę biletów. A poza tym chcę iść. Wiesz, że zawsze chodzę.

— Ja nie mogę — powiedział. — Na Dynamo jest turniej.

— Ostatnio nigdy ze mną nie chodzisz.

— Nie mogę. Przecież powiedziałem. Koniec dyskusji. — Wskazał na mnie kawałkiem nabitej na wykałaczkę sardynki. — Weź Iwana. To odciągnie jego myśli od Maris Piper[21].

Anna spojrzała na mnie, unosząc perfekcyjnie wyskubane brwi.

— Poszedłbyś ze mną?

— Czy to *Giselle*?

— Och, przykro mi. Wiem, że to twój ulubiony balet. Nie, to gala. Koncert organizowany przez ostatni rok szkoły baletowej. Są tacy wspaniali.

Wolałbym iść z Pawłem na Dynamo, ale jej błagającym brązowym oczom trudno było się oprzeć.

W czwartek przyjechałem po Annę do ich mieszkania. Chyba sprawiłem jej przyjemność, przywdziewając ciemny garnitur i krawat. Ona założyła czarną spódnicę, bluzkę z dekoltem i krótki żakiecik zrobiony z puszystych białych piórek. Tylko jej postawa tancerki i elegancka fryzura odróżniały ją od muppeta. Aby żakiecik nie zgniótł się pod płaszczem, włożyła go do reklamówki razem ze szpilkami. Makijaż miała niemal sceniczny, z żółtopomarańczowym podkładem i jaskrawoczerwoną szminką. Wyczułem, że to specjalna okazja, i byłem zadowolony, że kazałem taksówkarzowi poczekać.

Oglądanie występów na widowni złożonej z samych Rosjan było miłą odmianą po spędzeniu kilku przedstawień wśród prostackich zagranicznych turystów, zdolnych do komentarzy takich jak ten, który rzucił na mojej pierwszej *Giselle* Amerykanin do swojej żony: „O rety, ich skoki były do dupy w porównaniu z tym, co wyczyniały te Mongoły w cyrku". Jedna trzecia widowni była spokrewniona z artystami, część stanowili dawni uczniowie i tancerze jak Anna, reszta zaś była w jakiś sposób powiązana z teatrem albo z branżą, więc nawet mnie udzieliła się uroczysta atmosfera. Najlepsi byli tancerze, wciąż jeszcze pełni entuzjazmu i radości z tańca. Wykonywali szlagiery sprzed lat, ale miało się wrażenie, że to noc premierowa i wszystko może się wydarzyć, w przeciwieństwie do profesjonalnych występów, które są równie spontaniczne co uroczysta parada na cześć urodzin królowej brytyjskiej.

Anna klaskała na stojąco z całą resztą pod koniec każdego aktu, aż ręce robiły jej się czerwone. Uśmiechała się pełnym zmarszczek uśmiechem, a jej urocze brązowe oczy były zaszklone łzami emocji. Oczywiście że dopingowała nowe pokolenie, ale podejrzewałem, że oklaskiwała również samą siebie, taką, jaką wtedy była, gdy scena i całe życie rozpościerały się przed nią. Wyobrażałem ją tam sobie, tańczącą dla kobiety, którą miała się kiedyś stać, we wdzianku z kurzych piór i jaskrawoczerwonej szmince. Znowu poczułem, że mam ochotę ją uściskać, ale mogłaby to źle zrozumieć.

W przerwie udaliśmy się do głównego baru, gdzie spotkała koleżanki z dawnych lat. Wraz z postępującym wiekiem tancerki albo zamieniały się w wysuszone kostuchy z zapadniętymi oczami, albo w wieszczki, które przedawkowały cukier. Byłe baleriny zebrały się pod gigantycznym żyrandolem, eleganckie małe kobietki z zaczesanymi do tyłu włosami, stopami ustawionymi na zewnątrz, ramionami w pozycji pierwszej albo — dla tych z torebkami na ramię — w pozycji trzeciej; jedna czy dwie z nogami w położeniu *sur le cou-de-pied*[22], wypisz, wymaluj, jakby odtwarzały w tłumie scenę sprzed dwudziestu pięciu lat. Kupiłem im szampana i tartinki. Sączyły i skubały jak małe ptaszki.

Po niezliczonych wywoływaniach przed kurtynę, łzach, brawach, deszczu kwiatów i pocałunków oraz przedłużających się pożegnaniach, podczas gdy biletowi i sprzątaczki próbowali opróżnić gmach, Anna wzięła mnie pod ramię w kolejce po płaszcze. Wciąż było wcześnie. Chciałem ją zabrać na kolację, ale to byłoby nieprzyzwoite — wydać na jeden posiłek ekwiwalent miesięcznej pensji Pawła albo i więcej. I mogłaby to źle zrozumieć. Zamiast tego poprosiłem taksówkarza, żeby po drodze do jej mieszkania zatrzymał się przy sklepie, i kupiłem dwie butelki szampana oraz takie smakołyki, jak czipsy Frito-Lay i peklowana wołowina w puszce.

Pawła jeszcze nie było w domu. Anna z powrotem założyła swój strój kurczaka, ja otworzyłem szampana i wznieśliśmy toast za Bolszoj.

— Powiedz mi, jak to było, kiedy zaczęłaś trenować. Jakie to uczucie?

— Miałam sześć lat. Tamten ranek pamiętam jak dziś. Padał śnieg, a moja matka powiedziała, że to ostatni raz, kiedy zakładam filcowe buty. Że teraz dostanę skórzane. Oczywiście to nie była prawda. Byłam przerażona, ale nie bardziej niż pójściem na przyjęcie urodzinowe. I to było przyjęcie. Przez dwadzieścia lat, chociaż pracowaliśmy bardzo ciężko.

Zdjęła z górnej półki album z wycinkami z gazet i usiadła koło mnie na wąskiej sofie. Kurze piórka pachniały kamforą i łaskotały mnie w nos, ale nie było to nieprzyjemne uczucie, gdy tak siedziała przyciśnięta do mnie, balansując albumem na naszych kolanach. Od czasu do czasu stukaliśmy się kieliszkami, przeglądając programy, wycinki i fotografie. Pokazywała dzieci, które uciekły na Zachód albo zmarły, oraz te koleżanki, które właśnie poznałem w teatrze.

— Dlaczego odeszłaś?

— Byłam rozwiedziona. Mogłam zostać i pracować w administracji, ale nie chciałam. Mój mąż był atrakcyjnym mężczyzną. W teatrze jest dużo ładnych młodych dziewcząt. Jedna z nich go sobie upatrzyła. Wiem, że to normalne, ale ja nie chciałam zostać.

— Gdzie poznałaś Pawła?

— W metrze. Nie miał nic wspólnego z baletem. To była moja ucieczka.

— Sztuki walki to też swego rodzaju balet, czyż nie?

— Tylko nie powtarzaj tego przy Pawle. Dla niego to jest wojna. Zajął się tym tylko dlatego, że sytuacja się pogorszyła. Był bardzo łagodnym człowiekiem, kiedy miał dobrą pracę. Teraz jest gniewny.

— Jak stracił pracę?

— Nie stracił. To ta sama praca. Dobra praca może się zmienić w złą. On uważa, że jeśli będzie mistrzem sztuk walki, zdobędzie pracę jako osobisty ochroniarz. Ale na co się zdadzą ręce i kije przeciwko karabinom? Powinien kupić uzi i trenować w lesie.

— Jak mu się układa z Jurijem?

— Nigdy się nie widują. Chciałabym mieć dziecko z Pawłem, ale kogo stać na dzieci w dzisiejszych czasach?

Nasza rozmowa robiła się zbyt melancholijna.

— Pokaż mi, jak tańczysz. Pokaż mi figury.

— Och, John, nie mogę. Nie jestem już tancerką.

— Tutaj jesteś *prima ballerina assoluta*[23]. No dalej. Odsunęliśmy stół na bok, a ona zrzuciła szpilki. Pokazała mi pięć klasycznych figur i ich wariacje, a potem *écarté*, *éffacé*, *croisé*[24] i wiele innych. Wciąż była bardzo giętka. Wyglądała na zupełnie odmienioną. Zrobiło się gorąco, więc zdjąłem marynarkę i krawat. Anna zdjęła żakiecik z piórek.

— Czy umiesz obciągnąć stopę i unieść całą wyprostowaną nogę do góry?

— Masz na myśli *détiré*? Och, John, nie w tym ubraniu. Po angielsku nazywacie to zarzucaniem nogi na ramię.

Jej oczy rozbłysły na chwilę, a potem zachichotała.

— Jakich ubrań potrzebujesz?

— Tutu. Spódniczki baletowej.

— Masz jeszcze swoje stare spódniczki?

— Oczywiście.

— Pokaż mi je. Proszę.

Tuż obok salonu znajdował się niewielki pokoik, wystarczająco duży, żeby pomieścić wąskie pojedyncze łóżko, kredensik i biurko. Łóżko było zaścielone dla Jurija. Na ścianie wisiał kij do taekwondo. Wszedłem za nią do środka. Pogrzebała w kredensie i wyciągnęła paczuszki zawinięte w bibułę. Usiedliśmy obok siebie na łóżku, a ona ostrożnie odwijała każdą z nich.

— To jest tutu romantyczna, taka, jakie mamy na sobie w twojej ulubionej *Giselle*.

Popatrz, spływa do łydki. A tu jest klasyczna, jaką nosiłam w *Jeziorze Łabędzim*. Kreza jest teraz oddzielona, ale przyszywało się ją do gorsetu.

— Założysz ją?

— Och, byłam wtedy młodą dziewczyną. Ale założę dla ciebie przybranie głowy.

Wzięła kreację z tiulu i wstążek, niegdyś białą, a teraz pożółkłą, i nałożyła ją. Nagle jej oczy wypełniły się łzami i zaszlochała z dłońmi założonymi na piersi, głową odwróconą na bok, w klasycznej pozie spragnionej miłości. W tej samej chwili usłyszeliśmy brzęczenie windy i szczęk stalowych drzwi. Anna pobiegła do salonu, żeby otworzyć.

— O mój Boże, co się stało z twoją twarzą?

— Przegrałem walkę. Kto tu jest? Co to wszystko ma znaczyć? Odbywała się tu jakaś orgia?

Jego głos był bardzo głośny i robił się coraz głośniejszy.

— To tylko John.

Przez sekundę myślałem, że zostałem wrobiony. Niezrozumiana żona pragnąca miłości, agresywny mąż, klasyczna pułapka jak za dawnych dobrych czasów zimnej wojny. Żerowali na mojej niewinności, a teraz dobiorą się do portfela. Co gorsza, kto mógłby ich za to winić, zubożałych przez takich jak ja i naszą dwulicową gospodarkę nasze pieniędze, kradnących ich talenty i wypełniających teatry prostakami, a biura szarlatanami?

— Misiaczku, usiądź.

— Gdzie jest ten twój zakichany człowiek Zachodu?

Tak naprawdę określił mnie mianem *spidonosiec*, co oznacza nosiciela HIV.

Zrobiłem wielkie wejście. Paweł szamotał się z Anną, która próbowała przemyć mu ranę szampanem. Miał fioletowego siniaka na pół twarzy i na wpół przymknięte, zapuchnięte oko. Stanąłem w drzwiach w piątej pozycji, z nogami skrzyżowanymi i ze stopami zwróconymi na zewnątrz na tyle, na ile mogłem, *les bras en haut*, z klasyczną tutu upchniętą wokół pasa i ze wstążkami przybrania głowy dyndającymi wokół twarzy.

— Kochani, jak wyglądam?

Gapili się na mnie w zdumieniu, na wpół zachwyceni, na wpół przerażeni. Jeszcze nigdy nie widziałem brązowych oczu Anny ani jednego nienaruszonego oka Pawła tak szeroko otwartych.

— Ha! — zakrzyknął w końcu Paweł. — Mówiłem ci! Nie mówiłem ci? Ci Anglicy to geje! Wszyscy to wiedzą.

— Właściwie to jest na bal przebierańców w ambasadzie brytyjskiej. Szczerze.

— Kiedy mężczyzna mówi „szczerze", nie jest szczery. Ale my jesteśmy tolerancyjni. Nic dziwnego, że Anna cię lubi, spędziła za dużo czasu z tancerzami baletowymi. Ale na litość boską zdejmij to, zanim zwymiotuję. Zachowaj to dla swoich angielskich kochasiów.

Było to swego rodzaju zwycięstwo. Anna poszła spać z nieszczęśliwą miną, a Paweł włączył film z Bruce'em Lee na wideo. Piliśmy szampana i zapijaliśmy go wódką, dopóki nie wytoczyłem się chwiejnym krokiem w noc, w poszukiwaniu taksówki.

Następnego dnia napisałem do Anny, dziękując jej za wspaniały wieczór i załączając czterdzieści dolarów dla Pawła.

ROZDZIAŁ 11

Płyniemy z nurtem historii

Przyjemnie było brnąć ulicami Moskwy zupełnie *incognito* w narciarskiej kurtce i czapce Mikołaja, ale czułem, że to strój poniżej godności międzynarodowego konsultanta i restauratora.

Nadeszła pora na odświeżenie garderoby. Oczywistym rozwiązaniem były płaszcz i futrzana rosyjska czapa, zwana *uszanką*.

Wybrałem się na zakupy do GUM-u[25], czyli Państwowego Powszechnego Domu Towarowego, który zajmował jeden bok placu Czerwonego, naprzeciwko mauzoleum Lenina. GUM był pierwszym nowoczesnym rosyjskim centrum handlowym, wspaniałą dziewiętnastowieczną dwupoziomową budowlą z żelaza i ze szkła, z arkadami, balkonami i fontanną. Kiedy po raz pierwszy tam poszedłem, zobaczyłem wspaniały bazar, pełen egzotycznych pielgrzymów z całego Związku Radzieckiego. Po wielu godzinach stania w kolejce, często w lodowatym zimnie, by oddać cześć zwłokom Lenina, z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku ludzie ci w nagrodę pędzili przez plac, by zanurzyć się w młynie walczących o artykuły gospodarstwa domowego, tkaniny i najnowsze rosyjskie ciuchy. Musieli podejmować drastyczne decyzje, wybierając między dwoma rodzajami butów, dwoma dostępnymi fasonami sukienek, talerzami białymi lub żółtymi, kwiatami czerwonymi albo niebieskimi. Nie chcę brzmieć protekcjonalnie — zazdrościłem im prostoty związanej z tak ograniczonym wyborem.

W GUM-ie wciąż działało kilka starych sklepów, które przechodziły teraz ciężki okres, pozbawione stałego dopływu pielgrzymów i tracące klientów na rzecz ulicznych handlarzy, ale resztę domu towarowego sprywatyzowano i otworzyły tu działalność m.in. agencja handlu nieruchomościami, niemiecki supermarket z ubraniami oraz sklep Diora.

Pierwszy zakup był łatwy. Za śmiesznie niską cenę nabyłem ciemnoniebieski płaszcz z grubej wełny, z odpinaną podszewką ze sztucznego futra. Był to taki płaszcz, w którym mógłbym godzinami stać w kolejce do mauzoleum Lenina i nie zmarznąć. Kiedy go zdjąłem, poczułem, jakbym uniósł się nad ziemię, jak w tym triku, gdzie kilka osób naciska na twoją głowę i ramiona, a potem cię puszcza.

Kupno *szapki* to zupełnie inna sprawa. Wybór był naprawdę duży, od farbowanego królika po norki. W tym miejscu muszę donieść, że wbrew pozorom Rosjanie wcale nie mają ogromnych głów. Podczas gdy futrzane czapy sprawiają wrażenie, że wszyscy Słowianie cierpią na wodogłowie, w rzeczywistości rosyjskie nakrycia głowy są najwyżej rozmiaru siedem. Było to bolesne rozczarowanie dla kogoś, kto nosił siedem i trzy czwarte, a jego szkolne czapeczki musiały być szyte na miarę. Nawet Brytyjskie Siły Zbrojne nie miały dla mnie wystarczająco dużego beretu. Przez całe życie musiałem się obywać bez czapek baseballowych, panam, kasków rowerowych i sombrer, a teraz odmówiono mi również możliwości noszenia *szapki*.

Przez cały dzień włóczyłem się po GUM-ach, ulicznych targach, sklepach dla turystów, ale bez powodzenia. Ponieważ rosyjscy kapelusznicy nie pojmowali koncepcji numerowania nakryć głowy, musiałem przymierzać cały asortyment jak leci. Asystenci ciągnęli za krawędzie, kierownicy z niedowierzaniem przynosili taśmę mierniczą, magazynierzy przetrząsali składziki, ale każdy egzemplarz wyprawionej zwierzęcej skóry siedział mi na głowie jak kot na poduszce. Byłem przygnębiony. Czy to jakiś znak, który powinienem odnieść do mojego rosyjskiego przedsięwzięcia? Jeśli czapka pasuje, noś ją. A jeśli nie pasuje...

Po drodze do domu zawsze mijałem Moskiewskie Centrum Kinowe. Tym razem wyświetlali nowy film z Bruce'em Willisem i wszystkie bilety były już wyprzedane. Snułem się wśród tłumu na schodkach, coraz dyskretnie przysuwając się do kogoś i pytając, czy nie ma na zbyciu biletu. W nowym płaszczu musiałem wyglądać jak konik, bo ludzie z nadzieją zaczęli się dopytywać, po ile sprzedaję. W końcu szczęśliwcy z biletami weszli do środka, a ja zostałem sam pod kinem.

— Mój przyjacielu, chcesz obejrzeć film? Chodź — zagadnął mnie po angielsku jakiś mężczyzna.

Miał około trzydziestu pięciu lat, był szczupły, ale żylasty, z meksykańskim wąsem, ciemnymi oczami, w wyświechtanym szarym garniturze, bez płaszcza i czapki. Miał ładną małą głowę. Poprowadził mnie na tyły kina. Myślałem, że chce mnie przemycić wejściem awaryjnym za kilka dolców, więc poszedłem za nim, lecz kiedy otworzył drzwi do biurowca, zawróciłem. Nie chciałem, żeby następnego dnia znaleziono mnie bez portfela, nowego płaszcza i kilku litrów krwi.

— Chodź, proszę. Klasyczny film.

— Nie oglądam porno.

— Nie porno. Wspaniały film.

— Porno ze scenami autentycznych morderstw też nie oglądam.

Zwłaszcza ze sceną własnego morderstwa.

— *Hey You Goose*. Lidia Bobrowa. Bardzo dobry rosyjski film. Astachow, operator filmowy. Film nominowany do Złotego Lamparta w Locarno.

Jak na rabusia nieźle znał się na kinematografii. Ale to nic nie znaczyło. Rabusie też chodzą do kina.

— Dziesięć dolarów.

— Dziesięć dolarów! Nawet w Londynie tyle nie płacę.

— W takim razie pięć dolarów. A jeśli film ci się spodoba, możesz go zabrać do domu za pięćdziesiąt dolarów.

Takiej ofercie nie potrafiłem się oprzeć. Wjechaliśmy windą na piąte piętro do kina, które w czasach świetności musiało być niezwykle eleganckie, z białą bukową boazerią, czerwonym dywanem i kinkietami z matowego szkła. Wyglądało na to, że jesteśmy jedynymi osobami na piętrze, jeśli nie w budynku. Podążyłem korytarzem za moim przewodnikiem. Gdy dotarliśmy do pary dwuskrzydłowych drzwi, otworzył jedne z rozmachem i zaprosił mnie do małej salki projekcyjnej z tuzinem rzędów.

— Pięć dolarów. Dziękuję. Proszę usiąść, gdzie pan chce. Jak trzeba będzie zmienić szpulę, jestem w pokoju 502.

Światła przygasły, ekran rozbłysł i zostałem uraczony prywatnym pokazem filmu *Hey You Goose*, z angielskimi napisami, czarno-białym, wzruszającym i zabawnym, z akcją osadzoną w prowincjonalnej wiosce w czasie olimpiady 1980 roku. Beznadziejne życie wieśniaków kontrastowało z zamieszaniem wokół igrzysk. Kiedy projektor zaturkotał, a ekran zasnuła biała mgła, ruszyłem korytarzem po mojego kinooperatora do pokoju 502. Po drugiej szpuli siedział przy biurku naprzeciwko pulchnej farbowanej blondynki z kruczoczarnymi brwiami, poważnym zezem i wadą zgryzu. Po trzeciej — byli już po tej samej stronie biurka, rozprawiając się z butelką wódki, a on miał zdjętą marynarkę. Kiedy film się skończył, zakasłałem i zapukałem głośno. Byli zarumienieni, ale to mogła być wina alkoholu. Mężczyzna poszukał kieliszka w dolnej szufladzie biurka, podczas gdy kobieta uprzejmie wzięła ode mnie płaszcz oraz torby i przysunęła mi krzesło.

— Jestem Leonid. To Marta. Mam doktorat z anglistyki. Jesteśmy scenariuszystami. Ty?

— Biznesmen.

— My też biznesmeni. Założyliśmy Intercinema Agency, usługujemy radami do produkcji filmów, dystrybucji i reklam w Rosji. Jaki twój biznes?

— Restauracje szybkiej obsługi.

— Mamy dwie tony mrożonego mięsa. Wieprzowina, wołowina, kurczak — wtrąciła Marta.

Przez tego zeza kierowała słowa w pustą przestrzeń jakieś czterdzieści pięć stopni od celu, pogłębiając moje rosnące poczucie zagubienia.

— Co?

— Robimy film reklamowy dla firmy produkującej obrabiarki z Saratowa. Płacą nam mrożonym mięsem. Przeterminowane tylko o trzy lata, bardzo dobre.

Nie miałem ochoty rozmawiać o cateringu. Zapytałem, czy sporo zarabiają na łowieniu kinomanów na ulicy. Czy nie ma bardziej konwencjonalnych sposobów przyciągnięcia klientów?

— Wpadłem na to dopiero, gdy cię zobaczyłem. Naszym głównym pomysłem jest sprzedawanie filmów. Chcesz kupić film? Pięćdziesiąt dolarów.

— Czy te filmy nie należą do Centrum Filmowego?

— Już nikt ich nie ogląda. Ludzie chcą porno. Bruce'a Willisa. *Golliłud.*

— Chciałbym go kupić, ale nie mam projektora. Czemu się nie zareklamujecie i nie ściągniecie ludzi, żeby je oglądali? Moglibyście zarobić pięćdziesiąt dolarów i zachować film.

Zaczęliśmy planować program marketingowy zbudowany wokół małych ogłoszeń w anglojęzycznych gazetach. Ja podjąłem się sfinansowania pierwszych czterech anonsów w zamian za darmowy wstęp do kina do końca życia. Aby przypieczętować naszą współpracę, Marta wyszła na chwilę i wróciła z kiełbasą oraz bochenkiem chleba. Dobrze się czułem w roli bohatera ratującego *cinémathèque* dla potomności.

Wznieśliśmy toast za przyjaźń, sukces i światowe kino. Wymyśliliśmy fabułę komedii, którą można by wyprodukować we współpracy z Wielką Brytanią. Opowiadała o Angliku, nieudaczniku i marzycielu z wypaczoną i romantyczną wizją Rosji, który przyjeżdża do Moskwy, by spróbować szczęścia i uciec przed wierzycielami, i udaje, że jest zamożnym biznesmenem. Na miejscu spotyka rosyjskiego nieudacznika i marzyciela z romantyczną i wypaczoną wizją Zachodu, który udaje, że ma świetne koneksje wśród przedstawicieli nowej nomenklatury. Oszukują się nawzajem i próbują otworzyć restaurację szybkiej obsługi. Podoba im się ta sama kobieta, ale każdy z nich myśli, że sypia z nią ten drugi. Do akcji wkracza mafia i biznes upada. Dziewczyna zbliża ich do siebie, ratują się nawzajem przed mafią i planują kolejne przedsięwzięcie.

— Mój drogi — oznajmił Leonid — mamy wstępny scenariusz w trzy dni. Znam wszystkich w branży filmowej. Zaczniemy zdjęcia w pół roku. Proszę, ty znajdź fundusze.

— Nie ma sprawy. Przedłożę ten projekt moim inwestorom. Jestem pewien, że Brytyjska Izba Finansowania Filmów też się w to zaangażuje — zapewniłem, płynnie wcielając się w postać naszego wymyślonego bohatera.

— A może dasz pięćdziesiąt dolarów na pilne wydatki? — zapytała Marta pustą przestrzeń niemal dwa metry po mojej lewej.

Udałem, że to nie było do mnie.

Leonid opowiadał o szmuglowanych z zagranicy filmach, które oglądali jako aspirujący scenarzyści. Specjalizował się w komediach i niemal na pamięć znał wczesne filmy z serii *Cała naprzód*. Jego ulubionym był *Cała naprzód: Wakacje! Do dzieła!*. W przeciwieństwie do Leonida Marta rzeczywiście pracowała w branży filmowej, zanim ta padła z braku państwowego dofinansowania. Opowiadała o aktorach, których poznała, wzdychając i dając do zrozumienia, że z nimi sypiała, ale obawiam się, że były to tylko przechwałki. Ubolewaliśmy z powodu inwazji *Golliłuda* i upadku rosyjskiego kina. Dyskutowałem o filmach *Andriej Rublow*, *Solaris*, *Stalker* i *Ofiarowanie* Andrieja Tarkowskiego, nie przyznałem się jednak, że ledwo zdołałem je obejrzeć.

Dotarliśmy mniej więcej do ostatnich dwóch centymetrów wódki, kiedy to przychodzi pora na sentymenty, zanim wyrzuci się pustą butelkę do kosza, a życie zacznie toczyć się dalej, więc wyznałem im, co mi się przytrafiło. Starałem się, aby historia brzmiała zabawnie, ale poczułem, że oczy mnie pieką, a przesycona wódką łza spływa po policzku, gdy opowiadałem o mojej wielkiej głowie i upokorzeniach, jakie powodowała ona od dnia, kiedy moja matka musiała

posłać mnie do przedszkola za rogiem w jednym ze swoich różowych kapeluszy od słońca, poprzez moment gdy na placu apelowym tylko ja jeden stałem bez beretu pośród czterystu chłopców, aż po staruchę z GUM-u szturchającą palcem moją nieforemną głowę i cmokającą z niezadowoleniem.

Pociągnąłem nosem i otarłem oczy. To nie tak miało być. Leonid i Marta spojrzeli na mnie — a przynajmniej zakładam, że Marta też spojrzała — i zobaczyłem w ich oczach zdziwienie na widok takiej wylewności ze strony Anglika. Po cichu wymienili parę zdań, za szybko, żebym zrozumiał, o czym rozmawiają, ale nie obchodziło mnie to. Marta wyszła z pokoju. Leonid dolał nam wódki i wrzucił butelkę do kosza. Wychyliliśmy kieliszki bez słowa. Westchnął. Marta wróciła, tuląc w ramionach coś, co wyglądało jak kot z nadwagą. Podała mi to, patrząc w pustkę nad moim ramieniem. To była czapka, lecz nie futrzana, tylko karakułowa, z grubych ciasnych skrętów czarnej wełny. Poza tym pod każdym względem była to prawdziwa rosyjska *uszanka* z nausznikami przywiązanymi na czubku za pomocą czarnych tasiemek.

— Przymierz.

— Nie mogę.

— Zaufaj mi.

Czapka była używana, ale nie zauważyłem żadnych nieprzyjemnych śladów potu na wewnętrznym otoku ani tłustych plam na podszewce. Była ciężka. Nałożyłem ją dwiema rękami, jak koronujący się Napoleon. Pasowała idealnie. Jeszcze nigdy nie miałem takiej czapki. Takiej, która nie siedzi ci na głowie, lecz ją otula. Takiej, której nie nosisz, lecz to ona nosi ciebie. Była ciężka i solidna. Nie dało się zapomnieć, że człowiek ma ją na głowie. Stałem sztywno wyprostowany, bo inaczej straciłbym równowagę.

Leonid zaklaskał, a na jego twarzy odbiła się szczera przyjemność. Marta z zadowoleniem zezowała w przestrzeń. Wskazała na lustro na drzwiach. Wyglądałem jak Minotaur z ciałem człowieka i gigantyczną wełnianą głową.

— Do kogo należała?

— Do Andrieja Konczałowskiego. Kiedy jechał do *Golliłuda*, żeby nakręcić *Tango i Cash*, oddał ją do archiwum. Miał wielki łeb.

— Mogę ją zatrzymać?

— Oczywiście — powiedziała Marta. — Pięćdziesiąt dolarów.

Dobry interes. Czapka pasowała jak ulał. A następnej soboty *cinémathèque* wypełniło się obcokrajowcami płacącymi pięć dolców za to, żeby zobaczyć rosyjskie klasyki z angielskimi napisami, jak reklamowało „Moscow Times".

Zabrałem moją czapkę na spacer. Był schyłek jesieni. Od czasu do czasu podmuchy wiatru niosły ze sobą kłęby śniegu, które oprószały breję pod nogami. W nocy temperatura spadała do zera, ale w trakcie dnia było jeszcze dość ciepło i słonecznie. Bardziej mroźny był klimat polityczny. Rewolucja wisiała w powietrzu. Zwołano nadzwyczajne posiedzenie Zjazdu Deputowanych Ludowych Federacji Rosyjskiej, aby postawić w stan oskarżenia prezydenta Jelcyna. Komuniści szykowali się do odzyskania władzy i zakończenia tego, co nazywali „politycznym ryzykanctwem i romantycznymi mrzonkami na temat demokracji". Kanclerz Niemiec przestrzegał przed zagrożeniem dla Europy, jeśli Jelcyn zostanie obalony. G7 też zwołało posiedzenie nadzwyczajne. Europejskie gazety publikowały profile generałów, zastanawiając się, czy będą oni skłonni pozostać w swoich koszarach.

Kiedy wyszedłem na spacer tamtego słonecznego niedzielnego poranka, nawet nie przypuszczałem, że spędzę dzień w epicentrum wstrząsających światem wydarzeń. Miałem ochotę na obejrzenie ikon w galerii Trietiakowskiej, czekoladowy deser lodowy na placu Czerwonym, film z napisami w Moscow Film Centre oraz dwie pinty guinnessa i mięso z

cynaderkami zapiekane w cieście w Rosie O'Grady's.

To był przepiękny dzień. Niedzielne dzwony śpiewały radośnie, a słońce lało się z błękitnego nieba, oświetlając oszronione mury i złote kopuły. Moja karakułowa czapa była odrobinę za ciepła i zbyt gryząca, ale zamieniłem płaszcz na kurtkę. Upodabnianie się do tubylców nie było jedynie przejawem próżności, stanowiło również ochronę przed zaczepkami. Waluciarze i taksówkarze przed muzeum kompletnie mnie zignorowali.

Galeria Trietiakowska znajduje się mniej więcej pół godziny spacerem od placu Czerwonego, po drugiej stronie rzeki Moskwy. Przechadzałem się, dumając nad ikonami i żałując, że nie potrafię się zmusić, by polubić je bardziej, gdyż wszystkie wyglądają dla mnie tak samo. Po wyjściu z galerii ruszyłem przez szeroki most w stronę placu przed hotelem Rossija i ujrzałem scenę zbiorową jak z układanki: masę białych kropek i wirujących czerwono-biało-niebieskich flag na tle cukierkowych kopuł cerkwi Wasyla Błogosławionego. Niedociągnięcia w nagłośnieniu były nadrabiane natężeniem dźwięku. Nad placem rozbrzmiewały napuszone tyrady przerywane wiwatami, oklaskami i wybuchami patriotycznej muzyki. Megafony, klaksony i zespół jazzowy tylko powiększały ogólną wesołość.

Z bliska cała scena okazała się mniej zrozumiała i interesująca niż z drugiej strony rzeki. Ludzie kłębili się w tłumie, gadali, jedli lody i ignorowali przemówienia. Wiwaty i oklaski były nagrane i puszczano je z taśmy przez głośniki. Od czasu do czasu jakiś animator łapał za mikrofon i próbował zachęcić ludzi do skandowania „Jelcyn, Jelcyn, Jelcyn", ale tylko kilku entuzjastów z okolic podium dołączało do niego. Najwięcej hałasu robiły grupy studentów. Byli tu ludzie w każdym wieku, tyle samo starszych osób w sfatygowanych ubraniach co młodych w kosztownych marynarkach i dżinsach. Pary flirtowały i robiły sobie nawzajem zdjęcia. Między nimi kręcili się mężczyźni w ciemnych marynarkach ozdobionych baretkami. Sprzedawcy próbowali wciskać ludziom odznaki, pamiątki i pocztówki, lecz interes kiepsko się kręcił. Dobrze schodziły tylko papierowe flagi. Kupiłem znaczek do klapy marynarki od wyglądającego z cygańska kolesia, który narzekał, że demonstracje odstraszają turystów.

W całym tłumie naprawdę zmotywowani byli tylko ludzie stojący w wijących się na sto metrów kolejkach do toalet, które urządzono na przyczepach dwóch ciężarówek zaparkowanych przy moście. Były to proste konstrukcje, zwykłe szopy podzielone na pięć wygódek, z metalowym pojemnikiem pod spodem. Każda kabina miała otwarte okienko, pozbawione takich fanaberii jak matowe szyby czy choćby zasłonki. Ciężarówkę z ubikacjami dla pań ustawiono tak, że okienka wychodziły na most i przechodnie mieli doskonały widok na wdzięki siusiających. Najpierw tuż nad parapetem widziało się tył wełnianej czapki, po czym właścicielka wstawała i jej biała pupa wypełniała ramę okienną. Majtki wjeżdżały na miejsce — mogę donieść, że były w różnych odcieniach różu i beżu — a po chwili zamieszania nad parapetem pojawiała się kolejna wełniana czapka. Niektórzy przechodnie zabawiali dłużej na moście, żeby lepiej się przyjrzeć, ale większość raczej ignorowała ten nieskrępowany ekshibicjonizm.

Byłem ciekaw, co się dzieje po drugiej stronie. Plac Czerwony był oddzielony barykadami, a wszystkie ulice wokół zablokowały ciężarówki i autobusy pełne młodych członków staży ochotniczej, palących lub drzemiących słodko, z głowami wspartymi na ramionach kolegów. GUM był otwarty i pełen kupujących obojętnych wobec historycznych wydarzeń. Po drodze zaopatrzyłem się w serniczek oraz pepsi, na wypadek gdyby rząd padł i gdyby oddzielili kordonem bar Rosie O'Grady's.

Frakcja antyjelcyńska zgromadziła się na placu Maneżowym, pomiędzy hotelem Moskwa a dawnym Muzeum Lenina. Chociaż było ono zamknięte na czas renowacji, a leninizm przeniesiono do Muzeum Rewolucji na ulicy Twerskiej, wciąż stanowiło regularne miejsce spotkań zatwardziałych komunistów. Było ich tylko o połowę mniej niż demokratów, ta sama

mieszanka młodych i starych, wyświechtanych i eleganckich, jednak z przewagą starszych mężczyzn w ciemnych marynarkach z baretkami. Wyglądali na bardziej znękanych i chorowitych, może dlatego że nie potrafili cieszyć się urokami gospodarki wolnorynkowej. Byli też bardziej rozdrobnieni niż demokraci. Dostrzegłem czerwone flagi z sierpem i młotem, flagi czarno-biało-żółte, czarno-biało-żółte z cesarskimi orzełkami, białe z cesarskimi orzełkami. Byłem tak przyzwyczajony do oglądania czerwonej flagi sprzedawanej jako pamiątka dla turystów, że przeżyłem szok, gdy zobaczyłem, jak ludzie wymachują nią na poważnie. Po tej stronie barykady było też więcej własnoręcznie wykonanych transparentów i sztandarów oraz gazet, które wyglądały, jakby zostały wydrukowane na tej samej prasie co „Iskra" Lenina. Komuniści wciąż zwracali się do siebie nawzajem per „towarzyszu", co uznałem za urocze.

Poszczególne frakcje antydemokratów dysponowały różnymi systemami nagłośnienia. Przemowy pełne skarg i narzekań mieszały się z pojedynczymi okrzykami typu: „Precz z Jelcynem", „Niech żyje Lenin" i „Przywrócić Romanowów", ale nie robiły wrażenia na przechodniach, którzy kłębili się, zajadając lody i ignorując nieszczęsnych sprzedawców odznak i pocztówek. Tutaj również poczucie celu mieli tylko ci, którzy przestępowali z nogi na nogę w wijących się wśród tłumu kolejkach do toalet. Antyjelcynowskie ubikacje zlokalizowano w cieniu nieopodal Grobu Nieznanego Żołnierza. Stojąc na schodach muzeum, mogłem stwierdzić, że tutaj pupy były równie duże, a majtki miały te same kolory co u demokratów.

Już miałem zamiar pozwolić, aby historyczne wydarzenia rozgrywały się dalej bez mojego udziału, kiedy w kolejce do damskiej toalety zauważyłem sąsiadkę, uroczą starą *babuszkę*, która mieszkała w wyziewach z kanalizacji i oparach kocich szczyn oraz kapusty w trzewiach mojej klatki schodowej. Czasami pomagałem jej nosić zakupy. Oddychanie przez usta nic nie dawało. Była mała, krępa, miała jasnoniebieskie oczy i piękne siwe włosy, schludnie wetknięte pod fioletową wełnianą czapkę. Na sznurku na jej szyi wisiało zdjęcie towarzysza Stalina, które na co dzień musiało ozdabiać jej ścianę. Przez większość czasu wałęsała się po podwórku i wyglądała tak, jakby próbowała sobie przypomnieć, gdzie mieszka, więc nie podejrzewałbym jej o polityczny aktywizm. Przywitaliśmy się jak dawno niewidziani krewni.

— Towarzyszko Olgo, jak się mają sprawy?

— Normalnie. Kolejka przesuwa się tak wolno, że jak tylko zrobię siusiu, będę musiała wrócić na koniec i stanąć od nowa. Dlaczego tutaj jesteś? Czemu nie stoisz z Amerykanami po drugiej stronie?

— Kiedy byłem na uniwerku, komuniści robili najlepsze imprezy.

— I dziewczyny były gorętsze, co? Zupełnie jak my.

Jak na uroczą starszą panią miała wyjątkowo zbereźny śmiech.

— Był twoim chłopakiem? — zapytałem, stukając w fotografię na jej piersi.

— Mój mąż czołgał się na brzuchu od Wołgi po Łabę za tego człowieka. On trzymał ten kraj w kupie. Patrz, co teraz się z nami dzieje.

— Ale przecież towarzysz Stalin robił Rosjanom straszne rzeczy.

— Ty nie rozumiesz.

— Ma pani rację.

Nigdy nie potrafiłbym tego zrozumieć. To, przez co przeszli ludzie tacy jak ona, pozostawało poza możliwościami pojmowania kogokolwiek, kto spędził dzieciństwo na zielonych powojennych przedmieściach Birmingham.

Dotarliśmy do schodów prowadzących do przyczepy i grzecznie się pożegnałem, uznając, że nie wypada mi się kręcić w okolicy, podczas gdy znajoma osoba pokazuje przez okno goły tyłek. Zamarzył mi się jeszcze jeden serniczek, więc spacerkiem ruszyłem z powrotem do GUM-u. Przez okna na parterze sklepu zauważyłem ożywienie pośród demokratów, toteż

podążyłem w stronę cerkwi Wasyla Błogosławionego. Ludzie parli na mury Kremla, wciąż powtarzano, że pojawi się Jelcyn. Stałem na skraju grupy chaotycznie skandującej „Jelcyn, Jelcyn", kiedy zauważyłem ładną blondynkę w kurtce narciarskiej, przepychającą się przez tłum z wyraźną rozpaczą.

— Błagam, czy ktoś tu mówi po angielsku?

— Tak, ja — zawołałem.

— Och, dzięki Bogu — sapnęła.

Złapałem ją za ramiona w braterskim uścisku, z którego próbowała się wyswobodzić.

— Proszę się uspokoić. Proszę się nie martwić. Proszę mi powiedzieć, co się stało. Znajdziemy pomoc. Proszę oddychać głęboko. Wszystko będzie dobrze.

— Niech mnie pan puści! Jestem z BBC. Proszę, pójdzie pan ze mną?

Wciąż myśląc, że wydarzył się jakiś straszny wypadek, podążyłem za nią przez tłum. Przepchnęliśmy się przez kordon policji w kierunku kościstego prezentera o uśmiechu pełnym zmarszczek, znanego mi z niezliczonych programów informacyjnych *Newsnight*. Spodziewając się najgorszego po rosyjskim klimacie, zarówno w sensie pogodowym, jak i politycznym, był ubrany w ekstrawagancką parę kozaków, wysokich do połowy łydki, grubych, brązowych i futrzanych. Stał plecami do przypominających porcje lodów kopuł cerkwi Wasyla Błogosławionego, chronionych przez uzbrojoną policję, ale na tyle daleko, żeby pozostawać poza zasięgiem ewentualnych strzałów. Pomachał do nas radośnie i przywołał mnie, abym dołączył do grupki młodych ludzi wokół niego.

— Ach, super. Bardzo dobrze. Jesteśmy gotowi?

Dopiero kiedy spojrzał w kamerę, uświadomiłem sobie, co się dzieje. Nagle zrobił poważną minę, wybałuszył oczy i kładąc mocny akcent na co drugą sylabę, niezależnie od tego, czy było to uzasadnione, czy nie, rozpoczął relację, zarzucając głową w tę i we w tę, ale ze wzrokiem cały czas utkwionym w kamerę, tak jak tego uczą w szkole prezenterów telewizyjnych, żeby nie wyglądali na sztywniaków, tylko na kolesi cierpiących na tiki nerwowe.

— DEcyDUjąCE GŁOsoWAnie NA BOrySA JELcyNA. Przez CAły DZIEŃ tu, NA PLAcu CZERwoNYM TRWAją DEmonSTRAcje...

Co miałem zrobić? Słodka blondynka w narciarskiej kurtce uśmiechała się do nas nerwowo. Och, czemu nie, do diabła. Poza tym, ponieważ bezstronnie demonstrowałem po obu stronach, czułem się wyjątkowo uprawniony do odgrywania roli *vox populi*. Wszystko rozegrało się bardzo szybko i cały wywiad pamiętam jak przez mgłę. Młodsi Rosjanie mówili z amerykańskim akcentem. A potem prezenter zwrócił się do mnie, zapytał, dlaczego dziś demonstruję, i podetknął mi mikrofon pod nos, jakby oferował polizanie rożka z lodami. Czerpiąc inspirację ze swojej czapki, spalatalizowałem głoski lateralne, zwokalizowałem te szczelinowe i spróbowałem zabrzmieć jak tubylec.

— *Znaczit*, już nie możemy zawrócić. Płyniemy z nurtem historii.

Pomyślałem, że wszystko się wyda. Mężczyzna ze słuchawką w uchu zamachał rękami. Słodka blondynka zrobiła gest podcinania sobie gardła czymś, co — jak miałem nadzieję — było tylko jej palcem. Korespondent odsunął ode mnie mikrofon i spojrzał poważnie w obiektyw.

— Z MosKWY w CHAoSIE. WRAcaMY do STUdia.

Dowiedziałem się, że BBC wykorzystywało wywiad ze mną przez następne dwa dni. Kilka gazet pożyczyło mój frazes na temat nurtu historii i użyło go jako podpisu pod zdjęciami. Gdyby nie te niezbite fakty, trudno byłoby mi uwierzyć, że znajdowałem się w tym samym miejscu co dziennikarze opisujący to wydarzenie. Informowali, że na ulice wyszło sześćdziesiąt tysięcy zwolenników Jelcyna oraz dziesięć tysięcy komunistów i nacjonalistów. Takie masy wypełniłyby Old Trafford, tymczasem ja na placu Czerwonym widziałem tłum, który można

spotkać na stadionie St Andrews[26] na meczu Birmingham City w środku tygodnia. A demokraci z pewnością nie przewyższali liczbą komunistów w stosunku sześć do jednego. Raczej można tu mówić o proporcji dwa do jednego.

Nie pierwszy i nie ostatni raz informacje podawane przez media trudno mi było odnieść do tego, co rzeczywiście działo się w Rosji. Mogę potwierdzić jeden niezaprzeczalny fakt — majtki po obu stronach były w tych samych odcieniach różu i beżu.

ROZDZIAŁ 12

Ziemniaki i zarazki

Pierwszego Rosjanina w życiu spotkałem w 1984 roku. Wisiał nad nami cień George'a Orwella. Głową dogorywającego Związku Radzieckiego był wtedy dogorywający Czernienko. Słynni rosyjscy dysydenci przebywali na wygnaniu: Sołżenicyn w Vermont, a Sacharow na wewnętrznej emigracji w zamkniętym dla obcokrajowców mieście Gorki[27]. Związek Radziecki zbojkotował letnie igrzyska olimpijskie w Los Angeles w odpowiedzi na amerykański bojkot poprzednich igrzysk, które odbyły się w Moskwie w 1980 roku. Ronald Reagan podsycał zimną wojnę za pomocą hollywoodzkiej Inicjatywy Obrony Strategicznej i systemu Star Wars, zbrojąc dziś nazywanych terrorystami talibów w Afganistanie oraz członków partyzantek Contras w Nikaragui i Unita w Angoli przeciwko wspieranym przez ZSRR rządom tych krajów. James Bond wciąż walczył z Rosjanami. Związek Radziecki stanowił zupełnie inny świat, obcy, dziwny i groźny.

Władimir był młodym biochemikiem i przebywał w Anglii w związku z sześciomiesięcznym programem wymiany. Przedstawił nas sobie wspólny znajomy. Moja żona i ja mieliśmy właśnie jechać na zorganizowaną wycieczkę do Leningradu i Moskwy, skorzystaliśmy więc z okazji, żeby przećwiczyć radzenie sobie z wrogiem, i zaprosiliśmy go do domu na kolację. Ta wiadomość wywołała poruszenie zarówno na placu zabaw, jak i w biurze oraz w pubie. Rosjanie stanowili egzotyczną ciekawostkę. Dzieci były podekscytowane, a my podenerwowani.

Od razu przypadliśmy sobie do gustu. Władimir, w swojej sportowej marynarce i flanelowych spodniach, wyglądał na Anglika bardziej niż ja, z tym że jego sweter był za czysty, spodnie za bardzo odprasowane, a półbuty zbyt dokładnie wypastowane. Był kilka lat młodszy od nas i miał trzyletnią córeczkę oraz nowo narodzone dziecko, którego jeszcze nie widział, bo przyszło na świat, kiedy mieszkał już w Wielkiej Brytanii. Mówił płynnie po angielsku i okazał się wspaniałym kompanem, z poczuciem humoru zabarwionym pesymizmem i ironią. Z rozbrajającą szczerością odnosił się do sytuacji w Rosji. KGB ostrzegło go, że zagraniczni agenci będą próbowali go zrekrutować, więc powinien ostrożnie traktować prezenty i zaproszenia na kolacje od obcych. My z kolei mieliśmy być podejrzliwi wobec Rosjan, zwłaszcza półdyplomatów, takich jak członkowie delegacji handlowych czy naukowcy z wymiany. Ani on, ani my nie chcieliśmy dać się zastraszyć naszym rządom.

Czas próby nadszedł, kiedy zaproponowaliśmy, że zabierzemy do Moskwy prezenty dla jego dzieci. Nie spodziewaliśmy się listów i kaset. Czy przemycał za naszym pośrednictwem naukowe sekrety? Czy nas wrabiał? Władimir miał podobne obawy. Czy to pułapka? W końcu razem podjęliśmy świadomą decyzję: pieprzyć to, nie pozwolimy się tłamsić propagandzie!

Przyznam, że zacząłem się denerwować, kiedy celnik o kamiennej twarzy wziął listy i kasety do pomieszczenia na zapleczu i nie było go dwadzieścia minut. Ale wrócił, szczerząc zęby w uśmiechu. Władimir nie chciał ryzykować wysyłania nas do swojego mieszkania w Moskwie. Jego sąsiedzi byli zgorszeni zagranicznym wyjazdem, miał też krewnych w wojsku, którzy tego

nie pochwalali. Poprosił więc współpracowników z laboratorium, żeby odebrali od nas przesyłkę. Nasze obawy mogły być śmiechu warte, ale nie dało się zignorować autentycznego przerażenia w oczach dwóch młodych mężczyzn, którzy wpadli do lobby hotelu Intourist, porwali od nas paczki i wybiegli bez słowa. Współczuliśmy im i sobie samym. Wszystko to teraz brzmi zabawnie, lecz w tamtych czasach nikomu nie było do śmiechu.

Po powrocie z Rosji zaczęliśmy dostawać osobliwe telefony. Słyszeliśmy też dziwne kliknięcia na linii. Prawdopodobnie miało to więcej wspólnego z niekompetencją British Telecom niż z inwigilacją, ale nam wydawało się złowieszcze. Listy, które przysyłał nam Władimir, nosiły wyraźne ślady otwarcia, ale nie mieliśmy pojęcia, kto przy nich majstrował. Latami wymienialiśmy kartki na Boże Narodzenie, a ja wysyłałem mu moje książki. Gdy przyjechałem do Moskwy, skontaktowałem się z nim, a on zaprosił mnie na kolację. Umówiliśmy się w jego instytucie, oddalonym o dziesięć minut spacerkiem od placu Gagarina, gdzie Pierwszy Człowiek w Kosmosie stał dumnie na szczycie wysokiej srebrnej kolumny strzelającej w gwiazdy. Od czasu tamtych triumfów stan rosyjskiej nauki zdecydowanie się pogorszył. Instytut powoli popadał w ruinę, chwasty wyrastały ze szczelin, farba obłaziła. Zaprojektowany po drugiej wojnie światowej funkcjonalny budynek nie zmienił się za wiele od tamtego czasu. W holu znajdowały się marmurowe stopnie prowadzące na piętro. Sprzątaczka, równie wiekowa co strażnik przy wejściu, szorowała je szmatą obwiązaną na kiju, od czasu do czasu odświeżając gałgan w wiadrze brudnej wody. W połowie schodów przerwała, aby odpocząć. Wsparła się na „mopie" i wlepiła wzrok w znoszone pantofle. Woda z pluskiem ściekała po schodach. Imponujący zegar nad drzwiami zatrzymał się na dziesięć po dziewiątej.

Czas okazał się łaskawszy dla Władimira. Wyglądał dokładnie tak jak podczas naszego ostatniego spotkania w Londynie dziesięć lat wcześniej. Zapytał mnie, jak się mam. Odpowiedziałem, że nieźle. Zadałem mu to samo pytanie.

— *Normalno* — odparł.

Wziął mnie na wycieczkę po instytucie. Ściany na piętrze były ozdobione przypominającymi policyjne fotografie zdjęciami profesorów pracujących tu od początku założenia placówki w 1935 roku. Nawet te przedstawiające obecnych pracowników wyglądały tak, jakby ukazywały ludzi z innej epoki, o surowych twarzach, niektórych w wojskowych mundurach.

— Znasz Oparina, oczywiście. — Władimir wskazał jedną z fotografii. — Darwin XX wieku.

Pokazał mi laboratorium tego wielkiego człowieka. Jak wszystkie inne laboratoria to też mnie rozczarowało. Było tu tylko kilka drewnianych stołów, parę probówek i innych elementów wyposażenia z przyzwoitego zestawu małego chemika.

— Opracował teorię zupy pierwotnej, wyjaśniającą powstanie życia na Ziemi. Był wielkim przyjacielem Salvadora Dalego.

Próbowałem ujrzeć oczyma wyobraźni surrealistyczne tajemnice wszechświata, ale wszystko, co widziałem, to obskurny mały pokoik, w którym przydałoby się posprzątać.

— Nic tu nie ruszaliśmy, od czasu gdy zmarł w 1980 roku. Nie ma pieniędzy na renowację. Kiedy ZSRR się rozpadł, załamało się również finansowanie.

— Wszechświat też zaczął się od wybuchu. Co badaliście?

— Poświęciłem życie jednej małej bakterii. Wirusowi, ściśle rzecz biorąc.

Szliśmy obskurnymi korytarzami, a nasze kroki odbijały się echem. Cały czas prześladowało mnie poczucie, że czegoś tutaj brakuje. W końcu to do mnie dotarło.

— Gdzie są naukowcy, Wład?

— W Niemczech. Gdy tylko zdobędziesz doktorat, otwierają się przed tobą drzwi.

Niemiecka nauka wkrótce znowu będzie przodować w Europie, a to wszystko dzięki rosyjskim mózgom. Poza Żydami, którzy jadą do Izraela, żeby potem przenieść się do Kalifornii. Wszyscy teraz szukają żydowskich pradziadków w rodzinie. Już trzydzieści tysięcy naukowców opuściło kraj.

— A czemu ty nie pojedziesz?

— Dostaję propozycje. Ale czy ja chcę, żeby moje dziewczynki zostały Amerykankami? A co z moimi rodzicami?

— Przynajmniej wciąż masz portiera i sprzątaczkę.

— Też by wyjechali, gdyby mieli szansę. Pracuje tu trochę studentów i kilku starych profesorów. Są szczęśliwi, że zarabiają pięćdziesiąt dolarów na miesiąc. Mamy tutaj panią z podwójnym doktoratem, popołudniami piekącą ciasta, które potem sprzedaje jej matka.

— Co robicie, żeby przetrwać?

— Próbujemy rozkręcić jakiś biznes. Musimy sprawić, by nasza wiedza stała się opłacalna. Jak na razie jeszcze nie muszę piec ciast. Staram się wymyślić sposób na lepsze wykorzystanie tego budynku.

— A co powiesz na restaurację z pieczonymi ziemniakami? Nazwiemy ją Spuds and Bugs.

— Czemu nie? Piwnicę wynajmujemy już biznesmenowi w zamian za ubrania z Wietnamu.

W moim przedsiębiorczym umyśle zaczęło wrzeć. Specjalność dnia: zupa pierwotna.

Władimir mieszkał w południowo-zachodniej dzielnicy Moskwy, na końcu czerwonej linii metra, w jasnym i przestronnym apartamencie. Jego piękna żona pracowała jako fizyk w innym instytucie. Chociaż nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy, było to dla nas emocjonalne zjednoczenie, znak, że czasy zmieniły się na lepsze, od kiedy woziliśmy listy między wrogimi imperiami. Ich ładne córeczki poćwiczyły na mnie angielski, po czym kulturalnie uciekły do sypialni, żeby dopiero tam wybuchnąć śmiechem z powodu mojego rosyjskiego. Rasowy spaniel doskonale dopełniał obraz tego domostwa.

Za czasów komuny naukowcy należeli do elity społeczeństwa. Szanowano ich, dobrze opłacano, zapewniano im dostęp do najlepszych szkół i szpitali. Pod pozorem konferencji mogli wyjeżdżać na zagraniczne wycieczki na koszt podatników. Nad herbatą i ciastem znowu pogrążyliśmy się w ponurych rozmyślaniach na temat obecnego stanu Rosji.

— Ludzie mówią, że Rosja jest w oblężeniu. Że czyhają na nas zarówno zagraniczni, jak i wewnętrzni wrogowie. Zgodnie z teorią marksizmu Rosja jest gotowa na rewolucję.

— Marks często się mylił. To był wasz główny problem. Myśl pozytywnie, Władimirze.

— Jestem naukowcem. Pozytywne myślenie to celowe wypaczanie rzeczywistości.

Złagodziliśmy ból kolejną szklaneczką gruzińskiego czerwonego wina. W niektórych gatunkach tego trunku podobno gustował Stalin. Na szczęście to do nich nie należało. On wolał półsłodkie, co można dopisać do jego listy niedoskonałości.

Rozmowa gładko przeszła z polityki na zanieczyszczenia. Kilka lat wcześniej instytut podpisał kontrakt z Ministerstwem Obrony na opracowanie technologii umożliwiającej oczyszczanie powietrza w zamkniętych środowiskach. Istoty ludzkie produkują koktajl złożony z około osiemdziesięciu toksycznych substancji. Naukowcy wpadli na pomysł wykorzystania bakterii. Zasada działania nie była nowa — bakterii używano do oczyszczania skażonej wody od początków XX wieku. Ale oczyszczanie powietrza jest znacznie trudniejsze. Badacze rozwiązali ten problem za pomocą urządzenia zwanego bioreaktorem. Ogólnie mówiąc, była to puszka pełna specjalnie wyselekcjonowanych bakterii żywiących się toksynami. Naukowcom nie powiedziano, do czego będzie ona służyć. Możliwe, że budowali ją na potrzeby stacji kosmicznej Mir albo —

co bardziej prawdopodobne — atomowych łodzi podwodnych, które całymi miesiącami tkwiły pod wodą. Być może teraz, kiedy to czytacie, bioreaktory utrzymują świeże powietrze w łodziach podwodnych pod lodem Arktyki, a raczej tym, co z niego zostało. Naukowcy z instytutu zapomnieli o projekcie, dopóki jeden z badaczy nie poznał dyrektora fabryki mebli. Wyziewy z fabrycznej lakierni przekraczały dozwolone prawem limity, instytut postanowił więc zbudować większą wersję bioreaktora i przetestować go w takich warunkach. Urządzenie zadziałało lepiej, niż ktokolwiek się spodziewał, eliminując ponad dziewięćdziesiąt pięć procent toksycznych substancji. W ciągu następnych czterech lat zainstalowano dwadzieścia bioreaktorów w fabrykach w całej Rosji.

— Co trzyma te bakterie w puszce, Władimirze? Czemu nie uciekną?

— To jedyne życie, jakie znają. Na zewnątrz by zginęły. Bioreaktor to żywa społeczność, malutcy obywatele zajmujący się swoimi sprawami. Znajdują swoje miejsce na górze albo na dnie, na krawędzi albo pośrodku i poświęcają się sztuce przetrwania. Żywią się węglem, tlenem i wodą, jak my. Rodzą się, dorastają, rozmnażają i umierają. Mają inne charaktery, inne role, różne miejsca w hierarchii, począwszy od wyrafinowanych smakoszy na górze, aż po zwykłych zjadaczy na dnie. *Jedzą*, defekują i rozmnażają się w sprzyjających warunkach. Stają się apatyczne, jeśli zabraknie im pokarmu, a grube i rozleniwione, kiedy jest go za dużo. Dobrze, że nie mogą zapytać, dlaczego to robią.

— A gdyby miały taką możliwość, czy zaczęłyby się inaczej zachowywać?

— Można się przyzwyczaić do wszystkiego, nawet do piekła. Powiedz mi, John, czy na Zachodzie istnieje coś takiego jak nasz bioreaktor?

— Nie mam pojęcia, Władziu, dowiem się.

To było uprzejme, ale nieszczere z mojej strony. Myśl, że Rosjanie mogliby dysponować przełomową technologią środowiskową, wydawała mi się absurdalna! Wszyscy wiedzieli, że ochrona środowiska zupełnie ich nie obchodzi. Terytoria wielkości europejskich krajów leżały tu odłogiem, a jakość powietrza i wody w miastach wołała o pomstę do nieba. Rosjanie może i posłali ludzi w kosmos, ale reszta ich technologii była prymitywna albo skopiowana z Zachodu. Zresztą miałem ważniejsze sprawy na głowie.

— Nie znasz kogoś, kto hodowałby dobre ziemniaki?

— Nie, John. Popytam się.

Mieszkanie Władimira stanowiło oazę normalności. Zawsze czułem się tam mile widziany. Podziwiałem sposób, w jaki ta rodzina radziła sobie w obliczu niepewnego i zmieniającego się świata. Profesorowie w innych instytutach wzbogacali się, sprzedając prawa patentowe lub usługi zagranicznym firmom. Zachodni rzecznicy patentowi przybywali do Rosji i wyszukiwali wynalazki, zwłaszcza związane z obronnością, ale Władimir miał swoje zasady. W którymś momencie, gdy zabrakło funduszy na rozwój bioreaktora, zaproponowałem mu tysiąc dolarów. Zbladł.

— Nie jestem jak inni. Nie chcę być taki jak oni.

— To nie jest łapówka, Wład, to inwestycja. Zrobimy to oficjalnie.

— To wbrew prawu. Instytut musiałby oddać dolary i ubiegać się o grant w rublach.

— To weź je nieoficjalnie.

— To śliska sprawa. *Gold is tested by fire, man by gold.*

Zaprosił mnie, żebym zobaczył bioreaktor w akcji, w fabryce butów na przedmieściach. Z powodu kryzysu gospodarczego oraz importowanych z Azji towarów zalewających rynek tylko jedno piętro z sześciu było używane. Na wielkiej hali, do której światło wpadało przez brudne okna i sączyło się z surowych świetlówek, maszyny cięły plastik i materiały na kawałki, które w całość łączyli robotnicy stojący przy długich ławach. Kiedy patrzyliśmy, pracowali ciężko i w

milczeniu, ale wrócili do plotkowania, gdy tylko sobie poszliśmy. Buty były przeznaczone dla takich samych ludzi jak ci, którzy je robili, kupujących nową parę na początku zimy, łatających ją i klejących przez cały rok do momentu, w którym nie rozpadną się tak, że już nie da się ich naprawić. Wyglądały na wygodne, wystarczająco szerokie na moją płaską stopę i zapytałem kierownika, czy jest tu sklep fabryczny. Obrzucił spojrzeniem moje szkoty i wcisnął mi do rąk parę butów z końca linii produkcyjnej. Pasowały jak ulał i wspaniale dopełniły moją rosyjską garderobę.

— Życzę przyjemnego korzystania, towarzyszu — rzucił Władimir, który miał na sobie buty marki Church kupione w Anglii podczas pobytu na konferencji.

Opary kleju i gorącego plastiku były wysysane przez okapy i odprowadzane przewodami wentylacyjnymi do bioreaktora piętro wyżej. Bardzo chciałem wyrazić podziw dla tego urządzenia, ale widziałem tylko wielką niebieską puszkę, wysoką na trzy metry, w kształcie cylindra, jaki można znaleźć w brytyjskich szafkach do przesuszania bielizny.

Spotkałem się z dyrektorem instytutu oraz dwoma szefami laboratorium, aby przedyskutować sposoby skomercjalizowania bioreaktora w Europie Zachodniej. Moja rada, oparta jedynie na myśleniu życzeniowym, polegała na tym, żeby nie sprzedawać technologii, tylko ją licencjonować w zamian za udział w zyskach. Idealny partner powinien być mocny w inżynierii i marketingu, ale pozbawiony własnego centrum badawczo-rozwojowego. Spekulowałem na temat tego, co mogłoby się znaleźć w umowie i jak powinna wyglądać struktura firmy. W rezultacie oficjalnie poproszono mnie, abym zbadał możliwości wejścia w spółkę z kapitałem mieszanym z zagranicznymi firmami. Podpisaliśmy *protokoł* wyznaczający mnie na ich pełnomocnika.

Tego wieczoru w kuchni Władimira pracowaliśmy nad ofertą, którą mógłbym przedstawić firmom inżynieryjnym, kiedy wrócę do Wielkiej Brytanii, zawierającą fakty, liczby, rysunki oraz raporty dotyczące istniejących już instalacji w Rosji. Nie chciałem wspominać, że szanse na to, aby brytyjska firma poważnie potraktowała rosyjską technologię środowiskową, były marne. W Anglii istniała głęboko zakorzeniona awersja do innowacji „niewymyślonych tutaj". Do pokonania mieliśmy jeszcze jedną praktyczną przeszkodę.

— Władimirze, a jak przewieziemy bakterie do Anglii?

— Zliofilizujemy je jak kawę Nescafé. Wiaderko powinno być w sam raz. Potem wystarczy je tylko zmieszać z wodą i ożyją.

— Ale to wciąż będą bakterie. Jak chcesz przemycić wiaderko suszonych bakterii przez odprawę celną?

— To tylko wiaderko. Jeśli chcesz, możemy zrobić mniejszą porcję i wysłać pocztą.

— Nie o to mi chodzi. Nie możesz po prostu przesyłać bakterii i zarazków przez granicę w bagażu czy pocztą.

— Naukowcy robią tak cały czas. Właśnie tak współpracują laboratoria. Zanurzasz bibułę w probówce i wkładasz ją do koperty ze znaczkiem. Na drugim końcu wyciągają bibułę i wkładają ją do naczynia z odrobiną wody. Bardzo ładna hodowla bakterii.

— Ale co jeśli to są śmiertelnie niebezpieczne zarazki, takie jak ospa czy wąglik?

— To samo. Nigdy nie da się zatrzymać tych rzeczy na granicach. Trzeba by je zablokować u źródła.

— Nie wierzę.

Postanowiłem, że następnym razem, gdy będę wracał do Londynu, udowodnię mu, że nie ma racji. Napełniliśmy starą buteleczkę po lekarstwie mąką zmieszaną z wodą i zamknęliśmy ją zakrętką od butelki z winem. Na jego komputerze wydrukowaliśmy etykietkę z trupią czaszką i skrzyżowanymi piszczelami. Po angielsku i rosyjsku napisaliśmy „Niebezpieczeństwo. Rosyjska

bakteria. Szkodliwa w zetknięciu z drogami oddechowymi lub pokarmowymi". Na Heathrow podszedłem do przejścia dla pasażerów mających coś do oclenia. Wyjąłem buteleczkę z teczki i pokazałem celnikowi. Przez chwilę uważnie studiował etykietkę.

— A zatem co to jest?

— Tak jak zostało napisane. Żywa bakteria. Z rosyjskiego laboratorium.

— Ile jest warta?

— Pięć tysięcy rubli.

— A ile to jest?

— Około siedmiu funtów pięćdziesięciu pensów.

— Proszę przechodzić — rzucił gniewnie i wskazał mi drogę.

— Przepraszam pana, ale ja chcę to zadeklarować. To rosyjska bakteria.

— Mówił pan, że ile jest warta?

— Około siedmiu i pół funta.

— Niech pan przestanie marnować mój czas.

— Jest pan pewien, że to nie jest zakazane ani nic?

— Niech się pan stąd zabiera.

— Chciałbym rozmawiać z pana przełożonym.

Celnik westchnął ostentacyjnie i poszedł po swojego kierownika. Znowu przerobiłem ten sam dialog. Odmówiłem odejścia od stanowiska, dopóki nie przejrzą wszystkich przepisów Urzędu Skarbowego i Celnego Jej Królewskiej Mości, Ministerstwa Przemysłu i Handlu, Ministerstwa Zdrowia, Ministerstwa Rolnictwa, Rybołówstwa i Żywności. Mieli rację. Nic nie mogło mnie powstrzymać przed wwiezieniem tej butelki do kraju. W ciągu następnych kilku dni zadzwoniłem do każdego, kto mógłby być zainteresowany tym faktem — na policję, do lokalnych władz, do Ministerstwa Obrony. Wszyscy odsyłali mnie do kogoś innego.

ROZDZIAŁ 13

Słodkie kłamstwo jest lepsze niż gorzka prawda

Władimir był bardziej słowny niż ja, jeśli chodzi o dotrzymywanie obietnic. Wykorzystał swoje kontakty w Akademii Nauk, aby przedstawić mnie w Instytucie Badania Roślin w Zielenogradzie, czterdzieści kilometrów na północny wschód od Moskwy. Instytut powstał w latach pięćdziesiątych jako rosyjski odpowiednik Doliny Krzemowej, a Zielenograd był wtedy miastem zamkniętym. Za czasów komuny nie znaleźlibyście go na mapie. Teraz przekształcił się w obszar podmiejski Moskwy i łatwo można było się tam dostać pociągiem.

Ze stacji odebrała mnie profesor Myszkin. Przejechaliśmy przez pierwotne tereny miasta, ładnie usytuowane nad rzeką, a potem zaczęliśmy mijać ponure, obdrapane wieżowce, aż wreszcie dotarliśmy do instytutu na skraju kolektywnego gospodarstwa. Podejrzewam, że w założeniu centrum badawcze miało płynnie przechodzić w pola, ale między spustoszoną ziemią i podupadającymi budynkami na zewnątrz a edenem wewnątrz ziała przepaść nie do pokonania.

Profesor Myszkin była bardzo poważną osobą. Uroczyście uścisnęliśmy sobie dłonie na przywitanie, jak to jest w zwyczaju, ale ona pozostała posępna również przez resztę naszego spotkania. Być może jej umiejętności zachowania się w towarzystwie ograniczały się do rozmów z roślinami. Albo może czuła się niekomfortowo, zdradzając państwowe sekrety obcokrajowcowi szpiegującemu strategiczne warzywa. Pokazała mi swoją sałatę. Otrzymała zadanie, aby wynaleźć urządzenie do hodowania świeżej sałaty na stacji kosmicznej Mir, więc zbudowała wolno poruszający się przenośnik taśmowy, długi na nieco ponad pół metra, umieszczony w pojemniku wyposażonym w czerwone światło o niskim napięciu. Przenośnik był załadowany

kulkami włókna namoczonego w wodnej pożywce. Każda zawierała ziarno sałaty. Kosmonauta musiał po prostu włączyć urządzenie i po dziesięciu dniach młoda, świeża sałata unosiła się w kosmosie. W kanapce z syntetycznym sosem majonezowym, pychota.

Bardzo interesujące, ale ja tu przyjechałem ze względu na ziemniaki. Te rosyjskie były tak niewydarzone, bo gospodarze nie mieli pieniędzy na odpowiednie sadzeniaki. Używali resztek plonów z poprzedniego roku, które przez całe pokolenia zbierały choroby i genetyczne defekty z wcześniejszych wcieleń na polu. Nowocześniejszym sposobem jest uzyskiwanie dziewiczych bulw z małych zielonych pędów, które wyrastają z ziemniaczanych oczek. Potem odrzucasz niedoskonałe bulwy i hodujesz kolejne pokolenie. Znowu je selekcjonujesz i powstaje trzecie pokolenie, które dopiero sprzedajesz rolnikom. Cały proces trwa trzy lata. Jedna z tajemnic handlowych polega na tym, żeby wiedzieć, kiedy zebrać plony. Jedynym sposobem, by sprawdzić, czy ziemniaki są już gotowe do zbiorów, jest wyciągnięcie rośliny z ziemi. A to marnotrawstwo.

Dlatego w Zielenogradzie opanowano do perfekcji system bezglebowej uprawy roślin. Bierze się najmniejsze sadzonki z samych czubków zielonych pędów, ledwie widoczne gołym okiem, i wkłada do oświetlanych sztucznym światłem witryn ze specjalnym podłożem hodowlanym. Wyrastają z tego delikatne małe roślinki, które z kolei wtyka się w porowaty materiał umieszczony w sztucznie oświetlanych plastikowych rynnach z wodną pożywką. Powstaje z nich pierwsza generacja bulw. Uprawia się trzy pokolenia jednocześnie, więc cały proces zajmuje tylko rok zamiast trzech lat. Można hodować ziemniaki na okrągło i nie być na łasce rosyjskiej zimy.

Prawdziwa sztuka polega na zainstalowaniu tego wszystkiego dwa metry nad ziemią. W każdej chwili można odłączyć przepływ pożywki, obniżyć rynny i zebrać te bulwy, które są już gotowe, a potem z powrotem zamontować orynnowanie i czekać, aż dojrzeją kolejne. Naukowcy uprawiali ziemniaki jak owoce, zrywając je znad głowy. Było to rozwiązanie równie wspaniałe, co absurdalne. Zapłaciłem z góry trzysta dolarów i podpisałem kontrakt na wystarczającą ilość sadzeniaków, żeby uzyskać pięć tysięcy ton wspaniałych kartofli do pieczenia. Wszystko, co musiałem teraz zrobić, to znaleźć farmerów, którzy mi je wyhodują, suche, wentylowane szopy do składowania zbiorów oraz ludzi do sortowania, mycia i pakowania.

Profesor Myszkin poradziła, żebym spróbował poprosić o pomoc European Agency for the Technology. Pomogła mi napisać list intencyjny. Kiedy wróciłem do Wielkiej Brytanii, skontaktowałem się z czołowymi hodowcami sadzeniaków w Szkocji, Irlandii oraz w Holandii i opisałem im nowy system. Wyśmiali mnie, więc zrezygnowałem z zawracania głowy agencji. A szkoda. Rosjanie założyli firmę, stali się światowymi liderami i niedawno dogadali się ze spółką McCain, która jest największym nabywcą ziemniaków na świecie. Kolejne Wielkie Coś prześlizgnęło mi się między palcami.

Po Związku Rolników rozeszła się wieść o siedzącym w centrali ekspercie z Zachodu. Zostałem zaproszony do kołchozu w pobliżu Mceńska, aby doradzić tubylcom, jak zrewitalizować okolicę dzięki restauracjom. Bez wahania zaakceptowałem propozycję, aby móc obejrzeć więcej terenów wiejskich.

Mceńsk znajduje się trzysta kilometrów na południowy zachód od Moskwy, w obwodzie orłowskim, cztery godziny drogi dziennym ekspresem z dworca Moskwa Kurskaja. Nikt nie chciał ze mną jechać, więc chociaż ten jeden raz nie miałem niańki. Zaufano mi, że będę potrafił o siebie zadbać, od momentu gdy Natasza wsadzi mnie do wagonu w Moskwie do chwili spotkania z gospodarzami na drugim końcu trasy. Wiejska okolica widziana z okien pociągu niczym się nie wyróżniała, ot, płaskie trawiaste tereny na przemian z brzozowymi lasami, od czasu do czasu przecinane rzeką.

Mceńsk będzie znany miłośnikom opery Szostakowicza *Powiatowa lady Makbet* o żonie kupca, która sypia z parobkiem, podaje truciznę teściowi i morduje męża, po czym zostaje zesłana na Syberię, ale po drodze popełnia samobójstwo. Kiedy Stalin zobaczył przedstawienie, zakazał jego wystawiania ze względu na seks i przemoc. Niemniej jednak każdy, kto pojedzie do Mceńska w nadziei, że opera odzwierciedla pikanterię życia w tym miasteczku, będzie zawiedziony. Libretto zostało oparte na opowiadaniu Nikołaja Leskowa, który wykorzystał Mceńsk jako przykład typowej prowincji. To byłoby jak wyjazd do Rouen po przeczytaniu *Pani Bovary*. Miłośników książek mogę poinformować, że posiadłość dziewiętnastowiecznego pisarza Iwana Turgieniewa, znanego głównie dzięki powieści *Ojcowie i dzieci*, znajduje się dziesięć kilometrów na północ od Mceńska. Niestety, była zamknięta w dniu, kiedy tam przebywałem.

Na dworcu przywitała mnie Ewgenia, moja tłumaczka. Przepraszała w imieniu kierownika kołchozu, który nie mógł po mnie wyjechać, bo został wezwany w innych pilnych sprawach. Miała koło pięćdziesiątki. Jej farbowane włosy, w odcieniu czerwonych orzechów pekan, wyglądały, jakby miały się poddać i wypaść góra za dziesięć lat. Kiedyś nabijałem się z zachodnich kosmetyków, z całej tej pseudonauki i testów na zwierzętach, ale zmieniłem zdanie, gdy pojechałem do Europy Wschodniej i zobaczyłem kobiety po czterdziestce, które wyglądały jak ocalałe z wojny chemicznej. Ewgenia maskowała większość szkód za pomocą zrobionej na drutach wełnianej czapki w tym samym jaskrawozielonym kolorze co jej sięgający kostek watowany płaszcz. Wyglądała jak żywa reklama agrestu. Chodziła zapięta pod szyję przez cały dzień, zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz, niezależnie od temperatury. Kilkakrotnie proponowałem jej, aby zdjęła wierzchnie okrycie, ale ignorowała moje rady.

Przedstawiła mnie naszemu kierowcy, Witalijowi, niewzbudzającemu zaufania typowi o zapadniętej klatce piersiowej, który wyglądał, jakby cierpiał na rozedmę płuc. Nie lubił gadać po próżnicy. Bez słowa zaprowadził nas do małej białej łady i zafundował nam przejażdżkę po mieście. Nie było tu za wiele do oglądania. W 1943 roku na terenie obwodu orłowskiego odbyła się batalia na Łuku Kurskim, największa bitwa pancerna w historii. Wszystkie budowle zostały zrównane z ziemią. Może za sto lat turyści będą tu przyjeżdżać, aby podziwiać skarby radzieckiej architektury, które je zastąpiły, ale jak na razie nasze gusta nie były uformowane w tym kierunku, więc wszystko, co zobaczyłem, to nudne monstrualne obiekty publiczne oraz tandetne bloki mieszkalne.

Zjedliśmy typowo radziecki lunch w typowo radzieckim hotelu. Ewgenia uczyła angielskiego dwunastolatków. Zgodziłem się, że w związku z tym ma odpowiednie kwalifikacje, aby tłumaczyć wykład dla widowni złożonej z aspirujących biznesmenów. Jednak rozmawiając ze mną towarzysko, nie wychodziła poza podręcznikowe konwersacyjne formułki. Kiedy tylko odeszliśmy od jej wyuczonego scenariusza, ogarnęło mnie straszliwe przeczucie, że nie rozumie ani słowa z tego, co do niej mówię. Zrobiła skonsternowaną minę, skoczyła jak oparzona i powiedziała, że musi gdzieś zadzwonić. Gdy wróciła, podjęliśmy temat wykładu. Żałowałem, że nie mam przy sobie tekstu prezentacji, który mógłbym jej podsunąć, ale ponieważ zawsze improwizuję wokół slajdów, prawdopodobnie za bardzo by jej to nie pomogło.

Po lunchu pojechaliśmy do gospodarstwa. Kołchoz to ogromne przedsięwzięcie, małe miasteczko oparte na przemyśle rolnym — od produkcji do przetwórstwa. Pracownicy mieszkają na osiedlach, w wielopiętrowych blokach mieszkaniowych, i mają do dyspozycji wszelkie miejskie udogodnienia — sklepy, kina, hotele, obiekty sportowe. Zatrzymaliśmy się przy hotelu położonym na samym skraju lasu. Było to przyjemne miejsce, urządzone w lakierowanym drewnie i chropowatym gipsie. Moja widownia składała się ze zmęczonych życiem mężczyzn w średnim wieku, w znoszonych garniturach, którzy robili, co mogli, aby migać się od pracy, więc czułem się tu prawie jak w domu. Kazano im ożywić działalność kołchozu dzięki inicjatywom

biznesowym, a ja byłem zagranicznym ekspertem, który miał im powiedzieć, jak to zrobić. A raczej Ewgenia im to mówiła.

Mogłem się w ogóle nie wysilać. Moje obawy co do jej niekompetencji były w pełni uzasadnione. Ewgenia polegała na tym, że słuchacze nie znają angielskiego, a prelegent rosyjskiego, jednak ja znałem ten język wystarczająco, żeby uświadomić sobie, iż jej tłumaczenie w niczym nie przypomina mojego wykładu. Aby ją przetestować, zacząłem mówić czyste brednie. Niewzruszenie zastępowała je własnymi tekstami, Bóg jeden wie, skąd wziętymi. Prawdopodobnie był to miszmasz informacji zaczerpniętych od innych ekspertów, z którymi pracowała. Slajdy wyświetlane z rzutnika były po rosyjsku, więc w tych momentach wracaliśmy na właściwe tory, ale poza tym Ewgenia chodziła własnymi ścieżkami.

Nie przejąłem się tym za bardzo. Większość słuchaczy mnie ignorowała, a ci, którzy słuchali, i tak przekręcaliby i filtrowali moje idee, dostosowując je do rosyjskiego sposobu myślenia. Ewgenia po prostu oszczędzała im trudu. Najlepsze, co mogłem robić, to przemierzać scenę w tę i we w tę, gwałtownie gestykulując w nadziei, że chociaż moja werwa zarazi ich przedsiębiorczym entuzjazmem. Nie dało to żadnego efektu. Wszyscy obojętnie wlepiali wzrok w podłogę i nie mieli żadnych pytań. Po zakończonym wykładzie ich lider wstał, podziękował i uścisnął mi dłoń. Potulnie wyszli jeden za drugim, po drodze wyciągając z kieszeni paczki papierosów.

Nie miałem serca, żeby krytykować zdolności translatorskie Ewgenii, która rozpaczliwie potrzebowała pracy. Miała do wykarmienia bezrobotnego męża i syna na studiach. Szkoła, w której uczyła, nie płaciła pracownikom od trzech miesięcy. Nauczyciele egzystowali tylko dzięki jedzeniu przynoszonemu przez dzieci w ramach płatności w naturze — okazjonalnym bochenkom chleba, cebuli, słoikom marynowanych warzyw. Podejrzewałem, że Ewgenia nie chciała zdjąć płaszcza przez cały dzień, bo była to jedyna przyzwoita rzecz, jaką miała do ubrania. Kiedy dałem jej dziesięć dolarów, wybuchła płaczem. Nawet jeśli moi słuchacze źle coś zrozumieli, co z tego? I tak nie wiedzieliby, jak wykorzystać tę wiedzę.

Byłem zaskoczony, że zostawiono mnie samemu sobie na resztę popołudnia. Witalij miał mnie zawieźć na stację dopiero wieczorem. Kierownik kołchozu nie oddelegował do mnie żadnej niańki. Ewgenia przepraszała, jak mogła, ale musiała wracać do szkoły. Kucharki piekły dziś pizzę dla personelu i jeśli się tam nie pojawi, nie dostanie swojej porcji. Obiecałem, że spokojnie posiedzę w hotelowym lobby.

Istnieje cienka linia pomiędzy gościnnością a nadzorem, dlatego poczułem się nadzwyczaj wyzwolony.

Gdy tylko wszyscy sobie poszli, wyszedłem na spacer. Było wspaniałe, ciepłe i słoneczne popołudnie, więc zostawiłem czapkę i płaszcz w środku. Ścieżka zaczynała się na tyłach hotelu i wiodła przez pole w stronę lasu, oddalonego o jakieś osiemset metrów. Dróżka była błotnista po niedawnym deszczu, ale dzięki trawiastemu poboczu moje buty pozostały suche. Dla niewprawionego oka nieuprawne pola wyglądały raczej na porzucone niż celowo leżące odłogiem. Były porośnięte gęstymi chwastami i sięgającymi do ramion ostami. Siano ścięto, ale leżało w stertach, niezebrane. W opuszczonych szopach brakowało okien, drzwi i dachów. Te najnowsze były w najgorszym stanie, z czego wywnioskowałem, że zostały ograbione, zanim zaczęły popadać w ruinę.

Ścieżka prowadziła głębiej w las, przetarta przez zbieraczy grzybów i jagód. Pozostawię wam obowiązek wyobrażenia sobie lasu jesienią. Użyjcie takich słów, jak „cętkowany światłem”, „bogaty”, „ciepły”, „wilgotny”, „dojrzały”, „szeleszczący” i tak dalej. Potem umieśćcie w tym obrazku mnie, radośnie szurającego nogami wśród liści. A później — jak radzi Raymond Chandler, kiedy akcja powieści za bardzo zwalnia — wprowadźcie faceta z bronią.

Nie wiem, kto był bardziej zaskoczony — ja na widok uzbrojonego mężczyzny w ubraniu maskującym w odludnym rosyjskim lesie czy on na widok faceta w prążkowanym garniturze bankiera, białej koszuli, krawacie w paski i mokasynach. Ponieważ był uzbrojony, założę się, że tylko mnie żołądek przewrócił się do góry nogami. „W razie wątpliwości blefuj" — to zasada, która często się sprawdza, więc postanowiłem się jej trzymać.

— *Zdrastwujtie* — przywitaliśmy się, podchodząc do siebie. Gdyby to była Anglia, skinęlibyśmy sobie głowami i minęli się jak dobrze wychowani członkowie Ramblers' Association[28]. Ale nie miałem tyle szczęścia. Facet zablokował ścieżkę, tuląc swoją broń, i zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, podobnie jak ja jego. Pocieszało mnie, że przypominał raczej prawdziwego myśliwego niż psychopatę na wolności. Miał zielony filcowy kapelusz z małym daszkiem i dyndającymi nausznikami, zieloną maskującą kurtkę, spodnie wetknięte w zasznurowane wojskowe buty, naładowany pas na naboje oraz brązową płócienną torbę myśliwską. Najlepsze było to, że jego strzelba była akurat złamana i z tego, co widziałem, nienaładowana.

— *Sind Sie Deutsch*? — zapytał.

— *Niet. Angliczanin* — odpowiedziałem ku jego wyraźnemu rozczarowaniu.

Ale ponieważ całkiem nieźle władam niemieckim, mogłem mu wyjaśnić łatwiej niż po rosyjsku, że jestem zagranicznym ekspertem, który przybył tutaj w celu oświecenia okolicznych kołchoźników, a nie zbiegłym kierownikiem banku.

— Chodź, mój przyjacielu, spędźmy razem trochę czasu.

Skinął na mnie, a ponieważ to on miał broń, nabitą czy nie, z wdzięcznością przyjąłem jego zaproszenie i zszedłem ze szlaku na małą polankę wygodnie umeblowaną przewróconym drzewem.

Był mniej więcej w moim wieku, z ładnymi, brązowymi, niemorderczymi oczami. Sądząc po jego ogorzałej twarzy, musiał spędzać sporo czasu na dworze, jednak świeże powietrze i słońce najwyraźniej nie za bardzo poprawiały mu humor. Jego miny i język ciała zdradzały, że jest wyjątkowo ponury, nawet według rosyjskich standardów. Ale wydawał się nieszkodliwy, a przynajmniej taką miałem nadzieję. Na kłodę między nami wyłożył zawartość swojej torby myśliwskiej: piętkę chleba, słoik ogórków konserwowych, paczuszkę zawiniętą w pergamin, składany nóż, dwa małe blaszane kubeczki i staromodną butelkę po lekarstwie ze złowieszczo przejrzystym, brązowawym i nieco lepkim płynem. Odkorkował butelkę i napełnił kubki. Powąchałem swój i natychmiast przeniosłem się myślami do czasów dzieciństwa, kiedy to wreszcie udało nam się wytropić źródło smrodu w mojej sypialni i okazało się, że to martwa mysz za listwą przypodłogową.

— *Na zdorowje* — powiedział. — Witamy w Muchosrańsku.

— *Na zdorowje*, za Muchosrańsk.

Wychyliłem kubek jednym haustem.

— Jak ci smakuje? — zapytał.

Gładka aromatyczna woda ognista z przyjemnymi nutami owoców ligustru oraz wilczych jagód. Pełny, ukształtowany bukiet z wyczuwalną nutą żołędzi z zeszłego roku. W smaku dominuje woda ze stawu przechodząca w długi papuzi finisz.

— Bardzo dobre. Co to jest?

— Samogon.

Bimber, gdybym nie wiedział.

Myśliwy rozwinął pergaminową paczuszkę, odsłaniając gruby plaster czegoś białego i maślanego. Pokroił to w kostkę i podsunął mi jedną na czubku noża. Było wstrętne i przepyszne jednocześnie, jak tłusty kawałek niedosmażonego bekonu. Odłamał trochę chleba i podał mi

razem z ogórkiem konserwowym.

— Bardzo smaczne. Co to jest?

— *Sało*. Dobre na serce.

Gdybym wtedy wiedział, że *sało* to surowy solony tłuszcz świński, zapytałbym go, jak to może być dobre na serce, ale na szczęście pozostałem w mroku niewiedzy.

— Pracujesz w kołchozie? — zapytałem.

— Jestem dyrektorem lunaparku.

— Ach! — tylko tyle przyszło mi do głowy.

Prędzej wziąłbym go za dyrektora krematorium niż wesołego miasteczka.

— Teraz mamy przestój.

— Z powodu zimy.

— Nie. Przez ostatnie dwa lata. Nikt nie przychodzi. Większość kolejek została zamknięta. Nie mamy pieniędzy na części zamienne. Fabryka Eisk przyjmuje tylko dolary. Mamy kolejkę górską, ale pasażerowie musieliby sami wciągać się w wagonikach na szczyt, a są na to zbyt leniwi. Spiralna zjeżdżalnia jest otwarta, bo tam nie ma silnika. Wszystkie inne karuzele i kolejki są zamknięte.

— Ale brzmi to obiecująco.

— Tak. Chcielibyśmy, żeby zainwestował w nas ktoś z zagranicy. Napisałem do pana Walta Dyzneja. Czekam na odpowiedź. Mamy bardzo dobrą lokalizację. Tylko cztery godziny od Moskwy. Znajdziesz angielskich kapitalistów, żeby dali mi na to pieniądze?

— Porozmawiam z moimi ludźmi.

— Dziękuję.

Czułem, że mówił to wszystko, bo wiedział, że powinien, ale nie wkładał w to serca. Miał świadomość, że jego park jest skazany na niepowodzenie, lecz nie obchodziło go to. Był jak Ewgenia i moi słuchacze, migający się od pracy, bez celu w życiu. Próbowałem go pocieszyć:

— Jestem pewien, że sytuacja się polepszy. Rosja to wspaniały kraj.

— A co my z nią robimy? Próbowaliśmy pańszczyzny. Próbowaliśmy kolektywizmu. Teraz próbujemy anarchii. To rosyjskie błędne koło. W dawnych czasach mówiło się, że każdy, kto próbuje buntować się przeciwko społeczeństwu, jest szalony. Takich ludzi wsadzano do szpitali psychiatrycznych. Teraz otworzyliśmy drzwi od tych zakładów i szaleńcy rządzą krajem. Wcześniej mieliśmy mieszkania, ogrzewanie, ciepłą wodę, chleb i wódkę. Teraz żyjemy w domu wariatów, gdzie wszyscy cierpią z powodu tej samej obsesji — chcą za wszelką cenę zdobyć pieniądze. Kiedy byłem mały, tutaj było pole. Uprawiali marchew i rzepę. Teraz są tu tylko króliki i grzyby.

Wiedziałem, co ja bym wybrał, ale pominąłem to milczeniem. Nigdy nie sprzeciwiaj się facetowi z bronią.

— A więc masz mnóstwo czasu na polowanie.

— Broń to moje alibi. Tylko myśliwym i pustelnikom wolno się tu samotnie wałęsać. Ja wiodę proste życie. Chodzę, oddycham, jem i śpię. Niekiedy strzelam do czegoś, żeby ludzie nie zrobili się podejrzliwi. Tak czy inaczej, dobrze jest zabić raz na jakiś czas. To jest prawdziwe. W śmierci nie ma żadnej iluzji.

Znowu zacząłem robić się nerwowy. Jeśli sięgnie po naboje przy pasie, to będzie sygnał, żeby brać nogi za pas. Nie miałem ochoty być jego potwierdzeniem prawdziwości na ten dzień. Patrząc wstecz, myślę, że moje obawy były bezpodstawne. Już bardziej prawdopodobne, że skierowałby broń na siebie.

— Cóż, było mi bardzo miło — powiedziałem, strzepując okruszki ze spodni. — Ale muszę już iść. Muszę złapać pociąg.

Wstaliśmy i uścisnęliśmy sobie dłonie — szczerze i znacząco, jak to się robi, kiedy wiesz, że już nigdy nie zobaczysz tej drugiej osoby.

— Będziemy w kontakcie. W sprawie inwestorów dla twojego parku.

— Słodkie kłamstwo jest lepsze niż gorzka prawda. Dziękuję.

Słońce zachodziło. Zaczął wiać chłodny wiatr. Zostawiłem go siedzącego na pniu, ze wzrokiem wbitym w ziemię, w łagodnym deszczu spadających liści. Długo jeszcze ludzie ryczeli ze śmiechu, kiedy mówiłem im, że byłem z wykładem w Muchosrańsku. W końcu Flor wyjaśnił mi, że to nie była nazwa własna, tylko slangowe określenie zadupia, dosłownie miejsca, gdzie muchy idą się wysrać.

ROZDZIAŁ 14

Grzybobranie

Chcieliśmy ograniczyć import towarów do restauracji do minimum i dotyczyło to również wyposażenia. Wyjątek stanowił piec. Malcolm dał mi ścisłe wytyczne, że nada się tylko Blodgett z Vermont. Odwiedziłem więc Mashinimpex, firmę zajmującą się dostawami pieców dla gastronomii, której biuro i salon wystawowy znajdowały się w Jaseniewie pod Moskwą, na południe od miasta, na końcu żółtej linii metra, w pobliżu moskiewskiej obwodnicy MKAD. Było to przyjemne miejsce, tuż obok parku Bitcewskiego, na który składało się dwadzieścia kilometrów kwadratowych naturalnego lasu. W 1972 roku Jaseniewo stało się domem dla SWR — Centralnej Służby Wywiadu Zagranicznego Rosji, która przeniosła tu swoją siedzibę z Łubianki. Miejsce to było odpowiednikiem głównej kwatery CIA w Langley w stanie Wirginia oraz brytyjskiego MI6 w Vauxhall Cross, zwanego też Langley nad Tamizą. Sporo się zmieniło od czasów Burgessa, Macleana, Philby'ego i spółki[29], kiedy to starą kwaterę główną wywiadu brytyjskiego na Curzon Street nazywano londyńską Łubianką.

To było przyjemne popołudnie. Aby oczyścić głowę z informacji na temat ciśnienia wlotowego, czujników temperatury, czasu nagrzewania, jednostek energii BTU i innych niepojętych terminów, postanowiłem przejść się po lesie, zanim wsiądę do metra i wrócę do centrum. Na obrzeżach spacerowały głównie matki i *babuszki* z dziećmi, spotkałem też kilku samotnych staruszków drepczących o lasce, w garniturach ozdobionych rzędami baretek, jakby zabłądzili tu, odłączając się od parady.

Chodziłem bez celu po krętych ścieżkach, rozkoszując się złotym słońcem, olśniewającym niebem, dojrzałymi owocami i towarzystwem grzybiarzy. Od połowy lata do pierwszych mrozów rzadko można być w lesie samemu. Usiądź spokojnie na jakiejś kłodzie, a wcześniej czy później usłyszysz szuranie wśród liści, zobaczysz błysk plastikowej torby i pochyloną postać. Grzybobranie nie jest tak rozrywkowym zajęciem jak zbieranie jagód. Jagody zrywa się bezmyślnie, instynktownie, pozwalając palcom pracować, podczas gdy człowiek gawędzi z innymi albo marzy. Tymczasem grzyby zbiera się samotnie i w milczeniu, nawet w większej grupie. Trzeba się skoncentrować, bo niełatwo je zauważyć. Podobno kobiety są w tym lepsze niż mężczyźni, bo mają bardziej rozwinięty zmysł rozpoznawania kształtów i kolorów. Zebrane grzyby suszy się, soli albo marynuje na zimę. Istnieją klasyczne rosyjskie dania, głównie zapiekanki i zupy, do których używa się świeżych grzybów, ale z większości zbiorów robi się przetwory. Każda rodzina ma własne przepisy i tajemnice z tym związane.

Jak w każdym języku w rosyjskim też istnieje wiele malowniczych nazw grzybów — są tu grzyby cezara i grzyby maślane, liski, kózki, świnki, a nawet „zabójca śmierdzących much". Najlepsze są grzyby białe, czyli aromatyczne i mięsiste borowiki, zwane też prawdziwkami. Nie mają one nic wspólnego z anglosaską przemysłową odmianą białych grzybów, czyli pieczarek,

które trafiają na pizzę, do zapiekanek i większości innych potraw i smakują niemal tak samo jak styropianowe opakowania, w których się je kupuje. Rosyjskie grzyby, marynowane czy świeże, są tak niepodobne do nijakich brytyjskich supermarketowych, nawet tych najbardziej wyszukanych, że myślę o nich tylko, używając ich rosyjskiej nazwy: *griby*.

Griby to styl życia oraz nieodłączny element rosyjskiego folkloru i przysłów. W ludowych podaniach dobrzy bohaterowie są symbolizowani przez borowiki, a źli przez muchomory. Kiedy Puszkin albo Tołstoj chcieli pokazać, że opisywany przez nich człowiek jest prawdziwym Rosjaninem, wolał on jeść grzyby od wyszukanego zagranicznego jedzenia. *Anna Karenina* pełna jest opisów grzybów i ich zbierania. To synonim natury, witalności i nadziei na przyszłość. Dla żyjącego na emigracji Nabokowa grzybobranie symbolizowało utraconą ojczyznę. Lenin miał reputację zapalonego grzybiarza. Według jednej z opowieści któregoś deszczowego dnia śpieszył na stację, lecz gdy zauważył grupę szlachetnych borowików, zatrzymał się i zaczął je zabrać, nie bacząc na deszcz, uciekający pociąg i protesty żony. Ach, prawdziwy ojciec narodu. Dzieci uczą się chodzić do słów rymowanki obiecującej, że pójdą na grzyby, jeśli się nauczą. Kiedy ekscytowałem się jakimś głupim pomysłem, Misza gasił mnie tekstem: „Gdyby w dupie rosły grzyby, to dupa z czasem stałaby się lasem". Jednak moim ulubionym powiedzeniem było to, kiedy musieliśmy się podlizać jakiemuś aparatczykowi: „Nie da się zbierać grzybów bez schylania".

Dumając nad takimi kwestiami, nawet nie zauważyłem, jak zrobiło się późno. Słońce zdążyło zniknąć za drzewami, ptaki rozpoczęły wieczorne trele do poduszki, a chłodny wiatr zagrzechotał liśćmi. Znalazłem się na rozstajach i nie miałem pojęcia, którą z czterech dróg wybrać. Rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś spacerowicza albo grzybiarza, ale wszyscy poszli już do domu. Gdybym wiedział wtedy o „bitcewskim maniaku", najbardziej operatywnym, nie paliłbym się tak bardzo do zagadywania nieznajomych. Piczuszkin przyznał się do ponad sześćdziesięciu morderstw, a wpadł w szał zabijania mniej więcej na rok przed moją małą przygodą. Jego ofiarami padali samotni ludzie. Zagadywał ich, zwabiał w zarośla i tam mordował.

Nie miałem mapy, ale wiedziałem, że droga na północ zawiedzie mnie głębiej w las i będę musiał pokonać ponad piętnaście kilometrów zalesionych wzgórz oraz rzekę Bitcę, zanim dotrę do Pierścienia Sadowego — obwodnicy otaczającej centrum Moskwy. Na wschodzie znajdowały się przedmieścia Czertanowa, gdzie nie było stacji metra.

Południe było kiepskim pomysłem, bo dotarłbym do MKAD, moskiewskiego odpowiednika londyńskiej obwodnicy M25. Najlepszy kierunek stanowił zachód, z powrotem do Jaseniewa i stacji metra. Ale gdzie był zachód? Słońce zaszło, więc nie mogłem zastosować żadnej skomplikowanej harcerskiej sztuczki z zegarkiem zamiast kompasu. Gwiazdy jeszcze nie pojawiły się na niebie, a zresztą gęste listowie nad głową i tak uniemożliwiłoby mi ich obserwację. Ha! Na ratunek przyszły mi przygodowe książki o chłopcach zgubionych w dziczy. „Mech rośnie tylko po północnej stronie pnia". A więc jeśli stanę tak, żeby mieć mech po lewej, przed sobą będę miał zachód i spokojnie wrócę do stacji. To była tylko teoria, ale ponieważ nie miałem żadnej innej, ta musiała mi wystarczyć.

W praktyce założenie okazało się mniej doskonałe. Na niektórych drzewach w ogóle nie było mchu. Na innych rósł on dookoła pnia. Na jednych był z zupełnie innej strony niż na sąsiadujących. Co gorsza, ścieżki tak się wiły, że często skręcałem w innym kierunku, niż wskazywał mech, i wracałem do punktu wyjścia. Ale brnąłem dalej, mając nadzieję, że te anomalie wreszcie się zrównoważą. Na szczęście nie miałem pojęcia o poważnych poradnikach survivalowych, które informowały, że „przekonanie, iż mech rośnie tylko po północnej stronie pnia, jest błędne. Ta metoda odnajdywania kierunków świata jest szczególnie nieskuteczna w

gęstych lasach”. Jako sposób nawigacji była ona równie użyteczna, co przepowiadanie pogody na podstawie zachowania krów, ale podobnie jak w wielu innych sytuacjach w życiu prawda niesie ze sobą rozpacz, a błędne przekonanie — nadzieję, więc z uporem przedzierałem się przez gęstniejący mrok.

Moje pokolenie jest ostatnim, które gwiżdże, więc robiłem to, aby nie tracić ducha. Tak naprawdę nie martwiłem się za bardzo. Robiło się coraz zimniej, ale przecież wiedziałem, że nie zamarznę na śmierć. Podczas każdej dobrej pieszej wycieczki przychodzi taki moment, gdy myślisz: „Boże, pozwól mi się stąd wydostać, a już nigdy tego nie zrobię”. Inaczej to po prostu zwykły spacerek. Kiedy masz odpowiednie wyposażenie, kompas i mapę, gubienie się to niezła zabawa, a wydostanie się z mgły albo lasu dzięki tym przyrządom stanowi ekscytujące wyzwanie. Uwielbiałbym biegi na orientację, gdyby nie bieganie. Z odnajdowaniem drogi głęboko się wiąże prymitywna satysfakcja, którą odziedziczyliśmy po naszych przodkach, a którą GPS i telefony komórkowe zniszczyły na zawsze.

Było ciemno już od godziny i brnąłem przed siebie po omacku, gdy usłyszałem huk grzmotu. Przestałem gwizdać i zacząłem macać wokół w poszukiwaniu wodoodpornego krzaka, pod którym mógłbym się schronić na noc, dopóki nie zdałem sobie sprawy, że to hałas ruchu ulicznego. Obudziła się we mnie nadzieja. Dotarłem do szczytu wzniesienia i zobaczyłem snopy świateł samochodowych między drzewami. To tyle, jeśli chodzi o mech. Cały czas szedłem na południe, w stronę obwodnicy MKAD. Przez kolejne pół godziny powoli przedzierałem się przez poszycie lasu, zanim, zataczając się, wypadłem spomiędzy drzew na polankę i trafiłem na coś, co przypominało festyn z okazji dnia Gyua Fawkesa. W długiej zatoczce na poboczu zobaczyłem rząd ciężarówek przegubowych. Część kierowców stała wokół ogromnego piecyka koksowego długiego na trzy metry i szerokiego na metr, reszta siedziała na kłodach wokół ogniska.

Przygładziłem włosy i otrzepałem sportową marynarkę oraz spodnie z diagonalu, po czym zdjąłem krawat, żeby nie wyglądać na kompletnego debila. Brudny, podrapany i ubłocony, z rękami w kieszeniach ruszyłem nonszalanckim krokiem w kierunku ogniska — po prostu zwykły koleś na wieczornym spacerku. Dopiero gdy poczułem żar bijący od ognia, uświadomiłem sobie, jak bardzo przemarzłem. To dało mi odwagę, aby dołączyć do grupy. Krępi Rosjanie, mieszanka Finów, mieszkańców Kaukazu, Mongołów i Tatarów, daleko od domu, o muskularnych ramionach, rozłożystych zadach i obwisłych brzuszyskach typowych dla wszystkich kierowców ciężarówek. Pili z litrowych słoików po dżemie, które napełniali z metalowych kanistrów. Otaksowali mnie wzrokiem, po czym wrócili do jedzenia i rozmów w wulgarnym *lingua franca* rosyjskich mężczyzn zwanym *mat.*

Robili sobie grilla. Kawałki mięsa piekły się nad płomieniami, nabite na długie szpikulce wetknięte w ziemię i pochylone nad ogniskiem pod kątem czterdziestu pięciu stopni. To nie były smakowite delikatne kawałeczki mięsa, ale krwawe kawały wielkości małego udźca. Twarde mięso dla twardych facetów. Rosyjscy królowie szos to żadne mięczaki. Ci na długich trasach jeździli po dwóch — jeden po to, aby prowadzić, a drugi, żeby trzymać w pogotowiu kałasznikowa.

Szefem był tu potargany facet ze śladami po ospie. Pocąc się w swoim podkoszulku bez rękawów i w dżinsach, obracał mięso i zdejmował je ze szpikulców, kiedy było gotowe. Siekierą odrąbywał kolejne porcje od leżącego na trawie ścierwa, które, miałem nadzieję, spadło z jakiejś ciężarówki, a nie zostało przez nią przejechane. Jak każdy typowy przedstawiciel mniejszości uważałem, że jestem bardziej interesujący niż większość, więc poczułem się zobligowany, aby wyjaśnić szefowi, jak tu trafiłem, kalecząc rosyjski gęsto kładzionym angielskim akcentem.

— Chcesz jeść? — tylko to go interesowało. — Pięćset rubli.

Dałem mu dolara i w zamian dostałem słoik po dżemie wypełniony płynem w kolorze

szczyn oraz ochłap mięsa na kawałku czarnego chleba serwowany na gazecie. Wziąłem to prymitywne danie na wynos i usiadłem na wolnej skrzyni pakowej przy ognisku pośród stałych klientów. Nie potrafiłem zidentyfikować napoju. Z pewnością był musujący i warzony w domu, ale z czego, trudno było stwierdzić. Mogło to być piwo, mógł to też być kwas albo coś zupełnie innego. Kwaśny metaliczny posmak zapewne pochodził ze składników lub od obrzydliwej moskiewskiej kranówki. Chociaż w smaku było to paskudne, jednocześnie piłem z przyjemnością. W gastronomii powinien istnieć ekwiwalent francuskiego określenia *jolie-laide*, oznaczającego brzydką, a jednak pociągającą kobietę. Guinness, placek nadziewany dynią i szkocki haggis z baranich podrobów są z natury obrzydliwe, ale jednocześnie przepyszne. „Nabyty smak" to zbyt snobistyczny termin. Musiałem się zadowolić określeniem „miło-paskudny".

Siedziałem pod gwiazdami, w migoczącym świetle ogniska i przednich reflektorów ciężarówek, obgryzając osmalony kawałek rozjechanej przez jakiś pojazd padliny i żłopiąc niezidentyfikowany miło-paskudny napój. Czułem się dzielny i szczęśliwy, niczym samotny wędrowiec na stepie, który natknął się na obozowisko nomadów. Jeden z moich kompanów, twardy mały człowieczek z łysą głową i owłosionymi knykciami, pociągnął łyk ze swojego słoika, otarł tłuste palce o pachy i uderzył dłońmi w kolana.

— Ha, Angliku! Zgadnij, kim jestem? — ryknął, przekrzykując hałas ruchu drogowego. — Słynny Anglik!

Przewrócił oczami, wykrzywił usta, łypnął okiem i zaczął przebierać palcami, jakby groził, że połaskocze małe dziecko. Inni zarechotali, wskazywali go palcami i tupali nogami, doceniając tę parodię, ale ja byłem skołowany.

Jakiego Anglika mógłby znać?

— *Winston Czerczil*? — zaryzykowałem.

— *Niet* — zaprotestowali.

— *Dzemz Bond*?

— *Niet*! — ryknęli.

Mały człowieczek wstał i zaczął biegać w tę i z powrotem na ugiętych kolanach, przewracając oczami i przebierając palcami. Inni śmiali się, klaskali i śpiewali. Dzięki Bogu wreszcie załapałem.

— *Beni Chil*!

— *Da*! — zaryczeli. Mój słoik po dżemie został znowu napełniony. Klepano mnie po plecach i mogłem się pławić w blasku sławy komika. To był ten moment. Piosenka *Gather in the Mushrooms*, unieśmiertelniona przez Benny'ego Hilla, stanowiła mój popisowy numer w święta Bożego Narodzenia, urodziny i podczas każdego rodzinnego wspólnego śpiewania. Moje latorośle i wszystkie inne dzieciaki w rodzinie jej nienawidziły i niezmiennie próbowały mnie zakrzyczeć, więc myśl o niej zawsze wypełnia mnie ciepłym uczuciem nostalgii, zwłaszcza gdy jestem sam i daleko od domu.

Gather in the mushrooms, put them in a pot,

Pop 'em in the oven an' serve 'em piping ho-ot[30].

Zafundowałem im tylko refren, jako że mój rosyjski nie był na tyle dobry, aby przełożyć niuanse zwrotek. Wyjaśniłem, że tematem są grzyby, i wstawiłem do tekstu słowo *griby* zamiast *mushrooms*. Byli zachwyceni. W przeciwieństwie do mojej rodziny chcieli bisów. Naśladowca Benny'ego Hilla przytulił się do mnie i zażądał prywatnej lekcji. Kierowcy śpiewali inne piosenki, których nie rozpoznawałem, ale ewidentnie były z tego samego gatunku. Szczęśliwy ze swojego wkładu w imprezę wyskubałem, co mogłem, z mojej padliny, resztę rzuciłem za siebie w krzaki i w przerwie między śpiewami obwieściłem, że na mnie już czas. Jeden z kierowców

życzliwie zaproponował, że zawiezie mnie jakieś dwa kilometry obwodnicą do stacji metra. Kiedy wdrapywałem się do jego ciężarówki, usłyszałem głęboki baryton naśladowcy.

Giedder in de griby, potem inner port,

Poppem inna oven en sierem pajpin hort.

Od zarania dziejów kultura szerzyła się wzdłuż szlaków handlowych. Kto wie, jak długo pieśń *Giedder in de griby* była przekazywana wzdłuż autostrad w rosyjskojęzycznych krajach. Ile pokoleń ją pozna? Z malutkich zarodników wyrastają wspaniałe grzyby. Miło jest móc się czymś zrewanżować.

ROZDZIAŁ 15

Kto nie smaruje, ten nie jedzie

Mer Moskwy, Jurij Łużkow, zadecydował, że publiczne znaki i logotypy mogą zawierać nazwy zapisane tylko cyrylicą. I tak McDonald's zmienił się w МАКДОНАЛДС, a Pizza Hut w ПИЦЦА ХАТ. A Jackets? ДЖЭКЭТС. To dzięki zagranicznym turystom mieliśmy rozkręcić ten biznes. McDonald's i Pizza Hut przynajmniej miały rozpoznawalne logotypy, ale Jackets? Jak obcokrajowiec odczyta ДЖЭКЭТС? Skąd będzie wiedzieć, że to zachodnia restauracja? I co skusi zamożnych Rosjan, żeby skosztować kawałka Anglii w miejscu o nazwie przywodzącej na myśl fabryczne miasteczko w górach Uralu?

Misza, który przyjechał na chwilę z Rzymu, Oleg i ja siedzieliśmy w naszej światowej centrali w sypialni Olega pogrążeni w ponurych myślach. Niczym bolszewicy z lat 20. lamentowaliśmy nad rosyjskim szowinizmem, burżuazyjnym nacjonalizmem i śmiercią internacjonalizmu. Co począć? Kogo winić?

Ale w każdym problemie tkwi szansa. Ponieważ marka Jackets nie była znana poza południowym Londynem, nie ograniczała nas. Nic nie mogło nas powstrzymać przed zastąpieniem jej miłą dla ucha i frapującą nazwą, która przemawiałaby zarówno do Rosjan, jak i obcokrajowców. Ale jaką? Spójrzcie raz jeszcze uważnie na rosyjskie nazwy powyżej. Niektórych liter nawet nie rozpoznacie i nie będziecie potrafili wymówić, chyba że wydedukujecie je z kontekstu. Na przykład Ж albo Л czy Ц. Inne wyglądają znajomo, ale są zwodnicze: rosyjskie Н to nasze „n", С to „s", a Х to „h". Jak powie wam każdy zbieracz znaczków, rosyjski skrót dla USSR to СССР — trzy literki „s" a po nich „r".

Jeśli potraficie znieść jeszcze jedno spojrzenie na rosyjskie nazwy śmieciowego jedzenia bez odczuwania mdłości, z pewnością zobaczycie pięć liter, które wyglądają i brzmią tak samo w cyrylicy i w łacince.

— AKMOT — wykrzyknąłem. — To nasza odpowiedź!

— AKMOT? To ma być nazwa restauracji? Nie brzmi zbyt smakowicie.

— Ale jest taka znacząca! Taka symboliczna! To jest to, co mamy wspólnego, most pomiędzy dwoma językami, dwiema kulturami. W tych pięciu literach tkwi spotkanie Wschodu z Zachodem...

— Sprzedajemy ziemniaki, nie światowy pokój...

— Wszystko, co musimy zrobić, to wymyślić nazwę złożoną z tych liter i ją rozreklamować.

Po trwającej chwilę dyskusji Misza i Oleg ugięli się w końcu pod naciskiem zachodniego konsultanta biznesowego i eksperta od marketingu i przekonali się do tej idei, która — jak wiele tego typu pomysłów — była bardziej ekscytująca w teorii niż w praktyce. Szybko wyczerpaliśmy możliwości anagramowe, używając każdej litery tylko raz. W teorii istnieje sto dwadzieścia kombinacji pięcioliterowego wyrazu, ale w tym wypadku tylko dwadzieścia osiem dało się

wymówić. I żadna nie była chwytliwa. „Chodźmy do MOKTY” nie brzmiało apetycznie ani po rosyjsku, ani po angielsku. Spróbowaliśmy więc użyć dowolnych czterech liter z tych pięciu, co dało nam jeszcze trzydzieści dwie potencjalne nazwy, lecz wszystkie brzmiały bardziej jak akronimy związków zawodowych niż wybór stylu życia. Znowu poluźniliśmy zasady i pozwoliliśmy, aby jedna litera się powtarzała. To było bardziej obiecujące: dało takie słowa jak TATO, bliskie angielskiemu *potato*, ale nieoznaczające niczego w języku rosyjskim, gdzie ziemniaka określano podobnie do niemieckiego słowa *Kartoffel*. Oleg, który miał zacięcie matematyczne, obliczył, że otrzymamy siedemset dwadzieścia możliwości, minus te niewymawialne. Każdy z nas wziął inną literę początkową i na kartkach zaczęliśmy pracować nad różnymi kombinacjami. Miszy najbardziej podobało się słowo KAKA[31], co dobitnie świadczyło o jego nastawieniu do całego projektu.

Olga zawołała nas na herbatę. Wyjaśniliśmy jej, co robimy, gdy rozdawała nam szklanki.

— Ludzie w całej Moskwie muszą zajmować się tym samym — zauważyła.

Już nie pamiętam, kto pierwszy doznał olśnienia. To mogła być wspólna inspiracja, synapsy pracujące unisono, by wywołać mózgowe tsunami. Wystarczyło, że wymyślimy najlepsze nazwy, zarejestrujemy je w ratuszu jako nasze i poczekamy na międzynarodowe firmy, które będą chciały je od nas odkupić. Tego typu rzeczy ludzie robili z domenami internetowymi i tablicami rejestracyjnymi samochodów. Ale musieliśmy działać szybko. To był tak świetny pomysł, że z pewnością trafimy na konkurencję.

— Czy wiesz, jak zarejestrować te nazwy? — zapytała Olga, jak zawsze praktyczna.

— Chyba trzeba pójść do ratusza i zapytać. Musi być jakaś procedura — powiedziałem.

Ależ się uśmiali. W Rosji, kiedy musisz zrobić coś legalnego czy oficjalnego, pierwszą myślą nie jest „Dokąd mam się udać?”, „O której otwierają?” czy „Skąd wezmę formularze?”, tylko „Kogo tam znam?”.

— *Znaczit* — wyjaśnił Misza — trzeba znaleźć kogoś, kogo będzie można przekupić.

Wróciliśmy do pracy, drżąc w przedsiębiorczej gorączce. Potraktowaliśmy to wyzwanie poważnie. Gdy pozwoliliśmy powtarzać się dwóm literom, permutacje były jeszcze bardziej obiecujące, z takimi słowami jak TOMATO, ale było ich pięć tysięcy siedemset sześćdziesiąt. Jeśli wykorzystalibyśmy dwukrotnie trzy litery, wyszłyby z tego francusko brzmiące marki, jak TAMTAM i MAKMAK. Ale aby znaleźć je wszystkie, trzeba byłoby przeanalizować ponad czterdzieści pięć tysięcy kombinacji. Na papierze zajęłoby nam to wiele tygodni. Niezrażony Oleg oświadczył, że powinniśmy napisać program komputerowy.

Rosyjskie komputery były gorsze od amerykańskich i japońskich. Dla równowagi oraz ze względu na lepszą edukację w zakresie matematyki Rosjanie byli liderami w tworzeniu software’u. Sklecenie programu, który mógłby permutować słowo AKMOT zgodnie z rozmaitymi założeniami, było dla Olega dziecinnie proste. Ponieważ solidaryzuję się ze wszystkimi, próbującymi znaleźć na klawiaturze jakikolwiek klawisz, przeniosłem się do kuchni, żeby pooglądać telewizję z Olgą, które w tym czasie naszywała francuskie metki na sweterki z Bangladeszu.

— Pracujesz bardzo ciężko.

— Musimy płacić rachunki. W przyszłym tygodniu po raz pierwszy jadę do Dubaju.

— Zostałaś pośredniczką! Dobra robota! Co się stało z twoją szefową?

— Została zabita. Oszukiwała swój dach.

„Dach” to slangowe określenie ochrony mafii przed mafią.

— Nie boisz się?

— Muszę to robić. Ktoś musi zarabiać pieniądze.

— Oleg ciężko pracuje.

— On marzy o Hiszpanii. To Misza zmusza go do pracy.

— Mają wielkie plany.

— Tak, wielkie plany. Mężczyźni zawsze mają najlepsze pomysły. Mężczyźni kontrolują wszystko. Droga kobiety prowadzi od pieca do drzwi.

Uśmiechnęła się i nalała nam herbaty.

Mniej niż godzinę później drukarka zaczęła wypluwać gęste akapity bzdurnych wyrazów.

— Oleg! Mógłbyś nawet podkuć muchę!

Niczym podekscytowani kryptografowie wykrzykiwaliśmy nazwy, które nam się spodobały, podczas gdy kolejne arkusze wysuwały się z drukarki. Emocje opadły przy drugiej stronie. Stało się oczywiste, że nawet po tym jak komputer sam odrzuci nazwy trudne do wymówienia, zostaną jeszcze tysiące wyrazów, setki stron. Rzuciłbym to wszystko i wrócił do domu, do łóżka, ale byłem w towarzystwie Rosjan. Chociaż za bardzo nie wierzyli w mój pomysł, teraz, gdy już zaczęli, będą kontynuować z zawziętą determinacją. Oleg otworzył świeżą ryzę papieru — szorstkiego, brązowawego, niebielonego, z wyraźnymi wiórami drewna, który dziś byłby ekologicznie poprawny, ale wtedy zdawał się bardziej na miejscu w wygódce niż w centrum IT rodzącego się międzynarodowego przedsiębiorstwa. Olga uzupełniła samowar, zrobiła nam talerz kanapek z kiełbasą i poszła spać na sofę w salonie. Oleg i Misza usiedli na łóżku, a ja zająłem krzesło. Rozdzielaliśmy między siebie strony wychodzące z drukarki i wykreślaliśmy nazwy, najpierw z głębokim namysłem, potem coraz bardziej pobieżnie. Niemal dotrzymywaliśmy kroku drukarce. A kolejne arkusze wciąż wysuwały się z maszyny. Z pewnością było tu więcej nazw towarowych niż firm w początkach wolnego rynku.

Nocne godziny mijały powoli. Od czasu do czasu powieki nam ciążyły, długopisy wysuwały się z palców, głowy opadały. Jeśli własne chrapnięcie nie przywracało nam przytomności, jeden z pozostałych dźgał nas w żebra. Wytrwale przeprowadzaliśmy czystkę niczym komisarze Stalina, eliminując nazwy aż do świtu. Drukarka w końcu zamilkła, ale to nie był koniec naszej pracy. Wymieniliśmy się plikami kartek i znowu zaczęliśmy je przeglądać. Ja wykreślałem ich rosyjskie sugestie, a oni usuwali moich angielskich kandydatów. Kiedy Olga wstała, znalazła nas w kuchni, pogrążonych we śnie, z głowami na stole. Ale mieliśmy naszą listę. Dwieście soczystych nazw czekających na malarzy szyldów i producentów neonów. AMMO i MAMA, MOOMOO i MOKKA, KOMA i KOKO. Teraz wszystko, co musieliśmy zrobić, to zarejestrować je i czekać na napływające pieniądze. To było Coś Wielkiego.

Szczęście nam sprzyjało. Znalezienie kogoś w ratuszu nie było trudne. Szedłem ulicą Twerską, wystrojony w białą koszulę i tandetny krawat ozdobiony symbolami walut, wracając z Banku Centralnego, gdzie omawiałem finansowanie rolnictwa z zastępcą dyrektora generalnego, który wiedział na ten temat nawet mniej niż ja. Ratusz znajduje się przy Twerskiej 13. Jest to okazała budowla z różowej cegły, z dwiema kondygnacjami klasycznych kolumn na froncie. Niektórzy moi znajomi wyrażają się o nim wulgarnie, ale jako że pochodzę z Birmingham, gdzie mamy Partenon na krańcu New Street, mam słabość do klasycystycznego kiczu. Przy głównym wejściu do budynku trzech mężczyzn w takich samych uniformach jak ja wymachiwało kawałkami papieru na znudzonego milicjanta siedzącego w budce strażniczej. Pomijając kwestię rejestracji, byłem ciekaw, jak ratusz wygląda w środku, więc podczepiłem się pod grupę i razem weszliśmy do ogromnego holu, gdzie czekała na nas piersiasta, farbowana na rudo kobieta ubrana jak recepcjonistka salonu masażu — a przynajmniej wyobrażałem sobie, że tak byłaby ubrana recepcjonistka w salonie masażu. Zawiozła nas windą na górę, do oficjalnych salonów na drugim piętrze.

Było już za późno, żeby się wycofać. Stanąłem w kolejce razem z innymi gośćmi odzianymi w garnitury i czekałem, aż wykidajło z listą obecności wyrzuci mnie na zbity pysk.

Trafiłem na przyjęcie dla zagranicznych bankierów. Łużkow gawędził z nimi o miejskich finansach. Spędzili cały dzień na słuchaniu prezentacji i to była ich nagroda. Udało mi się dostać do środka dzięki obciachowemu krawatowi. Wpuszczono mnie do sali balowej ze lśniącym parkietem, złoceniami, z lustrami i agresywną szkarłatną tapetą. W odległym rogu młode trio smyczkowe ubrane w stylu dziewiętnastowiecznym rzępoliło utwory Rimskiego-Korsakowa, rozsądnie jednak unikając *Lotu trzmiela*. Dołączyłem do mniej więcej trzydziestu moich klonów wokół okrągłego szwedzkiego stołu i stojącej na nim okazałej misy prawdziwie wybornego kawioru.

Byłem na wystarczającej liczbie bankierskich imprez na świecie, żeby wiedzieć, jak wmieszać się w tłum. Sekret polegał na tym, aby wyglądać poważnie, mówić mało, a na każdy komentarz odpowiadać tekstem: „Hmm, dolary". Wtedy ludzie myślą, że masz władzę i jesteś obciążony finansowymi tajemnicami. Nie miałem wyrzutów sumienia, że wbiłem się na imprezę bez zaproszenia, bo kilku innych gości wydawało się równie podejrzanych jak ja, a paru zdecydowanie można było uznać za płotki, o czym świadczył sposób, w jaki nawijali o zyskach z obligacji, próbując zaimponować słuchaczom.

Obecnie Rosjan nie dałoby się odróżnić od reszty z nas, chyba że dzięki przewadze ich świetnie skrojonych garniturów. Wówczas większość mężczyzn po trzydziestce wciąż ubierała się na radziecką modłę, w jasnoszare garnitury, lśniące koszule i pastelowe buty. Wyjątek stanowił Stiepan Gawryłowicz, który hojnie nałożył mi na talerz drugą dokładkę najwspanialszego daru Morza Kaspijskiego. On miał na sobie prążkowany garnitur w stylu Marks & Spencer z marynarką z dwoma rozcięciami, uzupełniony pasującym krawatem i chusteczką w butonierce. Śródziemnomorskim wyglądem przypominał Gruzina i był na tyle młody, że uważał, iż musi farbować na siwo włosy przy skroniach. Znakomicie mówił po angielsku, językiem wyuczonym w Rosji, ale doszlifowanym przez słuchanie Voice of America.

Ponieważ bałem się, że zostanę zdemaskowany, przystąpiłem do konwersacyjnej ofensywy i zapytałem go, czym się zajmuje. Powiedział, że jest doradcą, i zapytał, co ja robię. Odrzekłem, że również jestem doradcą. Nie dało się uniknąć rytuału wymiany wizytówek. Skreślił numer telefonu na swojej i napisał nowy. Według wizytówki był kierownikiem działu rozwoju w biurze mera. Wielkie wejście Łużkowa i jego świty na salę zaoszczędziło nam dalszego badania referencji.

Jurij Łużkow rządził Moskwą od 1992 roku niczym carski generał gubernator. Ustanawiał własne prawa, a jeśli nie podobały mu się te wprowadzane przez parlament i sądy, ignorował je. Ratusz stał się przedsiębiorczym inwestorem, z udziałami w moskiewskich nieruchomościach, przemyśle i mediach. Łużkow zainicjował renowację, przebudowę i odbudowę miasta. Dzięki współpracy z nim wielu zbiło fortuny, zwłaszcza najbogatsza kobieta w Rosji, czyli żona Łużkowa Jelena. Kumoterstwo i korupcja były powszechne i obejmowały wszystkich, od samych szczytów władzy aż po najskromniejszego inspektora sanitarnego.

Jednocześnie wzrost gospodarczy i standard życia w Moskwie zdeklasowały resztę Rosji. Niedomagające sprywatyzowane sektory, na przykład fabryka ziłów, zostały z powrotem upaństwowione i przywrócone do życia. Poprawiła się działalność służb miejskich, zaczęto budować tanie mieszkania, zrewaloryzowano emerytury. Kombinacja gospodarki wolnorynkowej, kumoterstwa, sterowania odgórnego i demagogii trąciła działalnością Tammany Hall[32] bardziej niż jakakolwiek wcześniejsza władza w Rosji. Mimo, a być może właśnie z powodu tego wszystkiego Łużkow zyskał reelekcję trzy razy[33] i jest najdłużej pełniącym urząd demokratycznie wybieranym politykiem w Rosji. Założył partię Ojczyzna — Cała Rosja i ubiegał się o prezydenturę, dopóki Jelcyn nie namaścił na swojego następcę Władimira Putina.

Charyzma jest nadużywanym słowem, ale Łużkow zdecydowanie posiadał ten rzadki

przymiot. Mimo że był mały i łysy, jego obecność wypełniała nie tylko pomieszczenia, w których się znajdował, lecz także całe miasto przez ostatnie piętnaście lat. Był bystry, energiczny i miał ujmujący uśmiech, który błyskawicznie mogło zastąpić groźne spojrzenie. Wylewnie przywitał się ze wszystkimi, zacząwszy ode mnie.

— Bank? — zapytał.

Miał tę niesamowitą umiejętność, że chociaż niższy, sprawiał wrażenie, iż patrzy na ciebie z góry. Stchórzyłem i nie powiedziałem Jackets Baked Potatoes.

— *Private placements* — zająknąłem się, a jego goryl to przetłumaczył.

— Czy to dobre dla Moskwy?

— Hmm, dolary — wydukałem.

Uścisnął moją dłoń, skurczył się z powrotem do normalnych rozmiarów i ruszył dalej. Stiepan, który zostawił mnie, abym spędził chwilę sam na sam z wielkim człowiekiem, znowu pojawił się u mojego boku i napełnił mój kieliszek znakomitą wódką.

— Imponująca osoba — powiedziałem zafascynowany.

— Nie pije i nie pali — rzucił Stiepan, zapalając marlboro. — Czy można zaufać takiemu Rosjaninowi? — Uśmiechnął się i nie wiedziałem, czy mówi serio. — A teraz porozmawiajmy o tym, co mogę dla ciebie zrobić.

— Cóż, tak się składa...

Uznał nasz plan za genialny. Powiedział, że takie innowacyjne myślenie to dokładnie to, czego Moskwa potrzebuje. Co więcej, znał odpowiednią osobę w ratuszu. Powinniśmy to jeszcze przedyskutować. Ma bardzo napięty terminarz, ale lunch, który miał zaplanowany na pojutrze, został odwołany. Zasugerował amerykański Exchange Steakhouse w nowo otwartym hotelu Radisson. Ta restauracja była zdecydowanie poza możliwościami mojego budżetu, lecz z pewnością chociaż jedna zarejestrowana nazwa handlowa była warta więcej niż obiad w zagranicznej walucie. Miałem szczęście, że w ogóle udało mi się zarezerwować stolik. Rosyjskie restauracje wciąż kurczowo trzymały się tradycyjnych wartości, takich jak okropne jedzenie i jeszcze gorsza obsługa, a zachodnich przybytków nadal brakowało.

Hotel Radisson otwarto w 1991 roku nad brzegiem rzeki Moskwy, w pobliżu stacji Kijewskaja. Roztaczał się stąd dobry widok na tort weselny stalinizmu w postaci budynku Ministerstwa Spraw Zagranicznych oraz na przypominającą osłonę chłodnicy fasadę rosyjskiego parlamentu, tzw. moskiewskiego Białego Domu. Nie żeby Radisson był lepszy. Wyglądał jak wielopiętrowy parking z oszklonymi oknami. Chociaż spóźniłem się tylko dziesięć minut, Stiepan już czekał na mnie w lobby. Punktualność nie należy do rosyjskich cnót, z czego wywnioskowałem, że albo wyjątkowo zapalił się do pomysłu, albo źle spojrzał na zegarek. Nie lubię dawać napiwku, zanim zostanę usadzony, a tak między nami mówiąc, w ogóle za tym nie przepadam, więc *maître d'* zaprowadził nas do stolika, który natychmiast zidentyfikowałem jako najgorszy na całej sali. Znam się na tym, jestem *habitué*[34]. Ale Stiepana to nie zraziło. Zatarł ręce, obciągnął mankiety koszuli, otaksował wzrokiem garnitury innych gości i zaczął podziwiać pomarańczowe serwetki złożone w kształt muszelek.

Kelner przyniósł karty. Z trudem przełknąłem ślinę, gdy spojrzałem na ceny, a Stiepan zaczął się ślinić na widok wyboru dań. Ja zamówiłem sałatkę i hamburgera. On homara z Maine i wart pięćdziesiąt dolarów *filet mignon*. Piliśmy margaritę, podczas gdy białe wino się chłodziło, a czerwone oddychało.

— Widzisz, John, jak Rosja się zmienia. Nie zmieniamy się za często, ale kiedy już, to bum!

Uśmiechnął się, pokazując złoty kieł. Ja też mam złote zęby i bardzo się ich wstydzę, lecz Stiepan błyskał swoimi, bo w kraju, gdzie wciąż widywało się sztuczne zęby ze stali, była to

oznaka dobrobytu.

— Dlaczego tak jest? Dlaczego coś trwa tak długo, a potem nagle się załamuje? — zapytałem.

— Dla was zmiany są zawsze na lepsze. Dla nas są zawsze na gorsze. Kiedy źle się dzieje, nie myślimy: „Jak można to naprawić", tylko: „Nie róbmy nic, żeby nie pogorszyć sprawy".

— Pesymizm.

— Nie pesymizm, John. Doświadczenie. Widzisz, u was zmiana idzie od dołu, od ludzi. U nas przychodzi z góry. Jest nam narzucana. Jak z Gorbaczowem. Ludzie o to nie prosili.

— To dlatego wszyscy go nienawidzicie?

— Znasz ten dowcip o starej brytyjskiej kolonii, która postanawia zmienić ruch z lewostronnego na prawostronny? Władze dochodzą do wniosku, że ludzie w końcu przyzwyczają się do tego pomysłu, więc wydają rozporządzenie, że samochody osobowe mają zacząć się stosować do nowych przepisów od razu, ciężarówki po tygodniu, a autobusy po dwóch tygodniach... Z Gorbaczowem było tak samo. Nie można być w połowie dziewicą. Nie można przeprowadzić połowy rewolucji. Jego *pierestrojka* wywołała chaos i zamęt. W miastach do sklepów ustawiały się kolejki, a na wsiach jedzenie gniło. Gorbaczow chciał wielopartyjnej demokracji, lecz z komunistami u władzy. Republiki miały być niepodległe, ale tylko pod warunkiem że będą przyjmować rozkazy z Kremla. Rosja i USA zgodziły się na rozbrojenie nuklearne, ale do kogo należała broń? Do Rosji? Ukrainy? Białorusi? Kraje bałtyckie chciały niepodległości, więc dlaczego nie Czeczenia? A skoro Czeczenia, to dlaczego nie Syberia? To jeden wielki bałagan.

Przyniesiono pierwsze danie. Stiepan rozkoszował się swoim homarem, podczas gdy ja grzebałem w sałatce, żałując, że byłem taki skąpy. Spróbowałem wina, chablis, które było znakomite — i powinno za taką cenę.

— Z pewnością największe zmiany w Rosji pochodzą od ludu?

— Motłoch niczego nie zmienia. Buntują się, kiedy sytuacja staje się nie do wytrzymania. Buntują się, żeby stawiać opór zmianom.

Skinąłem w stronę moskiewskiego Białego Domu, na który mielibyśmy widok, gdybyśmy siedzieli przy lepszym stoliku.

— Ten twój motłoch uratował sytuację pod Białym Domem.

Mówiłem o puczu moskiewskim, próbie zamachu stanu przeciwko Gorbaczowowi, kiedy to Jelcyn dzielnie stanął na czołgu.

— Ach, Biały Dom. To był triumf. Zatrzymaliśmy czołgi, czyż nie?

— Byłeś tam?

— Oczywiście. Trzy dni na barykadach. Demokracja i wolność, John. Wypijmy za to.

Co najmniej sto tysięcy osób było pod Białym Domem podczas tamtych doniosłych sierpniowych dni. Jeszcze więcej twierdziło, że tam było.

Przyniesiono główne danie. Spróbowałem czerwonego wina, côtes du Rhône, które również było znakomite. Hamburger okazał się po prostu hamburgerem, podczas gdy Stiepan rozkoszował się stekiem, smakując każdy kęs z na wpół przymkniętymi oczami. Kiedy uprzątnięto talerze, sięgnęliśmy po wykałaczki. Kiedy Stiepan majstrował przy zębie, jakby przeprowadzał sobie leczenie kanałowe, wyłuszczyłem mu szczegółowo nasz plan. Jego zadanie polegałoby na doprowadzeniu do zarejestrowania nazw w ratuszu.

— John, a dlaczego musimy zarejestrować te nazwy?

— Żebyśmy mieli coś, co będziemy mogli sprzedać. Inaczej firmy po prostu pójdą i same je zarejestrują, bez naszego pośrednictwa.

— Ale one i tak to zrobią.

— Nie, jeśli zarejestrujemy je pierwsi.

— To nic nie znaczy. Firmy zapłacą łapówkę.

— Z pewnością łatwiej im będzie zapłacić nam. A jeżeli nie, podamy je do sądu.

— Jakiego sądu? Ostatecznego? — Roześmiał się. — Nie rób takiej smutnej miny, John. Żartowałem. To wspaniały pomysł. Może nie zostaniemy milionerami, ale z pewnością będziemy mieli co jeść.

Osobiście uważałem, że zjedliśmy już wystarczająco dużo, jednak gdy przyszedł kelner, Stiepan wybrał sobie deser bezowy, drogie pozasezonowe owoce oraz świeże likiery *irish cream* i *kahlúa*. Ja zadowoliłem się sorbetem cytrynowym. Nie pijam brandy, bo dostaję od niej uderzeń gorąca, ale pozwoliłem mu zamówić napoleona. Na szczęście pamiętałem, żeby zabrać z domu kilka cygar Romeo y Julieta z moich prywatnych zapasów i zdążyłem powstrzymać gestem lokaja w liberii zmierzającego ku nam z humidorem, zanim Stiepan go zauważył. Wyjąłem kopertę zawierającą kartki z nazwami i podałem mu ją.

— Och, dobre nazwy. To bardzo dobre nazwy. — Zerknął na mnie nad swoim kieliszkiem.

— Ile będzie kosztowało ich zarejestrowanie?

— Nic. Pięć rubli. Dziesięć rubli. Może dwadzieścia. Daj mi pięć tysięcy rubli na formalności.

To było około dwudziestu dolarów. Nie brzmiało tak źle. W każdym razie w porównaniu z lunchem.

— I jeszcze musimy dać coś urzędnikom — dodał.

— Ile masz na myśli?

— Tysiąc dolarów.

— Co?! Ile?

— Kto nie smaruje, ten nie jedzie. Oni też muszą coś jeść.

— Ale nie tutaj. Urzędnik nie zarabia tyle przez rok.

— Jest dyrektor i kierownik, i urzędnik, i kasjer.

— Nie mam tyle przy sobie.

— A ile masz?

— Pięćset dolarów. Minus rachunek tutaj.

— Zacznijmy od tego. Daj mi je. Nie martw się, John. Wszystko ci się zwróci w dwa tygodnie. To będzie bardzo dobra spółka. Ja mam wiele kontaktów w mieście, a ty masz tyle wspaniałych pomysłów. „Tambowski wilk jest ci towarzyszem!”[35]. Ja jestem biednym Rosjaninem, starym komunistą. Nie wierzyliśmy we wszystkie te rzeczy, które nam wmawiano, ale jaki mieliśmy wybór? Nie znamy współczesnego świata. Nie wiemy, jak wykorzystać okazje, które niesie przyszłość. Musisz nam pomóc, John, z twoim doświadczeniem, inteligencją i wykształceniem. Musimy się tyle nauczyć, zawdzięczamy ci tak wiele.

Gdy skończył swoją przemowę, ściskało mnie w gardle ze wzruszenia. To było wspaniałe uczucie — robić różnicę. Opróżniłem portfel w oparach dobrego samopoczucia, dobrego wina i jeszcze lepszego tytoniu. Wróciliśmy spacerkiem do stacji Kijewskaja, planując następne śmiałe przedsięwzięcie, i rozjechaliśmy się w dwie różne strony obwodową linią metra Kolcewaja.

Podczas gdy ICBM czekało na wieści od Stiepana, przygotowywaliśmy kampanię marketingową. Opracowałem komunikat prasowy dla zagranicznych mediów i ulotki dla działów handlowych najważniejszych ambasad i centrów biznesowych wielkich hoteli. Pod koniec tygodnia zadzwoniłem do Stiepana, który powiedział mi, że wszystko jest pod kontrolą. Mieliśmy człowieka wewnątrz, co oznaczało, że procedura nie będzie trwała parę miesięcy czy

lat, jak to normalnie bywa, lecz trybiki biurokracji wciąż wolno się obracają, nawet jeśli zostały obficie naoliwione. Zasugerował, żebym zadzwonił znowu za dwa tygodnie. Oleg palił się do wprawienia w ruch naszej kampanii natychmiast, ale nalegałem, abyśmy się wstrzymali. Ponieważ będziemy mieli do czynienia z zachodnimi firmami, które są szalenie drobiazgowe, jeśli chodzi o takie sprawy, musimy mieć nazwy oficjalnie zarejestrowane, podpisane i podstemplowane, zanim zaczniemy je sprzedawać.

Dwa tygodnie później znowu zadzwoniłem do Stiepana.

— Nie ma go — burknął męski głos i rozłączył się, nim zdążyłem zareagować.

Nie zmartwiło mnie to za bardzo, bo jeśli chodzi o rozmowy telefoniczne, rosyjskie maniery zazwyczaj pozostawiają wiele do życzenia, zwłaszcza w dużych organizacjach. Jeśli jesteś wystarczająco szybki, może uda ci się zapytać, kiedy dana osoba wróci, zanim rozmówca rzuci słuchawką, przy czym standardową odpowiedzią jest; „Za godzinę". Tylko żółtodzioby biorą to za dobrą monetę i rzeczywiście próbują znowu dzwonić za godzinę. To pusta formułka. Trudno zmienić nawyk tajności nabyty w ciągu dziesięcioleci pełnych podejrzliwości i inwigilacji. Rosjanin rzadko mówi komukolwiek, gdzie idzie albo po co; a nawet jeśli, to taka informacja nie zostanie przekazana obcemu. Dotyczy to również sekretarek. To byłby przejaw wielkiej impertynencji, gdybyś kazał asystentce zajrzeć do terminarza szefa.

Zaniepokoiłem się odrobinę bardziej, kiedy tę samą odpowiedź usłyszałem jeszcze dwa razy. Pocieszałem się myślą, że może Stiepan przeniósł się do innego biura albo zachorował. Ale w takim razie dlaczego do mnie nie zadzwonił? Nie pozostawało mi nic innego, jak pójść tam i spotkać się z nim osobiście w ratuszu. Miałem serce w przełyku, gdy pytałem o niego w recepcji. Poczułem ulgę, kiedy strażnik sprawdził nazwisko w księdze i zadzwonił do jego biura.

— Zejdzie do pana za chwilę.

Kręciłem się w lobby w tę i z powrotem pod ogromnym żyrandolem, mając nadzieję, że nachodząc go, nie popełniam jakiegoś potwornego *faux pas*. Rosjanie robią się drażliwi, jeśli kwestionujesz ich lojalność. W końcu podszedł do mnie drobny siwowłosy człowieczek po sześćdziesiątce, w znoszonej szarej sportowej marynarce i wysłużonych szarych spodniach.

— Panie Mole? W czym mogę panu pomóc?

Następne pół godziny przedstawię w dużym skrócie. Sprawdźcie w tezaurusie słowo „emocja", a będziecie mieli ogólny obraz tego, przez co przeszedłem, od gniewu po chęć zemsty i wszystkie słowa pomiędzy. Wizytówka była decydującym argumentem. Prawdziwy Stiepan Gawryłowicz pokazał mi pełen wizytownik kartoników, ale bez przekreślonego numeru telefonu. Nie rozpoznał oszusta, gdy mu go opisałem. Wedle jego wiedzy w ratuszu nie można było rejestrować nazw firm. Poradził, abym spróbował w Ministerstwie Gospodarki.

Na pocieszenie mogę dodać, że w kolejnych miesiącach powstało wiele nowych sklepów i firm, lecz żadna z nazw nie pochodziła z naszego wyboru. Za to Rosyjski Związek Rolników uznał, że to zły pomysł, aby nasza restauracja miała rosyjsko brzmiącą nazwę, i przykazał nam trzymać się pierwotnego wyboru — Jackets. Mimo wszystko jedną z wymyślonych nazw — TAMKO — postanowiłem zachować dla siebie. Poszedłem na dworzec kolejowy i w samoobsługowej maszynie wydrukowałem trochę wizytówek na własny użytek.

ROZDZIAŁ 16

Serowy Car

Mojego mozzarellowego olśnienia doznałem w oborze, przy ckliwych dźwiękach największych hitów ABBY i słodkim zapachu gnoju. Pasowały do siebie.

Wiosną przeciętna rosyjska krowa przedstawia sobą opłakany widok. Żałosne stworzenie

wytacza się z obory, gdzie tkwiło uwięzione od pierwszych śniegów z minionego listopada. Kiedy temperatura spada, okna obór zabija się dechami i zasłania filcem. Każdego ranka gospodarz musi rozbić warstewkę lodu w poidle, żeby krowa mogła się napić. Do jedzenia daje jej zmarznięte siano oraz te warzywa korzeniowe, których sam akurat nie potrzebuje. Zwierzę stoi na platformie zbitej z listew, żeby odchody mogły spadać między deskami na ziemię i tam zamarzać — słoma jest zbyt cenna, aby ją marnować. Mleka starcza do świąt. Krowa może być samotna lub mieć towarzyszki w zależności od tego, ile paszy udało się zgromadzić na zimę.

Kiedy śnieg zaczyna topnieć, słońce wznosi się nad linię drzew, a powietrze wypełnia psotna muzyka brzęczącego lodu, gospodarz wreszcie otwiera drzwi, by krowa mogła wyjść na światło dzienne, gdy będzie gotowa. Powłócząc nogami i zataczając się, zwierzę wyłania się z mroku i ze smrodu. Wykończone tym wysiłkiem opiera się o płot albo ścianę i czeka na jedzenie, z obwisłym brzuchem, zapadniętymi bokami, ze spuszczoną głową oraz z żebrami i kośćmi biodrowymi sterczącymi pod skórą.

Zimą rosyjskie krowy nie dawały mleka, bo brakowało paszy, za to latem mleko szybko się psuło, bo wiele gospodarstw nie miało chłodni. Nic dziwnego, że trudno było o świeży napój. W supermarkecie Irish House kupowałem fińskie mleko w przezroczystych plastikowych torebkach. Większość tego rosyjskiego przeznaczano na produkcję serów, lodów, kwaśnej śmietany i innych mlecznych przetworów. Śmietana, serwatka i twaróg są bardzo smaczne, ale nie było co dumać nad witryną z serami. Do wyboru miałem zazwyczaj tylko żółty albo żółty wędzony.

Wziąłem udział w dorocznym zjeździe Związku Rolników w starej sali kongresowej partii komunistycznej. Dwa tysiące gospodarzy z całej Rosji zgromadziło się pod ogromną związkową flagą. Wszyscy mieli przypominające Eisensteina twarze z zapadniętymi policzkami i gęstymi brodami w kształcie łopatek. Siedziałem obok Szweda o imieniu Klang, który postanowił przyjść z pomocą rosyjskiemu przemysłowi mleczarskiemu i prowadził modelową farmę mleczną ufundowaną przez szwedzki związek rolników w Sołniecznogorsku, na północny zachód od Moskwy. W młodości zajmował się uprawą ziemniaków, a obecnie hodował je jego rosyjski sąsiad, więc nie brakowało nam tematów do rozmowy. Wprosiłem się na jego farmę, żeby przedyskutować możliwość współpracy. Przy okazji chciałem też zwiedzić Szachmatowo, gdzie znajdowała się zamieniona w muzeum wiejska posiadłość Aleksandra Błoka, słynnego poety symbolisty uwikłanego w rewolucję październikową.

Natasza zawiozła mnie na miejsce swoją nivą. Zgłosiła się na ochotnika, bo wieść gminna niosła, że cztery lata wcześniej w okolicy rozbił się statek kosmiczny, a trzech martwych obcych zabrano do sekretnego ośrodka badawczego w pobliżu Sołniecznogorska. Natasza miała się spotkać z innymi wyznawcami astralizmu i zbadać sprawę. Nie chciała ujawnić, jak zamierzają zlokalizować tajny ośrodek, ale myślę, że w grę wchodziły wibracje, telepatia i kryształy. Już nie pamiętam, co jej powiedziałem, jeśli w ogóle cokolwiek. Prawdopodobnie tylko się roześmiałem, lecz to wystarczyło, żeby się obraziła i nie odzywała przez całą podróż.

Na drodze leżała breja, a spryskiwacz przedniej szyby nie działał, więc co piętnaście kilometrów Natasza musiała zjeżdżać na pobocze przy zaspach w miarę czystego śniegu i rzucać go na przednią szybę przed włączeniem wycieraczek. Przez większość czasu jechaliśmy w brązowej mgle. Zostawiła mnie przy zjeździe z autostrady do miasta, gdzie czekał na mnie Klang, i wyruszyła na poszukiwanie martwych kosmitów.

Gospodarstwo leżało na łagodnym wzniesieniu z widokiem na wzgórza, lasy, odległe miasto nad jeziorem i pobliską państwową mleczarnię. Klang był Szwedem z południa, małym i ciemnym, bez śladu tego melodyjnego zaśpiewu, który często stanowi obiekt kpin z jego narodu. Rodzinę zostawił w Szwecji, bo jego dzieci były jeszcze w wieku szkolnym, i mieszkał sam w

skromnym małym parterowym domku udekorowanym żółtymi i niebieskimi akcentami oraz intarsjowanymi portretami krów, które wykonywał w ramach hobby.

Przedstawił mnie sąsiadowi, który z dumą pokazał mi swoje ziemniaki. Jak się spodziewałem, były wielkości otoczaków. Ale gospodarstwo miało ładnie wentylowaną stodołę do przechowywania zbiorów, która mogłaby się okazać użyteczna.

Klang oprowadził mnie po swoich oborach. Miał około pięćdziesięciu zwierząt. Tłuste i zadowolone krowy mieszkały w bydlęcym pałacu, gdzie nie żałowano im żadnych udogodnień. Miały muzykę z głośników, podgrzewaną wodę, grzejniki na podczerwień, żarówki symulujące dzienne światło, elegancką dojarnię i dyskretnie zaaranżowany system usuwania odchodów. Oprócz najsłodszego siana dostawały różne rodzaje zbóż i paszy kiszonej doprawiane witaminami, minerałami, probiotykami, antybiotykami i wszelkimi innymi przyprawami stanowiącymi obiekt pożądania każdej nowoczesnej krowy. Produktem końcowym było oczywiście najdoskonalsze mleko w całej Rosji.

Zachwycałem się i wzdychałem, zadając mam nadzieję wnikliwe i profesjonalne pytania na temat tego, czy zna wszystkie krowy po imieniu i jaka jest ich ulubiona muzyka. W przypływie natchnienia zapytałem go też o rasę. Wystarczyłoby, gdyby powiedział, że to skrzyżowanie szwedzkich czerwono-białych z rosyjskimi czerwono-białymi, łączące skandynawską wydajność z rosyjską odpornością na lokalne warunki. Ale nie. Z zawodu był sztucznym zapładniaczem bydła. Opisał mi cały proces: techniki selekcji, zarządzanie wydajnością, czynniki wpływające na martwe urodzenia. Dla mieszczuchów taki temat powinien być nieco pikantny, ale zapewniam was, że w grę nie wchodziły żadne chichoty. Nigdy bym nie przypuszczał, że sperma może być tak śmiertelnie nudna. Tęskniłem za dreszczem, o jaki przyprawiał mnie opis mechanizmu rozmnażania ziemniaków.

Klang przedstawił mi Ingę i Lolę — cielęta, które spłodził, że tak powiem. W drodze było jeszcze kilkoro innych braci i sióstr. Nigdy nie miałem słabości do słodkich krowich twarzyczek i wielkich brązowych ślepi z podwiniętymi rzęsami, bo w dzieciństwie zostałem polizany przez cielę, gdy siedziałem w wózku. Od tamtego momentu odwracam wzrok od widoku ozora cielęcego u rzeźnika i wciąż mam koszmary o zaślinionych ślimakach pełzających mi po twarzy. Ale teraz byłem zaintrygowany. Czy intarsjowane w drewnie obrazki były rodzinnymi portretami podopiecznych Klanga? Czy miał ulubioną krowę? Czy jadał wołowinę? Ponieważ jednak dopiero się poznaliśmy, zamiast tego zadałem pytanie, które niestety okazało się zabójcze. Klang nie mógł uchylić się od odpowiedzi, więc zdradził mi mroczny sekret, który prześladował go za dnia i nie pozwalał mu spać w nocy.

— Co robisz z mlekiem?

Gdyby był Anglikiem albo Rosjaninem, zacząłby snuć niestworzone historie, przedstawiać sprawy w korzystnym świetle, mówić wymijająco albo kłamać. Ale on był prostolinijnym Skandynawem, więc wypalił prosto z mostu:

— Wylewamy je.

To nie była do końca prawda. Częścią karmił własne krowy, oddawał też lokalnym hodowcom żywego inwentarza tyle, ile chcieli wziąć, jeśli dysponowali transportem. Ale większość mleka się marnowała, bo nie miał urządzeń do pasteryzacji, miejsca, w którym mógłby je pakować, transportu ani żadnych środków, żeby wprowadzić mleko na rynek detaliczny. Pobliska mleczarnia nie mogła go wykorzystywać, bo oficjalnie krowy Klanga były karmione antybiotykami niedozwolonymi w Rosji. Ale on twierdził, że to tylko wymówka. Mleko zatwierdzono do konsumpcji, jednak kierownicy współpracowali tylko z rosyjskimi dostawcami, bo dostawali łapówki. Wiosną, kiedy przychodziła odwilż, Klang spryskiwał mlekiem pola, ale zimą musiał trzymać zapasy w polietylenowych zbiornikach, wielkich

plastikowych workach przypominających ogromne wymiona z zamarzniętym mlekiem. Europejscy podatnicy płacili mu za tworzenie małego europejskiego mlecznego jeziora.

Przywodziło to na myśl absurdy radzieckiego systemu centralnego planowania, kiedy to cele produkcyjne musiały być wypełniane niezależnie od tego, czy dany produkt był potrzebny, czy nie. Współczułem mu. Wylądował na rosyjskiej wsi jak jeden z kosmitów Nataszy i miał do towarzystwa tylko swoje krowy. Nie wiedziałem, co powiedzieć. Bardziej po to, aby przerwać krępujące milczenie niż z poważnym zamiarem, wypaliłem:

— Zróbmy z tego mozzarellę i sprzedajmy restauracji Pizza Hut.

Nie sądziłem, że weźmie moje słowa na poważnie. Ale ci, którzy mówią, co myślą, zazwyczaj też wierzą w to, co słyszą. Nie wyczuwają ironii i żartobliwości stanowiących podstawowe elementy języka dyskursu Anglika. Klang spojrzał na mnie i pokiwał głową.

— Hmm, *ja-juste*. To dobry pomysł.

Dobry pomysł. Tym mnie urzekł. Zdążyłem się przyzwyczaić do tego, że ludzie powtarzają mi, że moje pomysły są do niczego. Przy rzadkich okazjach, kiedy ktoś mówi: „To dobry pomysł", zwłaszcza prostolinijny Skandynaw, czuję ekscytację i fanfary jak przy wygraniu w pasjansa na komputerze, gdy karty spadają w dół niczym wodospad i wyświetla się słowo „Gratulacje".

— Znam kogoś w Pizza Hut. Otworzyli drugą restaurację w Moskwie. Planują jeszcze trzy. Chcą też rozszerzyć działalność na Petersburg. A jaki jest ich główny składnik poza mąką? Mozzarella. Skąd biorą ser? Z Niemiec. Da się zrobić mozzarellę z twojego mleka?

— *Ja*, dobry serowar może zrobić każdy ser, jaki zapragniesz. Nawet w twojej wannie.

— Czy twój Związek Rolników wyśle nam serowara?

— To możliwe.

— Namówimy Pizza Hut, żeby zapłacili za sprzęt. Kupimy furgonetkę i będziemy dostarczać ser. Zajmiemy się fakturowaniem. Wszystko zorganizujemy. To musi być tańsze niż niemiecki ser. I to będzie wspaniała reklama dla Pizza Hut, wspieranie lokalnego przemysłu, bla bla bla.

— A kim jesteśmy „my"?

— TAMKO. Nasza firma.

Siedzieliśmy przy kuchennym stole Klanga nad mlekiem i szwedzkimi klopsikami, przygotowując ofertę i trwoniąc życie na marzenia o handlowaniu serem. Tak nas to pochłonęło, że nie zdążyłem już zobaczyć muzeum Błoka. Klang zawiózł mnie do skrzyżowania z autostradą, gdzie czekała na mnie Natasza. Zapytałem, czy została porwana przez obcych, a jeśli tak, to czy poczęstowali ją lunchem.

— Dżorn! Ty w nic nie wierzysz. Tylko w te swoje głupie ziemniaki.

— Nieprawda. W tej chwili wierzę w ser. Będę Serowym Carem.

— Myślę, że nie masz ani jednego anioła stróża.

— Jestem pewien, że mam chociaż jednego, jak każdy.

— Tylko jednego? Żal mi cię. Ja mam trzydzieści trzy.

— O rety.

— Niektórzy mają ich o wiele więcej.

— A to szczęściarze. A skąd o tym wiedzą?

— Po mapie gwiazd w dniu, w którym się urodzili.

— Myślałem, że jeden anioł wystarczy, żeby trzymać człowieka z dala od kłopotów.

— Nie można mieć ich zbyt wielu. Zwłaszcza w Moskwie. Musisz być bardzo ostrożny.

Moja znajoma, Gloria z Pizza Hut, uznała, że pomysł z mozzarellą jest świetny. Pomogła mi sporządzić ofertę dla centrali regionalnej w Polsce. Zaproponowaliśmy roczny kontrakt na

dostawę mozzarelli i wszelkich innych serów, na jakie będzie zapotrzebowanie, po lokalnych cenach plus koszty transportu. Prosiliśmy też o dostarczenie podstawowego wyposażenia do produkcji sera w zamian za nagłośnienie współpracy i reklamę marki ze strony Rosyjskiego Związku Rolników, władz samorządowych Sołniecznogorska, mera Moskwy i tak dalej. Tymczasem Klang potwierdził, że Szwedzi przyślą nam ekspertów i przygotują program treningowy dla przyszłych serowarów. To nie miało sprawić, że TAMKO stanie się zamożną firmą, ale mogło pomóc w rozkręceniu restauracji i zrobić z nas pożądanych konsultantów z pokaźnymi dniówkami za doradztwo w zakresie przedsiębiorczości.

Pierwsza reakcja Warszawy była pozytywna. Gloria powiedziała mi, żebym oczekiwał zaproszenia na prezentację i spotkanie. Nie ma nic lepszego niż sukces odniesiony z taką łatwością. Zostanie Serowym Carem Wielkiego Księstwa Moskiewskiego z pewnością nie było szczytem moich życiowych ambicji, ale stanowiło dobry początek. W takich momentach człowiek daje się ponieść wyobraźni. Jackets będzie serwowało specjalne ziemniaki z mozzarellą. Zaprojektujemy etykietę, wykorzystując Ingę i Lolę. TAMKO stanie się oficjalnym dostawcą sera na Kreml. Będę mógł wejść z podniesioną głową do hotelu Metropol. Już zacząłem się rozglądać za odpowiednią półciężarówką chłodniczą.

Gloria zadzwoniła do mnie ze złymi wieściami. Europejskie biuro centralne Pizza Hut zablokowało pomysł. Będą dalej importować niemiecką mozzarellę. Polityka gospodarcza okazała się bezlitosna. Aby zredukować piętrzące się góry sera, Unia Europejska rzucała tyle towaru, ile mogła, na zagraniczne rynki. Wspólna polityka rolna UE nie tylko wspierała niemieckich producentów sera za pomocą subwencji, lecz także dotowała eksport ich nadprodukcji. Pizza Hut płacono, żeby brała ser do Rosji. Moglibyśmy rozdawać nasz rosyjski ser za darmo, a i tak Niemcy byliby na lepszej pozycji. A teraz zamiast sera wyobraźcie sobie masło, mięso oraz wszelkie inne jeziora i góry produktów, jakimi UE zarzuca resztę świata, niszcząc lokalne rynki, doprowadzając lokalnych farmerów, producentów i wytwórców do bankructwa, a potem udzielając im nędznych grantów na rozwój, z których większość trafia do kieszeni zagranicznych konsultantów pomieszkujących w hotelu Metropol i udzielających tubylcom wykładów na temat przedsiębiorczości.

Przekazałem złe wieści osobiście. Którejś soboty pojechałem pociągiem do Sołniecznogorska i Klang odebrał mnie ze stacji. Poznałem jego nowego potomka, Benbo, urocze dziecię, ale niestety płci męskiej, więc pisana mu była rzeźnia, gdy tylko przybierze na wadze. Klang pogodził się z naszą porażką i nie chciał obwiniać Unii Europejskiej. Rolnicy nie gryzą ręki, która ich karmi. Po mleku i klopsikach zawiózł mnie do Szachmatowa. Posiadłość Błoka była zamknięta na czas renowacji. Popatrzyłem przez dziurę w płocie na drzewa i pokrytą szronem trawę.

Gdy z powrotem znalazłem się na Dworcu Leningradzkim, zdążyłem już nabrać dystansu do całej sprawy. Niezbadane są zamiary anioła stróża. To okropny moment, kiedy Wielkie Coś legnie w gruzach, a prawdopodobieństwo zamieni się w śmieszność. Tylko odrobinę mniej okropna jest sytuacja, gdy uda ci się coś rozpocząć, ale w trakcie uświadamiasz sobie, ile harówki będzie trzeba, żeby się to udało. Mozzarella ostatecznie przestała mi się wydawać takim świetnym pomysłem.

ROZDZIAŁ 17

Czy ryby wyjeżdżają na Florydę?

Pierwsze prawdziwe opady śniegu tej zimy przyszły w ostatnią sobotnią noc października. W niedzielny poranek mieszkanie było pełne światła. Poczłapałem boso do okna.

Wielkie mączyste płatki śniegu uderzały o szkło, skuszone przynętą w postaci waty upchniętej na parapecie pomiędzy podwójnymi szybami.

Na podwórku stał mężczyzna w białym fartuchu i czapce kucharskiej nałożonych na kurtkę i narciarską czapę i sprzedawał coś z ręcznego wózka. Stał tam na tyle długo, że śnieg zdążył przysypać ślady kół. W zasięgu wzroku nie widziałem nikogo innego. Stał nieruchomo, powoli zamieniając się w śniegowego bałwana.

Zarzuciłem płaszcz na piżamę, włożyłem czapkę i zszedłem na dół. Było strasznie zimno. Brnąłem ku niemu, żałując, że jednak nie ubrałem się odpowiednio. Gapił się na mnie oczami czarnymi jak węgiel. Na soplu zwisającym z czubka jego czerwonego nosa perliła się kropla topniejącego lodu.

— Wyglądasz jak bałwanek — zauważyłem.

— Człowiek musi zarabiać na życie.

Odniosłem wrażenie, że nie obchodzi go, czy coś mi sprzeda, czy nie. Sam musiałem zajrzeć pod białą szmatkę przykrywającą jego towar. Jajka.

— Są świeże?

— Przy takiej pogodzie? Wytrzymają do wiosny.

— Nie o to pytałem. Czy są świeże teraz? Czy raczej drugiej młodości?

— Zniesione dziś rano.

— Skąd?

— Z tyłka kury.

— Więc są świeże.

— Ich tyłki? Przecieram je wodą kolońską każdego ranka.

Nie przyniosłem ze sobą siatki, więc wziąłem tylko cztery, po dwa do każdej ręki. Przekazywaliśmy je sobie nawzajem, bo żaden z nas jakoś nie wpadł na to, żeby odłożyć je na chwilę, abym mógł zapłacić, a on wydać mi resztę. Kiedy skończyliśmy to małe żonglowanie, z powrotem przykrył jajka tkaniną i znowu stanął nieruchomo, pozwalając, żeby śnieg zbierał się na jego głowie i ramionach.

— Nie jest ci zimno?

— A jak myślisz?

Rosyjskie męstwo. Upór. Determinacja. Będzie tam stał, dopóki nie sprzeda towaru albo nie zniknie w zaspie aż do wiosny. Katarzyna II Wielka wystawiała po stu strażników wokół Pałacu Zimowego nawet w samym środku najtęższej zimy. Nocą spora część umierała z zimna na swoich posterunkach. Następnej nocy zastępowali ich kolejni i część z nich też zamarzała.

Zimą ludzie w Rosji wyciągają ciepłe ubrania i wietrzą je z zapachu kamfory; natłuszczają buty, łyżwy i narty; naprawiają łopaty do odśnieżania; gromadzą puszki i słoiki z przetworami z ulicznych targów; szyją patchworkowe narzuty; upychają świeżą watę na parapetach między podwójnymi szybami, aby wchłaniała skraplającą się parę; wstawiają samochody do szop i garaży i podnoszą je na lewarkach, żeby opony pozostały okrągłe. Metro jest pełne kierowców jeżdżących pewnie tylko przy dobrej pogodzie i ogorzałych daczników, którzy dźwigają torby wypchane wyhodowanymi samodzielnie produktami rolnymi, pościelą i akcesoriami kuchennymi.

Rosyjscy przyjaciele nie podzielali mojej odrazy do śniegu. Podczas gdy ja robiłem się nadąsany, oni stawali się radośni. Podczas gdy zimno przyprawiało mnie o reumatyzm i depresję, oni wierzyli, że zabija zarazki i wzmacnia organizm. Żałowałem, że nigdy nie nauczyłem się jeździć na łyżwach, może nie przewracałbym się tak często. Nie opuszczałem domu bez wibramowych podeszew, ale nie robiło to wielkiej różnicy. Nadal zataczałem się od poręczy do poręczy, podczas gdy tubylcy mijali mnie pędem na gładkich plastikowych podeszwach. Nawet

pijacy trzymali się lepiej niż ja. Raz starsza pani przeprowadziła mnie przez ulicę, myśląc, że jestem ślepy. Najgorsze były naziemne dworce kolejowe, wyślizgane i czarne lodowiska, o których zapominało się, kiedy człowiek wjeżdżał po ruchomych schodach.

Próbowałem zachować pozytywne nastawienie. Nauczyłem się jeść lody na dworze, spacerując przy minus dwudziestu stopniach. To była część procesu upodabniania się do tubylców, jak jedzenie kaszy bez odruchu wymiotnego.

W biurze współczująco zapytałem Afanazego o jego hobby.

— Co robisz w zimie, kiedy nie możesz wędkować?

— Łowię ryby.

— Gdzie? Przecież wszystko jest zamarznięte.

— Jarn, czy ryby wyjeżdżają na Florydę? Jak myślisz, gdzie są?

— Pod lodem?

— W żadnym wypadku. Jest im tam miło i przytulnie. Tam możemy je dopaść. Nigdy nie łowiłeś ryb pod lodem? Chciałbyś się przyłączyć?

Dla rozsądnych ludzi maksyma „Wszystkiego trzeba w życiu spróbować" jest właśnie tym — po prostu przysłowiem. Od razu wiedziałem, że łowienie ryb pod lodem znajdzie się na mojej osobistej liście wyjątków razem z nagim paintballem, sodomią z kurczakami oraz dobrowolną rezygnacją z picia wina. Więc dlaczego się zgodziłem? Nie mam pojęcia.

Umówiliśmy się na następną sobotę. Afanazy kazał mi się ciepło ubrać, a ja wolałem nie ryzykować, więc założyłem: siatkowy podkoszulek, podkoszulek wełniany z długim rękawem, T-shirt, wełnianą koszulę, pulower bez rękawów, gruby sweter, ciepłe gacie, długie kalesony, spodnie od piżamy, spodnie wełniane, watowaną wodoodporną kurtkę, podwójne rękawice narciarskie, długi wełniany szalik owinięty również wokół głowy oraz karakułową czapę z opuszczonymi i zawiązanymi nausznikami. A na to wszystko płaszcz. Nawet Mallory próbował zdobyć Mount Everest lżej ubrany. Poruszałem się jak astronauta podczas spaceru w kosmosie.

O ósmej rano na Dworcu Sawiołowskim wsiadłem do *elektryczki* jadącej na północ od Moskwy. Wysiadłem po kilku przystankach, a ponieważ mam nadzieję, że nigdy więcej tam nie trafię, wymazałem z pamięci nazwę stacji. Afanazy już na mnie czekał. Z trudem władowałem się do jego zaparkowanej nieopodal łady. Nie jestem pewien, gdzie nas zawiózł, bo przez okna nic nie było widać, a mnie pot zalewał oczy. Po mniej więcej dwudziestu minutach zatrzymał się w odśnieżonej zatoczce, obok śnieżnego nasypu.

Wysiedliśmy. Było szaro i mgliście. Powiedział, że wcale nie jest tak zimno, tylko około piętnastu stopni poniżej zera. Jego zdaniem balsamiczne powietrze natychmiast ściągnęło mi twarz, dając efekt zabiegu botoksem, wgryzło się głęboko w oskrzeliki i ścięło pot pod kiloma warstawmi moich ubrań.

Nie przypominał już dyplomaty z Brighton Beach. Od czapy po buty był odziany w baranią skórę zwróconą runem do środka. Wyglądał jak gigantyczny chodzący kawałek zamszu. Wgramoliłem się na śnieżną zaspę, a on zaczął podawać mi sprzęt z bagażnika. Ogromny korkociąg, długi na ponad metr i szeroki na trzydzieści centymetrów, kołczan z wędkami, dwa kozły przypominające niskie stołki myśliwskie, zrobione ze zbitych ze sobą kawałków drewna, i własnoręcznie wykonaną drewnianą skrzynkę ze skórzanym paskiem w ramach uchwytu.

Staliśmy przed ogromną płachtą lodu, którego krańce gubiły się w białej mgle. Nie mam pojęcia, co to było: jezioro czy rzeka. Nie mogłem zapytać, bo zaciskałem zęby pod szalikiem, żeby powstrzymać je od szczękania. Ruszyłem za Afanazym przez głęboki chrzęszczący śnieg i weszliśmy na lodowisko. Nie przewrócić się — to było pierwsze wyzwanie. Posuwałem się na ugiętych nogach z rękami wyciągniętymi na boki na tyle, na ile pozwalało mi ubranie. Wokół widziałem rozproszone skulone postacie innych wędkarzy, po jednym na dziurę, siedzących jak

pustelnicy w milczącej kontemplacji.

Kiedy mój towarzysz w końcu się zatrzymał, brzeg zdążył skryć się we mgle za nami. Afanazy rozejrzał się wkoło z satysfakcją i otworzył skrzynkę. Wyciągnął dwie butelki wódki i podał mi jedną. Odkręciliśmy zakrętki i wzięliśmy po łyku. Jak zawsze ten pierwszy łyk stanął w gardle jak drewniany patyk, ale było to zdecydowanie lepsze niż mroźne powietrze. Pociągnęliśmy drugi łyk, ten który mknie przełykiem jak sokół, i od razu poczułem się lepiej.

Afanazy zaczął wiercić dziurę w lodzie. Podobnie jak reszta jego rzeczy ogromny przyrząd ze skręconej zaostrzonej stali, z uchwytem od siekiery do obracania przyśrubowanym poziomo w poprzek końcówki wiertła, też wyglądał na zrobiony własnoręcznie. Długo pracował bez żadnych widocznych efektów, aż nagle ostrze przebiło się przez lód, gruby na mniej więcej trzydzieści centymetrów. W przeręblu zabulgotała przejrzysta zielonkawa woda. Wyjął z płóciennej torby krótką wędkę, metalowy patyk z kołowrotkiem przylutowanym do grubego końca, i podał mi ją. W dziurze szerokiej na trzydzieści centymetrów nie było mowy o zarzucaniu czy łowieniu włokiem. Na końcu żyłki znajdowała się mała potrójna kotwica przylutowana do czegoś, co wyglądało jak łyżka bez uchwytu.

— *Mormyszka* — wyjaśnił Afanazy, co wziąłem za nazwę tej przynęty, a nie jakieś tam czułe słówko.

Moje poprzednie doświadczenia wędkarskie wiązały się z okresami dojmującej nudy, od czasu do czasu przerywanej nabijaniem na haczyk wijących się stworzonek, więc z ulgą przyjąłem stałą metalową przynętę.

Następnym wyzwaniem było usadowienie się na koźle. Byłem tak opatulony, że nie mogłem się schylać, i Afanazy musiał nakierować mnie na siedzisko jak geriatryka na sedes. Było mi wyjątkowo niewygodnie, nie z powodu desek, których i tak nie czułem przez ubranie, ale ponieważ musiałem trzymać nogi stale napięte, żeby zachować równowagę. Afanazy kazał mi opuścić haczyk do dna i unieść go o trzy cale, a potem wciąż nim potrząsać. Wędka powinna cały czas wibrować. Pierwsza część zadania była trudna, bo nic nie czułem przez rękawiczki. Wibrowanie poszło mi tak dobrze, że pogratulował mi techniki. Nie powiedziałem mu, że to dlatego iż cały trzęsę się z zimna.

Zostawił mnie usadowionego nad moim przeręblem i wywiercił własny kilka metrów dalej. Unieruchomiony w swoim kokonie, z dolną połową ciała napiętą, a górną drgającą, zacząłem doświadczać procesu tężenia. Nie czułem już twarzy. W członkach miałem złowieszcze napięcie, jak na chwilę przed dostaniem skurczu w łóżku. Jeśli chodzi o resztę ciała, to najlepszym określeniem, jakie przychodzi mi do głowy, jest martwica. Zacząłem rozumieć znaczenie terminu „hartowany mrozem" i pojąłem, dlaczego rosyjscy rolnicy wyglądają tak, jak wyglądają.

Jedną z pierwszych zasad przetrwania na ekstremalnym zimnie jest powstrzymanie się od picia alkoholu, który rozszerza naczynia krwionośne i sprawia, że organizm szybciej się wychładza. Do diabła z tym. Trzeci łyk spłynął w dół jak ptaszek. Porzekadło nic nie mówiło o kolejnych, ale każdy następny był coraz lepszy — z wyjątkiem ostatniego.

— Jarn, potrząśnij wędką.

Nie mogłem. Było mi tak zimno, że już nawet przestałem się trząść. Tylko *delirium tremens* mogłoby mnie znowu wprowadzić w stan drżenia. Przez pokryte szronem rzęsy obserwowałem, jak Afanazy wyciąga ze swojego przeręblа jedną rybę za drugą. Piękne srebrne sztuki rzucały się po lodzie w agonii i zdychały. Nie obchodziło mnie to. Aby wyrwać się ze szponów słodkiej senności zwiastującej hipotermię, skoncentrowałem się na tym, co Afanazy opowiadał mi o rybach — na ich nazwach, zwyczajach, siedliskach i przeróżnych sposobach łapania ich pod lodem w rzekach, jeziorach i w morzu. To było jak szczypanie się, żeby nie usnąć

za kierownicą. Ból był lepszy niż otchłań zapomnienia.

Ale jak mówią, wszystko co dobre... i na szczęście wszystko co złe też się kończy. Gdyby nie sople na powiekach, zaszlochałbym z ulgi na widok Afanazego zbierającego nasze manatki. Uprzejmie wyjął mi wędkę z rąk i postawił mnie na nogi. Trwałem wygięty jak ogonek pod literą „c" w języku francuskim. Kiedy wchodziliśmy na lód, byłem o głowę wyższy od Afanazego. Kiedy wracaliśmy, sięgałem mu ledwie do ramienia.

Zaprosił mnie do domu na gorącą zupę i smażoną rybę. Mieszkał tylko pół godziny drogi od łowiska. Podkręcone maksymalnie ogrzewanie w samochodzie sprawiło tylko, że zrobiło mi się jeszcze zimniej.

Przy budynku Afanazego znajdował się rząd drewnianych garaży z drzwiami zabezpieczonymi całą baterią zamków, rygli i łańcuchów. Zanim wprowadził tam samochód, zaprosił mnie, abym obejrzał jego kolekcję akcesoriów wędkarskich. Były tam wędki, więcierze, kosze, sieci i wędzarki do ryb. Podobnie jak świder do lodu i wędki wszystko to zrobił własnoręcznie. Wyjął z kieszeni *mormyszkę*, której dopiero używał.

— Widzisz? Mój tata ją zrobił. Dzięki temu wyżywił rodzinę. W żadnym wypadku. Inaczej umarlibyśmy z głodu. On zrobił to wszystko.

— Mieszkaliście na wsi?

— W Moskwie. Stracił nogę na wojnie. Jaką pracę mógłby dostać? Nauczył mnie, że jeśli czegoś się chce, trzeba to samemu zrobić. Moją żonę i córkę też wykarmiłem. Świeże ryby. To pomaga przetrwać kryzys. W żadnym wypadku. Ona stale mnie krytykuje, że powinienem więcej zarabiać, ale na co nam pieniądze? Czy da się je zjeść?

Chociaż ten jeden raz byłem wdzięczny za przegrzane rosyjskie mieszkania. Rozebrałem się do trzech warstw, sprawdziłem w lustrze, czy nie zostawiłem uszu na lodzie, i czekałem, aż moje kończyny dołączą do reszty ciała. Wąski przedpokój był zagracony akcesoriami rybackimi i zdjęciami. Z sufitu zwisał długi na sześć stóp spreparowany jesiotr.

Afanazy wszedł do sypialni, żeby zdjąć swoją baranią skórę, a ja zajrzałem do salonu. Spodziewałem się większej liczby rybackich gadżetów. Zamiast tego zobaczyłem *Rzeź niewiniątek*. Poza tym niczym się niewyróżniający pokój wyglądał jak kostnica dla malutkich główek, członków i tułowi w różnych stopniach rozczłonkowania.

Laleczki w swoich najlepszych sukienkach pokrywały każdą dostępną powierzchnię. Stół był zasłany ubrankami i materiałami.

— To mojej żony, Ludmiły.

— Jest lalkarką?

— Robi lalki.

— Niezłe hobby.

— W żadnym wypadku. Zbija na tym majątek.

Poszedłem za nim do kuchni. Krzątał się po niej, podgrzewając treściwą zupę, która miała nam dodać energii, podczas gdy on będzie patroszył poranną zdobycz.

— Gdzie Ludmiła sprzedaje swoje lalki?

— W Houston. Phoenix. San Diego. Uwielbiają je tam. Zabytkowe lalki to świetny biznes. Wielcy kolekcjonerzy. Płacą dużo pieniędzy. W żadnym wypadku. Uwielbiają stare rosyjskie lalki.

Nad zupą, piwem i smażoną rybą z ogórkami konserwowymi opowiedział mi o biznesie Ludmiły. W początkowym okresie po upadku komuny na ulicznych targach można było za bezcen kupić zabytki wszelkiego rodzaju. Ludmiła miała lalkę, która należała jeszcze do jej prababki. Na bazarze w parku Izmajłowskim kobieta z Teksasu o imieniu Marcia dała jej za nią dziesięć dolarów. Ludmiła nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Amerykanka odeszła, ale po

jakimś czasie wróciła, mówiąc, że nie może dać jej dziesięciu dolarów, że to nie byłoby w porządku. Ludmiła już była gotowa walczyć o swoje, zrobić awanturę i wezwać milicję, ale Amerykanka powiedziała, że da jej kolejne dziesięć, jeśli Ludmiła pójdzie z nią do jej hotelu. Tam Marcia pokazała jej inne stare lalki, które zdążyła kupić. W Houston były one warte nawet tysiąc dolarów.

Ludmiła weszła z nią w spółkę. Odwiedzała targi w poszukiwaniu zabytkowych lalek. Wyprawiała się do innych miast, stopniowo zbudowała sieć dostawców i stała się ekspertem w odnawianiu lalek. Znalazła rzemieślników, którzy pracowali w porcelanie, wosku i drewnie. Gdy zasoby autentycznych lalek się wyczerpały, rzemieślnicy zaczęli robić repliki dawnymi metodami. Ludmiła znalazła stare materiały i nici i nauczyła się, jak szyć ubranka, tak jak to niegdyś bywało. Potem zaczęła uczyć tego innych. Rok temu pojechała na zjazd do Houston, gdzie nawiązała kontakt z kolekcjonerami, rezygnując z pośrednictwa Marcii.

— Niesamowite! Co za przedsiębiorczość! Co za przykład! Bardzo chciałbym ją poznać. Kiedy wróci?

— Prawdopodobnie za parę miesięcy. O tej porze roku mają sporo zjazdów. I wyprawia naszą córkę do college'u.

— Kiedy wyjechała?

— Mówiłem. Jakiś rok temu. W żadnym wypadku.

Afanazy ślęczał ze swoją wędką latem i zimą, aby wykarmić rodzinę, która być może nigdy do niego nie wróci. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

— Nie myślałeś o tym, żeby do nich dołączyć?

— One wrócą. Lepszy własny chleb niż pożyczona bułka.

— Podobnie jak te ryby. Są bardzo smaczne, Afanazy.

ROZDZIAŁ 18

Kozy na straży kapusty

Znaleźliśmy kilka prywatnych gospodarstw, które mogłyby hodować ziemniaki z naszych sadzeniaków, ale sfinansowanie takiego przedsięwzięcia okazało się poważnym problemem. Rolnicy mogli liczyć na grant od związku na rośliny i sprzęt, ale wciąż brakowało pieniędzy na koszty eksploatacji, nawóz i tym podobne sprawy. Na Zachodzie w takiej sytuacji farmerzy dostaliby od banku kredyt sezonowy, lecz rosyjscy rolnicy nie mieli doświadczenia ani zapewnionego rynku zbytu na swoje produkty i chociaż korzystali z ziemi na zasadzie swoistej dzierżawy, nie mogli jej użyć pod zastaw, bo wciąż pozostawała własnością państwa. Żaden dyrektor banku nie pożyczyłby pieniędzy takim klientom. Kiedy więc pojawiła się szansa, żeby znaleźć dofinansowanie dla gospodarstw, natychmiast z niej skorzystałem.

Cieszyłem się na spokojne popołudnie, nadrobienie zaległości w robocie papierkowej, picie herbaty, jedzenie drożdżowych pierożków z kapustą, ćwiczenie rosyjskiego, oglądanie telewizji z sekretarkami, gapienie się przez okno na padający śnieg, czytanie Czechowa i rozwiązywanie krzyżówek w „Moscow Times". Byłem w trakcie drugiej szklanki herbaty, kiedy Natasza kazała mi się stawić w biurze profesora. Jego sekretarka, piersiasta dziewczyna z napuszoną fryzurą, robiła ze swoimi paznokciami coś tak skomplikowanego, że nawet na mnie nie spojrzała, kiedy zapukałem do drzwi gabinetu i wszedłem do środka. Profesor właśnie wymieniał uściski dłoni z trzema ogromnymi mężczyznami.

— Niech nas pan odwiedzi, zanim skończy się sezon futbolowy.

— Hmm. A macie może hokeja na lodzie?

— Mamy St. Louis Blues.

Odwrócili się i spojrzeli na mnie niczym blokujący zawodnicy obrony mierzący wzrokiem rozgrywającego żółtodzioba. Łącznie prezentowali sobą trzysta czterdzieści kilogramów żywej wagi — zdrowego, wiejskiego, najwyższej jakości certyfikowanego marmurkowanego mięsa ze środkowego zachodu USA, wykarmionego kukurydzą, kipiącego od witamin, probiotyków i hormonów wzrostu. Mieli szare garnitury z katalogu wysyłkowego, dopasowane krawaty, chusteczki w butonierkach, białe koszule z krótkimi rękawami i rogami kołnierzyków przypinanymi na guziczki oraz czerwone paczki marlboro w kieszonkach. To był niesamowity widok. Profesor nie przedstawił nas sobie, a oni wyszli jeden za drugim, ciężko stąpając.

— Hmm, pan był bankierem. Proszę, chcielibyśmy usłyszeć pana opinię w kwestii utworzenia Banku Rolników. W Rosji jest sześćdziesiąt tysięcy prywatnych gospodarstw rolnych, a banki nie chcą pożyczać im pieniędzy. Musimy utworzyć własny bank.

— Czemu nie znajdziecie europejskiego banku, który by wam doradził? Francuzi są dobrzy w tego typu kwestiach.

— Dostaliśmy propozycję od Land O'Lakes. Ci trzej panowie to byli właśnie ich przedstawiciele. Utworzą dla nas bank z filiami w każdym obwodzie.

— Zatem dlaczego pytacie mnie o zdanie?

— Hmm, chcemy zasięgnąć opinii innego specjalisty.

Land O'Lakes, z siedzibą w Minnesocie, to największa spółdzielnia rolna na świecie. Ich logo przedstawia indiańskie dziewczę oferujące paczkę masła z logo przedstawiającym mniejszą wersję indiańskiego dziewczęcia oferującego paczkę masła z logo przedstawiającym mniejszą wersję indiańskiego dziewczęcia... i tak dalej... Land O'Lakes zdominowali przemysł mleczarski. Znowu zacząłem węszyć dniówki na horyzoncie. Może uda mi się zaangażować w ten projekt. Minęło dziesięć lat, od kiedy uciekłem z bankowości, i nie miałem bladego pojęcia o pożyczkach rolnych, ale oszacowałem, że wystarczą mi dwa tygodnie na nadrobienie zaległości.

— Oczywiście. Kiedy mam wrócić?

— O dwunastej.

— Słucham?

— Mamy spotkanie z delegacją Rady Odrodzenia Gospodarczego. Będą tu zastępcy merów z dziesięciu rosyjskich miast. To dobra okazja, żeby przedyskutować sytuację.

Miałem dokładnie godzinę na przygotowanie prezentacji albo symulację nagłego ataku choroby. Minus pierwsze dwadzieścia minut, kiedy siedziałem z kompletną pustką w głowie. Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana. Postanowiłem wrócić do podstaw bankowości, zapytać słuchaczy o rolnictwo i mieć nadzieję, że uda mi się tak lawirować aż do lunchu.

Zebraliśmy się w głównej sali konferencyjnej. Miałem mówić po angielsku, z Nataszą jako tłumaczką. Dwudziestu mężczyzn siedziało przede mną z uprzejmie ponurymi minami i dłońmi założonymi na brzuchach. Niemal sami zastępcy — wicemerowie, wicegubernatorzy, wiceminister rolnictwa oraz czterech niezastępujących nikogo posłów parlamentu. Przetrząsałem notatki i terminarz w poszukiwaniu nazwiska wicemera Petersburga. Dwaj mężczyźni zostali właśnie mianowani na ten urząd. Jednym z nich był Władimir Putin, ale nie sądzę, żeby tam wtedy przebywał, bo zapamiętałbym go, jako że przypomina mojego krajana i zagorzałego kibica drużyny Birmingham City, komika Jaspera Carrotta.

Stałem przy tablicy do prezentacji, bez marynarki, wciąż mając pustkę w głowie i wąchając mazak dla kurażu. Najpierw profesor wyjaśnił, na czym polega problem. W teorii rosyjskie banki powinny udzielać prywatnym gospodarstwom pożyczek na dwadzieścia procent. Ale wolały zarobić trzysta procent dzięki pożyczkom *overnight* dla innych banków. Dyrektorzy wymawiali się tym, że rolnicy nie mają zdolności finansowej. Co można było zrobić? Profesor

usiadł i oddał mi głos. Odetchnąłem głęboko, zapanowałem nad wnętrznościami, które zaczęły mi przechodzić w stan ciekły, zignorowałem walące serce oraz pot na skroni i zacząłem.

— Cóż, eee, hmm, czym jest bank?

Bogu dzięki za tłumaczenie konsekutywne zapewniające cenne chwile, kiedy mogłem się zastanowić, co powiedzieć dalej. Zacząłem od podstawowej działalności banków — dbania o pieniądze innych ludzi. To była zaskakująca koncepcja dla moich słuchaczy. Wychowani w starym systemie planowania scentralizowanego myśleli, że banki są mechanizmami służącymi do rozdawania szczodrych państwowych podarunków.

Muszę wyznać, że była to jedna z niewielu okazji, kiedy zaimponowałem sam sobie. Często improwizowałem, ale rzadko miałem taką wenę. Zacząłem prezentację w stanie bliskim totalnej ignorancji, a pod koniec umiałem bardzo dużo, podobnie jak wszyscy inni.

Mówiąc ogólnie, chodziło mi o to, że związek nie potrzebował banku. Kto by go prowadził? Potrzebowaliby nieruchomości, sejfów, strażników, kasjerów, analityków kredytowych i systemów. Musieliby przetrwać na chaotycznym rosyjskim rynku pieniężnym. Tak naprawdę potrzebowali jedynie spółki gwarancyjnej, która zapewniałaby pożyczki rolnikom. Związek stworzyłby wspólny fundusz dla członków. A jeśli uda im się wymóc taką gwarancję od rządu, to nawet lepiej — wtedy banki nie będą miały wymówki, żeby nie pożyczać, właściwie będą mogły zaklasyfikować pożyczki jako obligacje państwowe, które zgodnie z prawem będą musiały posiadać. Związek będzie robił tylko to, w czym jest dobry, oceniając rentowność swoich członków.

Gdy skończyłem, koszulę miałem całą mokrą. Byłem oszołomiony adrenaliną i odurzony wyziewami z mazaka. Osunąłem się na krzesło. Reszta tłoczyła się w kręgu i dyskutowała za szybko i za cicho, żebym mógł coś zrozumieć. W końcu profesor wstał.

— Podobają nam się twoje pomysły. Chcielibyśmy, żebyś wprowadził je w życie.

— A co z Land O'Lakes?

— Twoja propozycja jest lepsza. Powiadomię ich o tym jutro.

Moja satysfakcja z wykiwania Jankesów szybko zeszła na drugi plan w obliczu ogromu tego, co na siebie wziąłem. Rosyjski rynek finansowy stanowił dla mnie tajemnicę. Pocieszałem się, że jestem w podobnej sytuacji jak inni zachodni doradcy mający pomagać Rosjanom. Ale w przeciwieństwie do tamtych mnie za rady nie płacono. Albo musiałem przerzucić projekt na kogoś innego, albo wymyślić jakiś sposób, żeby dorwać się do koryta.

Najpierw musiałem ugruntować swoją wiarygodność. Przekonałem profesora, żeby zatrudnił mnie jako pracownika związku, *rabotnika*. Moja umowa została zatwierdzona przez centralny komitet związku zawodowego robotników rolnych i była regulowana przez rosyjskie prawo pracy. Zostałem upoważniony do rosyjskiego urlopu, darmowej rosyjskiej opieki medycznej oraz tygodnia w sanatorium, o ile przepracuję ponad trzy lata. Jeśli te warunki nie były wystarczająco motywujące, dostałem jeszcze pensję w wysokości dziesięciu tysięcy rubli miesięcznie, co stanowiło więcej niż dwukrotność średniej krajowej. Zarabiałem trzy razy więcej niż wykładowca uniwersytecki i dwa razy więcej niż urzędnik państwowy średniego szczebla. Kiedy podpisywałem umowę, dziesięć tysięcy rubli było warte pięćdziesiąt dolarów. Po trzech miesiącach już tylko dwadzieścia pięć.

Z wizytówką Związku Rolników oraz analizą wykonalności zadzwoniłem do biura przedstawiciela Unii Europejskiej. Pomocny młody człowiek wyjaśnił, że przedstawiciel ma własny budżet na mniejsze projekty, które może zatwierdzać lokalnie. Powiedział mi, co mam napisać we wniosku, i optymistycznie oceniał moje szanse. Dostarczyłem formularz jeszcze tego samego popołudnia. Podniesiony na duchu rozpocząłem podstawowy *research.*

Chciałem porozmawiać z jakimś bankiem poza Moskwą, którego klientami mogli być

rolnicy, więc Afanazy umówił mnie na spotkanie z dyrektorem nowo utworzonego Komprombanku w Oriechowie-Zujewie, osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Moskwy. „Nowo utworzony bank" było tak samo utartym sformułowaniem jak „kościół z cebulastą kopułą" albo „mroźny step". W 1988 roku w Rosji działało pięć banków. Pięć lat później można tu było skorzystać z usług ponad dwóch tysięcy takich placówek.

Oriechowo-Zujewo od XVIII wieku było miastem tekstylnym. Pod rządami Morozowów, staroobrzędowców i nowych przemysłowców, rozkwitło gwałtownie w drugiej połowie XIX wieku. Teraz, w cięższych czasach, wciąż można tu było zobaczyć stare fabryki, wille i okazałe pracownicze domy mieszkalne pośród niszczejących radzieckich monolitów. Siedziba główna i jedyna filia Komprombanku mieściła się w budynku, w którym przed rewolucją działała Gildia Kupiecka. Partia komunistyczna wykorzystywała go jako dom gościnny. Dwa lata temu obiekt sprzedano konsorcjum zrzeszającemu sprywatyzowane państwowe podmioty, które potrzebowało miejsca na bank.

Był to zwalisty budynek z czerwonej cegły zajmujący trzy boki dziedzińca. Front zdobił neoklasyczny portyk zwieńczony podniszczoną przez warunki atmosferyczne rzeźbą, która przedstawiała boginię z pochodnią oświetlającą triumf handlu, komunizmu albo kapitalizmu, w zależności od epoki. Na dziedzińcu kłębił się tłum, jaki zazwyczaj kręci się w okolicy budynków publicznych: kierowcy, kurierzy, żebracy, pijacy, stare kobiety sprzedające ciastka i papierosy na sztuki oraz liczni interesanci błagający ochroniarzy w długich skórzanych płaszczach, by wpuścili ich do środka. Natasza i ja byliśmy na liście gości. W marmurowym holu goryle w modnych szarych garniturach wzięli nasze płaszcze i zaprowadzili nas do poczekalni dyrektora generalnego, któremu usługiwały dwie wymuskane sekretarki, poza tym zajmujące się jedynie swoim manikiurem i operami mydlanymi. Wszelkie ślady komunistycznej przeszłości budynku zatuszowano bladoróżową i kremową farbą.

Siergiej Artemowicz wyszedł nas przywitać. Mały, okrągły, łysy, z obwisłymi policzkami, nosił okulary półksiężyce, ciężki trzyczęściowy garnitur i zegarek z dewizką. Wyglądał jak relikt Gildii Kupieckiej, wyjęty prosto z plakatu prezentującego kapitalistycznego wroga ludu w latach dwudziestych. Zaprosił nas gestem do swojego sanktuarium. Usiedliśmy przed biurkiem na tapicerowanym mahoniu. Ściany były pokryte ciemną boazerią, którą preferują bankierzy na całym świecie, mając nadzieję, że przekona ona klientów, iż jej właściciele są godni zaufania. Na biurku stały dwa telefony — czarny i zielony. Kiedy zadzwonił czarny, Artemowicz zignorował go, bębniąc palcami w oparcie fotela, dopóki jedna z sekretarek nie zaryzykowała złamania paznokcia, żeby odebrać. Za to kiedy zadzwonił zielony, dyrektor porwał słuchawkę, stanął na baczność i długo tłumaczył się stłumionym gorączkowym głosem. To była potęga telefonu widziana po drugiej stronie linii.

— Och, pan John Mole, pan jest Anglikiem? Zna pan rodzinę Charnocków?

— Eee...

— Z Blackburn Lancashire. Są bardzo znani w Oriechowie-Zujewie. To oni stworzyli potęgę niebiesko-białych. Musi pan ich znać. Sprowadzili trawę z Anglii. To przyjemność poznać ich krajana.

Nie miałem pojęcia, o czym mówił, ale postanowiłem wykorzystać jego dobry nastrój. Później odkryłem, że Morozowowie zatrudnili brytyjskiego menedżera, Harry'ego Charnocka z Blackburn, który przyjechał tu ze swoimi kuzynami, w 1894 roku założył pierwszy rosyjski klub piłkarski, zbudował boisko i sprowadził murawę z Anglii. Oriechowski klub nadal tutaj gra. Członkowie rodziny Charnocków byli członkami założycielami pierwszej rosyjskiej ligi piłkarskiej, którą zdążyli wygrać kilka razy przed rewolucją. Bruce Lockhart, dyplomata, tajny agent i pisarz, grał dla nich i zdobył mistrzowski medal w 1912 roku. Przyszły feldmarszałek Earl

Wavell również pojawił się w drużynie. Zawodnicy wciąż grają w niebieskim i białym, kolorach Blackburn Rovers.

Odwiedzanie banków to był mój chleb powszedni przez lata, więc czułem się tu jak w domu. Nad delikatnymi porcelanowymi filiżaneczkami rozmawialiśmy o sytuacji rubla i dolara, perspektywach dotyczących stóp procentowych oraz o cenach złota i ropy, niczym dwie stare ciotki plotkujące o krewnych. Siergiej Artemowicz robił, co mógł, żeby nie pożyczać rolnikom. System płatności był tak fatalnie zorganizowany, że przelanie kredytu na konto pożyczającego trwało trzy miesiące. Nawet transfer pieniędzy pomiędzy filiami tego samego banku zajmował dwa tygodnie.

System finansowy dławił działalność gospodarczą. Uwiązywał kapitał obrotowy, podnosił popyt na kredyty, doprowadzał do wyczerpania przepływu środków pieniężnych i uniemożliwiał samofinansowanie. Z powodu galopującej inflacji pieniądze traciły na wartości pięćdziesiąt procent co trzy miesiące. Przedsiębiorstwa natychmiast lokowały gotówkę w towarach, więc zazwyczaj brakowało im płynności. Wszystko to dusiło w zarodku prywatne biznesy. Napisałem o tym dla brytyjskiej gazety w artykule pod tytułem *Wrogowie przedsiębiorczości*. Pokazałem tekst Olegowi i zasugerowałem, żeby umieścił go w „Izwiestiach" oraz „Moscow Business Times", żeby jeszcze bardziej rozdmuchać referencje ICBM.

— *Znaczit*, to bardzo dobra lektura dla obcokrajowców. Ale to stek bzdur. Rosjanie będą się z tego śmiać. *Kozy na straży kapusty*. Te banki funkcjonują jak skarbonki dla ich właścicieli. Dyrektorzy zanurzają w nich ręce jak dzieciaki w słoiku z cukierkami. Pożyczanie pieniędzy na dogodny procent jest łatwe. Dyrektor banku daje ci pieniądze, ty dajesz mu sowitą łapówkę. Jeśli nie da ci kasy, zabijasz go.

Działalność w tej branży to biznes wysokiego ryzyka. W ciągu ostatnich dziesięciu lat zamordowano ponad trzystu bankierów. Później często zastanawiałem się, czy Siergiej Artemowicz wciąż jest wśród żywych.

Zadzwoniłem do biura Unii Europejskiej w sprawie wniosku o dofinansowanie. Właściwie został zatwierdzony, brakowało tylko podpisu przedstawiciela, którego niestety pilnie wezwano do Brukseli, zanim zdążył wyciągnąć długopis. I nigdy nie wrócił. Zaczęły krążyć plotki na temat szemranych interesów, rosyjskiej kochanki, fikcyjnych firm, łapówek, przekrętów. Oskarżenia wycofywano, jeszcze zanim zostały złożone. Sprawy zamiatano pod dywan. Trupy upychano w szafach. Nic nie znaleziono, niczego nie udowodniono. Wszystko opierało się na oszczerstwach i nieporozumieniach, ale kontrolerzy okupowali biuro i lokalne granty zostały zawieszone na czas nieokreślony.

Byłem oburzony. Przekonany o swoich racjach. A w głębi ducha czułem ogromną ulgę. To, co wydawało się świetnym pomysłem podczas prezentacji, w praktyce okazałoby się koszmarem. Na mapie wyglądało to gładko, ale zapomnieliśmy o wąwozach. Głównym problemem wcale nie była zdolność kredytowa gospodarstw, lecz sam system bankowy. Mój pomysł był naprawdę kiepski. Oczywiście nie napisałem tego w raporcie dla profesora. Bredziłem na temat podaży pieniądza i rezerw finansowych, krytykując Unię Europejską za wstrzymanie dofinansowania. Zaleciłem związkowi założenie własnej sieci banków i zasugerowałem, by zwrócił się o pomoc do instytucji mającej doświadczenie w kredytowaniu działalności rolniczej. Być może jakaś zachodnia spółdzielnia? To był tylko pomysł.

Mojej umowy o pracę nigdy formalnie nie rozwiązano. Technicznie rzecz biorąc, wciąż jestem *rabotnikiem*. I mam do odebrania cztery tygodnie sanatorium.

ROZDZIAŁ 19

Czy jestem orzechem kokosowym?

Zdobywanie informacji o tendencjach rynkowych, cenach towarów, dostawcach i możliwościach gospodarki rolnej nie było łatwe. W krajach z tradycją tajności oficjalne statystyki miały zadowalać, nie informować. Sprawdzonymi informacjami się handluje. Bezpłatnym nie należy ufać. Niczego nie rozdajesz za darmo, chyba że dostaniesz coś w zamian. A już z pewnością nie gadasz z obcymi.

Musztardowy Flor robił, co mógł, żeby mi pomóc. Cieszyły mnie rozmowy toczone przez nas nad gorzką kawą, którą parzył za regałami pełnymi podejrzanych dzienników statystycznych. Prezentował rozbrajającą kombinację inteligencji i naiwności. Pytał mnie o różne zachodnie firmy i organizacje międzynarodowe i chciał wiedzieć, czy zatrudniają ludzi z wykształceniem ekonomicznym. Dawałem mu tak dobre rady, że traktował mnie jak mądrego wuja także w wielu innych poważnych kwestiach:

— Ach, proszę pana, dlaczego banknot jednodolarowy ma piramidę i oko? Czy wszyscy Amerykanie są wolnomularzami?

— Ach, proszę pana, czy to prawda, że Jimi Hendrix był Indianinem z plemienia Czirokezów?

— Ach, proszę pana, pan zna Amerykę, jaka jest różnica pomiędzy znaczeniem słów: *horseshit*, *bullshit*, *ratshit* i *chickenshit*?

Któregoś dnia odwiedził mnie w moim biurze na piątym piętrze. Walczyłem akurat ze sprzecznymi danymi na temat cen ziemniaka w żyznym półksiężycu południowej Rosji, więc byłem zadowolony, że mogę zrobić sobie przerwę. Zapytał, co porabiam w następną sobotę. Mądra osoba zwleka z odpowiedzią na takie pytanie, dopóki nie dowie się, jak brzmi propozycja. Ale ja straciłem czujność. Był zachwycony, że nie mam żadnych planów.

— Chciałbym pana zaprosić do Hali Koncertowej im. Czajkowskiego.

Codziennie po drodze do pracy mijałem tę przypominającą barak budowlę z szarego kamienia. Właściwie lubię Czajkowskiego, pomijając jego muzykę baletową, ale miałem nadzieję, że nie będą wykonywać uwertury *Rok 1812*.

— Z przyjemnością. Co grają?

— To będzie występ państwowej trupy Republiki Udmurckiej.

— Och. Ach. Jak miło.

Zganiłem się w duchu za brak ostrożności. Teraz było już za późno. Jednym z moich pierwszych wspomnień, jeśli chodzi o czarno-białą telewizję, był występ chóru Aleksandrowa w London Palladium. Kozacy wymachujący nogami i wyśpiewujący *Volga Boat Song*. Wtedy nie zrobiło to na mnie wrażenia i nic, co widziałem od tamtej pory, nie przekonało mnie do takiego sztucznego folkloru, nawet Riverdance i chińska opera.

Nazwa Udmurcja brzmiała nieprawdopodobnie, jak kraina z serii przygód o Tintinie. Przez chwilę myślałem, że będzie to satyra na straszliwe radzieckie przedstawienia kulturalne. Ale Udmurcja była aż zbyt realną autonomiczną republiką w środkowym Uralu, słynącą ze stali, z lokomotyw i kałasznikowów. Miała własny język, udmurcki, pochodzący z tej samej rodziny co fiński i węgierski. Flor urodził się w tamtejszej stolicy, w Iżewsku. Jego ojciec był moskwianinem, a matka rodowitą Udmurtką. Przeprowadzili się do Moskwy, kiedy Flor miał dziesięć lat. Niedługo potem ojciec ich zostawił. Matka nie chciała utracić cennej moskiewskiej *propiski* i pozbawić syna szansy studiowania na tutejszym uniwersytecie, więc pozostali na emigracji. Kobieta zmarła kilka miesięcy temu, więc kierując się domorosłą psychologią, uznałem, że udział w przedstawieniu będzie dla Flora elementem procesu żałoby.

— Ach, proszę pana, bardzo się to panu spodoba. — stwierdził. — Udmurcka kultura jest wspaniała. Mamy muzykę, śpiewy i tańce.

Oraz kolorowe surduty, zabawne kapelusiki, klaskanie w dłonie, brzdąkanie na dziwnych instrumentach i pomysłowe sposoby na robienie szpagatu. No dobrze. Podczas antraktu będą tartinki z czerwonym kawiorem i *szampanskoje*. Trzeba dostrzegać jasne strony życia.

— I pozna pan moją dziewczynę, Marię. Mówi bardzo dobrze po angielsku. Chce pojechać do Ameryki.

Mieliśmy tam być tylko we troje. Dziwna kombinacja. Rozumiałem, dlaczego chciał pokazać swoje dziedzictwo kulturowe dziewczynie i ciekawskiemu obcokrajowcowi, ale nie potrafiłem pojąć, dlaczego obojgu jednocześnie.

Umówiliśmy się na stacji metra Biełaruskaja, na zielonej linii, w kierunku Krasnogwardiejskaja, w ostatnim wagonie. Byłem tam pierwszy i kiedy się pojawili, pomyślałem, że wygląd dziewczyny to wina sztucznego oświetlenia. Była pierwszą gotką, jaką spotkałem w Moskwie — twarz pokryta białym podkładem pod charakteryzację, fioletowa szminka, czerwone obwódki wokół oczu, długie czarne włosy przypominające szczurze ogonki i przecięte srebrnym warkoczem, długa czarna sukienka i czarny szal. Zielona wełniana czapka oraz typowy kasztanowy rosyjski płaszcz psuły wampiryczny efekt, ale na zewnątrz było dwadzieścia stopni poniżej zera. Pod tym wszystkim dziewczyna była bardzo atrakcyjna. Miała wydatne kości policzkowe i uderzająco niebieskie oczy.

— Cześć, miło mi pana poznać. Jestem Maria. Jak się pan dzisiaj miewa?

— *Oczeń prijatno. How do you do*?

— W porządku? Mam nadzieję, że nie musiał pan za długo na nas czekać?

Mówiła jak prezenterzy Głosu Ameryki, wymawiając zdania oznajmujące jak pytania, ale z poważną miną, którą przybierają Rosjanie przy pierwszym spotkaniu.

— Pan John wiele lat spędził w Ameryce — powiedział Flor.

Wtedy zrozumiałem, dlaczego mnie zaprosił. Ona miała fioła na punkcie Stanów. Gdybym wiedział, przyszedłbym w parce i czapeczce baseballowej. Nie wziąłem nawet gumy do żucia. Miałem nadzieję, że nie będzie rozczarowana.

— Och, wow? Gdzie?

— *Nooyawk. Ellay* — rzuciłem z amerykańskim akcentem.

— Och, wow?

Tak naprawdę spędziłem większość czasu w Pittsburghu, Iżewsku środkowego zachodu USA, ale próbowałem pomóc Florowi. Początkowo nerwowy, zrelaksował się w drodze na przedstawienie, podczas gdy Maria i ja rozmawialiśmy o naszych preferencjach — bajgle kontra muffiny, Morrison kontra Jagger.

— Ja jestem fanką metalu? — oznajmiła.

— Widziałem kiedyś Aerosmith.

— Wow, nie wierzę? W Central Parku?

— W Civic Arena w Pittsburghu.

Mieliśmy znakomite miejsca w pierwszym rzędzie na balkonie. Wewnątrz budynek było równie szary i funkcjonalny jak na zewnątrz. Na widownię składał się typowy moskiewski tłum szukający wieczornej rozrywki. Takich samych ludzi, o tym samym guście co do muzyki i ubioru, można było spotkać na *Dźwiękach muzyki* w Watford Civic Centre, *Jesus Christ Superstar* w Dortmund Staatsoper czy na *Oklahoma!* w Heinz Hall w Pittsburghu. Maria gotka nie mogłaby się tu bardziej wyróżniać, nawet gdyby założyła suknię balową i tiarę.

Państwowa trupa Udmurcji spełniła wszystkie moje najgorsze obawy. Narodowe kostiumy były melanżem turkijskich falbanek i celtyckiej kraty. Muzyka brzmiała tak jak narodowa muzyka wszędzie, przeróbki tych samych dwunastu oklepanych europejskich melodyjek i rytmów. Zobaczyliśmy udmurcką wersję tańca wokół słupa majowego, tańca

kwiatów i szkockiego tańca z udziałem czterech par, z klaskaniem i przytupywaniem. Między numerami tanecznymi młoda kobieta o opadających na ramiona włosach i z cytrą na kolanach śpiewała o dzikich łabędziach. Siwowłosy bard deklamował jakieś skomplikowane teksty o zielonym leśnym ludziku porywającym ludzką pannę młodą na grzbiecie niedźwiedzia z bykiem jeżdżącym na rybie. Koleś z bałałajką zaczarował sierp księżyca dla swojej kochanki, a może martwej kochanki, nie do końca załapałem, o co chodzi. To były typowe opowieści, jakie można spotkać wszędzie, od Atlantyku po Ural, od Bałtyku po Morze Śródziemne.

Wystukiwałem stopami rytm i wygrywałem *arpeggia* na kolanach, by pokazać dobre chęci. Maria nie udawała. Wyglądała jak wampir wybierający następną ofiarę spośród niewinnych wieśniaków. Flor rozkoszował się każdą kadencją, każdym ozdobnikiem i przeskokiem. Punktem kulminacyjnym pierwszej połowy było zbiorowe wykonanie *Udmurtia Miyam*, hymnu narodowego, które sprawiło, że klaskał ze łzami w oczach i krzyczał: „Brawo!".

Antrakt był trudnym momentem. Przeczuwałem nadciągający ból głowy, nie swój, tylko Marii. Czułem się w obowiązku ją zabawiać, żeby nie znudziła się i nie uciekła do domu. Podczas gdy Flor stanął w kolejce po półwytrawne wino i tartinki, próbowałem się dowiedzieć, co ona w nim widzi.

— Gdzie poznałaś Flora?

— Chodziliśmy do tej samej klasy w liceum? Mieszkamy w tym samym bloku? Braliśmy razem lekcje łyżwiarstwa figurowego?

— Mieszkasz z rodziną?

— Z mamą?

— Co ona myśli o Ameryce?

— Że wszyscy Rosjanie chcą tam pojechać? Tylko że jedni rzeczywiście to robią, a inni tylko sobie tego życzą podczas zdmuchiwania świeczek na torcie urodzinowym?

Flor wrócił z przekąskami. Wyglądał na podekscytowanego.

— Słuchajcie, po przedstawieniu odbędzie się przyjęcie. Spotkałem swojego przyjaciela Aleksieja z Iżewska. Pojedziemy jego samochodem. Niektórzy udmurccy artyści też tam będą. Szykuje się wielka udmurcka impreza! Będziemy się dobrze bawić.

To był idealny moment, żeby Maria odegrała atak migreny/grypy/omdlenia. Nalegałbym, żeby zabrać ją do domu, gdy tymczasem Flor zostałby tutaj, by cieszyć się przedstawieniem i zjednoczeniem z krajanami. Ale Maria nie zachorowała i skazała nas oboje na drugą połowę. Popadła w jeszcze bardziej morderczy nastrój, a ja podtrzymywałem sztuczną radość, podczas gdy Flor wprost nie posiadał się z zachwytu. Po wzruszającej scenie z udmurckiego eposu, którego bohaterowie zostają zabici, wracają do swoich ukochanych pod postacią wielkich orłów i tańczą w kole taniec z przyśpiewkami, zwrócił się do mnie z zamglonymi oczami i powiedział, że jego matce by się to podobało. Cieszyłem się jego szczęściem, a jednocześnie smuciłem tym, że tęsknił za matką. Oraz niepokoiłem, że podobało mu się coś takiego.

Stanąłem w kolejce do szatni, a Flor i Maria wyruszyli na poszukiwania Aleksieja. Był to chłopak o młodzieńczej twarzy, z szerokimi barami i beczkowatą klatką piersiową zapaśnika. Zaprowadził nas do swojego samochodu, peugeota 504 kombi z trzema rzędami siedzeń. Zmieściło się nas w nim dziewięcioro. Maria musiała do mnie przylgnąć, co było bardzo przyjemne. Nasi udmurccy przyjaciele zaczęli śpiewać pod wodzą Flora, na szczęście znacznie bardziej żywiołowo niż artyści, których dopiero co słuchaliśmy.

Sunęliśmy przez zamieć. Aleksiej prowadził skulony nad kierownicą. Nasze oddechy pokrywały okna parą, ale nie robiło to żadnej różnicy, biorąc pod uwagę stan wycieraczek i niemal poziomo padający śnieg. Podróż ciągnęła się bez końca i byłaby nie do zniesienia, gdyby nie Maria, która znalazła najwygodniejszą pozycję z udem zarzuconym na moje i piersiami

przyciśniętymi do mojej piersi. W zaduchu spoconych ciał i wilgotnych ubrań pachniała ciepłymi malinami. Kiedy dotarliśmy na miejsce, prawą stronę ciała miałem całkowicie zdrętwiałą, dokuczał mi skurcz w plecach i zdążyłem się zakochać.

Wysypaliśmy się z samochodu na dziedziniec fabryki. Był zaśmiecony rdzewiejącymi szczątkami maszyn i wyglądał na opuszczony, ale w Rosji ciężko to stwierdzić. Idea amortyzacji nie jest w tym kraju znana, więc wszystkiego używa się tu, dopóki się nie rozpadnie. W tamtej chwili nie zastanawiałem się jednak nad takimi kwestiami, tylko brnąłem przez śnieg, zgięty i zesztywniały, tropem Marii, jak Quasimodo za Esmeraldą.

Wjechaliśmy windą towarową na samą górę i wysiedliśmy w lofcie w Greenwich Village koło 1965 roku — gołe żarówki zwisające z sufitu, podwójne łóżko na platformie zrobionej ze skrzyń pakowych, ubrania wiszące na sznurach rozpiętych od ściany do ściany, perkusja, przemysłowy grzejnik przypominający silnik odrzutowy, stoły zrobione z kozłów i desek. Pośrodku podłogi leżała mata zapaśnicza. Ściany były pomalowane sprejem w tęczowe kolory. Cuchnęło sportową maścią leczniczą, marihuaną, piwem i śmierdzącymi butami. Ojciec Aleksieja był dyrektorem fabryki. Kiedy skończyły się pieniądze na rosyjski sport, a publiczne obiekty sprywatyzowano, oddał poddasze synowi i jego przyjaciołom, żeby mogli tu ćwiczyć.

Pojawiło się więcej osób, między innymi część członków obsady przedstawienia. Przywitaliśmy ich oklaskami, gdy wyszli z windy. Zmienili stroje narodowe na międzynarodowe uniformy — dżinsy, skórzane kurtki i adidasy. Ktoś włączył Led Zeppelin. Aleksiej przyniósł skrzynki z piwem, papierowe kubeczki, bochenki chleba, cebule i ogromne salami. Ludzie powyciągali z kieszeni płaszczy butelki z wódką i koniakiem. Słodki zapach haszyszu mieszał się z rosyjskimi marlboro. Przybył kwartet gotów, ale nawet oni nie poprawili humoru Marii, która siedziała strapiona na łóżku, paląc jednego papierosa za drugim. Usiadłem obok niej.

— Rozchmurz się.

— Czy tak jest w Ameryce? — zapytała.

— Już nie. Teraz to bogacze mieszkają w loftach. Bankierzy. Ludzie mediów. Tacy, którzy nie potrafią odróżnić życia od stylu życia.

— Rosjanie nie mają ani stylu życia ani życia? Co możemy zrobić.

— To co Amerykanie. Zatrudnijcie psychoanalityka i dekoratora wnętrz.

Flor wlókł mnie za sobą, przedstawiając mi kolejnych znajomych. Dryfowałem jego śladem, pamiętając, by zachować kwaśną minę i nie szczerzyć zębów w uśmiechu jak debil. W końcu znalazłem się obok bladego, wymizerowanego mężczyzny w czarnym garniturze i koszuli, z ogromnymi fioletowymi worami pod oczami, kryjącego się w cieniu w kącie pomieszczenia. Zaproponował mi jointa. Wyglądał jak z reklamy kampanii antynarkotykowej *Powiedz „nie” śmierci*. Jako że bibułki marki Rizla były tu trudno dostępne, miłośnicy trawki używali rosyjskich papierosów z pustymi tekturowymi tubkami zamiast filtra. Kilka pstryknięć, żeby pozbyć się tytoniu, i można było napełnić papierosa ziołem. Odmówiłem. Nigdy nie opanowałem techniki mówienia na bezdechu. Za bardzo przypominało to konwersacje na oddziale gruźlików.

— Dobry towar. Kazachski — wychrypiał koleś amerykańskim angielskim. — Rośnie dziko na stepie. Organiczny. Dobry dla ciebie.

— Używają tego w Udmurcji?

— Wszędzie tego używają. Kazachowie, Kirgizi i Uzbecy palą to od wieków. Nawet tym komunistycznym sukinsynom nie udało się tego ukrócić. Wiesz, jak Rosjanie ich pokonali? Byli zalani w trupa. Alkohol wyzwala agresję. Trawka robi z ciebie pacyfistę. Wóda przeciwko trawce.

— Jesteś z Iżewska?

— Z Chicago. Moi dziadkowie pochodzili z Iżewska. W 1922 roku wysłano ich do

Stanów, żeby poznali tajniki branży stalowej, i postanowili tam zostać. Ja wróciłem tutaj, żeby pomóc staremu krajowi.

— Co tu robisz?

— Pizza Hut. A ty?

— Jackets. Pieczone ziemniaki.

— Och.

— Trudno tu znaleźć produkty.

— Rób to co my. Importujemy wszystko, od sosów po serwetki.

— Może zjemy razem lunch.

— Pewnie.

Było zbyt głośno, żeby rozmawiać. Jeden z przyjaciół Aleksieja, zapaśnik, zaczął walić w perkusję, jakby muzyka nie była już wystarczająco hałaśliwa. Czułem się skołowany. Nie byłem na tego typu imprezie od dwudziestu lat i nie lubiłem takich spędów. Maria gdzieś zniknęła. Przycupnąłem w kącie na skrzyni pakowej, żałując, że nie wiem, jak wrócić do domu.

W końcu uciekłem przed zgiełkiem i zaduchem do sąsiedniego loftu, wciąż służącego za magazyn fabryczny. Mogłem tu ochłonąć nie tylko w przenośni; jako że w pomieszczeniu brakowało ogrzewania, musiało tutaj być jakieś dwadzieścia stopni poniżej zera. Czułem się tak, jakbym wyszedł z sauny i zanurzył się w basenie z lodowatą wodą. Flor stał samotnie przy oknie. Podszedłem do niego i razem obserwowaliśmy śnieg padający na dachy fabryki. Przez ten biały szum było widać rzekę Moskwę, zamarzniętą i pokrytą śniegiem, pas nicości ciągnący się przez miasto.

— Wszystko w porządku, Flor?

— Co my robimy, proszę pana?

— Dobrze się bawimy?

— Może — westchnął. Zacząłem się przygotowywać na spowiedź rosyjskiej duszy. — Jak poradziłbym sobie w Ameryce?

— Znakomicie.

Staliśmy i patrzyliśmy na śnieg, coraz bardziej marznąc.

— Czy jestem orzechem kokosowym, proszę pana?

— Eee...

— Orzechem kokosowym. Kokosy wpadają do morza, pokonują tysiące kilometrów, docierają do innego miejsca i tam wyrastają.

— Tysiąc pięćset osób rocznie ginie od uderzenia w głowę kokosem spadającym z drzewa.

— Dobry Boże...

— Jak się mówi „orzech kokosowy” po udmurcku?

— *Kokoos.*

Wróciliśmy na przyjęcie. Już nigdy nie zobaczyłem Marii. W poniedziałek wyjechałem na tournée po gospodarstwach obwodu leningradzkiego. Nie było mnie trzy tygodnie.

Kiedy wróciłem do biura, odwiedziłem Flora. Był szczęśliwy, bo przyjaciel z gazety „Izwiestia” przysłał mu raport ONZ na temat produkcji pszenicy w byłym ZSRR. Wyraziłem uznanie dla jego nowego srebrnego krawata, który błyszczał jak światła przeciwmgielne na tle ogólnej musztardowości.

— Dziękuję. Dostałem go od dziewczyny.

— Co tam słychać u Marii?

— Nie od Marii. Od Katieriny. Proszę pana, ma pan jakieś plany na sobotę?

— Na sobotę? Och, myślę, że znajomy zdobył bilety do Teatru Bolszoj.

— O, jaka szkoda.

— Kim jest ta Katierina? Jest Udmurtką?

— Nie, jest z Baszkirii.

— Skąd?

— Z Baszkirii. To na Uralu. Obok Udmurcji. Ona jest taka jak ja. Jej ojciec był Rosjaninem, a matka Baszkirką, z Ufy.

Słyszałem o Baszkirii. Rudolf Nuriejew[36] był baszkirskim Tatarem.

— Rozumiem. Czy trupa państwowa Baszkirii jest akurat w mieście?

— Nie. Dlaczego pan tak mówi? Katierina gra na akordeonie. W sobotę w Państwowym Pałacu Kremlowskim odbędzie się narodowy konkurs akordeonowy. Szkoda, że nie może pan pójść.

— Rzeczywiście szkoda. Uwielbiam akordeon. Może następnym razem. Powiedz mi, a co się stało z Marią?

— Przeprowadziła się z mieszkańcem Syberii na daczę jego babci.

— Co? Przy takiej pogodzie?

— Mają piec. Mieszkańcy Syberii używają ciekawych grzybków.

— Ale mimo wszystko...

— On twierdzi, że jest szamanem. Ona chce być prawdziwą Rosjanką.

— Myślałem, że chciała być Amerykanką.

— Powiedziała, że nigdy nie mogłaby być prawdziwą Amerykanką. Była Rosjanką udającą Amerykankę.

— Mam nadzieję, że to nie moja wina.

— Raczej moja. To ja zabrałem ją na to udmurckie przedstawienie. Wyznała, iż tak ją wzruszyło, że aż zaniemówiła. Zazdrościła mi, że mam takie dziedzictwo. Powiedziała, że to taka piękna kultura. Postanowiła odkryć własne korzenie. Chce odnaleźć swoje rosyjskie ja.

— Przykro mi.

— W porządku. Oddała mi całą swoją kolekcję heavy metalu. Powiedziała, że powinienem się z tym osłuchać, jeśli chcę jechać do Ameryki. Ale Katierina i ja wolimy akordeon. Proszę mi powiedzieć, czy w Ameryce grają na akordeonie?

ROZDZIAŁ 20

Free jazz

Wbrew pozorom wcale się nie obijałem, korzystając z pieniędzy podatników. Musiałem się zająć wieloma poważnymi sprawami, których opis zanudziłby przeciętnego czytelnika, ale byłem wytrwały. Faksy między Moskwą a Clapham zawierały dyskusje o dochodach, opcjach, specyfikacji urządzeń, powierzchni, czynszach, stawkach godzinowych i premiach rocznych. Uważnie studiowałem cotygodniowe biuletyny agencji prasowej Interfax podające ceny produktów rolnych, raporty z badań rynkowych, newslettery na temat nieruchomości, przepisy dotyczące księgowości. Opracowywaliśmy schematy przepływu środków pieniężnych, biznesplany, symulacje, prognozy oraz analizy wrażliwości. Spędzałem bezsenne noce na obmyślaniu menu, rozważałem zalety gotowych dań i mrożonek. Do późnych godzin nocnych myślałem o gatunkach ziemniaków — Desiree, Charlotte i Marfona.

Kiedy przygotowywałem się do pisania tej książki, wygrzebałem z szopy stare dokumenty. Uznałem, że sprawdzone informacje nadadzą mojej historii głębsze znaczenie i misję. Perełką miał być raport, który przedstawiłem Funduszowi Know-How, rozprawa na temat franczyzy fastfoodowej w nowej Rosji, błyskotliwe studium przypadku ekonomii, polityki i

semiotyki biznesu oraz jego społecznego kontekstu. Owoc rocznej pracy. Kiedy otworzyłem teczkę, niedowierzanie ustąpiło miejsca panice, która z kolei przerodziła się w rozpacz. W tamtych czasach używałem drukarek termicznych. Nieśmiertelne słowa spłowiały na specjalnym papierze. Wszystkie strony, które zachowałem, były puste. Wspaniała ilustracja jałowości ludzkich przedsięwzięć. I cholernie irytująca.

Kluczową kwestią była obsada etatów. Wszyscy w branży byli zgodni co do jednego — nie powinniśmy zatrudniać nikogo, kto kiedykolwiek pracował w tradycyjnej rosyjskiej restauracji albo w sklepie. Obsługa, z uśmiechem czy bez, była dla takich osób nieznaną koncepcją. Pracownicy dbali przede wszystkim o siebie, a dopiero potem o klientów. Wpływy kasowe rozdzielano na zasadzie: połowa dla nich, połowa dla mnie. Gwarantowane etaty na całe życie zachęcały do nieróbstwa i braku punktualności. Jedynym sposobem, żeby ominąć ten problem, było niezatrudnianie nikogo powyżej dwudziestego roku życia. Pietia znalazł nam podstawowy zespół w postaci pięciu przyjaciół ze studiów. Ustaliliśmy, że latem wyślemy ich do Londynu, żeby popracowali w tamtejszym Jackets.

Afanazy miał znajomego wędkarza, który był inspektorem podatkowym i streścił mi zasady zarządzania listą płac. Maksymalna wysokość pensji, jaką pracodawca mógł odliczyć od podatku, wynosiła trzysta pięćdziesiąt dolarów na pracownika rocznie. Była to stawka zdecydowanie niższa od naszej, która miała wynosić tysiąc dwieście dolarów dla zespołu i siedem tysięcy pięćset dolarów dla menedżera. Gdyby wszystkie wypłacane przez nas pensje przeszły przez księgi rachunkowe, musielibyśmy zapłacić odpowiednik dziewięćdziesięciu procent podatku od dochodów. Jakby tego brakowało, pracodawcy wypłacali czterdzieści procent pensji w podatkach i emeryturach, a pracowników dodatkowo obowiązywał dwunastoprocentowy podatek dochodowy. W rezultacie pensje zazwyczaj wypłacano gotówką i nielegalnie. Istniało też wiele innych sztuczek, które można było zastosować pod łaskawym okiem kontrolera skarbowego. Do moich ulubionych należała zasada, że jeśli zatrudniło się osobę niepełnosprawną, nie trzeba było opłacać podatku z góry. Co miałyby robić osoby niepełnosprawne w restauracji? Absolutnie nic, bo nie istniałyby, podobnie jak martwe dusze Gogola. To byłyby tylko nazwiska na liście personelu. Już się cieszyłem na ich wymyślanie.

Zaczęliśmy przeprowadzać badania rynku. Baszkirska dziewczyna rzuciła Flora, więc aby poprawić mu humor, zabieraliśmy go z Nataszą na wyprawy rozpoznawcze do lokali konkurencji. Dowiedziałem się, że rosyjska restauracja to tak naprawdę klub nocny, kawiarnia to restauracja, *bufiet* to bar przekąskowy, a odpowiednikiem pubu jest szopa, gdzie właściciel warzy własne piwo w wiadrach. Twarda jak skała suszona ryba, którą rozłupywało się o krawędź stołu, wypełniała kulinarną niszę, zastępując orzeszki ziemne. Zapłaciłem Pietii, żeby zrekrutował więcej researcherów i przeprowadził tradycyjne badanie rynku pośród młodych ludzi. Wrócił ze stuprocentowym pozytywnym odzewem. Prawdopodobnie sam usiadł i wypełnił wszystkie ankiety. Próbowałem się dyplomatycznie dowiedzieć, ale nie robiłem z tego wielkiej sprawy. Dorastał w systemie, w którym nikogo nie obchodziły ludzkie opinie i postawy. Cała idea marketingu, dowiadywania się, czego chcą ludzie, i dawania im tego, była Rosjanom zupełnie obca, tak jak Brytyjczykom w latach pięćdziesiątych.

Aby przeprowadzić ankietę pośród ekspatów żyjących na obczyźnie, udałem się do Thursday Night British Club mieszczącego się na tyłach działu handlowego ambasady. Było to duże pomieszczenie z blisko stoma miejscami wokół stołów, dwiema tarczami do gry w rzutki i barem serwującym siedem gatunków piwa oraz trzy rodzaje czipsów. Dało się tu poczuć jak u siebie w domu, jeśli człowiek był stałym bywalcem klubów klasy robotniczej. To nie było miejsce dla unijnych doradców, rządowych konsultantów, nafciarzy, bankierów, prawników z City czy księgowych. Oni spędzali czas z mafią i walutowymi prostytutkami w lobby oraz barach

hoteli Metropole i Radisson.

Ten klub był przeznaczony dla uczciwych, ciężko pracujących ludzi, których dniówki ledwie pokrywały wydatki, uciekających z tanich hotelików i obskurnych mieszkań, by wypić kilka puszek piwa McEwan's i rozegrać partię rzutek — takich jak Keef, inżynier Rolls-Royce'a pracujący w bazie lotniczej pod miastem, Camilla, młoda kobieta zatrudniana przez IBM, która właśnie ukończyła ten sam college co ja, albo Wayne, który dopiero przyjechał z Tooting ciężarówką pełną materiałów budowlanych zaparkowaną na zewnątrz. Doświadczeni weterani straszyli nowo przybyłych miejskimi legendami na temat ludzi, których znajdowano martwych i nagich na wysypiskach śmieci po wzięciu taksówki z lotniska, o drzwiach do mieszkań obcokrajowców rozwalanych młotami kowalskimi przez uzbrojonych rabusiów albo o znajomych znajomych, którzy zostali upici do nieprzytomności i okradzeni w nocnych pociągach. Ale przeważnie można tu było podchwycić wiele przydatnych wskazówek dotyczących wykorzystywania w pełni możliwości tego obcego, dezorientującego i ekscytującego miasta. Klubowicze byliby zdolni zamordować za pieczonego ziemniaka ze wszystkimi dodatkami.

Podczas pierwszej wizyty przysiadłem się do kolesia odrobinę starszego i w znacznie lepszej formie niż ja, łysego na czubku głowy i z siwizną na skroniach, ubranego w T-shirt z londyńskim maratonem i lśniący czerwony dres. Jego nosowa wymowa z Birmingham sprawiła, że poczułem tęsknotę za domem.

— Dopiero przyjechałeś?

— Rano jadę do Kirgistanu.

— Och, wspaniale. Mieszkasz tam?

— Nie. W Sutton Coldfield.

— To moja ojczyzna.

— Co? Kirgistan?

— Birmingham.

— Zajmuję się otwieraniem izb handlowych.

Kirgistan. Górzysty, na wpół pustynny kraj w Azji Środkowej, graniczący z Chinami. Pola bawełny i turkijskie plemiona. Rugby na koniach rozgrywane piłką zrobioną z bezgłowej kozy. Izba handlowa to dokładnie to, czego potrzebowali.

— Jak sobie radzisz?

— To mój pierwszy raz. Będę tam niemal dwa tygodnie.

— Tak długo? Mówisz po kirgisku? Po rosyjsku?

— Mówię odrobinę po francusku.

— To może się okazać przydatne. Przez chwilę myślałem, że masz do czynienia ze sportem. Sam nie wiem dlaczego.

— Brałem udział w maratonie. Prosto z niego pojechałem na lotnisko.

Byłem pod wrażeniem. Nienawidziłem biegania. I zazdrościłem temu facetowi. Co za wspaniała fucha. Azja Środkowa. Musiał zarabiać kokosy dzięki honorariom, zwrotom kosztów i dniówkom.

— Mój bagaż zaginął po drodze. To wszystko, co mam. Będę wyglądał jak głupek.

Nie musiał się martwić. Ortalionowy dres to narodowy strój Kirgizów. Zadzwoniłem do niego, kiedy wróciłem do Anglii. Właśnie rozpoczął kampanię mającą na celu ustanowienie Osz — drugiego pod względem liczby ludności miasta Kirgistanu — miastem partnerskim Sutton Coldfield; na tej podstawie, że oba są znane ze swoich telewizyjnych stacji nadawczych[37].

Wyruszyłem na ulice Moskwy ze zdjęciem produktu i z podkładką do pisania. Reakcje Rosjan były mieszane. Wielu z tych, których było stać na jedzenie na mieście, preferowało szyk restauracji McDonald's. Ci, którzy nie mogli sobie na to pozwolić, woleli wydawać pieniądze na

targach. Jedna kobieta nie uwierzyła, że na zdjęciu widnieje ziemniak. Mężczyzna w średnim wieku nakrzyczał na mnie za torturowanie uczciwych Rosjan mrzonkami. Jakaś staruszka zerknęła na fotografię, złapała się za brzuch i wybuchła płaczem. Zawstydzony, dałem jej pięćdziesiąt rubli.

Stanąłem z moją podkładką przed McDonaldem na placu Puszkina i obserwowałem kolejkę, która wiła się wokół budynku. Wewnątrz było około siedmiuset miejsc, a ponad trzysta osób czekało, żeby wejść do środka. Zmierzyłem czas oczekiwania i obliczyłem, że punkt serwował blisko trzydzieści tysięcy posiłków dziennie. Ludzie brali tu znacznie mniej jedzenia na wynos niż na Zachodzie, najwyżej dziesięć procent. Było za drogie, by chodzić z nim po ulicy. Zestaw z Big Mackiem kosztował jedną dziesiątą przeciętnej miesięcznej pensji. Szczyt sprzedaży nie przypadał w tradycyjnych porach posiłków. Rosjanie nie trzymali się rygorystycznie godzin jedzenia. Jedli, kiedy byli głodni albo trafił się im posiłek, niezależnie od pory dnia.

Jedną czwartą klientów stanowili obcokrajowcy, głównie turyści, ale też sporo ekspatów. Pośród Rosjan widziało się przeważnie ludzi poniżej pięćdziesiątego roku życia, dobrze ubranych, z klasy średniej, pracujących w sektorze prywatnym. Wciąż zjeżdżały się tu autobusy wycieczkowe, których pasażerowie pokonywali setki mil, żeby zakosztować Zachodu, chociaż to zjawisko było już rzadsze niż w 1990 roku, kiedy otwarto restaurację. Zauważyłem autokar z Wołgogradu, oddalonego od Moskwy o niemal tysiąc kilometrów. Nie tak dawno ci ludzie przyjeżdżali do mauzoleum Lenina. Ale nie mogłem się wywyższać. Kiedy w 1974 roku McDonald’s otworzył pierwszą brytyjską restaurację w Woolwich, ubraliśmy dzieciaki w czyste T-shirty i też stanęliśmy w kolejkach. Frytki podawane inaczej niż ze smażoną rybą, mięso z żółtym serem, opiekane bułki, jedzenie z tekturowych opakowań — wszystko to było nowe, ekscytujące i amerykańskie. I działo się, zanim zaczęto uczyć o tłuszczach trans, otyłości i lasach deszczowych.

Stojących w kolejce na placu Puszkina zabawiali uliczni grajkowie. Najlepszy był trzyosobowy jazz band — trąbka, werbel i banjo. Muzycy gustowali głównie w jazzie nowoorleańskim, co piąty numer wykonywali *Midnight in Moscow*. Kiedy trębacz się znudził, rozszerzał repertuar o prawdziwy jazz. Był naprawdę dobry. Zagrał *A Night in Tunisia*. Znałem każdą nutę tego utworu, z czasów gdy miałem obsesję na punkcie saksofonu, chociaż moje sztywne palce potrafiły wyczarować raczej deszczowe popołudnie w Lewisham niż w Maghrebie. Zaklaskałem w podkładkę do pisania, a on się ukłonił.

— Dizzie Gillespie — rzuciłem.

— Brawo. Lubisz Milesa Davisa? — zapytał i zaczął grać *So What.*

Bas i gitara byłyby lepsze niż banjo, ale wciąż brzmiało to całkiem nieźle. Mężczyzna niegdyś musiał być przystojnym na chłopięcy sposób blondynem. Praca na dworze i to, co zażywał, by przetrwać trudy życia ulicznego grajka, odcisnęły na nim swoje piętno, lecz dzięki pulchnym policzkom nie wyglądał na wymizerowanego, a jego oczy rozświetlały się podczas gry. Zapytałem, gdzie nauczył się jazzu.

— Nigdzie.

— Nie wierzę.

— Dlaczego chcesz wiedzieć?

— Czy kiedykolwiek jadłeś w McDonaldzie?

— Żartujesz sobie?

— Chodź.

Muzycy prawdopodobnie woleliby pieniądze, ale ciekawość wzięła górę. Pomaszerowaliśmy na początek kolejki i kiedy wyjaśniłem, że zamierzamy jeść, a nie grać,

wpuszczono nas do środka, jakbyśmy byli na liście gości. Stanęliśmy w kolejce do jednego z trzydziestu stanowisk, a potem usiedliśmy z tacami przy stoliku obok wysokiej na półtora metra repliki wieży Eiffla. Raz jeszcze zapytałem trębacza, gdzie nauczył się grać jazz. Nigdy nie wiadomo, ile prawdy jest w takich opowieściach, lecz niezależnie od tego warto było wysłuchać jego barwnej historii.

Tomasz był z zawodu muzykiem, grał na pianinie i na trąbce. W „epoce zastoju" pracował w orkiestrze teatralnej i jednocześnie robił stopień naukowy z muzyki, żeby uniknąć poboru do wojska. Ale któregoś dnia podczas lunchu kierownik literacki teatru podsłuchał, jak Tomasz gra jazz. Funkcjonariusz ten był komisarzem nie tylko literackim, lecz także politycznym, a amerykański jazz oficjalnie źle widziano. Filary socjalizmu drżały z lęku przed boogie-woogie. Poza tym kierownik literacki miał kuzyna, który właśnie ukończył konserwatorium jako jeden z najgorszych w klasie i potrzebował pracy. Tomasza zwolniono.

Już nic nie stało między nim a wojskiem, więc został powołany do brygady Strategicznych Wojsk Rakietowych gdzieś na końcu świata, pomiędzy Moskwą a Uralem. Był starszy od innych rekrutów, więc nie prześladowano go tak bardzo jak absolwentów szkół, ale i tak nie wspominał o tym, że jest muzykiem. Podobnie jak inni dawał sobie radę tylko dzięki alkoholowi. Począwszy od żołnierzy czyszczących wyrzutnie rakietowe, a skończywszy na chorążych, którzy na łańcuszkach noszonych na szyi trzymali klucze do guzików odpalających rakiety, wszyscy byli nieustannie pijani od nielegalnie pędzonej wódki.

Baza rakietowa stanowiła miasto zamknięte, tzw. ZATO[38] — zamkniętą strukturę administracyjno-terytorialną o nazwie Oziornyj-10. Za czasów carskich osada pełniła funkcję lotniska tranzytowego i stacji kolejowej dla kilku większych miast. Podupadła po kolektywizacji w latach trzydziestych XX wieku i jej byt albo niebyt zaczął zależeć od działania bazy rakietowej. Została wymazana z map. Wyjątkowo trudno było tam trafić, ale jeszcze trudniej było się wydostać. Strzeżono dróg. Wymagano przepustek. Jedyne połączenie ze światem zewnętrznym stanowił autobus, który przyjeżdżał i odjeżdżał raz na tydzień, zazwyczaj pusty.

Żołnierze również przychodzili i odchodzili, ale starsi oficerowie i cywile spędzali w tym miejscu całe kariery. Kiedy ich dzieci szły na studia, rzadko tutaj wracały. Żołnierze byli zamknięci w swoich koszarach w pobliżu silosu. Wyżsi rangą oficerowie mieszkali w mieście. Dowódca, jego zastępca, dyrektor wojskowych laboratoriów, mer dbający o funkcjonowanie miasta, przewodniczący kołchozu, który wszystkich karmił — to byli luminarze osady, a ich żony należały do społecznej śmietanki towarzyskiej. Wielu oficerów zostawało tu po przejściu na emeryturę. Była to społeczność, którą rozpoznałby Gogol, dziewiętnastowieczne miasteczko garnizonowe z miejscowymi i napływowymi mającymi obsesję na punkcie wojskowej rangi, zżeranymi przez apatię i tęskniącymi za Petersburgiem.

Komendant traktował żołnierzy, którymi dowodził, jak chłopów pańszczyźnianych. Uzupełniał sobie pensję, wynajmując ich do pracy na mieście i w kołchozie. Wiosną pluton Tomasza otrzymał rozkaz doprowadzenia do porządku ogrodów oraz bloku, w którym mieszkała elita. Tomasz był akurat pochłonięty szorowaniem tarasu, kiedy przez otwarte okno mieszkania na parterze usłyszał najmłodszą córkę komendanta nieudolnie ćwiczącą grę na pianinie. Zajrzał do środka i dał jej kilka wskazówek. Usłyszała to matka dziewczynki, zaprosiła go do salonu i posadziła przy rozstrojonym instrumencie. Miejski nauczyciel gry na pianinie zmarł trzy miesiące wcześniej i nie można było znaleźć zastępstwa. W rezultacie komendant zwolnił Tomasza z żołnierskich obowiązków, znalazł mu zakwaterowanie u wdowy Natalii, która miała stary drewniany dom z ogrodem, i zatrudnił go, by uczył gry miejscowe dzieci.

Koledzy zazdrościli Tomaszowi. Dołączył do śmietanki towarzyskiej Oziornyj-10, chociaż na najniższym szczeblu. Uczył śpiewu i gry na pianinie dzieci oraz ich matki, krążąc na

rowerze z teczką na nuty przywiązaną do poziomej części ramy. Kiedy nadeszła zima, komendant pożyczał mu kierowcę i służbową wołgę. Tomasz dbał o oprawę muzyczną wszystkich przyjęć. Sprawy z wdową Natalią też ułożyły się dobrze i wkrótce przeprowadził się z poddasza do głównej sypialni. Gdy nie udzielał lekcji, latem pomagał w ogrodzie, a zimą siadywał przy piecu. Lubił to miasteczko z jego starymi drewnianymi budynkami i wysokimi drewnianymi płotami otaczającymi błotniste podwórza. Lubił wieś, ogromną otwartą równinę, kępy drzew na horyzoncie, spokojną rzekę z szuwarami i czaplami. Jeśli chodzi o repertuar, trzymał się muzyki poprawnej politycznie i nigdy nie grywał jazzu, nawet kiedy był sam. Poza tym nie znał najnowszych trendów. Nie miał radia, na którym mógłby złapać Głos Ameryki. Powtarzał sobie, że nadrobi zaległości, gdy wróci do Moskwy. Wtedy odszuka kafejki, piwniczki i wszystkie inne ukryte gniazda jazzu. Nie zamierzał ryzykować wygnania z edenu do silosu rakietowego.

Takie przyjemne życie trwało niemal dwa lata, aż do momentu gdy nadszedł czas zakończenia przez Tomasza służby wojskowej. Nad poranną kaszą wdowa Natalia zaczęła go wypytywać, jakie ma plany na przyszłość, i nalegała na lepszą odpowiedź niż: „Zobaczę, gdy wrócę do Moskwy". Uczniowie pytali, co się stanie z ich lekcjami, a matki zastanawiały się, kto będzie ożywiał ich herbatki, przyjęcia i koncerty oraz zapewniał oprawę muzyczną noworocznych przedstawień Komsomołu. Tomasz tylko wzruszał ramionami. Wkrótce to nie będzie jego sprawa.

Trzy tygodnie przed terminem zwolnienia komendant oznajmił mu, że pojawił się problem. Tomasz był zobligowany przez prawo wojskowe do zaliczenia minimalnej liczby dni szkolenia, między innymi z obsługi broni ręcznej i czytania mapy. Trudno było to nadrobić z perspektywy czasu, ale jeśli muzyk zostanie w miasteczku do końca roku, jego pobyt da się zarejestrować jako przebyte szkolenie.

Od tamtego dnia presja zaczęła narastać. Wdowa podwoiła wysiłki. Po lekcjach i recitalach Tomasza zasypywano podarkami. W rozmowach poruszano zalety życia na prowincji. Lepiej być pierwszym w miasteczku niż ostatnim w mieście. A wraz z presją zaczęła rosnąć odraza. Starania wdowy stały się dla niego obrzydliwe. Nudzili go przygłusi uczniowie o drewnianych palcach, mechanicznie grający sonaty i szukający głupich wymówek, żeby nie ćwiczyć, oraz ich prowincjonalne matki mające obsesję na punkcie rangi wojskowej mężów i nowych towarów w sklepach. Miasteczko było zgnuśniałe i chyliło się ku upadkowi.

Tomasz tęsknił za światłami, zgiełkiem i zatłoczonymi kawiarniami. Nienawidził wsi. Nienawidził wiatru pędzącego przez równinę, lodowatego zimą i pełnego kurzu latem. Ogromny horyzont odzwierciedlał jego chroniczną depresję. Był w pułapce. Ale co mógł zrobić? Domagać się swoich praw? Żołnierz w trakcie służby, na wyspie pośrodku stepu, nie miał żadnych praw. Komendant był tu bogiem i Tomasz nie śmiał otwarcie mu się sprzeciwiać. Musiał znaleźć subtelny sposób na to, żeby przestali go tutaj chcieć.

Okazja nadarzyła się w pewien niedzielny wieczór, kiedy komendant i jego żona zabawiali przyjaciół wokół samowara, a Tomasz miał dla nich grać. Zasiadł do pianina, plecami do słuchaczy, i zaczął od utworu Strawińskiego, przepisanego na pianino z suity przesiąkniętej jazzowymi rytmami. W połowie gry przerzucił się na Fatsa Wallera, który niegdyś ściągnął na niego gniew kierownika literackiego. Nie grał jazzu od dwóch lat, ale po kilku minutach rozgrzał się i wkrótce tak go to pochłonęło, że zapomniał o widowni i reakcji, na jaką liczył — że wojskowi wykopią dekadencką kukułkę ze swego wygodnego gniazda.

Grał niemal pół godziny. Fats Waller, Thelonius Monk, Ragtime, Gershwin, wszystkie ulubione utwory. Za jego plecami panowała absolutna cisza, nie usłyszał ani kaszlnięcia, nie brzęknęła nawet szklanka z herbatą. Opanował się po ostatnim akordzie *Summertime*. Otarł czoło

mankietem marynarki i obrócił się na krześle, żeby spojrzeć na słuchaczy. Znieruchomieli. Patrzyli na niego w osłupieniu. Poczuł, jak wzbiera w nim panika. A co, jeśli komendant każe go zastrzelić? Albo wyślą go do gułagu po przeprowadzeniu natychmiastowego sądu wojskowego? W pokoju siedziało prawdopodobnie całe kworum oficerów.

— Czy to jest... jazz? — zapytał komendant.

— Tak — odparł Tomasz, spuszczając wzrok i się garbiąc.

— To wspaniałe! — zakrzyknął komendant i zaklaskał w dłonie. Pozostali też zaczęli klaskać. Komendant wstał. — Czemu wcześniej tego nie grałeś?

— Amerykańscy piloci w Murmańsku grali Glenna Millera — wtrącił emerytowany pułkownik, szpakowaty stary niedźwiedź z brwiami Breżniewa. — Były tam świetne imprezy. Czy możesz zagrać Glenna Millera? — Zaczął śpiewać i klaskać: — Da de da de da da. No dalej, człowieku. Musisz to znać!

Przyjęcie u komendanta trwało do północy. Tomasz trzykrotnie zagrał repertuar, o który prosili, zanim zaryzykował improwizację. To był nie tylko jazz. Oficerowie, którzy brali udział w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, śpiewali stare pieśni, opowiadali historie o heroicznych pijatykach z Amerykanami i Brytyjczykami i omawiali zalety wódki, burbona, szkockiej, spirytusu medycznego oraz odmrażacza do silników. Ich żony klaskały w rytm muzyki, odkurzały angielski, którego nauczyły się w szkole, i popisywały się dekadenckimi zachodnimi tańcami podejrzanymi w starych filmach i upiększonymi wedle własnej wyobraźni.

Następnego dnia Tomasz siedział oparty o jabłonkę w ogrodzie wdowy i przez pulsującą mgłę kaca kontemplował swoją nową przyszłość jazzowego maestro Oziornyj-10. To nie było takie złe miejsce. To nie było takie złe życie. Gdyby tylko miał dostęp do amerykańskich nagrań, nut i radia do słuchania Głosu Ameryki. Komendant powiedział, że może mu pomóc. Miał towarzyszy w akademiach muzycznych w Berlinie i Pradze.

Breżniew zmarł i zastąpił go Andropow. Andropow zmarł i zastąpił go Czernienko. Czernienko zmarł i zastąpił go Gorbaczow. Runął mur berliński. Armia Czerwona wycofała się do Rosji. Ale w Oziornyj-10 dni upływały bez zmian. Żołnierze czyścili rakiety, chorąży pędzili nielegalny alkohol, w miasteczku toczyło się normalne życie towarzyskie.

Komendant przeszedł na emeryturę. Jego zastępca miał młodą łotewską żonę, która uwielbiała muzykę latynoamerykańską. Tomasz założył zespół z perkusją, saksofonem, gitarą i syntezatorem. Nie miał odwagi sprawdzać, jak wygląda jego sytuacja. Nigdy nie otrzymał papierów potwierdzających zwolnienie ze służby wojskowej i z tego, co wiedział, nadal był żołnierzem. Albo dezerterem. Jego paszport był nieważny. Bez tych dokumentów nie mógł nigdzie zamieszkać, pracować ani się ożenić. Był Nikim Znikąd.

W sierpniu 1991 roku doradcy Gorbaczowa próbowali usunąć swojego szefa ze stanowiska. Jelcyn stanął na czołgu przed moskiewskim Białym Domem i przeciwstawił się zamachowi stanu. W grudniu Związek Radziecki się rozpadł. Jelcyn ogłosił wolność rosyjskiego ludu. Tomasz słuchał doniesień o wszystkich tych wydarzeniach przez radio BBC. Zapewnił oprawę muzyczną balu sylwestrowego, zagrał *Auld Lang Syne* na trąbce, a dzień po Nowym Roku spakował swoje nuty, instrument oraz oszczędności i wsiadł do autobusu. Nikt go nie zatrzymywał.

— Jak sobie dajesz radę bez dokumentów?

— Jest takie rosyjskie powiedzenie: „Z papierami jesteś istotą ludzką. Bez papierów jesteś gównem”. Słyszałeś o takim gatunku jak free jazz?

— Pewnie.

— Ja jestem wolnym gównem. — Wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Zagrasz na otwarciu? Załatwię ci melonik.

ROZDZIAŁ 21

Dobroć nie śmierdzi

W pobliżu miejsca, gdzie mieszkałem, znajdowały się kościół i zakon żeński Wszystkich Świętych. Była to ładna budowla w kolorze ochry i bieli, wzniesiona w 1733 roku za panowania carycy Anny Iwanowny w stonowanym moskiewskim stylu barokowym, z ledwie nabrzmiałymi cebulastymi kopułami i pełnymi wdzięku iglicami. Którejś śnieżnej niedzieli na początku zimy zaszedłem tam, zwabiony przez chór rosyjskich głosów.

Wnętrze było zatłoczone. Wonie kadzidła, pary bijącej od wilgotnych płaszczy, cuchnących oddechów, gazów, mamrotanych modlitw i dymu ze świec kłębiły się wokół wiernych i unosiły w nabożnych miazmatach ku sklepieniu kopuły, gdzie Jezus Wszechmogący z poważną miną spoglądał wielkimi oczami na swoje owieczki, jednocześnie wstrzymując oddech. Ciemna kapliczka z tyłu okazała się stosunkowo pusta, być może dlatego, że dwie owieczki były martwe i leżały na plecach w otwartych trumnach. Obie były stare i brały udział w ostatniej mszy, a w każdym razie ostatniej tu, na ziemi, jako że teoretycznie czekała je wieczna liturgia w zaświatach. Jedna z nich, ta bliżej ściany, była obsypana czerwonymi mieczykami i otoczona przez żałobników, którzy odmawiali modlitwy, żegnali się znakiem krzyża, schylali, żeby dotknąć ziemi, zapalali świeczki i wtykali je w tacki pełne piasku, stojące na mosiężnych podstawkach. Druga kobieta leżała samotnie. Żadnych kwiatów, żadnych świeczek, żadnych żałobników. Zasmuciło mnie to. Czy nie było tu nikogo, kto by ją pożegnał? Żałobnicy sąsiadki ledwie zerkali w jej stronę, podobnie jak nowo przybyli. Tupali, otrząsając śnieg z butów, całowali ikonę Maryi wiszącą niecałe dwa metry od miejsca, gdzie stała trumna, zapalali świeczkę, żegnali się trzy razy, po czym ruszali w stronę ołtarza.

Kobieta była martwa. Nie miała pojęcia, że nie ma przyjaciół, choć prawdopodobnie tak samo wyglądało jej życie. Mimo wszystko uważałem, że to wstyd. Przez jakiś czas czaiłem się w cieniu przed wyblakłym freskiem przedstawiającym zaśnięcie Marii Panny, tuląc swoją *szapkę* i mając nadzieję, że ludzie wezmą mnie za tubylca. Kiedy poczułem się wystarczająco anonimowy, przysunąłem się niepostrzeżenie do ikony i wziąłem nową świeczkę z drewnianej skrzynki. Brzęk monet zabrzmiał mi w uszach głośno niczym gong oznajmiający moje przybycie. Zapaliłem świeczkę i zabrałem ją do trumny, osłaniając płomień dłonią. To był irracjonalny gest i byłem nim zażenowany — ludzie mogli wyciągnąć fałszywe wnioski co do tego, kim jestem. Ale wydawało mi się nie w porządku, że zmarła jest taka opuszczona i ignorowana w tłumie chrześcijan.

Miała ostry, biały nos i bezzębne usta ułożone w idealnie okrągłą czarną dziurę. Nie do końca zamknięte oczy zerkały spod czerwonych powiek — tak samo spoglądała moja matka, udając że śpi, kiedy wchodziłem do jej pokoju zbyt wcześnie rano. Brak świeczek, kwiatów czy balsamowania sprawiał, że ciało staruszki wydzielało zapach, jaki można poczuć, kiedy zdejmie się celofan z burgera z indyka zbyt długo leżącego poza lodówką. Wyglądała na wstrętną jędzę. Czy to dlatego nikt nie towarzyszył jej w ostatniej drodze? Chociaż raz w życiu musiała być przecież dla kogoś miła.

Głowę miała zawiniętą w zakonny barbet, szyję otaczał tani wełniany całun. W skrzyżowanych na piersi dłoniach, których palce przypominały kurze szpony, trzymała ozdobny krucyfiks z kości słoniowej. Nie pasował do nędznych żałobnych szat. Ostatni dobytek? Jedyna rzecz, której nie chciała sprzedać? Jej stojak na świece przywłaszczyła bardziej popularna martwa staruszka. Nakapałem trochę wosku na róg trumny i wetknąłem w niego świeczkę.

— Powodzenia, moja droga — wyszeptałem i oddaliłem się, mając nadzieję, że świeczka

nie wpadnie do trumny i nie podpali całunu.

Przy wyjściu ktoś złapał mnie za ramię i pociągnął z powrotem w mrok kaplicy. Szarpnąłem się i na wysokości łokcia zobaczyłem rozgniewaną twarz starej bezzębnej kobiety o ostrym nosie. Głowę pod czarną chustą miała ciasno obwiązaną białym materiałem, jak zakonnica. Zdezorientowany spojrzałem na trumnę i z ulgą zobaczyłem, że martwa kobieta wciąż w niej leży.

— Ona wiedziała, że przyjdziesz — wychrypiała żyjąca starucha.

Strasznie od niej śmierdziało. Nie tylko niemytym ciałem, lecz także jakąś cuchnącą maścią. Próbowałem się odsunąć, byle dalej od tego smrodu, ale ona mocno przytrzymała mnie za rękaw i pociągnęła do alkowy, gdzie pod ścianą stał starszy człowiek wsparty na kulach. Miał na sobie długi szynel w kolorze khaki i brudną zieloną wełnianą czapkę naciągniętą na uszy. Jaskrawoczerwone strupy odznaczały się na jego żółtej, pergaminowej twarzy, nawet pod białą brodą. Miał najgorszy przypadek trzęsiączki, jaki kiedykolwiek widziałem. Biedny staruszek cały dygotał, od kiwającej się głowy aż po stepujące stopy. W chwili paniki pomyślałem, że kobieta chce mnie przedstawić memu domniemanemu ojcu. Próbowałem wyrwać się na wolność, ale trzymała mnie mocno. Drugą ręką złapała jedną z trzęsących się dłoni staruszka i włożyła ją w moją.

— Na zewnątrz — wychrypiała i zaczęła mnie wyganiać z kościoła.

Zanim zdążyłem odmówić, odwróciła się i kaczym chodem podreptała z powrotem w głąb nawy. Trzęsący się mężczyzna obdarzył mnie uśmiechem, który natychmiast zamienił się w grymas, potem znowu w uśmiech i z powrotem w grymas i tak dalej w nieskończonej serii tików. Nic dziwnego, że szary szalik miał cały przemoczony od śliny. Ale nie śmierdział tak potwornie jak starucha — co prawda czuło się od niego woń niepranej bielizny, czosnku i wilgotnej wełny, lecz przynajmniej żadnych smarowideł. Ruszyliśmy do wyjścia w groteskowym tańcu w rytm jego kul stukających o podłogę, a co piąty takt o siebie nawzajem.

Na zewnątrz śnieg padał z nieba grubymi wilgotnymi płatkami. Właził do nosa i oczu i dostawał się za kołnierz. Tłumił zgiełk ruchu ulicznego, samochodowych syren i wrzeszczących ludzi. Nie mógł zagłuszyć tylko dzwonnicy ogłaszającej codzienny cud przemiany chleba w ciało i wina w krew. Ostrożnie stąpaliśmy po śliskich stopniach, chwiejąc się pod naporem nagabujących żebraków i wolontariuszy grzechoczących puszkami jak marakasami. Kiedy już znaleźliśmy się na podwórzu, usiłowałem pozbyć się staruszka.

— Do widzenia. Niech pana Bóg błogosławi — powiedziałem, ale on nie chciał puścić mojego ramienia.

Podniósł kulę i zamachał nią w kierunku małego białego budyneczku stojącego przy murze otaczającym kościelny dziedziniec. Smród był nie do pomylenia. Dziadek chciał skorzystać z toalety.

Oddychałem przez usta, prowadząc go do schodków wzniesionych ze ściennych pustaków i przez śliską podłogę z płytek do żeliwnego urynału. Byłem wdzięczny przynajmniej za to, że nie szedł za tą większą potrzebą. Przyjął pozycję i zaczął walczyć z rozporkiem, uderzając kulami o poplamione zieloną patyną żelazo. Nie miał guzików ani suwaka, co oszczędzało czas, lecz i tak nie potrafił odnaleźć swojego sprzętu w fałdach wełny i flaneli.

— Potrzymaj to, proszę — powiedział.

— O Jezu — mruknąłem pod nosem.

Ale zaszedłem już tak daleko. Sięgnąłem w dół i pogmerałem w lepkim cieple, aż znalazłem jego wacka i wyciągnąłem go na zewnątrz. Był długi, pomarszczony i pokryty czerwonymi strupami.

— Ty biedny draniu — wymamrotałem po angielsku i zwalczyłem chęć zwymiotowania.

O dziwo i na szczęście był to jedyny kawałek jego ciała, który się nie trząsł. Trzymałem go cierpliwie pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym, rozpaczliwie próbując myśleć o pięknych rzeczach, dopóki nie wytrysnął strumieniem gęstej żółtej zupy. Gdy przestał kapać, potrząsnąłem nim zdawkowo i wetknąłem go z powrotem.

— Chodziło mi o to, żebyś potrzymał moje kule. Ale i tak dziękuję — skwitował dziadek.

Ślizgając się, ruszyliśmy z powrotem przez dziedziniec, aż dotarliśmy do jednopiętrowego budynku przylegającego do kościoła. W tę samą stronę zmierzali inni starsi ludzie, utykając, powłócząc nogami i zataczając się tak jak my. Śnieg nadal gęsto sypał. Byłem wdzięczny za jego metaliczny zapach, który zabijał wszystkie inne wonie, oraz za zimno, które znieczuliło mój kciuk i palec wskazujący.

Na ganku staruszek załomotał laską w drzwi. Judasz otworzył się i zamknął z trzaskiem. Zakonnica o krzepkich nagich przedramionach otworzyła drzwi. Złapała staruszka za fraki i porwała do środka. Potem zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów i bez słowa zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.

ROZDZIAŁ 22

Jaja diabła

— Dżorn! Rozwiązałam wszystkie twoje problemy. Będziesz bogaty — oznajmiła Natasza i zabrzęczała jak żyrandol w przeciągu. To był dzień kryształów, podczas którego zwracała siebie kosmosowi poprzez noszenie skrzących się małych kawałeczków szkła w uszach, we włosach, wokół szyi oraz nadgarstków. Miała też nimi ozdobiony cały przód bluzki. Afanazy ostrzegł mnie, żebym tego nie komentował, chyba że chcę usłyszeć cały wykład na temat pochodzenia i funkcji każdego, nawet najmniejszego odłamka. — Mój kuzyn jest duchownym. Ma wioskę i gospodarstwo. Wyhodują wszystko, czego będziesz potrzebował. Pojedziemy do niego w sobotę, a ty złożysz zamówienie.

— Ale przecież pada śnieg.

— To najlepsza pora. Żadnego błota.

To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe, lecz uznałem, że rozsądnie będzie to sprawdzić. Nadarzy się też okazja do jednodniowej wycieczki. Wioska leżała pięć godzin jazdy na północny wschód od Moskwy, w kierunku Niżnego Nowogrodu. Silnik rzęził, nadwozie grzechotało, a ja regularnie uderzałem głową o dach przy każdym wyboju i każdej dziurze na autostradzie. Natasza siedziała zgarbiona nad kierownicą, z pobielałymi knykciami i nosem niemal przyklejonym do przedniej szyby, próbując coś zobaczyć przez brązową mgłę tryskającą spod kół ciężarówek. Wszystkie pojazdy, włącznie z naszym, były nią całkowicie pokryte — wyglądaliśmy jak zmotoryzowane kupki gówna sunące w otwartym kanale ściekowym.

Na przydrożne stacje benzynowe nie można było liczyć. Podobnie jak inni jechaliśmy obładowani kanistrami z paliwem. Gdyby doszło do karambolu, byłyby z tego niezłe fajerwerki. Radio nie działało, ale i tak byśmy go nie słyszeli. Próby rozmawiania były bezcelowe.

Po trzech godzinach zjechaliśmy z autostrady na drogę lokalną. Pod śniegiem kryła się para kolein, więc przynajmniej nie groziło nam, że wpadniemy do rowu. Natasza rozluźniła się i opadła na siedzenie, prowadząc dalej w stylu jak z najlepszych szkoleń Land Rovera, tak żeby przy ewentualnym wyboju kierownica nie złamała jej nadgarstka. Z obu stron rozciągał się zimowy wiejski krajobraz, połacie bieli od czasu do czasu nakrapiane grupkami chałup.

— Daleko jeszcze?

— Niedaleko — uspokoiła mnie. — Tak się mówi dzieciom, prawda?

— Masz dzieci?

— Nie.

— A męża?

— Tak. Nie było nas stać na założenie rodziny. Teraz on śpi ze swoją panią profesor. Już go nie widuję.

— Jesteś rozwiedziona?

— Oczywiście.

Nagle dodała gazu i skręciła w prawo. Wpadliśmy w poślizg i samochód zaczął się przechylać na bok. W przebłysku paniki pomyślałem, że moje pytania skłoniły ją do ucieczki z tego padołu łez. Ale ona tylko wyprowadzała auto z kolein. Wjechaliśmy w las, sunąc wzdłuż zaspy ubitego śniegu. Otoczyła nas cisza, jako że silnik niemal nie pracował. Natasza przyciskała gaz do dechy tylko wtedy, kiedy groziło nam, że auto zacznie jechać bokiem.

— Przypominamy obrazek z miniatur z Paliecha. Przystojny książę smagający biczem konie ciągnące zaprzęg, a u jego boku księżniczka otulona w futra. Z tym że nasza wersja jest bardziej feministyczna.

— Dżorn! Czy wszyscy Anglicy lubią gadać o byle czym? To dla was rozrywka?

Wyjechaliśmy na polankę. Natasza nacisnęła hamulec, odcięła zapłon i zatrzymaliśmy się w łacie miękkiego śniegu, lekko się chybocząc. Po zgiełku ostatnich kilku godzin nagle słychać było tylko tykanie stygnącego silnika. Poczułem syczenie w uszach, jak w chwili gdy raptem zapada głęboka cisza.

— Jesteśmy na miejscu — rzuciła Natasza, używając nieco bezmyślnej, ale zwyczajowej frazy.

Opuściłem szybę, żeby zobaczyć, gdzie właściwie jest to „na miejscu", jako że do tej pory oglądałem świat przez pokryte błotem okna. Lodowate powietrze sprawiło, że podniosłem ją szybko z powrotem, jednak zdążyłem zauważyć niskie drewniane domki na skraju polany, ciemnobrązowe, szare i zielone, ledwie widoczne na tle drzew. Ich obecność zdradzały tylko kłęby dymu i czarne łaty wokół kominów ośnieżonych dachów.

Zaczęliśmy nakładać kolejne warstwy ubrań jak kochankowie na poboczu drogi. Natasza wyskoczyła zwinnie na zbity śnieg i zrobiła piruet. Poczułem się dzielny i żądny przygód w tej zasypanej śniegiem dziczy, ale wyskoczyłem mniej zwinnie. Nogi wystrzeliły spode mnie i klapnąłem na tyłek.

Niegdyś jaskrawozielone, czerwone i niebieskie zaniedbane domy wyblakły i przybrały barwy maskujące. Tam, gdzie drewno przegniło, łatano je wszystkim, co było pod ręką — kawałkami blachy i sklejki, rozłupanymi polanami, papą. W pobliżu chałup tłoczyły się podupadające chlewy i kurniki, wygódki, gnojowiska, spiętrzone stosy złomu. Pośrodku tych wiejskich slumsów zobaczyłem zupełnie nowiutki drewniany kościół, ze ścianami z jasnożółtego drewna oraz z dachem z ciemnobrązowych gontów. Zbudowano go w stylu starorosyjskim, niewypaczonym przez orientalne cebulaste kopuły i włoski barok — był kanciasty, geometryczny, o idealnych proporcjach. Przed budynkiem stały srebrny chevrolet pick-up i zardzewiała metalowa przyczepa z krzywą rurą od pieca służącą za komin.

Ruszyłem za Nataszą w kierunku kościoła, drepcząc drobnymi kroczkami zarezerwowanymi tylko do chodzenia po śniegu. Miejsce wyglądało na opuszczone. Podejrzewałem, że mieszkańcy obserwują nas zza zasłonek. Drzwi od przyczepy campingowej otworzyły się z impetem. Brodaty mężczyzna stanął na skrzyni na amunicję, która zastępowała mu schodki. Miał na sobie jednoczęściowy szkarłatny kombinezon; nogawki wetknął w buty do pół łydki. Szeroko otworzył ramiona, czekając, aż Natasza w nie wpadnie. Miał tylko metr pięćdziesiąt wzrostu, więc pozostał na podwyższeniu, by jej dorównać.

Wymienili uściski i głośne całusy w policzki, zanim zostaliśmy sobie przedstawieni,

nieco mniej entuzjastyczne.

— To jest ojciec Kirił — powiedziała Natasza po rosyjsku.

— Cyryl, Cyryl, Cyryl — poprawił ją z amerykańskim gangsterskim akcentem. — Jesteś ze Stanów?

— Właściwie to z Anglii.

— Okej, okej. Pięćdziesiąty pierwszy stan. Miło cię poznać.

Ojciec Cyryl był gruby w taki sposób, w jaki grubi są ciężarowcy.

I silny. Miał czarną krzaczastą brodę, a włosy schludnie związane w koczek i ukryte pod czapeczką baseballową Pittsburgh Steelers.

— Musicie być wykończeni — zauważył. — Chodźcie do środka i napijcie się trochę gorącej herbaty. Właśnie gotuję kaszę.

— Wspaniale — mruknąłem.

W przyczepie panował zaduch jeszcze gorszy niż w nivie. Dym drzewny, opary gotowania, śmierdzące adidasy, kadzidło. Było tu akurat tyle miejsca, żeby przycupnąć na skraju łóżka przed cylindrycznym piecykiem, na którym stały dzbanek do herbaty, kociołek oraz pokryty czarną skorupą żelazny rondel. Łóżko było jedynym meblem w pomieszczeniu, zbitym z nieheblowanych desek — przyjemność dla fakira pełna zadr i wystających łepków od gwoździ, z nierównym materacem, poduszką i ze śpiworem khaki. Na ścianie wisiał karabin automatyczny. Reszta pomieszczenia była zagracona dziesięciokilogramowymi puszkami z mięsem od organizacji charytatywnych — okruchami z europejskiej góry wołowiny — ikonami, świecami, kadzielnicami oraz innymi akcesoriami liturgicznymi. W nogach łóżka, przykryty przezroczystym plastikiem, stał kapłański strach na wróble — stojak z haftowanym złotem ornatem, stułą i nakryciem głowy.

— Wszystkie twoje skarby — powiedziałem przez nos.

— Trzeba wyszykować kościół — wyjaśnił ojciec Cyryl. — Czekam na stalowe drzwi do zakrystii.

— Czarna owca w stadku?

— To nie owce mnie martwią, tylko wilki. Mniej więcej dwadzieścia kilometrów stąd jest obóz wojskowy. Żołnierze wrócili z Niemiec. Mieszkają w namiotach, biedacy. Nie są sukinsynami. Pędzą własny bimber. Wpadają od tego w szał. Tak czy inaczej dezerterzy sprawiają problemy. Przyjedź wiosną, a znajdziesz tu mnóstwo ciał. O ile niedźwiedzie nie wyczują ich pierwsze. Proszę. Częstujcie się kaszą.

Dał nam blaszane talerze i łyżki. Czekałem, aż Natasza sobie nałoży. Na szczęście to nie była ta obślizgła biała rzecz, tylko coś brązowego o orzechowym aromacie. Rozsmarowałem pół łyżki na talerzu, żeby wyglądało na to, że wziąłem dużo. Na szczęście Cyryl nie patrzył w moją stronę, przygotowując herbatę. Podał mi jedną ze szklanek.

— Cukier czy słodzik? — zapytał, podnosząc opakowanie Sweet'N Low.

Wybrałem cukier i natychmiast pożałowałem, kiedy podał mi miskę brązowego cukru, który nie był tak naprawdę brązowy, lecz pozlepiany zaciekami z herbaty.

— A więc spędziłeś trochę czasu w Ameryce — zagaiłem, sącząc gorzki napój.

— Ja się tam urodziłem. W Picksburgu.

— Znam Pittsburgh — powiedziałem.

— Tak? Urodziłem się i wychowałem w Mon Valley.

To było widać. Fabryki stali ciągnące się wzdłuż rzeki Monongahela przyciągały imigrantów z całej Europy, a oni przywozili ze sobą swoje religie. Jadąc od centrum Pittsburgha, mijało się osiedla drewnianych domków i widziało strzeliste wieże kościołów, iglice i kopuły wszelkich obrządków i odłamów, od Atlantyku po Ural.

— Jak znalazłeś się tutaj?

— Mój dziadek urodził się w tej wiosce — wyjaśnił. — Był księdzem. Wyjechał w latach dwudziestych i dotarł do Burgha. Chcieli nas tu wytrzebić.

— Bolszewicy?

— Nie. Innowiercy. Byli po stronie Lenina. Zabrali nam kościoły, wszystko. Ale dostali za swoje. Lenin zwrócił się również przeciwko nim.

— Jesteś starowiercą?

— Tak nas nazywają. Wyznajemy prawdziwą wiarę.

— Wciąż masz rodzinę w Pittsburghu?

— Żonę i dwoje dzieci. Moja mama nadal jest z nami.

— To niesamowite, że zachowaliście starą wiarę.

— Tylko mój dziadek. To od niego ją przejąłem. Nigdy nie nauczył się angielskiego. Moi rodzice nie chcieli mieć z tym nic wspólnego.

— Co myślą o twoim powrocie?

— Żona odeszła ode mnie, kiedy zacząłem się uczyć na księdza. Miałem dobrą pracę w fabryce, a ona nie chciała żyć z jałmużny. Ale fabrykę i tak zamknęli. Dzieciaki już nie chodzą do szkoły. Córka utrzymuje ze mną kontakt. Zna rosyjski. Tak czy inaczej to zupełnie inna sprawa. — Osuszył swoją szklankę i otarł usta włochatym grzbietem dłoni, jakby próbował zetrzeć również słowa. — Chcesz obejrzeć kościół?

Nałożyliśmy parki i wyszliśmy na zatykające dech lodowate powietrze. Cyryl prowadził Nataszę za łokieć, a ja dreptałem za nimi. Słońce zaczynało już znikać za linią drzew i zalewało polanę światłem o barwie starego złota. Kościół lśnił.

Jego wnętrze było piękne jak staromodna stodoła, o doskonałych proporcjach i ukrytych świetlikach, które zalewały stromy spadzisty dach złotym światłem. Po prawej stronie drzwi znajdowała się ikona z płonącą czerwoną lampką i tacą z sześcioma migoczącymi świecami. Była nowa i jaskrawa. Przedstawiała świętego Kiriła trzymającego krzyż i otwartą Biblię, który był zadziwiająco podobny do księdza. Cyryl podszedł do ikony, przeżegnał się płynnie trzy razy i ucałował stopę świętego... Spojrzał znacząco na Nataszę.

— Dwupalczasty heretyk — skomentował po rosyjsku, roześmiał się i poklepał ją po ramieniu.

— Dlaczego dwupalczasty? — zapytałem po angielsku.

Był zbity z tropu, zaskoczony, że rozumiem rosyjski.

— Prawdziwi wierzący robią znak krzyża trzema palcami. Ze względu na świętą trójcę. Heretycy używają dwóch palców.

— Jestem katolikiem — wyjaśniłem. — I używam czterech.

— Wszystkie te wasze religie to przegrana sprawa. Ja pokładam nadzieję w Nataszy. Ona się nawróci. Prawda, Nataszo?

Zanim zdążyła wymyślić stosowną odpowiedź, drzwi się otworzyły i do środka weszła stara kobieta. Była otulona czarnymi chustami, a stopy miała zawinięte w płótno workowe obwiązane sznurkiem. Powłócząc nogami, zbliżyła się do Cyryla, złapała jego prawą dłoń, ucałowała włochate palce i próbowała przyklęknąć na jedno kolano wbrew protestom dotkniętych reumatyzmem stawów. Duchowny próbował ją podnieść obiema rękami, ale ona wzięła to za zachętę do opadnięcia. Siłowali się tak przez pół minuty, dopóki on się nie poddał i nie pozwolił jej osunąć się na ziemię. Bełkotała bezzębnym rosyjskim. Natasza i ja dyplomatycznie odeszliśmy na bok.

— Co to jest ta cała prawdziwa wiara?

— Dawno temu, w XVII wieku, doszło do reform w kościele. Starowiercy się odłączyli.

Istnieje wiele różnych sekt. Ta wioska to *biespopowszczyna*. To znaczy: bez popa.

— Ale Cyryl jest duchownym.

— Wiem, lecz nie mianował go biskup. To ludzie go wybrali.

— Jak u naszych metodystów.

— Podczas prześladowań starowiercy żyli dziko w lesie, dopóki nie mogli bezpiecznie powrócić. Wioski takie jak ta były kompletnie odcięte od świata. To dlatego nie mają tu elektryczności ani dróg.

— Albo uciekali do Pittsburgha. Jak udało wam się pozostać w kontakcie?

— Nie udało. Cyryl przyjechał do Moskwy po *pierestrojce* i powiedział, że jego ojciec był kuzynem mojego. Próbował znaleźć wszystkich ludzi, o których opowiadał jego dziadek. Myślę, że pomylił rodziny. Mamy takie samo nazwisko, ale nigdy nie słyszeliśmy o tym miejscu i nikt nie pamięta niczego o staroobrzędowcach.

— I nie powiedzieliście mu tego?

— Pamiętasz kolejki za jedzeniem? Najlepszą rzeczą na świecie jest krewny w Ameryce. Kiedy jakiś pojawia się na twoim progu z dolarami w kieszeni, nie odsyłasz go.

Cyryl udzielił staruszce błogosławieństwa i podniósł ją z ziemi. Wycofała się tyłem i wyszła.

— Rozgrzeszyłeś ją? — zapytała Natasza.

— Powiedziała, że ktoś rzucił na nią urok. W każdym razie ma dla was łóżko na noc. Utrzymuje czysty dom. Nie zostaniecie za bardzo pogryzieni.

— Zostajemy tu na noc? — zapytałem.

— Nie będę jechać z powrotem po ciemku — oświadczyła Natasza.

Nie byłem z tego zadowolony. Nic nie wspominała o spaniu tutaj.

Nie podobała mi się ta jej historia o uznaniu Cyryla za krewnego tylko po to, żeby mieć amerykańskie koneksje. Zapowiadało się na długi wieczór z kaszą, kapustą, domowym bimbrem, materacem pełnym pcheł, duchownym, który nie był duchownym, czarownicą ze stopami obwiązanymi płótnem oraz ze zbzikowaną rozwódką, dla której byłem tylko kolejnym obcokrajowcem z dolarami do wzięcia. Opuściłem ich pod pretekstem podziwiania ikonostasu. Nie było za wiele do oglądania — prosta drewniana ścianka działowa z przodu sanktuarium z drzwiami pośrodku pod prawosławnym krzyżem. Podszedłem do drzwi.

— Trzymaj się z daleka — huknął Cyryl.

— Co tam jest?

— Nic — warknął. — Wszystko.

Wyszedłem z kościoła obrażony i ślizgając się, ruszyłem przodem w kierunku przyczepy, podczas gdy Natasza czekała, aż Cyrl zamknie. Robiło się ciemno. Było mi zimno i miałem wszystkiego dość.

— Uważaj na lód, ślisko! — krzyknął Cyryl.

Za późno. Nogi wystrzeliły spode mnie i klapnąłem na tyłek.

Wieczór nie był tak straszny, jak się obawiałem. Nasza gospodyni nazywała się Maria Olegowna. Prawdopodobnie była po pięćdziesiątce, ale ciężka praca, proste jedzenie i surowe wiejskie życie sprawiły, że wyglądała na mniej więcej osiemdziesiąt lat. Z daleka jej dom prezentował się bardzo malowniczo. Ornamenty wokół okapu, otwory w kształcie serc w okiennicach, smużka dymu unosząca się z krzywego komina. Ale musieliśmy stąpać ostrożnie po koślawych stopniach na werandę i obchodzić wyszczerbione dziury w deskach podłogowych.

Wnętrze nas zaskoczyło. Było nagie i nieskazitelnie czyste, z podłogą i drewnianymi ścianami wyszorowanymi do białości, jak w szwedzkim mieszkaniu. Tyle że w Szwecji takie pomieszczenia wskazują na postmaterialistyczny dostatek, a nie prematerialistyczną biedę. Żar

sprawił, że aż straciłem dech. Bił z wielkiego pieca z czarnej cegły, sześcianu o dwumetrowych bokach, który dzielił pomieszczenie na pół. Po naszej stronie stało tylko kilka ław pod ścianami, stołek o trzech nogach i wyszorowany sosnowy stół przykryty wytartym białym materiałem. Jedyną ozdobą była wisząca na środku białej ściany kolorowa reprodukcja na lśniącej tekturze, przedstawiająca Mona Lisę. Czy to był efekt jakiejś międzykulturowej pomyłki z Maryją Dziewicą? Na półce w rogu obok drzwi płonęła lampa naftowa przed ikoną z bardziej ortodoksyjnym wizerunkiem Matki Boskiej.

Maria Olegowna pokłoniła się nam i ucałowała dłoń Cyryla, jakbyśmy byli żywymi ikonami, które wpadły do niej z wizytą. Zdążyła już zdjąć swoje chusty i została tylko w najlepszej czarnej sukience. Płótno na nogach zastąpiła filcowymi kapciami przypominającymi popularne niegdyś w Anglii stojaki na parasolki w kształcie słoniowych stóp. Zaprotestowała, kiedy zacząłem pomagać w przysuwaniu ław do stołu. Natasza i ja usiedliśmy naprzeciwko Cyryla. Wskazałem na Mona Lisę uśmiechającą się do nas znacząco.

— Skąd pani wzięła ten uroczy obraz? — zapytałem po rosyjsku.

Maria spojrzała na Nataszę, która słowo w słowo powtórzyła to, co powiedziałem. Odpowiedziała mojej towarzyszce, a ta z kolei przetłumaczyła to dla mnie na angielski. Tak było przez cały wieczór. Ponieważ byłem obcokrajowcem, Maria traktowała mnie jak półgłówka.

— Pojechała do Leningradu, kiedy była dziewczyną. Ma na myśli Petersburg. Dał jej to marynarz.

— Nie wątpię. Czy to był grecki marynarz?

— Skąd mam wiedzieć? Czemu pytasz?

— Bo to jest pokrywka od bombonierki z greckimi czekoladkami.

Cyryl zapytał o to Marię, która przez chwilę wyglądała na przestraszoną. Zatrajkotała coś i potruchtała w stronę pieca.

— Powiedziała, że był chrześcijaninem. Ma na myśli: prawosławnym. Ale może tak tylko mówi ze względu na mnie. Ci ludzie to plotkarze, powiedzą ci cokolwiek.

W uwadze duchownego usłyszałem cień goryczy świadczący o tym, że jego powrót do ziemi ojczystej nie do końca był sielankowym powrotem syna marnotrawnego.

Nasza kolacja była pełna niespodzianek. Przede wszystkim okazała się pyszna. Kilka odmian marynowanych grzybków, każda z innymi ziołami. Dziki czosnek i malutkie jajka, też marynowane. Sałatka z buraków. Wędzony szczupak. Wędzony pstrąg. Plastry wędzonej kaczki. Orzechowy czarny chleb.

— To jest przepyszne. Czy oni jadają to na co dzień?

— Zawsze, kiedy ktoś obcy przychodzi z wizytą. Jesteś honorowym gościem. To wszystko z lasu. Jedz, ile wlezie. W Moskwie zapłaciłbyś za to fortunę.

Cyryl jadł, ile wlezie. Natasza skubała swoją porcję. Ja już wolałbym kapuśniak. Każdy kęs budził wyrzuty sumienia. Maria nawet nie tknęła jedzenia. Krążyła przy stole, napełniając mój talerz i obserwując, jak jem. Mnie i Cyrylowi do popicia podała wódkę, która smakowała jak whisky pędzona z kukurydzy i prawdopodobnie była robiona w ten sam sposób. Przyglądałem się Nataszy promieniejącej w świetle lamp, starając się wyryć sobie w siatkówkach jej obraz, na wypadek gdyby miała być ostatnią rzeczą, jaką zobaczę, zanim oślepnę od podejrzanego bimbru. Dla Nataszy był przeznaczony dzban pełen stopionego śniegu. Kobiety nie piją wódki, w każdym razie nie publicznie.

— Za nas — powiedział Cyryl, unosząc kieliszek. — Witajcie w naszym małym zakątku wiary. Pierwsi chrześcijanie zaczynali w katakumbach. Kto by uwierzył, że podbiją świat? Z nami jest tak samo. Dokładnie tak samo. Tatarzy zapędzili naszych przodków w lasy Rusi. Tutaj utrzymujemy przy życiu prawdziwą wiarę. Stąd się rozprzestrzenimy. Najpierw na Babilon

Moskwy, gotowy na przejęcie. A kiedy zdobędziemy Kreml, wtedy zobaczymy, co dalej. Jesteś szczęściarzem, Johnny, widzisz, gdzie się to zaczyna. Nikt z nas nie dożyje końca. Ale jesteśmy u początków. Za wiarę!

Stuknęliśmy się kieliszkami i wypiliśmy sakramentalną wodę ognistą. Podczas gdy moje oczy łzawiły, jego płonęły. Założyłem, że jest stuknięty, gdy tylko go poznałem. Porzucenie Ameryki, żeby zbudować kościół pośród chałup w rosyjskim lesie, przypisywałem wychowaniu pod kloszem fanatycznego dziadka na prowincji środkowego zachodu USA. Ale teraz wiedziałem, że to było coś więcej. On był obłąkany. Maniakalny. Mesjanistyczny.

Następne toasty były bardziej zdawkowe i coraz częstsze. Polać — stuknąć — przełknąć. Jedzenie, picie i żar z pieca niosły ze sobą euforię i zawroty głowy. Wszyscy mówili za głośno. Polać — stuknąć — przełknąć. Wszyscy mówili za cicho. Polać — stuknąć — przełknąć. Szum w uszach. Polać — stuknąć — przełknąć. Wszystko wyostrzone. Polać — stuknąć — przełknąć. Wszystko zamazane. Polać — stuknąć — przełknąć.

Zrozumiałem, że naprawdę się upiłem, kiedy zobaczyłem diabła siedzącego na piecu i zerkającego na mnie, najpierw z jednej strony rury od komina, a potem z drugiej. Spiczasta głowa, nastroszone włosy, skośne oczy. Boże, dopomóż. To na pewno złudzenie optyczne. Polać — stuknąć — przełknąć.

Na drugie danie była kasza, miękka i słonawa jak kuskus, uduszona w gulaszu z żylastymi grudkami mięsa odrąbanymi z europejskiej góry wołowej, ale mimo wszystko smacznymi. Brałem kolejne dokładki w uświęconym tradycją, lecz mylnym przekonaniu, że wchłoną wypity alkohol. Polać — stuknąć — przełknąć.

— Natasza — zacząłem, powoli wypowiadając każde słowo, żeby głoski świszczące przestały się zamieniać w sepleniące. — Pora, szepyśmy porosmafiali o tym, szemu tu jesteśmy.

Niech mnie diabli, jeśli pamiętam, po co tu jesteśmy. Mój umysł jest pusty. Wszystko, o czym potrafię myśleć, to stary kawał o facecie, który pije, żeby zapomnieć, a kiedy pytają go, o czym próbuje zapomnieć, mówi, że nie pamięta. To takie zabawne, że wybucham śmiechem, aż ten gruby koleś u szczytu stołu pyta mnie, z czego się śmieję. Odpowiadam mu i on też rechocze głośno, uderzając dłońmi o uda. Starsza pani też się śmieje. Kobieta naprzeciwko wygląda na znudzoną i powoli sączy swój stopiony śnieg. Jak ona ma na imię? Polać — stuknąć — przełknąć. Dobry Boże, znowu ten diabeł.

— Dżorn! Powiedziałam Cyrylowi, że otwierasz restaurację w Moskwie i szukasz rolników, którzy dostarczaliby ci produkty rolne.

Kobieta patrzy na mnie, a ja nie wiem, o czym ona mówi. Kim, do diaska, jest Cyryl? Dlaczego tutaj jestem? Nawet nie pamiętam, gdzie jest to „tutaj". Bar w Pittsburghu. Afrykański nielegalny wyszynk. Irlandzki pub po zamknięciu. Z pewnością byłem tu już wcześniej. Czego nie wiem, to czy kiedykolwiek stąd wyszedłem. Polać — stuknąć — przełknąć.

— Mamy ziemię od spółdzielni. Mamy gospodarstwo — mówi gruby koleś. Po brodzie ścieka mu sos. Polać — stuknąć — przełknąć. Polać — stuknąć — przełknąć. — Powiedz nam, czego potrzebujesz, a my to wyhodujemy.

To jest jak pokonywanie bariery bólu podczas biegu. W jednej chwili czujesz się tak, jakbyś miał umrzeć, a w następnej, jakbyś mógł biec całą wieczność. Przejrzystość to odpowiednie słowo. Czysta przejrzystość. Umysł jest krystalicznie czysty, mimo że język się plącze. To najbliższe zawałowi uczucie, jakie istnieje. Musisz dobierać słowa i być ostrożny, żeby się nie przewrócić.

— Ziemniaki — wypaliłem.

— Co?

— Ziemniaki. Chcę zie-mnia-ków.

Co za absurdalne słowo. Ziemniaki. To chyba najzabawniejsze słowo, jakie usłyszałem przez cały wieczór. Śmieję się, ale tym razem gruby koleś nie śmieje się razem ze mną. Lepiej zachowam powagę.

— Otwieramy restaurację z pieczonymi ziemniakami. To brytyjska odpowiedź na pizzę. Faszerujesz je różnymi rzeczami, na przykład serem. To naprawdę chwyci. Otworzymy jedną, a potem zrobimy franczyzę. Najpierw w Moskwie, potem w Petersburgu, później w całej Rosji. Podbijemy świat. Nikt z nas nie dożyje końca. Ale jesteśmy u początków.

Gruby koleś patrzy na mnie, jakbym był kompletnie obłąkany. Maniakalny. Mesjanistyczny.

— Czego chcesz?

— *Kartoffel* — tłumaczę. — *Kartoszka.*

Starsza pani gapi się na mnie, trzymając dłoń przy ustach, jakby próbowała powąchać własny oddech. Nad jej ramieniem zerka na mnie diabeł i tym razem się nie chowa.

— To dobry pomysł — mówi młoda kobieta.

Ma na imię Natasza, teraz pamiętam. Trudno to wypowiedzieć, kiedy nie wymawia się głosek świszczących. Wychodzi Natasa. Gruby koleś na imię ma Szyril, wygląda, jakby miała mu zaraz pęknąć żyła na czole. Twarz ma purpurową.

— Pokarm diabła — mówi.

— Nie mówimy o deserach[39] — tłumaczę. — Chodzi o główne danie. *Kartoffel.*

— *Kartoffel* to plugawe niemieckie słowo. Prawdziwa rosyjska nazwa to *gulba*. Wiesz, co to znaczy? To znaczy zejść na złą drogę. Zgrzeszyć. To zakazany owoc, który zjedli Adam i Ewa.

— Chyba masz na myśli jabłko. Taki owoc, który kładzie się na biurku nauczyciela.

— Ziemniak to jabłko diabła. Ktokolwiek go zjada, sprzeciwia się Bogu, gwałci Pismo Święte i nigdy nie odziedziczy Królestwa Niebieskiego.

— Pszepraszam, Szyryl. Ale my mówimy o ziemniakach. W Biblii nie ma ziemniaków.

— No właśnie, sam to powiedziałeś. To nie jest jedzenie dla chrześcijan.

— Nie ma ich w Biblii, bo wtedy jeszcze ich nie odkryto. Prorocy byli nieźli w swojej robocie, ale nie aż tak dobrzy.

— Bluźnisz.

— Pszepraszam. Pszee-praszam.

— Ziemniak jest wcieleniem złego.

Zerknąłem na Nataszę, szukając pomocy. Zasłaniała oczy dłońmi. Mogłem liczyć tylko na siebie.

— Nigdy nie jadłeś frytek w Pittsburghu? Albo purée z ziemniaków z sosem?

— Jedzenie dla niewierzących.

— Ale ziemniaki je się w całej Rosji.

— Zło panoszące się w Rosji pochodzi właśnie od ziemniaków. Wiesz, jak pozbyto się trądu na Syberii? Przestano jeść ziemniaki. Znasz lekarstwo na syfilis?

— Czipsy?

— Ziemniaki. Pochodzą z tej samej rodziny co wilcze jagody. Spróbuj ich liści. To gorzka trucizna.

— No i tu się mylisz, Cyryl. Liści się nie je. Tylko bulwę.

— I co się dzieje? Gazy i pożądanie. Gazy i pożądanie.

— Hej, wyluzuj. To moje dwa hobby.

Natasza wciąż zasłaniała oczy dłonią. Zabiję ją. Musiała wiedzieć, że ten fanatyk ma coś przeciwko ziemniakom. Zaciągnęła mnie tutaj w ramach jakiegoś chorego żartu.

— Wiesz, jak nazywamy te twoje ziemniaki?

— *Gul'ba*. Powiedziałeś. Zejść na złą drogę.

Koleś zniża głos, patrzy mi w oczy płonącym wzrokiem, a ślina tryska z kącika jego ust.

— *Szary diawoła*. Jaja diabła!

Co mogę powiedzieć? Ledwie tłumię śmiech. Maria robi znak krzyża i pędzi z powrotem do pieca.

Reszta posiłku przebiega spokojnie. To dlatego we wszystkim jest tutaj kasza. Powinienem był zauważyć, czego brakuje w menu.

Potrafiłbym zrozumieć, gdyby te brednie padały z ust jakiegoś zabobonnego wieśniaka, ale słuchać czegoś takiego od mężczyzny, obok którego mógłbym usiąść w ekspresie do Shadyside[40]? Na stadionie Three Rivers? Na stołku barowym w Wheel Café? Przesądy Starego Świata zostały przeniesione do nowego, pielęgnowane tam przez pokolenia, a potem przyleciały z powrotem w boeingu 747.

Na deser były brzoskwinie z puszki ze skondensowanym mlekiem, a potem ciężki biszkopt wysmarowany dżemem i herbata. Natasza gawędziła o sałacie, burakach oraz innych chrześcijańskich produktach, które wieśniacy Cyryla mogliby wyhodować dla nas w swoim gospodarstwie. Powoli przestało mi się dwoić i troić w oczach i rzędy Rosjan przede mną zaczęły odchodzić niczym burza z piorunami na stepie. Polać — stuknąć — przełknąć.

Po zakończonym posiłku Cyryl pobłogosławił wszystkich, pokłonił się ikonie w rogu przy drzwiach, nałożył parkę oraz czapeczkę baseballową i wyszedł w noc. Podziwiałem to, jak prosto szedł. Kiedy ja wyskoczyłem za róg, żeby zrobić siusiu na gnojowisko, musiałem trzymać się ściany. Przez chwilę nie byłem pewien, czy lodowate powietrze mnie orzeźwi, czy pozbawi przytomności, ale jakoś przetrwałem.

Natasza pomagała Marii sprzątać ze stołu, podczas gdy ja siedziałem na ławie, oddychałem głęboko, skupiałem wzrok na Mona Lisie i hamowałem ciekawość co do tego, gdzie będziemy spać. Gdy Natasza wyjrzała zza patchworkowej zasłony obok pieca i skinęła na mnie dłonią, przyjąłem to z satysfakcją.

— Dżorn! Pora spać — zawołała.

Dołączyłem do niej, trzymając się blisko ściany. Za zasłoną znajdowała się alkowa utworzona przez ścianę, piec i jeszcze jedną zasłonę. Kącik wypełniało ogromne łóżko, większe niż podwójne, potrójne małżeńskie łoże z rzeźbionym zagłówkiem, słupkami we wszystkich rogach, górą pościeli w kolorze złamanej bieli i podgłówkiem w koronkowej powłoczce. Natasza stała z jednej strony łóżka w bluzce i samych majteczkach, a kasztanowe włosy opadały jej falami na ramiona. Spojrzała na mnie oczami wilgotnymi i łagodnymi w bladym świetle małej lampki naftowej stojącej na piecu. Uśmiechała się. To był czuły i łobuzerski uśmiech.

— Przepraszam za dzisiejszy wieczór — powiedziała, odgarniając kołdrę, żeby się położyć. — Nie wiedziałam.

Leżała na plecach, wpatrując się w drewniany sufit. Z trudem ściągnąłem buty, spodnie i skarpetki. Usłyszałem, jak po drugiej stronie zasłony Maria gasi po kolei lampy naftowe. Zapadła ciemność.

Wsunąłem się pod narzutę. Szorstki i gryzący patchwork świadczył o tym, że materiał nie do końca przeszedł metamorfozę z postaci roślinnej. W dotyku był jak wymłócona słoma. Leżałem nieruchomo, dopóki łóżko nie przestało wirować. Uznałem, że to będzie uprzejme z mojej strony, jeśli przytulę Nataszę na dobranoc. I całkiem bezpieczne, jako że nie byłem zdolny do niczego więcej. Przekręciłem się na bok, wyciągnąłem rękę i pogłaskałem twarde, kościste ciało okutane w skorupę szorstkiego materiału. Czyjeś zrogowaciałe szpony złapały mnie za nadgarstek i odepchnęły.

— Dobranoc, Mario — powiedziała Natasza.

Nie potrafiła powstrzymać śmiechu w głosie.

— Dobranoc. Boże, miej nas w swojej opiece — wychrypiała koścista rzecz leżąca obok mnie.

Leżałem sztywno na podgłówku. W końcu moje oczy przyzwyczaiły się do ciemności. W bladym czerwonym blasku lampki od ikony zobaczyłem diabła spoglądającego na mnie ze szczytu pieca.

— *Szary diawoła*! — wykrzyknąłem i usiadłem sztywno wyprostowany.

— To tylko mój syn — wyjaśniła Maria. — Dimitrij. To dobry chłopak.

Miał ciało człowieka i malutką spiczastą głowę. Kucał na piecu z kocem narzuconym na ramiona. Zamachałem do niego palcami. Było to jedyne powitanie, jakie przychodziło mi do głowy. Owinął się ciaśniej kocem i położył na boku, wciąż na nas patrząc. Ostatnie, co pamiętam, to że zastanawiałem się, czy grecki marynarz przypadkiem nie nazywał się Dimitrij.

Niewiele utkwiło mi w głowie z następnego ranka. To nie do końca był kac, raczej poczucie, że mój mózg zamienił się w gorącą kaszę i zaraz wykipi uszami. Diabła nigdzie nie było widać. Cyryl wyglądał, jakby spędził wieczór na piciu lemoniady. Wysączyłem herbatę małymi łyczkami, po czym przebrnąłem przez mgłę pożegnań. Jakimś cudem zdołałem dotrzeć do nivy bez klapnięcia na tyłek.

— Dżorn! Przepraszam — powiedziała Natasza, gdy tylko ruszyliśmy slalomem leśnym traktem. — Nie wiedziałam o tych ziemniakach. Naprawdę!

— Nie przejmuj się — pocieszyłem ją. — To dało mi świetny pomysł na danie specjalne Jackets. *Szary diawoła.*

ROZDZIAŁ 23

Jak unikać wampirów

Był wspaniały wiosenny dzień. Wiatr wiał z południa. Śnieg zniknął z naszego podwórka. Nagie drzewa i żółta darń były cętkowane szmaragdową zielenią. Potrzebowałem dnia wolnego od pracy.

Popędziłem ze stacji prosto do lasu, jakbym był spóźniony na spotkanie. Ponieważ śnieg nie sprawia mi żadnej przyjemności, byłem w lesie po raz pierwszy od niemal sześciu miesięcy. Spacerowałem po ścieżkach, celowo się gubiąc i zrzucając z siebie miejskie powietrze, beton, zgiełk i linie proste. Cieszyłem się liśćmi, korzeniami, korą i błotem. Słuchałem ptaków kłócących się, gawędzących i śpiewających w zaroślach. Uległem pokusie i dołączyłem do ich szczebiotów. *There were birds in the trees, but I never heard them singing...*

Po lesie przechadzało się wiele innych osób. Matki i babcie z dziećmi wciąż opatulonymi, jakby było minus piętnaście stopni. Młoda dziewczyna popychająca staromodny wózek dziecięcy zupełnie nieprzystosowany do terenu, kompletnie zanurzona w kołysance, którą nuciła różowemu wełnianemu zawiniątku ukrytemu pod budką. Pożałowałem, że nie jestem dobrą wróżką i nie mogę dać dziecku jakiegoś prezentu — drygu do gwizdania na dwóch palcach, talentu do gry na ukulele, wizy do Ameryki — jedyne, co miałem do zaofiarowania, to był życzliwy uśmiech. Zapatrzone w siebie pary przechadzały się statecznie po dróżkach, być może rozważając, czy ziemia za krzakami wciąż jest zbyt wilgotna. Siwowłosy weteran w starym mundurze ozdobionym mnóstwem medali spoglądał na szczyty drzew i rozkoszował się zwycięstwem nad kolejną zimą.

Szedłem dalej coraz węższymi szlakami, przeskakując zwalone pnie i kałuże błota. Wąska ścieżka zakończyła się polanką. Pośrodku zobaczyłem okrągły staw pokryty martwymi

liśćmi i zielonym szlamem oraz ławeczkę zrobioną z pni. Poczułem się zawiedziony, gdy ujrzałem siedzących na niej dwóch mężczyzn. Jeden był mniej więcej w moim wieku, bardzo wychudzony, w czarnym garniturze z serży i w czarnym golfie. Pomyślałem, że cierpi na jakąś wyniszczającą organizm chorobę, bo włosy miał rzadkie i matowe, skórę bladą i pergaminową, a jego oczy ginęły w ciemnych oczodołach. Drugi był młody, może nawet nastoletni, z napuszonymi czarnymi włosami i ze śladem pierwszego wąsika. Nosił czarne dżinsy i brązową skórzaną kurtkę. Każdy z nich trzymał w dłoni jakiś rękopis. Śpiewali do siebie miękkimi niskimi głosami.

Gdy się pojawiłem, przerwali i spojrzeli na mnie z teatralnie uniesionymi brwiami. W pierwszej chwili odruchowo chciałem odwrócić się na pięcie i odejść. Wyglądali nieszkodliwie, ale jednocześnie tak złowieszczo, że nie mogłem się zdecydować. Jednak ciekawość zwyciężyła. Ruszyłem w ich kierunku i skinąłem głową z kwaśną miną, w rosyjskim stylu. Wrócili do swoich rękopisów i znowu zaczęli śpiewać. Zignorowałem ich i z dłońmi w kieszeniach zacząłem oglądać brudny staw. „Co on widzi... widzi... widzi...?”.

Z polanki można było się wydostać tylko tą ścieżką, którą przyszedłem. Wesoło zamachałem im dłonią i ruszyłem z powrotem, ale Napuszony wstał, pokonał kilka kroków i zablokował mi drogę. Odezwał się niskim i monotonnym głosem:

— Proszę, przyłącz się do nas.

— Tak, dołącz do nas — warknął Chudzielec, co zabrzmiało bardziej jak rozkaz niż zaproszenie.

— Jesteście muzykami — zauważyłem.

— Biednymi śpiewakami...

Roześmiali się po raz pierwszy i znowu podjęli swój recytatyw, tym razem prowadzony przez Napuszonego. „Jesteśmy śpiewakami... biednymi śpiewakami... jesteśmy biednymi śpiewakami... dołącz do nas...”.

To było głupie, że się denerwowałem. Czego miałem się obawiać ze strony muzyków? Poza tym mogli się okazać interesujący. Wczesna mucha mięsna, wciąż ociężała po zimie, opadła mi na policzek, więc ją odgoniłem. Napuszony skopiował mój ruch i klepnął się w policzek. Podszedłem z nim do ławki, a Chudzielec wskazał mi miejsce obok siebie. Przycupnąłem na brzegu. Napuszony usiadł z drugiej strony.

— Ładny dzień — zauważyłem.

„Ładny dzień... ładny dzień... ładny dzień... ładny dzień”. Przeszli przez gamę minorową i zakończyli dysonansem.

— Czy to była gama dorycka? — zapytałem, odgrzebując wspomnienia z zajęć z improwizacji, które brałem, gdy byłem zauroczony grą na saksofonie.

Nie wiedziałem, na którego z nich patrzeć, więc gapiłem się na staw. Muszki unosiły się nad szlamem. Chudzielec położył kościstą dłoń na moim kolanie. Próbowałem się odsunąć, ale Napuszony siedział zbyt blisko mnie. Poczułem na karku jego miętowy oddech. Chciałem wstać, ale dłoń Chudzielca mnie przytrzymała.

— Jesteście z opery?

— Opera nie żyje. Teatr nie żyje. Koncerty nie żyją — warknął Chudzielec.

— Tworzymy własną muzykę — poinformował mnie Napuszony.

— Macie znakomite głosy.

Wybuchli synkopowym scatem, naprawdę bardzo dobrym. W normalnych okolicznościach słuchanie go sprawiłoby mi przyjemność. „Bum-czi-cza-cza... bum-czi-cza-cza... kataszawawa kataszawawa...”. Chudzielec śpiewał do mojego prawego ucha, Napuszony do lewego. Dołączyłem cichym barytonem: „Szagaszagaszaga”.

Napuszony trzymał mnie teraz za lewe ramię i nagle uświadomiłem sobie, że jestem unieruchomiony, delikatnie, ale stanowczo. Uznałem, że nie będę próbował się wyrywać, na wypadek gdyby to miało doprowadzić do czegoś gorszego. Chudzielec może i był wyniszczony, lecz palce miał silne. Próbowałem się schylić, oni jednak ścisnęli mnie mocniej. Zacząłem walczyć, ale Chudzielec złapał moje drugie ramię wolną ręką. Nie mogłem nawet drgnąć. Naprawdę zacząłem się bać. Rozejrzałem się, lecz nikt nie nadchodził ścieżką.

— Czego chcecie? — zapytałem, już nie lekkim barytonem, ale drżącym tenorem. Znowu zaczęli śpiewać.

„Bum-czi-cza-cza... bum-czi-cza-cza... kataszawawa kataszawawa".

— Puśćcie mnie!

— Nie, mój przyjacielu. Śpiewaj głębszym tonem. O tak: „Puśćcie mnie... puśćcie mnie...".

„Ustąp im, pomyślałem, ustąp im". Ale nie potrafiłem tak obniżyć głosu.

— Puśćcie moje ramię! Weźcie portfel!

Napuszony wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni mojego płaszcza, wyciągnął portfel i schował go za pazuchę skórzanej kurtki. Puścili mnie i już chciałem się poderwać, kiedy złapali mnie za kołnierz i pociągnęli w dół płaszcz, znowu krępując mi ramiona. Opadłem na ławkę i zacząłem wołać o pomoc. Szarpałem się tak długo, aż w końcu uwolniłem się z płaszcza. Na chwiejnych nogach rzuciłem się w kierunku stawu.

Kiedy dotarłem do krawędzi, skoczyłem. Wyprostowałem nogi i dotknąłem dna. Gęste błoto. Było zbyt płytko, żeby pływać, więc ruszyłem ku środkowi, rozchlapując wokół siebie wodę. Odwróciłem się i czekałem na nich. Breja sięgała mi do ud. Chodzili wokół krawędzi stawu w przeciwnych kierunkach. Błoto było lodowato zimne. Zacząłem drżeć.

— Pozwólcie mu utonąć — zaśpiewali.

Napuszony się roześmiał. Ruszyli w stronę ścieżki, po czym obejrzeli się na mnie.

— Dostaniesz zapalenia płuc — ostrzegł Napuszony.

— Czemu nie pośpiewasz? — zaproponował Chudzielec. — To cię rozgrzeje.

— Odwalcie się — krzyknąłem.

Zniknęli między drzewami, nadal śpiewając. Ich głosy coraz bardziej niknęły w oddali, ale wolałem nie ryzykować — mogli chcieć się schować za *diminuendo*. Czułem stopy w chlupoczącym błocie, lecz ciało powyżej kolan zdrętwiało mi z zimna. Poczekałem, aż chłód dotrze do klatki piersiowej, i dopiero wtedy zacząłem brnąć w stronę brzegu.

Kucałem z ramionami wokół kolan w żałosnej próbie ogrzania się, gotowy w każdej chwili wskoczyć do stawu z powrotem. Kiedy w końcu bardziej niż ponownego spotkania ze śpiewakami zacząłem się obawiać hipotermii, rzuciłem się biegiem w las. Smagany korzeniami i pokrzywami, biczowany przez ciernie i gałęzie, cały upaćkany zielonymi algami, wytoczyłem się na ścieżkę i zgiąłem w pół szarpany skurczem. Zagubiony i zdezorientowany, na każdym skrzyżowaniu wybierałem najszersze ścieżki.

Wkrótce natknąłem się na innych ludzi, ale zrezygnowałem z wołania o pomoc — na mój widok uciekali szybciej niż ja. Mały chłopiec stał jak sparaliżowany, gdy zobaczył zielonego człowieka, dopóki ojciec nie zabrał go z miejsca. Podskakiwałem i otrzepywałem się, aż przestałem ociekać błotem. Ruszyłem do metra. Dzięki Bogu miałem żeton i drobne w kieszeni. Będąc już bezpieczny w wagonie, uświadomiłem sobie, że na dnie stawu zostawiłem jeden z nowych rosyjskich butów. Całą stopę miałem pociętą i posiniaczoną.

Bywałem już wcześniej napadany przez dzieci w Rzymie, na plaży w Dar es Salaam, na targu w Casablance. Ale to było moje pierwsze doświadczenie z dorosłymi rabusiami, a do tego muzykalnymi. Przez długi czas po tym wydarzeniu miałem awersję do męskich chórków,

spacerów po lesie i purée ze szpinaku.

Budzę się w środku nocy. Ból głowy. Dreszcze. Poty.
Zawroty głowy. Ból w klatce piersiowej.
Czy to to?
TO?
Leż spokojnie. To minie.
Więcej bólu. Proszę, nie.
TO.
Dobry Boże... Ojcze nasz... Święta Mario...
Na co dzień ateista. Nawrócony na łożu śmierci.
Zadzwoń do domu. Pożegnaj się. Kocham was wszystkich.
To ich zdenerwuje. To zdenerwuje mnie.
Zadzwoń do lekarza. Jakiego lekarza?
Zadzwoń do szpitala. Którego szpitala?
Jak jest po rosyjsku „źle się czuję”? Jak jest po rosyjsku „pomocy”?
Ofiara ataku na ulicy nie krzyczy: „Na pomoc!”. Krzyczy: „Pali się!”.
Zrób tak przez telefon, przyślą straż pożarną.
Zadzwoń po karetkę. Jaki to numer? Jest dwucyfrowy.
Inny do każdego zagrożenia.
04 to wyciek gazu.
O mój Boże. Już nie umiem po rosyjsku.
Ostorożno. Dwieri otkrywajutsia.
Uwaga! Zbliżamy się do stacji.
To wszystko, co pamiętam.
Ubezpieczenie na czas podróży. Gdzie je włożyłem?
Umrę, zanim się do nich dodzwonię.
Już korzystałem z ich usług. Traktują człowieka jak symulanta.
Złamana noga? Otrząśnij się z tego. Spróbuj skakać.
Ubezpieczenie. Są słodcy jak miód, kiedy chcą twojej składki.
Traktują cię jak przestępcę, kiedy ich potrzebujesz.
Przestań narzekać. Zrób coś.
Czyste majtki. Nie chcę, żeby znaleźli mnie w tych.
Pogotowie to 01. Nie, to straż pożarna.
Nie mam pojęcia, jak to wszystko działa. Nigdy nie zawracałem sobie tym głowy.
W Anglii wystarczy się wytoczyć z domu na ulicę.
Karetki pogotowia nie przyjeżdżają do domu.
Dwadzieścia stopni poniżej zera na zewnątrz.
O Boże, pomóż mi. Przepraszam. Już więcej tego nie zrobię.
Za co przepraszasz?
Nie wiem. Za co tylko chcesz, Boże. Tylko mi pomóż.
Czy zabiorą mnie do domu? Czy pochowają na cmentarzu
Nowodziewiczym?
Płonę. Łóżko się pali. Palenie w łóżku.
Woda. Weź wodę z kuchni.
Gdzie są moje stopy? To nie są moje stopy.
To są stopy kogoś innego.
Kto ukradł moje stopy? Bandyci. Dranie.

Użyj ich mimo wszystko. Wstań. Cierpienie. Chwiejny krok.
Przystanek przy sofie, przy stole, przy lodówce.
Nie włączaj światła. Oczy bolą.
Trzask karalucha pod stopą. Maź pomiędzy palcami.
Przyjemnie i chłodno. W lodówce jest ciemno. Nic tam nie ma.
Cholera. To piekarnik. Gdzie jest lodówka?
Nie. To mikrofalówka.
Gdzie ja jestem? Niech ktoś się do mnie odezwie.
Nie. Nie miej halucynacji.
Szarpnięciem otwieram piecyk. Eksplozja światła.
Och, moje oczy. To lodówka.
Chablis. Wódka. Woda San Pellegrino. Kawior.
Wielka zielona kupa. Żadnych karaluchów.
Haust wody.
Bąbelki idą mi nosem. Woda ścieka po podbródku.
Ból w klatce piersiowej coraz większy. Beknięcie. Ból odchodzi.
Zimny pot. Gorące dreszcze.
Mamusiu, źle ze mną. Spraw, bym poczuł się lepiej. Mamusiu.
Wyjmuję wielki zielony bobek z lodówki. Nóż do chleba.
Kroję grube plastry w świetle lodówki.
Łapię wodę. Dotaczam się do sofy.
Padam na nią.
Pokrywam oczy i twarz plastrami ogórka.
Chłodne. Dobre na cerę. To się nazywa śmierć w wielkim stylu.
Łosoś na bufecie pokryty ogórkiem.
Nurkowanie. W dół. Wirowanie. W wir wodny.
W dół odpływem. Poruszam się zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara czy nie?
Czarna dziura. Nie idź tam.
Wracaj.
Duży łyk wody gazowanej. I jeszcze jeden.
Walcz. Tutaj jestem, mamo.
Są teraz na moich stopach. Napastnicy je przysłali.
Łaskotanie i szczypanie. Na kostkach. Na łydkach i goleniach.
Wiem, co to jest. Jestem spokojny. Żyję. Wiem, co to jest.
Na moich dłoniach. Na ramionach. Pod pachami.
Na brzuchu i piersi, na szyi i wokół twarzy.
Podskubują ogórka. Są w moich włosach. Buszują w łupieżu.
Karaluchy.
Łaskoczące czułki. Drapiące odnóża. Szczypiące żuwaczki.
Wielkie, czarne, soczyste karaluchy. Pełne gęstej i lepkiej mazi.
Na podłodze, na dywanie, morze karaluchów.
Sofa jest wyspą karaluchów.
Moje ciało jest górą karaluchów. Falowanie.
Skrobanie i skubanie. Skrobanie i skubanie.
Są wszędzie. Karaluchy.
Jestem pokryty karaluchami.
Nie mogę się ruszyć.

Włącz światło, rozbiegną się i znikną.

Nie rób tego. Oczy bolą.

Zmiażdż je stopami, roztrzaskaj.

Wytrzymaj to. Wytrzymaj ból. Wytrzymaj ciężar.

Całe tony karaluchów.

Karaluch na karaluchu na karaluchu.

Dłonie na uszach. Oczy i usta mocno zaciśnięte.

Ból, drżenie i mrowienie od karaluchów.

Och, mamusiu. Jestem tak daleko od domu.

Po dwudziestu czterech godzinach wszystko się skończyło. Karaluchy zniknęły. Słyszałem chrobotanie za kuchenną szafką i w zsypie na śmieci, ale nie widziałem ani jednego z tych małych gnojków poza resztkami tego, którego zdeptałem.

W lodówce była jeszcze jedna butelka wody — wypiłem naraz jej zawartość. Znalazłem piętkę czarnego chleba oraz puszkę szprotek i zabrałem to wszystko do sypialni razem z kawałkiem ogórka, który został mi po mojej maseczce kosmetycznej. Spojrzałem w lustro. Obrzmiała twarz, wory pod oczami, drobna wysypka, pocałunki karaluchów. Zmieniłem ubranie wilgotne od potu wywołanego gorączką. Zjadłem szprotki, ze skórą i z ościami. Było mi wszystko jedno, wysiorbałem nawet cały cierpki sos z puszki, zagryzłem chlebem, przeżułem ogórka, ze skórką i w ogóle, i zapadłem w sen pozbawiony snów.

Gdy obudziłem się następnego ranka, czułem się dużo lepiej, choć byłem wykończony. Była sobota. Zadzwoniłem do Flora, ale musiałem źle wybrać numer, bo odebrała Natasza. Wyraźnie się zaniepokoiła, kiedy opisałem jej symptomy. Zaproponowała, że przyniesie mi jedzenie, a ja nie oponowałem. Ledwie miałem siłę, żeby pójść do łazienki, więc zakupy nie wchodziły w rachubę. Zrobiłem herbatę i spałem w trzygodzinnych cyklach, dopóki nie przyjechała.

Flor też przyszedł. Patrzyli na mnie ze współczuciem i wstrętem, jaki czuje się na widok ludzi starych i chorych. Towarzyszyła im jeszcze trzecia osoba, grubokoścista kobieta w średnim wieku, odziana w czarny skórzany płaszcz do kostek oraz kozacką futrzaną czapę. Miała kościstą twarz, czarne oczy z opadającymi powiekami, fioletowe usta i jedną brew od ucha do ucha, niczym czarny charakter z komiksów Marvela. Cieszyłem się, że jej nie spotkałem, gdy miałem gorączkę. Kobieta karaluch. Rzuciła na mnie okiem i pomaszerowała do salonu. Była pierwszym gościem, na którym to miejsce nie zrobiło wrażenia. Obserwowała zachodnie wynalazki z kamienną miną. Flor pogrzebał w jednej z toreb z zakupami i wyjął z niej rzepę i słoik miodu.

— To jest udmurckie lekarstwo. Wydrążę środek i napełnię miodem. Po jednej nocy będziesz dodawał ten miód do herbaty.

— O rany, dzięki Flor. Od razu czuję się lepiej. A co mam zrobić z rzepą?

— To jest moja przyjaciółka Iwana Iwanowna — powiedziała Natasza. — Jest lekarką.

Uścisnęliśmy sobie dłonie i wymieniliśmy zwyczajowe ponure powitanie. Popatrzyła na mnie, jakby zostały mi trzy miesiące życia, i to z mojej winy.

— Powiedz jej, że najgorsze już za mną.

Iwana Iwanowna zdjęła czapę i płaszcz, odsłaniając długą do łydek czarną skórzaną sukienkę oraz czarne włosy zaczesane do tyłu i spięte w ciasny koczek. Zmierzyła mnie wzrokiem od góry do dołu, po czym zaczęła się wpatrywać w jakiś punkt nad moją głową. Też podniosłem wzrok, ale jedyną interesującą rzeczą, jaką widziałem, była obluzowana płytka na suficie.

— Ona prosi, żebyś dokładnie opowiedział, co jest nie tak.

— Nagle dostałem gorączki w środku nocy. I równie nagle odeszła. Trochę boli mnie

gardło. I te krosty. Czuję się bardzo zmęczony. Jestem pewien, że za parę dni będę zdrów jak ryba.

Iwana Iwanowna wzruszyła ramionami. Nie zbadała mnie, nie kazała otworzyć buzi i powiedzieć „aaa", nie osłuchała mi klatki piersiowej. Nawet nie zmierzyła gorączki. Tylko patrzyła na mnie jak Cruella de Mon oceniająca szczeniaczka. Nie byłem już w stanie dłużej ustać na nogach, więc osunąłem się na sofę.

— To nic takiego. Wylądowałem wczoraj w stawie. Musiałem złapać przeziębienie.

— Dżorn! Co robiłeś w stawie?

Mój rosyjski wyparował razem z gorączką. Natasza tłumaczyła, podczas gdy Iwana Iwanowna mamrotała pod nosem. Była coraz bardziej zainteresowana historią napaści i mojej heroicznej ucieczki. Uniosła brwi i nie mrugała oczami. Wiedziałem, co sobie myśli. Złapałem jakąś straszną chorobę ze stojącej wody. Ale ja niczego nie połknąłem i wziąłem prysznic od razu po powrocie do domu. To było tylko przeziębienie. Iwana Iwanowna powiedziała coś, co sprawiło, że Natasza zbladła. Obie popatrzyły na mnie, jakbym cierpiał na chorobę zakaźną.

— Dżorn! Mam złe wieści. Nie możesz się bać.

— O mój Boże.

— Zostałeś zaatakowany przez wampiry.

— Co?

— Wampiry. Ci mężczyźni wczoraj. Żerowali na tobie.

— Ale oni nawet mnie nie dotknęli. Niczego nie zabrali. Tylko mój portfel.

— Tak, okradają cię. Biorą, co chcą.

— Jak? Nie mam ugryzień. Żadnych śladów po zębach.

To, że się nie śmiałem, tylko kontynuowałem tę absurdalną konwersację, dowodziło tego, jaki jestem wykończony.

— Dżorn! To nie są wampiry pijące krew. Nie mamy takich w Moskwie.

— Jeden kłopot z głowy.

— To są wampiry *eniergieticzeskije.*

— Lepsze takie niż leniwe.

— Dżorn! Masz złe myśli. Jesteś pełen szyderstw. Ona mówi, że zdecydowanie jesteś ofiarą.

— Ofiarą czego?

— Wampirów energetycznych. Wysysają z ciebie energię. Z twojego umysłu i ciała. To dlatego jesteś taki zmęczony.

— Bzdura. To tylko wirus.

— Widzisz? Atakujesz mnie. Czy on mnie atakuje, Flor?

Flor wzruszył ramionami, studiując biblioteczkę. Położyłem się na sofie. Iwana Iwanowna stanęła obok i wyciągnęła dłonie skierowane wewnętrzną stroną do dołu. Trzymała je mniej więcej metr nad moją głową, z zamkniętymi oczami. Nie miałem siły, żeby jej powiedzieć, by dała mi spokój. Poza tym uznałem, że będzie z tego później niezła anegdota. Po kilku minutach odwróciła się i usiadła na krześle przy stole, z dłońmi na kolanach. Zdawała się mieć lepszy nastrój; zrobiła się niemal gadatliwa, gdy przedstawiała pełną diagnozę Nataszy, a ta mi ją tłumaczyła.

— Zaatakowały wszystkie twoje aury. Fioletowa aura jest poważnie uszkodzona. To dlatego jesteś wykończony i masz problemy psychiczne. Będziesz spał źle, miał złe sny i sny na jawie. Ona mówi, że czerwona aura też jest uszkodzona. Czy masz problemy w toalecie? Zielona jest tylko lekko naruszona, co dobrze wróży twojemu sercu.

— O co w tym wszystkim chodzi?

— Wszyscy ludzie mają siedem aur, jak tęcza. Wampiry energetyczne żywią się nimi. Choroba przychodzi do części ciała, które są połączone z tą aurą, z której ssały wampiry. W zeszłym roku została zaatakowana moja żółta aura i miałam problemy z wątrobą.

— Skąd ona wie, że moje aury są uszkodzone?

— Och, Dżorn! Ona je widzi. Czuje je w dłoniach.

Po raz pierwszy od chwili, gdy obudziłem się z gorączką, poczułem się naprawdę przerażony. Nie bzdurami na temat aur, ale tym, że mam halucynacje. To wydawało się takie prawdziwe. Dezorientacja Rosją, stres związany z próbami osiągnięcia czegoś, napaść... A jednak jeśli miałem załamanie nerwowe, czy byłbym świadomy, że je przeżywam? Czy obawa, że popada się w szaleństwo, nie jest oznaką zdrowia psychicznego?

— Twoja czakra jest jeszcze otwarta na życiodajną moc kosmicznych promieni, ale się zamyka. Dżorn! Jesteś w poważnym niebezpieczeństwie. Nie masz siły, żeby trzymać ją otwartą. Jeśli się zamknie, nie będziesz miał więcej energii. Też staniesz się wampirem. Będziesz musiał kraść życie innym ludziom.

— Mówiłem przecież, że one mnie nie tknęły.

— One mają niewidzialną rurkę wystającą z piersi. Wkładają ją w twoją aurę i zaczynają ssać. Nie muszą dotykać ciała.

To była taka bzdura. Ustąp im.

— Co mam zrobić, żeby poczuć się lepiej?

— Iwana Iwanowna ma zdolności parapsychologiczne. Ona cię wyleczy. Ma na koncie wiele sukcesów.

— Wspaniale.

— Musisz jej zapłacić.

Gardło zabolało mnie, kiedy się roześmiałem. Każdy miał coś na sprzedaż. Ale było warto. Dzięki żywej gotówce przekonam się, czy to tylko halucynacja.

— Ile?

— Dziesięć dolarów. Z masażem.

Halucynacja czy nie, trudno będzie mi wytłumaczyć masaż robiony przez kobietę w skórzanej sukience i fioletowej szmince, kiedy wrócę do domu. Ale było to warte zachodu.

— W porządku.

— Najpierw pieniądze. Potem masaż.

Utykając, ruszyłem do sypialni po portfel. Iwana Iwanowna poszła za mną. Dałem jej dychę i byłem zawiedziony, że nie wetknęła jej za dekolt. Czułem się zażenowany z powodu pomiętej i przepoconej pościeli. Wskazała na łóżko, a ja się położyłem. Czekałem na ręczniki, olejki i polecenie, żeby się rozebrać.

Istnieje masaż leczniczy, sportowy, burdelowy. Każdy z nich oferuje jakąś ulgę. I jest też masaż parapsychologiczny, który nie oferuje żadnej ulgi, a właściwie to żadnych wrażeń. Masażystka po prostu przesuwa dłońmi mniej więcej dziesięć centymetrów nad ciałem pacjenta.

— Odwróć się, proszę — poinstruowała mnie po rosyjsku.

— Co? To wszystko?

Przewróciłem się na brzuch, a ona dalej masowała moje aury. Równie dobrze mogła polerować sobie paznokcie albo oglądać rozdwojone końcówki włosów.

— Dżorn! Musisz to wypić — zaordynowała Natasza, wchodząc do sypialni.

Usiadłem, a ona podała mi kubek ze Świętym Mikołajem pełen parującego czarnego płynu pachnącego kawą.

— Co to jest?

— Dobre lekarstwo. Pij.

Rosyjskie podejście do pacjenta to staromodne „rób, co ci każą”. Więc wypiłem. To była kawa rozpuszczalna o dziwnym smaku.

— Co w tym jest?

— To kawa z dużą łyżką pieprzu. Musisz to pić każdego ranka przed wyjściem z domu i kiedy wrócisz wieczorem. I musisz brać zimne prysznice. I szybko tańczyć, o tak.

Zaczęła biegać i trzepotać rękami w górę i w dół. Iwana Iwanowna przerwała jej.

— Ona mówi, że musisz co rano po wypiciu kawy siedzieć i wyobrażać sobie, że jesteś wewnątrz jajka zrobionego ze złota. To cię ochroni. Musisz słuchać kojącej muzyki i czuć harmonię z naturą. Jeśli pójdziesz na trawę, musisz chodzić boso. I powinieneś przytulać się do drzew.

Czekałem na kryształy. Kryształy musiały się pojawić w którymś momencie.

— Za dziesięć dolarów znajdzie dla ciebie odpowiedni kryształ.

Następny będzie wegetarianizm. Ale to nic. W Rosji wegetarianinem jest każdy, kto je mięso tylko raz dziennie.

— Nie wolno ci jeść mięsa. Ani oglądać pornografii. Muzyka rockowa jest zła i filmy science fiction też. To mieszkanie jest pełne złych rzeczy. Iwana Iwanowna uważa, że właściciel jest wampirem. Wszystkie te rzeczy importowane z Zachodu wysysają energię z rosyjskiej duszy. Gry wideo i pistolety, i filmy, i komputery. Ona uważa, że jesteś w niebezpieczeństwie.

— Podziękuj jej za ostrzeżenie. Będę uważał na wampiry energetyczne.

— Ona zadzwoni do ciebie, kiedy znajdzie odpowiedni kryształ.

Sami odprowadzili się do drzwi. Śmiech może nie jest najlepszym lekarstwem, ale tego wieczoru poczułem się zdecydowanie lepiej.

Do tej pory mój wzrok na ulicznych straganach przyciągały książki pornograficzne, thrillery, horrory i SF. Ale teraz nagle zacząłem dostrzegać mnóstwo poważnych małych poradników o takich tytułach, jak *Dziesięć kroków do ochrony przed wampiryzmem energetycznym* czy *Jak unikać wampirów*.

Flor miał jeszcze ciekawszą teorię. Powiedział, że Teatr Bolszoj utrzymywał kiedyś własny szpital psychiatryczny, ale zamknięto go, kiedy skończyło się państwowe dofinansowanie... Na wszelki wypadek przekonałem się do czarnej kawy z pieprzem, która sprawiła, że złowieszczy Rosjanie natychmiast stali się bardziej strawni.

ROZDZIAŁ 24

Park Gorkiego

Przez jakiś czas odczuwałem zdenerwowanie na myśl o spacerach po lesie, ale uznałem, że park Gorkiego będzie wystarczająco bezpieczny. Wielu ludzi słyszało o tym miejscu, chociażby dzięki książce i filmowi. Jest to park rozrywki na południowym brzegu rzeki Moskwy, interesujący, jeśli lubi się kolejki górskie i inne tego typu atrakcje. Mniej znana jest starsza część, ogród Neskuchny, który ciągnie się na południowy wschód wzdłuż rzeki, aż do placu Gagarina. Dwieście pięćdziesiąt akrów, częściowo naturalne lasy, a częściowo sztuczny park z alejkami, rzeźbami i ze stawami.

Któregoś ciepłego czwartkowego popołudnia postanowiłem przejść przez całą długość ogrodu, żeby pozbyć się strachu przed rabusiami i nabrać ochoty na piwo w barze Sally O’Brien’s, który dopiero co otworzył swe podwoje w Moskwie. Trasa liczyła około pięciu kilometrów, więc uznałem, że zasłużę na swoją pintę. Uszedłem jakieś półtora, kiedy zobaczyłem młodą parę — on miał na sobie pelerynę i czapkę czarodzieja, a ona skórzaną kamizelkę i spiczastą czapeczkę chochlika. Dziewczyna śpiewała monotonnie, podczas gdy chłopak brzdąkał

na mandolinie. Otaczającą ich aurę tajemniczości psuł nieco brzęk butelek niesionych w plastikowej torbie. Wyglądali głupawo, ale nieszkodliwie.

Podążyłem za nimi boczną ścieżką i dotarłem na polankę, gdzie grupa innych ludzi w różnych stadiach poprzebierania siedziała na zrobionych z pni stołach i ławkach. Byli jeszcze nastolatkami, może tuż po dwudziestce, w większości płci męskiej. Szybko stało się dla mnie jasne, że impreza dopiero się rozkręca. Potężny chłopak z rudą brodą i w czapce Lapończyka zamachał na mnie butelką i krzyknął, żebym do nich dołączył. Piwa nie odmawiam, więc usiadłem na wolnym pniu obok niego.

— Skąd jesteś?

— Z Anglii.

— Mmm — zamruczeli ludzie wokół mnie, podczas gdy Rudobrody otworzył butelkę piwa Żyguli i podał mi ją. Butelkowe piwo nie było tanie. To musiały być dzieciaki z klasy średniej, prawdopodobnie studenci.

Zanim nastąpiły dalsze prezentacje, blond niewiasta w długiej zwiewnej sukience wyszła na środek i zaczęła śpiewać cichym, czystym, przejrzystym głosem, bez akompaniamentu. Przestaliśmy żłopać i gadać, chcąc jej posłuchać. Melodia brzmiała z rosyjska, ale nie potrafiłem stwierdzić, czy to pieśń ludowa, czy improwizacja. Słowa z pewnością nie były po rosyjsku. Pomyślałem, że mogą pochodzić od jednego z północnych ludów, może był to jakiś fiński dialekt. Dziewczyna wyglądała uroczo na tle drzew, podświetlona przez promienie zachodzącego słońca. Gdy skończyła, przez chwilę panował ten zaczarowany moment ciszy, potem zaczęliśmy klaskać, a ona wróciła skromnie na swoje miejsce.

— To było piękne — powiedziałem do Rudobrodego. — Co to za język?

— Sindariński oczywiście — odrzekł.

— A skąd pochodzi?

W dawnym Związku Radzieckim było około siedemdziesięciu różnych mniejszościowych grup etnicznych mówiących blisko stu siedemdziesięcioma różnymi językami i dialektami, więc nie byłem zaskoczony, że nie słyszałem o sindarińskim. Ale Rudobrody najwyraźniej był. Spojrzał na mnie wzrokiem szklanym od piwa albo ze zdumienia, któremu towarzyszyło beknięcie mniej wątpliwej proweniencji. Przeszedł na angielski.

— Jesteś Anglikiem, tak? I nie wiesz tego? To język elficki.

— *Pieśń orła* — sprecyzował jego kolega, młodzieniec o świeżym obliczu siedzący w czapce, która sprawiała, że wyglądał jak wiejski przygłup, chociaż podejrzewałem, że nie o taki efekt mu chodziło.

— Wasz największy angielski pisarz. Mistrz.

— Ach, Szekspir — powiedziałem, odzyskując grunt pod nogami i próbując przypomnieć sobie sztukę, z której pochodziła *Pieśń orła.*

— Dżej Ar Ar Tolkien — przeliterował Rudobrody.

Wszyscy patrzyli teraz na mnie podejrzliwie i z niechęcią. Byłem intruzem, oszustem, a w najlepszym wypadku ignorantem. To ostatnie z pewnością było prawdą. Ciekawe historyjki, ale nic ponadto. Jeśli chodzi o wkuwanie mitologii i języków, dzień jest za krótki, żeby opanować te rzeczywiste, które uważałem za zdecydowanie bardziej interesujące niż profesorskie wymysły Tolkiena. Ale to nie był najlepszy moment na wygłaszanie takich opinii.

— Ach, tak. Tolkien. Znałem jego syna.

To zmieniło ich nastawienie. Wszyscy w zasięgu słuchu się ożywili.

— Znałeś rodzinę Tolkiena?

— Jego syn uczył mnie łaciny.

I zabierał na katolickie spotkania modlitewne, irytującą innowację wprowadzoną w

czwartej klasie, która uniemożliwiła mi wygłupy na sali gimnastycznej albo odrabianie naprędce prac domowych.

— O mój Boże. On napisał *Silmarillion.*

Nigdy nie spotkałem Christophera, który przeredagował odziedziczony po ojcu worek ze ścinkami mitologii Śródziemia. Miałem na myśli jego starszego brata, Michaela, miłego, zmęczonego życiem człowieka o nastawieniu „chciałbym robić coś innego, ale to potrafię najlepiej", lecz nie miałem serca wyprowadzać ich z błędu. Rudobrody ujął moją dłoń i przytrzymał ją, jakby siły witalne Wielkiego Bajarza jakoś przeniosły się w genach na syna, a potem przywarły do mojej dłoni na zawsze. Zmieniłem temat.

— Dorastałem w tym samym miejscu co Dżej Ar Ar Tolkien.

Rozległy się westchnienia i szmer aprobaty.

— Czy to jest miejsce, na którym wzorował Shire?

— Jedno z nich. Bo jest ich więcej. Nasze było to z Warwick. W środkowej Anglii.

— Śródziemie!

— My, miejscowi, nazywamy to po prostu środkową Anglią.

Wszyscy zdążyli się już zgromadzić wokół mnie w kręgu. Poczułem się zobligowany, żeby powiedzieć im coś wartościowego. Przypomniałem sobie, co mój przyjaciel Andrew Stephens, mieszkaniec Edgbaston, opowiedział mi na górze autobusu numer 35.

— Znacie *Dwie Wieże*?

— Oczywiście! — odkrzyknęli chórem po rosyjsku, angielsku i elficku.

— Zostały zainspirowane przez wieże centrali urządzeń wodociągowych w Edgbaston.

Przyjęli tę wiadomość bez mrugnięcia okiem i zagłębili się w gorącą dyskusję na temat nazw poszczególnych wież. Skorzystałem z okazji, żeby się wymknąć. Nie czułem się na siłach, by wchłonąć kolejne żyguli, a słońce już zachodziło. Stuknęliśmy się butelkami na pożegnanie.

— Będziesz zawsze mile widziany w Egladorze — oznajmił Rudobrody. — W każdy czwartek po południu.

Uroczyście wymieniłem ze wszystkimi uściski dłoni i opuściłem park przy wtórze sindarińskich pożegnań. Było już za późno, aby przejść całą drogę do Sally O'Brien's na piechotę, więc wsiadłem do metra.

Próbowałem sobie przypomnieć, czy hobbici jadają ziemniaki, ale nie potrafiłem tego stwierdzić. Bilbo, który popłynął z elfami za Morze, mógł mieć okazję, by ich skosztować. W takim razie w menu znajdzie się „Przysmak Bilba".

Natasza z pogardą oznajmiła, że to byli *Tolkienuti*, czyli ześwirowani fani Tolkiena, a Eglador to nazwa tolkienowskiego królestwa. Gdybym dorastał w nowej Rosji, też miałbym ochotę uciec do Egladoru. Ale już nigdy tam nie wróciłem. Podobno sytuacja w wymyślonym królestwie pogorszyła się wskutek gwałtownych walk pomiędzy pijanymi młodzieńcami przebranymi za orków i trolle, przez co milicja zakazała im spotkań w parku Gorkiego.

ROZDZIAŁ 25

Musimy zapłacić

Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek usłyszę o Andrieju Denisowiczu i jego mazidłach oraz muszelkach, ale któregoś dnia zadzwonił do mnie z prośbą o pilne spotkanie. Zasugerował hotel Aurora, w którym w czasach zastoju mieszkali oficjele Związku Armatorów Żeglugi Śródlądowej.

Ściany, podłogi i sufity były wyłożone brązowym marmurem poprzecinanym żółtymi żyłkami. Andriej siedział w alkowie pod mapą Wołgi intarsjowanej czerwoną marmurową

mozaiką, przez co przypominała rzekę krwi. Miał na sobie ciemny biznesowy garnitur, który sprawiał, że jego niezdrowa bladość wydawała się jeszcze bardziej sina, a rumieńce od wódki bardziej gniewne. Kiedy wstał, żeby mnie przywitać, zerknął nad moim ramieniem na wejście, a potem rozejrzał się na prawo i lewo. W pomieszczeniu znajdowała się tylko jeszcze jedna osoba, siwowłosy mężczyzna w sfatygowanym ubraniu czytający gazetę. Przypominał relikt starej ery i z pewnością nie wyglądał na „nowego Rosjanina".

Chociaż nauczyłem się nie uśmiechać podczas spotkań, wciąż wydawało mi się to dziwne, jakbyśmy mieli dzielić się wyłącznie złymi wieściami. Usiedliśmy niezręcznie na brzeżkach krzeseł, a Andriej znowu zerknął nad moim ramieniem na wejście. Zamówiliśmy kawę u smagłego kelnera i przeszliśmy do interesów. Wyjął dokumenty z plastikowej teczki imitującej krokodylą skórę.

— Już mamy analizę wykonalności dla Morza Barentsa.

— Przykro mi, Andriej. Nasz zarząd sfinalizował plan strategiczny. Nie ma w nim miejsca na muszelki.

Jego uszy drgnęły, przesuwając się do tyłu, pomarszczone czoło wygładziło się, a oczy zwęziły i przez ułamek sekundy wyglądał jak Tatar.

— Znaleźliśmy bagrownicę. Specjalną bagrownicę do muszli. Oto oferta.

— Przykro mi, Andriej, ale mój zarząd już podjął decyzję. Cóż mogę zrobić?

To było dziwne uczucie, być po drugiej stronie. To zazwyczaj moje zwariowane pomysły spławiano. Znowu przebłysk tatarskiej twarzy. Andriej zerknął na prawo, na lewo i nad moim ramieniem. Smagły kelner postawił przed nami kawę.

— Fajerwerki. Mamy statek pełen fajerwerków w porcie w Petersburgu. Certyfikowane przez rosyjskie władze. Statek gotowy do wypłynięcia. Pięć tysięcy dolarów zaliczki. Rosyjskie fajerwerki są najlepsze. Macie pokazy sztucznych ogni w Anglii?

— Piątego listopada.

— A nie czwartego lipca?

— Czwarty lipca jest gdzieś indziej.

— Mogą poczekać do listopada.

— Przedstawię to mojemu zarządowi, ale nie liczyłbym na zbyt wiele, Andriej.

— Wolfram. Mamy licencję na poszukiwania wolframu w Kazachstanie. To największa koncesja na wolfram w Związku Radzieckim.

— Co to jest wolfram?

— Do żarówek. Bardzo twardy metal. I do głowic bojowych.

— Tungsten? Macie licencję na tungsten?

— Uiścimy końcową opłatę i będziemy ją mieć.

— Też pięć tysięcy dolarów?

Andriej wzruszył ramionami. Pociągnął łyk kawy. Ręce mu się trzęsły. Cała krew odpłynęła mu z twarzy i skumulowała się w plamach na policzkach.

— Dwa tysiące dolarów. Mam ze sobą dokumenty. Dwa tysiące.

Wyciągnął stertę arkuszy papieru przebitkowego, ciasno zadrukowanego i pełnego smug. Chciał mi je podać, ale ich nie wziąłem. Ten biedny rosyjski Tatar już mnie nie bawił. Było mi go żal. Muszelki, fajerwerki, wolfram. Kolejne trzy rzeczy do listy mało prawdopodobnych projektów zachwalanych w hotelowych lobby w całej Rosji.

„Czego ty tak naprawdę chcesz, Andriej? Dlaczego tak bardzo potrzebujesz tych dwóch tysięcy dolarów?", miałem ochotę zapytać, ale jednocześnie nie chciałem się w nic angażować. To byłoby okrutne, robić mu nadzieję.

— Weź te dokumenty — poprosił cicho. — Tysiąc dolarów.

— One nic dla mnie nie znaczą, Andriej.

Utkwił wzrok w przestrzeni nad moim ramieniem. Ramiona mu zwiotczały i opadł z powrotem na krzesło. Dokumenty trzęsły się na jego kolanach. Znowu spojrzał nad moim ramieniem, aż ja też się obróciłem, lecz hotelowe lobby było puste. Andriej był zdesperowany, ale to nie był mój problem. Dokończyłem kawę i wstałem. On też wstał, z mozołem, opierając się o stół.

— Pójdę z tobą — powiedział, wrzucając dokumenty do teczki i zatrzaskując ją.

Wyszliśmy z alkowy. Lobby wciąż było puste. Rozejrzał się na prawo i lewo. Złapał mnie za ramię i pokierował w stronę drzwi frontowych.

— Proszę pana — rozległ się głos za nami.

Andriej przyspieszył kroku.

— Proszę pana — powtórzył głos raz jeszcze, głośniej i z gniewem.

Zatrzymałem nas obu i się zderzyliśmy.

— Musimy zapłacić — powiedział Andriej.

Za nami stał kelner, ale nie ten smagły, który przyniósł nam kawę, tylko większy, wysoki blondyn. Biała marynarka była na niego za mała. Przez jedną rękę miał przerzuconą serwetkę zasłaniającą dłoń. Nosił czarno-białe reeboki, co było dziwne jak na kelnera.

Andriej puścił moje ramię i rzucił się w stronę drzwi. Rozległ się głośny huk. Mój towarzysz runął na ziemię, teczka pojechała po posadzce.

Zerknąłem na kelnera. A więc to jest to. Powinienem uciekać? Nogi miałem jak wrośnięte w ziemię. Minął mnie i przeszedł przez obrotowe drzwi, z dłonią w kieszeni białej marynarki.

Andriej przewrócił się na plecy. Jego czoło wygładziło się, a tatarskie rysy już na zawsze zawładnęły obliczem. Stróżka krwi zaczęła wypływać spod jego głowy na brązowy marmur. Poczułem gryzący zapach i zrobiło mi się go żal, że narobił w gacie. Dopiero gdy znalazłem się na ulicy, zdałem sobie sprawę z tego, że to ja.

Nie pamiętam, jak wróciłem do domu. Z pewnością nie czekałem na policję. Otrząśnięcie się z szoku zajęło mi kilka dni. Siedziałem w mieszkaniu, drżałem, krzyczałem i łkałem. Nie odbierałem telefonów. Nie wpuszczałem nikogo. Co kilka minut na paluszkach szedłem do przedpokoju i przykładałem ucho do drzwi.

Dlaczego nie wyjechałem? Czemu nie wsiadłem do pierwszego samolotu do domu? Rozum podpowiadał mi, że nie jestem w niebezpieczeństwie, bo inaczej już byłbym martwy. Intuicja wskazywała, że mam niedokończone sprawy do załatwienia. Ale cichy głosik, którego się wstydziłem, sugerował, że tak naprawdę miałem z tego frajdę.

ROZDZIAŁ 26

Wyszło jak zawsze

Wszystko było już niemal dopięte na ostatni guzik. Dostawcy, wyposażenie, personel, system księgowości. Związek miał nas wspierać finansowo przez pierwszy rok i dokładać się do zobowiązań oraz czynszu. Okazało się, że wyposażenie i reklama będą kosztowały o połowę mniej niż w Londynie. Robiliśmy postępy w kwestii zdobywania dotacji. Sieci zostały zarzucone, aplikacje na granty przesłane, prezentacje przedstawione, obietnice złożone, intencje wyrażone.

Najważniejszą kwestię stanowiły dostawy dobrych ziemniaków. Nasza restauracja potrzebowałaby dwustu pięćdziesięciu ton w pierwszym roku. To oznaczało jakieś pięć do dziesięciu procent całości zbiorów. Na tyle, na ile zdołałem, zabezpieczyłem opcje i kontrakty na sadzeniaki, powierzchnie magazynowe, pola i rolników. W ramach planu awaryjnego zapewniłem nam zapas ponad pięciu tysięcy ton ziemniaków. Byłem pewien, że w razie czego

bez problemu sprzedamy nadwyżki McDonaldowi albo Czeczenom.

Wreszcie znaleźliśmy też odpowiednie miejsce na pierwszą restaurację. Obejrzałem mnóstwo lokali, począwszy od tych w nowo zbudowanych centrach handlowych, aż po zaatakowane przez szczury stare *bufiety*. Afanazy przedstawił mnie spółdzielni, która była „właścicielem" baru mlecznego Sojuz na Nowym Arbacie, ruchliwej głównej ulicy miasta. Spółdzielnie stanowiły pozostałość po prywatyzacji ery Gorbaczowa. Wirtualna własność należących do państwa biznesów została oddana pracownikom, którzy wybierali jednego z grupy na kierownika. Sojuz wypadł z interesu po kontroli sanepidu.

— Jarn, wszystko jest z nim w porządku. Po prostu chcieli położyć łapy na nieruchomości. W żadnym wypadku. Ale są coś winni naszemu związkowi, więc my mamy pierwszeństwo.

Nie potrafiłem zrozumieć, jak Związek Rolników zdobył to pierwszeństwo, niezależnie od tłumaczeń Afanazego. Nie było żadnego systemu prawa handlowego, to pewne. Oczywiście istniały różne przepisy, ale bez trybunałów arbitrażowych czy organów wprowadzających je w życie były nic niewarte. Prawomocność roszczeń związku zależała od tego, jak duże wpływy mieli w ratuszu jego przedstawiciele. Z wyjaśnień Afanazego wynikało, że najwyraźniej wystarczająco duże.

Miejsce wymagało przeróbek. Obecny wystrój przypominał toalety publiczne w Birmingham około 1965 roku — białe kafelki od podłogi po sufit, zielona boazeria, podłoga z lastryka i jarzeniówki. Ascetyczność wnętrza złagodzono tylko dzięki radzieckiej technologii kładzenia kafelków. Na Zachodzie zaczynało się od gładkiej ściany, a potem używało kleju, żeby przymocować płytki za pomocą poziomicy, pionów i przekładek. W Rosji przyklejało się płytki bezpośrednio na mokry cement, więc trudno było ułożyć je płasko i prosto. W rezultacie ściany były pełne fasetek i zakrzywień.

Główna sala okazała się dla nas wystarczająco duża, powinna była pomieścić około dwudziestu stolików i ladę. Na zapleczu znajdowało się dobrych rozmiarów pomieszczenie do przygotowywania jedzenia, przypominające wielką staromodną komórkę przy kuchni z wyjściem na podwórko dla dostawców. Piwnica stanowiła podstawę orzeczenia sanepidu. Ociekała grzybem, a rozmaite stworzenia rozbiegły się, kiedy włączyliśmy światło, nie było to jednak nic, czego nie mogłoby załatwić porządne szorowanie i kilka dobrze ulokowanych łapówek.

Spółdzielnia mogła się rozwiązać, ale nie sprzedać. Musieliśmy pomyśleć o licencji, franczyzie albo czymś podobnym, to już leżało w gestii prawników. Nie było prawnego precedensu. To wzbudzało ekscytację, dodać cegiełkę do rosnącego gmachu gospodarki rynkowej czy też jej rozpadającej się biurokracji, w zależności od punktu widzenia. Moim największym zmartwieniem było to, że nie wiedziałem, jak przekazać członkom spółdzielni, że nie powinni mieć już nic wspólnego z nowym projektem. Afanazy umówił mnie z nimi na terenie nieruchomości.

Kierownikiem był Wiktor, mężczyzna w średnim wieku z przylizanymi farbowanymi czarnymi włosami oraz ogromnym brzuchem zwisającym nad paskiem spodni czarnego garnituru z baratei i uformowanym w gigantyczną goudę przez czerwony pulower. Jego twarz wcale nie była gruba, lecz niemal wychudzona, jakby od urodzenia szczupły mężczyzna nagle utył wbrew naturze. Na resztę spółdzielni składało się dziewięć kobiet pomiędzy trzydziestym a pięćdziesiątym rokiem życia, dziewczyny wielkie pod każdym względem, dobrze odżywione na mleku, serach, śmietanie i pysznych małych pierożkach, które tu wcześniej sprzedawały. Otoczyły mnie jak stado ciekawskich krów rasy Jersey. Bałem się, że zaczną ryczeć i nękać mnie, żebym je ponownie zatrudnił, ale były onieśmielone widokiem obcokrajowca i wzruszająco wdzięczne za odprawę, całe dziesięć dolarów miesięcznie na głowę.

Któregoś dnia wcześnie rano, jeszcze przed ósmą, siedziałem zadumany nad kubkiem kawy z pieprzem i planowałem jajka sadzone na śniadanie, kiedy zadzwonił telefon. To był Afanazy. W żadnym wypadku. Czekał na zewnątrz, na podwórku. Skąd dzwonił? W tamtych czasach przenośne były tylko telefony satelitarne, a używali ich wyłącznie bogacze i obcokrajowcy. Chciał mnie przedstawić komuś, kto pomoże nam w prowadzeniu biznesu. O jaką pomoc chodziło? Nie chciał powiedzieć.

Założyłem marynarkę i krawat, zamknąłem mieszkanie i zszedłem na dół. Podczas gdy walczyłem z drzwiami od klatki schodowej, zaczęły mnie nurtować inne pytania. Dlaczego przyjechali do mieszkania, a nie do biura?

Afanazy czekał przy schodach. Za nim stał duży czarny mercedes sedan z przyciemnianymi szybami. Napakowany młodzieniec w skórzanej kurtce, fioletowych spodniach od dresu i lśniących białych adidasach trzymał dla mnie otwarte tylne drzwi. Złoto na jego nadgarstku i szyi lśniło w słońcu. Zakres obowiązków takich kolesi określało się jednym słowem: „kark".

— Dzień dobry, Jarn, proszę... — powiedział Afanazy, wskazując na auto.

— Nie ma mowy, Afanazy. Nie ma mowy, żebym wsiadł do tego samochodu.

Rozejrzałem się wokół. To był ładny poranek, ale na podwórku nie było żywego ducha. Jedno spojrzenie na moich gości i wszyscy znaleźli pilne sprawy do załatwienia za stalowymi drzwiami swoich mieszkań. Poklepałem się po kieszeni marynarki.

— Ach. Zapomniałem wizytówek. Pójdę po nie. To nie potrwa długo.

— Jarn, oni wiedzą, kim jesteś. W żadnym wypadku. Proszę. To jest spotkanie.

— Czyj to był pomysł? Czy to twoi znajomi, Afanazy?

Wzruszył ramionami. Mimo paniki skręcającej kiszki posłuchałem głosu rozsądku. Nie byłem nikomu winien żadnych pieniędzy, nie byłem zamieszany w działalność przestępczą. Narkotyki, hazard, prostytucja, wymuszenie, pranie pieniędzy, ropa, aluminium, diamenty... pieczone ziemniaki... to nie pasowało. Czego miałbym się bać? To może być interesujące. A Afanazy będzie ze mną.

Wsiadłem do samochodu. Kark wsunął się na siedzenie obok mnie i zatrzasnął drzwi. Inny byczek prowadził. Jego palce były pokryte niebieskimi tatuażami typowymi dla rosyjskich skazańców. Afanazy pomachał mi na pożegnanie.

Podczas jazdy głos rozsądku musiał przekrzykiwać roztrzęsiony głosik mojej wyobraźni. A co, jeśli nie są tacy sprytni i pomylili mnie z kimś innym? Przemknęło mi przez myśl, żeby otworzyć drzwi i wyskoczyć, ale pomijając niebezpieczeństwa związane z wyturlaniem się na jezdnię, podejrzewałem, że drzwi i tak są zablokowane.

Próbowałem rozpocząć uprzejmą konwersację, lecz mnie zignorowali. Użyłem więc zagrywki, która rzadko zawodziła w trakcie rozmów z mężczyznami, niezależnie od ich wieku, pochodzenia, rasy czy klasy.

— Jakiej drużynie kibicujecie?

— Mięsu.

To było mniej złowieszcze, niż brzmiało. „Mięso" to przydomek Spartaka Moskwa.

— A ja Birmingham City.

— Nigdy was nie ograliśmy.

I na tym się skończyło. To byli twardzi kolesie.

Jechaliśmy Leningradzkim Prospektem, skierowaliśmy się na południe, aż dotarliśmy do placu Gagarina, po czym przejechaliśmy koło instytutu Władimira. Jakieś półtora kilometra dalej zatrzymaliśmy się przed betonowym budynkiem z lat siedemdziesiątych, z napisem głoszącym ГАВАНА prostymi literami. Hawana. Mijałem to miejsce kilka razy po drodze do mieszkania

Władimira. To była typowo radziecka restauracja; nikt nigdy mnie tam nie zaprosił ani nie kusiło mnie, by samemu zajrzeć. Poczekałem, aż karki otworzą przede mną drzwi z fałszywej miedzi. Wszedłem do środka w ich obstawie.

Nowa Rosja zawitała również tutaj. Przyciemnione światła. Ogromna, obracająca się kula dyskotekowa. Rząd migających automatów do gry po prawej. Wirujące ruletki po lewej. Naga tancerka na rurze na scenie w dalekim końcu sali. Mężczyźni grający w karty albo jedzący przy stolikach pośrodku i w boksach pod ścianami. Kelnerki w przybraniach z piór na głowach, w szarawarach i w niczym więcej, krążące między nimi na szpilkach.

Jeden z karków zaprowadził mnie do boksu zajmowanego przez mężczyznę w ciemnoniebieskim garniturze i białej koszuli rozpiętej pod szyją, z krzyżem na złotym łańcuchu zamiast krawata. Ten gestem wskazał mi, bym usiadł na ławie pod kątem prostym do niego. Przycupnąłem posłusznie i zaczęliśmy mierzyć się wzrokiem. Wyglądał na sympatycznego kolesia po trzydziestce, z miłymi niebieskimi oczami i blond włosami zaczesanymi do przodu i otaczającymi okrągłą głowę. Ramiona i klatka piersiowa wypychały garnitur, a byczy kark ledwo mieścił się w kołnierzyku koszuli. Przypuszczałem, że jego ulubionym sportem są zapasy albo sterydy. Wskazał na coś nad moim ramieniem. Odwróciłem się i znalazłem twarzą w twarz z trzęsącą się parą piersi w rozmiarze 80D. Zerknąłem na gospodarza, niepewny, co mi zaoferuje.

— Co chciałby pan zjeść? — zapytał ostrożnie artykułowanym angielskim. — Na co tylko ma pan ochotę.

Zamówienie dwóch jaj sadzonych wydawało mi się nie na miejscu, więc wybrałem jajecznicę.

— Panie Mule, miło mi pana poznać. Nazywam się Borys.

— Mówi pan znakomicie po angielsku.

— Zdałem egzamin CPE. To dobre dla mojej pracy.

— A na czym polega ta praca?

— Świadczymy usługi dla firm.

— Czy ja potrzebuję waszych usług?

— Będzie pan robił interesy na Nowym Arbacie. To podlega naszej jurysdykcji.

Mafia czy też braterstwo, jak woleli być nazywani, dzieliła między siebie Moskwę. To, ile dokładnie rejonów było w danym momencie, zależało od tego, kto dołączał, odchodził albo akurat został sprzątnięty. Do dziś żałuję, że nie zapytałem go, z którą rodziną mam do czynienia, jak są zorganizowani, kim jest ich konkurencja, ilu pracowników zatrudniają, i nie zadawałem mu wszystkich tych pytań, na które musieli mi odpowiadać dyrektorzy spółek, kiedy byłem inspektorem kredytowym w banku. To utemperowałoby fantazje i domysły wypełniające gazety. Ale wówczas uznałem, że roztropniejsze będzie mówienie tylko wtedy, gdy się do mnie zwraca, zwłaszcza że mój głos stał się nagle cichy i piskliwy. W mieszance równie mało biegłego angielskiego co rosyjskiego zaczęliśmy ustalać zasady i warunki współpracy.

— Panie Male, prowadzenie biznesu nie jest w Rosji bezpieczne, jeśli nie ma się przyjaciół. My jesteśmy pana przyjaciółmi.

— Już mamy dach.

Postanowiłem się popisać — „dach” było slangowym określeniem na ochronę. Chmura przemknęła po jego rozpromienionej twarzy.

— Kto jest waszym dachem?

— Związek Rolników. To organizacja rządowa.

Słońce znowu wyszło. Zachichotał, myśląc, że żartuję.

— My pilnujemy, żeby chuligani nie sprawiali wam kłopotów. Będziecie mieli ochronę dwadzieścia cztery godziny na dobę, wewnątrz i na zewnątrz.

Świetnie. Kark w skórzanej kurtce z tatuażami na rękach przy drzwiach. Bardzo serdeczne powitanie. Zastanawiałem się, czy moglibyśmy ich skłonić do noszenia kostiumów strażników londyńskiego Tower, ale to nie był najlepszy moment, żeby o to pytać.

— Dlaczego mamy pana potrzebować? A co z policją?

Zaśmiał się znowu, jakbym kolejny raz żartował.

— Nie wzywa się wilka do pomocy przeciwko psom. Te śmieci nigdy nie są na miejscu, kiedy się ich potrzebuje. A przychodzą, kiedy nie są mile widziani. Niech pan pozwoli, że wyjaśnię, jak to będzie wyglądać. Przyjdą i powiedzą, że zgodnie z policyjnymi przepisami musi pan mieć kraty w oknach z tyłu restauracji albo zapłaci pan ogromną grzywnę. Zamontuje pan kraty. Potem pojawi się inspektor ochrony przeciwpożarowej i powie, że według przepisów nie może pan mieć krat w oknach, żeby ludzie mogli uciec w razie pożaru. Zdejmie pan kraty. Wtedy wróci policjant i powie, że musi pan mieć kraty. Wie pan, że chcą łapówki, ale ile? I ciągle będą przychodzić nowi policjanci i nowi inspektorzy ochrony przeciwpożarowej. Inspektorzy miejscy, sanepid, inspektorzy budowlani, podatkowi... Ze wszystkimi jest tak samo. Zrujnują pana. Z tego żyją. Ich pensje są nic niewarte. My odpowiadamy za zajmowanie się takimi rzeczami. Nie będzie pan miał kłopotów i zaoszczędzi dużo pieniędzy. Chcielibyśmy, żeby pana biznes prosperował.

— Wilk wynajmuje się tanio jako pasterz.

— Ach, zna pan rosyjskie przysłowia.

— Tylko te o wilkach.

80D przybyły ze śniadaniem. Jajka dla mnie, stek dla Bareesa, dzbanek z kawą i karafka z wódką. Kelnerka miała jeden z sutków utytłany w bułce tartej. Odruchowo chciałem go otrzeć serwetką, ale zmieniłem zdanie. Z jakiegoś powodu było ogólnie przyjęte, że prawdziwy macho powinien ignorować dziewczyny. Skoro mieli zapewnione takie atrakcje przy śniadaniu, to co robili, żeby urozmaicić sobie wieczory?

Borys polał i stuknęliśmy się kieliszkami. *Po paniatiam*, brzmiał toast, za porozumienie.

— Ma pan jeszcze jeden problem. Jest pan w branży gastronomicznej. Zamówił pan dużo ziemniaków. Tak?

— Dużo pan wie o naszym biznesie.

— Czarnym to się nie spodoba. Warzywa to ich działka.

— Czarnym?

— Naszym czeczeńskim braciom. Jak dowiezie pan ziemniaki do restauracji? Będą zabijać pana kierowców. Kraść ciężarówki. Sprzedawać pana ziemniaki na swoich targach. My zapewniamy, że nie będzie pan miał takich problemów. Mamy z nimi porozumienie.

— Więc ile bierzecie za swoje usługi?

— Dziesięć procent. Jesteśmy bardzo rozsądni.

Dziesięć procent. To wcale nie tak źle. Po tym, co słyszałem, spodziewałem się co najmniej dwa razy wyższej stawki. Zadałem kolejne pytanie, które najwyraźniej uznał za świetny żart.

— To jest dziesięć procent z zysków przed opodatkowaniem czy po?

— Och, panie Meal, to jest przed wszystkim.

Znowu się roześmiał.

— Co pan ma na myśli, mówiąc „przed wszystkim”?

— To bardzo proste. Pod koniec dnia będzie pan dawał naszym ludziom dziesięć procent zawartości kasy.

— To jest dziesięć procent od sprzedaży.

— Oczywiście, a pan myślał, że od czego?

Nalał nam następną kolejkę. Wyjąłem długopis i sięgnąłem po papierową serwetkę. Nagryzmoliłem parę liczb. Powiedzmy, dla uproszczenia, że dochód równa się „100". Według naszych ostrożnych szacunków wszystkie koszty wyniosą około „80". To daje zysk przed opodatkowaniem w wysokości „20". Dziesięć procent od sprzedaży dla Borysa to będzie „10". Innymi słowy pięćdziesiąt procent naszego zysku przed opodatkowaniem. Zostaje nam „10", ale musimy zapłacić podatek od „20", bo ochrony mafii nie można wrzucić w koszty. Efektywna stopa podatku, kiedy już weźmie się pod uwagę podatek od zysków, podatek lokalny oraz VAT, wynosi dziewięćdziesiąt procent z „20", czyli „18". Więc przynosilibyśmy straty w wysokości „8".

Cierpliwie wyjaśniłem Borysowi, że dziesięć procent to zdecydowanie wygórowana stawka. Możemy sobie pozwolić najwyżej na jeden. Ciemne chmury znowu zasnuły jego promienne oblicze. Cierpliwie wyjaśnił mi sytuację swoim biegłym angielskim CPE.

— Panie Mile, czy pan próbuje mnie ośmieszyć? O jakich podatkach pan mówi? Tu nikt nie płaci podatków. Nie ma tu żadnych „zysków". Wszyscy robią pieniądze.

— Musimy rozliczać się ze wszystkiego przed naszymi inwestorami i partnerami. Musimy mieć legalne księgi rachunkowe. Wszystko musi przejść przez kasę. W Anglii musimy się rozliczać z...

— Nie przychodzi się do obcego klasztoru ze swoją regułą.

Rozproszyło nas przybycie kelnera podającego wino, napakowanego kolesia w wiśniowej marynarce, lśniących czarnych spodniach i z wielkim złotym medalionem widocznym pod rozpiętym kołnierzykiem koszuli. Borys skoczył na równe nogi i zdałem sobie sprawę, że źle oceniłem zawód tego mężczyzny. Począwszy od opalenizny po perfekcyjnie przystrzyżone włosy, wszystko w nim było sztuczne poza ciemnymi oczami, tak ciemnymi i bez wyrazu, że wręcz zasysały światło. Widziałem już takie spojrzenia na naturalnej wielkości fotograwiurach seryjnych przestępców na nagrobkach na niemieckim cmentarzu, onieśmielające przechodniów nawet po śmierci. Nie widziałem powodu, żeby wstawać, więc zająłem się letnią jajecznicą, podczas gdy on przeprowadzał gardłową rozmowę z Borysem. Odszedł, pobrzękując biżuterią, a Borys usiadł.

— Panie Mewel, ma pan wielkie szczęście. Dostanie pan dofinansowanie w wysokości dziesięciu milionów rubli.

— Dziesięć baniek? To bardzo łaskawe. Ale ich nie potrzebujemy.

— Jak zapłaci pan za nieruchomość?

— Mamy joint venture ze spółdzielnią, która jest właścicielem.

— Spółdzielnia nie zrobi joint venture. Sprzedadzą panu dzierżawę. Pożyczymy panu na to pieniądze.

— Nie tak się umawialiśmy.

— Jest pan w błędzie.

Wzruszył ramionami i ponownie napełnił kieliszki. Złożyli spółdzielni tzw. propozycję nie do odrzucenia. Sprzedadzą nam nieruchomość i pożyczą nam na to pieniądze, na bez wątpienia ogromny procent. W ten sposób prali pieniądze i udzielali bezpiecznych pożyczek zagranicznym firmom. Jeśli nie spłacę pożyczki, zabiją mnie. Świetny interes dla nich. Kiepski dla mnie.

Nie było sensu się spierać. Kończyliśmy posiłek, prowadząc przyjemną konwersację na temat piłki nożnej. On też był kibicem „Mięsa". Przy pożegnalnym toaście stał się bardzo wylewny, jeśli chodzi o propozycje pomocy. Zapisał mi numer telefonu, na wypadek gdybym kiedykolwiek był w kłopotach. Ja z kolei byłem ogromnie wdzięczny i czarujący.

Wstaliśmy. A potem pozwoliłem sobie na coś bardzo głupiego. Zrobiłem w życiu wiele

głupich rzeczy, ale ta należy do najbardziej idiotycznych. Jeśli cokolwiek mogę powiedzieć na swoją obronę, to zrzuciłbym winę na wódkę, gniew i odrazę wobec tych ludzi i wszystkiego, co sobą prezentowali.

— *Do swidanija* — powiedział.

— Dostań łupnia jak najszybciej — wymamrotałem, idiota.

— Dziękuję.

— Mam nadzieję, że odetną ci klejnoty.

— Bardzo miło było mi pana poznać.

— I wepchną ci je do pyska.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Bogu dzięki za ograniczenia angielskiego na poziomie Cambridge Proficiency. Borys dał znak karkom czekającym przy automatach do gry, a oni odprowadzili mnie na zewnątrz. Tym razem zbir zabrał mnie do małego bmw i sam zasiadł za kierownicą. Był dumny z wielkiej kryształowej gałki na dźwigni zmiany biegów. Próbował rozmawiać ze mną o piłce nożnej, ale zignorowałem smarkacza i tylko gapiłem się przez okno.

Nie chciałem mieć nic wspólnego z mafią. Jeśli zrobisz z siebie owieczkę, zostaniesz zjedzony przez wilka. To koniec Jackets. Chciałem się wydostać z Moskwy tak szybko, jak to tylko możliwe. Wykazałem się naiwnością. Próbowałem robić wszystko mniej więcej tak samo, jak robiłbym w Londynie. Żyłem w świecie marzeń. Byłem zły i smutny, że tego nie przewidziałem. Poniosłem porażkę.

Najlepsze, co można było powiedzieć o całym projekcie, to że zbliżył mnie do prawdziwego życia Rosjan, ukrytego za nagłówkami gazet. Ale wszystko, co o nich wiedziałem, stanowiło tylko wierzchołek góry lodowej. Pocieszało mnie, iż wielu moich rosyjskich przyjaciół przeżyło podobne rozczarowania Nową Rosją. Różnica polegała na tym, iż ja miałem ten luksus, że w każdej chwili mogłem wsiąść do samolotu, podczas gdy oni musieli tu zostać.

Rozwiązanie zobowiązań nie zajęło mi dużo czasu. Malcolmowi ulżyło, bo miał ręce pełne roboty przy nowej restauracji na Wimbledonie. Przeprowadziłem chaotyczną rozmowę zamiejscową z Miszą siedzącym we Włoszech. Doszedłem do wniosku, że już zdążył stracić wiarę w Jackets, jeśli w ogóle kiedykolwiek ją miał. Oleg i Olga byli pełni współczucia, a Pietia i tak nigdy nie widział siebie za ladą. Moi koledzy *rabotnicy* ze Związku Rolników okazali wyrozumiałość. Podejrzewałem, że spodziewali się takiego obrotu spraw. Czułem, że zawiodłem profesora. Był niezwykle energicznym i prawym człowiekiem, który niestrudzenie pracował dla dobra swoich rolników i demokracji. Był bardzo otwarty i okazał nam wiele serca. Czułem pewne rozczarowanie, że jemu chyba też ulżyło. Związek nie miał jeszcze umiejętności i doświadczenia, aby być aktywnym partnerem w komercyjnym przedsięwzięciu. Poza tym mieli ręce pełne roboty w związku z tworzeniem banku rolników pod opieką Land O'Lakes.

Afanazy podszedł do sprawy filozoficznie.

— W żadnym wypadku. Miało być pięknie, ale wyszło jak zawsze.

Natasza była na wakacjach na daczy babci. Usiadłem przy jej biurku i napisałem do niej list z wyjaśnieniami i podziękowaniami. Zszedłem na dół, żeby pożegnać się z Florem. Spodziewałem się, że będzie mną rozczarowany, ale on miał co innego na głowie.

— Och, proszę pana, kiedy wyjeżdża pan z Moskwy? Będzie pan tutaj w przyszły piątek?

— Możliwe, że już zdążę wyjechać.

— Co za szkoda.

— Dlaczego? Jest jakiś koncert?

— Chciałem pana poprosić, żeby był pan świadkiem na naszym ślubie.

— Flor, to dla mnie wielki zaszczyt. Ślub! Gratulacje! Myślę, że dam radę. Z kim się

żenisz?

— Nie powiedziała panu? Z Nataszą. Złożyliśmy dokumenty miesiąc temu. Był pan wtedy w Londynie. W Związku Radzieckim trzeba było czekać trzy miesiące. Teraz jest znacznie lepiej.

— Z Nataszą?

Miałem nadzieję, że nie wyglądam na zbyt zaszokowanego.

— To dzięki panu zbliżyliśmy się do siebie. Zobaczyłem ją w nowym świetle.

A w jakim świetle zobaczyła go Natasza? W astralnym? To nie była oczywista para. Miałem nadzieję, że zobaczyła w nim tego, kim był naprawdę — łagodnego, dobrego człowieka, ale na tyle zwariowanego, żeby utrzymał jej zainteresowanie. Zresztą ona była wystarczająco zwariowana za nich oboje.

W ZAGS[41], rosyjskim urzędzie stanu cywilnego, minęliśmy procesję schodzącą na dół, podczas gdy my wspinaliśmy się na górę. Poczekalnia była podzielona za pomocą ławek na mniejsze obszary. Poszczególne grupy czekających znajdowały się w różnych stadiach wesołości. Ci tuż przed nami musieli podtrzymywać się nawzajem, żeby nie przewrócić się na czerwonym dywanie prowadzącym do sali ślubów. Grupa obok siedziała poważnie, z Bibliami w dłoniach.

Władze zrobiły, co mogły, żeby ozdobić salę ślubów za pomocą stroików ze sztucznych kwiatów i z kolorowych banerów. Urzędniczka, miła kobieta w średnim wieku w beżowym kostiumie, zadawała zwyczajowe pytania i bezgłośnie wymawiała *da*, podpowiadając parze. Nałożyli sobie obrączki na palce, ucałowali się i podpisali księgi, najpierw oni, a potem świadkowie. Urzędniczka przypomniała im o obowiązkach wobec siebie nawzajem i wobec ojczyzny. Nacisnęła guzik w magnetofonie i wyszliśmy z sali przy dźwiękach *Marsza weselnego* Mendelssohna. Wszystko trwało najwyżej dziesięć minut.

Wyruszyliśmy na sesję zdjęciową po Moskwie. Kiedy zatrzymaliśmy się przed pomnikiem Puszkina w pobliżu McDonalda, pobiegłem po Tomasza, żeby zagrał *Sweet Georgia Brown*, przy którym młoda para mogłaby zatańczyć jive'a.

Po trzech godzinach łazikowania wróciliśmy do mieszkania Nataszy. Jej matka i babka czekały na nas na progu z chlebem i solą. Poustawiały stoły w salonie i przedpokoju i załadowały je *zakuskami*. Każdy usiadł tam, gdzie akurat było miejsce, korki od szampana wystrzeliły i wypiliśmy pierwszy toast, który wygłosił przyjaciel Flora, Aleksiej. Szybko zgubiłem się w rosyjskim slangu i środowiskowych żartach i tak zostało przez resztę toastów będących odpowiednikami przemów na brytyjskich ślubach. Ale dołączyłem do chóru *Za mołodych*! — za szczęśliwą parę — i do okrzyków: *gorko, gorko*, co oznaczało „gorzko". Aby przywrócić słodycz, młodzi musieli wstać i całować się tak długo, dopóki nie zabrakło im tchu. Wszyscy liczyliśmy: 1... 2... 3... 4... 5..., i oczywiście nigdy nie trwało to wystarczająco długo, więc nowożeńcy musieli całować się od nowa.

Po toastach i *zakuskach* stoły odsunięto pod ściany, żeby zrobić miejsce do tańczenia. Straciłem zapał, kiedy jeden z gości wziął do ręki akordeon, ale było wystarczająco hałaśliwie i wesoło, by go zagłuszyć. Moim wkładem w rozrywkę były pierwsze trzy wykopy kozackiego tańca z przysiadami, a potem się przewróciłem.

Nadeszła pora, żebym i ja wzniósł toast, zanim *szampanskoje*, wódka i ogólne podekscytowanie kompletnie odbiorą mi zdolność mówienia po rosyjsku. Zapomniałem przemówienia, które sobie przygotowałem, ale mówiłem płynnie, choć niezrozumiale. Kiedy skończyły mi się rzeczy do powiedzenia, wyjąłem wypchaną kopertę z kieszeni i poprosiłem sąsiadów, aby podali ją dalej. Kolejno ważyli ją w dłoniach i zastanawiali się, czy w środku są dolary. Kiedy dotarła do Flora, poprosiłem, by ją otworzył, zamiast dokładać do pozostałych.

Wyciągnął stertę papierów i podał je Nataszy, która też wyglądała na skonsternowaną.

— Dżorn! Co to jest?

— Kontrakty na pięć tysięcy ton najdoskonalszych ziemniaków. Są wasze. *Za mołodych*!

I taki był koniec tej historii.

ROZDZIAŁ 27

Mam nadzieję, że nasi mali Rosjanie będą tutaj szczęśliwi

A jednak szybko okazało się, że to jeszcze nie koniec. Przez kilka następnych dni wałęsałem się po Moskwie, robiąc zakupy na ostatnią chwilę i zwiedzając. Samooskarżaniu się, wątpieniu w siebie, użalaniu się nad sobą i innym egocentrycznym „się" towarzyszyło uporczywe poczucie ulgi. Strach przed sukcesem rodzi niemal takie zahamowania jak strach przed porażką. Czy naprawdę chciałem poświęcić następne pięć lat życia rosyjskim fast foodom? Było tyle innych rzeczy do zrobienia, tyle innych miejsc do zobaczenia. Ogromny kamień spadł mi z serca. A w każdym razie pięć tysięcy ton ziemniaków.

Wieczorem przed wyjazdem wypiłem lampkę chablis, wypaliłem cygaro i wcześnie położyłem się do łóżka. Obudził mnie terkot faksu, ale przewróciłem się na drugi bok i znowu zasnąłem. Następnego ranka wypiłem ostatnią filiżankę kawy z pieprzem i skończyłem się pakować. Jeszcze raz rozejrzałem się po mieszkaniu, upewniłem się, że wyłączyłem gaz, i zajrzałem pod łóżko. A potem zrobiłem to co każdy Rosjanin przed podróżą, czyli posiedziałem spokojnie przez minutę, by najpierw moja dusza opuściła mieszkanie. Taki moment jest także dobry, aby przypomnieć sobie o zabraniu biletu czy paszportu... albo o faksie, który przyszedł, kiedy leżało się w łóżku. Wiadomość pochodziła od dyrektora zarządzającego firmy zajmującej się inżynierią środowiska w Lancashire. Przeanalizowali naszą propozycję dotyczącą bioreaktora i uznali, że urządzenie o dziesięć lat wyprzedza wszystko, co do tej pory zaprojektowano w Europie Zachodniej i Stanach Zjednoczonych. Chcą przyjechać do Moskwy i rozpocząć rozmowy najszybciej, jak się da.

Zacząłem skakać po pokoju. Zadzwoniłem do Władimira. Anulowałem bilet lotniczy do domu. Po czym zadzwoniłem do rodziny z informacją: „Szykuje się Coś Wielkiego!".

Przez następny rok ciężko pracowaliśmy nad wprowadzeniem bioreaktora do Wielkiej Brytanii. Nauka i technologia znajdowały się poza moimi kompetencjami. Przypadło mi w udziale prowadzenie mediacji pomiędzy stronami i godzenie angielskich oraz rosyjskich oczekiwań i sposobów działania. Musiałem na przykład wyjaśnić Rosjanom bezwzględne zasady rocznego budżetu, a Brytyjczykom bezwzględne zasady protokołu naukowego. Napisałem książkę o tego typu kwestiach i byłem mile zaskoczony, że okazała się w dużym stopniu użyteczna.

Dokonaliśmy transferu technologii i podpisaliśmy umowę licencyjną, która niedawno została odnowiona na światową skalę z licencjobiorcami z USA. Rosyjscy biochemicy spędzali czas w Wigan, podczas gdy brytyjscy inżynierowie siedzieli w Moskwie. Mieliśmy mały zakład pilotażowy, który przewoziliśmy ciężarówką i podłączaliśmy do wylotów systemu wentylacji potencjalnych klientów.

W końcu nadszedł moment, w którym Władimir i ja stanęliśmy na dachu fabryki tworzyw sztucznych w środkowej Anglii z pierwszym naturalnej wielkości bioreaktorem pełnym zarazków z Moskwy. Obserwowaliśmy słońce zachodzące nad Black Country[42]. Węgle, krzemiany, siarczany i siarczki kolorowo połyskiwały w jego promieniach, a powietrze przesycone produktami ubocznymi ludzkiego przemysłu i aspiracji było gotowe do poprawy jakości. Ostatni blask złotej kuli oświetlił nasze twarze. Uścisnęliśmy sobie dłonie. — Mam

nadzieję, że nasi mali Rosjanie będą tutaj szczęśliwi. Rosjanie nigdzie nie są szczęśliwi. Ale szybko się przyzwyczajają.

Władimir jest teraz dyrektorem swojego instytutu. Dzięki błyskotliwości, uczciwości i zawziętej determinacji przywrócił mu dawną świetność, zamieniwszy go w wyjątkowe centrum badawczo-innowacyjne. Jednocześnie zbudował prosperujące przedsiębiorstwo zajmujące się inżynierią środowiska i specjalizujące się w oczyszczaniu wody i powietrza. Nasza firma i partnerzy pomagają utrzymać świeże powietrze w Shire dzięki rosyjskim zarazkom.

Misza ma odnoszącą sukcesy międzynarodową firmę konsultingową z siedzibą w Szwajcarii i doradza małym biznesom na całym świecie. Olga otworzyła sieć sklepów z ubraniami, a Oleg pomaga jej nimi zarządzać. Flor i Natasza mają dwoje dzieci. Mieszkają w Phoenix, gdzie on pracuje dla banku, a ona handluje meteorytami w sieci i czeka na porwanie przez obcych.

Protegowany Borysa wykupił spółdzielnię i przejął restaurację. Zatrudnił chińskiego szefa kuchni z Syberii i otworzył to miejsce jako Hard Wok Café. Jakieś osiemnaście miesięcy po moim wyjeździe został zastrzelony we własnej kuchni.

Rosyjska firma Kroszka Kartoszka, Cute Little Spud ma sieć budek w całej Rosji i na Ukrainie. Sprzedają pyszne pieczone ziemniaki z nadzieniem. Życzę im powodzenia.

Przypisy

[1] Przysłowie stanowiące odpowiednik naszego „Nie wozi się drzewa do lasu" Wzięło się stąd, że w XIX wieku rosyjskie miasto Tuta stynęto z produkcji samowarów [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

[2] Mowa o Margaret Thatcher.

[3] Know-How Fund — program rządu brytyjskiego, który powstał w 1989 roku jako odpowiedź na historyczne zmiany zachodzące w tym czasie w Europie Środkowej i Wschodniej. Jego działalność polega na dwustronnej pomocy doradczej i finansowej dla krajów Europy Środkowej i Wschodniej oraz Azji Środkowej.

[4] Amerykański finansista pochodzenia węgierskiego, filantrop, założyciel licznych fundacji.

[5] Placek z kruchego ciasta i nadzienia warzywnego, popularny we Francji.

[6] Bohater powieści Herberta George'a Wellsa z 1897 roku, opowiadającej o szalonym naukowcu, który w wyniku swoich eksperymentów staje się niewidzialny i ukrywa to pod grubą warstwą ubrań oraz bandaży.

[7] Carscy kozacy należeli do tak zwanej Białej Armii i w latach 1917-1923 walczyli w wojnie domowej przeciwko bolszewikom, których symbolika była związana z kolorem czerwonym.

[8] Aluzja do cytatu z *Alicji w Krainie Czarów*: „A co za pożytek z książki — pomyślała Alicja — bez obrazków i rozmów?" L. Carroll, *Alicja w Krainie Czarów i Po drugiej stronie lustra*, tłum. R. Stiller, Warszawa 1990, s. 11.

[9] *Ostinato* — termin muzyczny, oznaczający wielokrotne powtarzanie danej struktury melodycznej, najczęściej w glosie najniższym, czyli *basso ostinato*.

[10] Chodzi o pisarza W.S. Gilberta i kompozytora Arthura Sullivana, którzy w latach 1871-1896 tworzyli razem operetki do dziś cieszące się międzynarodową sławą i wciąż wystawiane.

[11] Wypowiedź bohatera to parafraza następującego cytatu: „Obok wielkiego świata,

gdzie istnieją wielcy ludzie i wielkie sprawy, egzystuje mały światek małych ludzi i małych spraw Wielki świat wynalazł motor Diesla, stworzył *Martwe dusze*, wybudował elektrownię wodną na Dnieprze i dokonał lotu dookoła świata. Mały światek wynalazł hałaśliwą zabawkę »ujdi-ujdi«, skomponował piosenkę *Cegieleczki* i wymyślił spodnie, model »polpred«. Wielki świat kieruje się dążeniem do uszczęśliwienia ludzkości. Malutki światek nie ma tak wysokich aspiracji. Obywatele tego światka dążą tylko do tego, żeby jako tako przebrnąć przez życie, nie doznając chłodu i głodu" (I. Ilf, E. Pietrow, *Złote cielę*, tłum. J. Brzechwa, T. Żeromski, Warszawa 1958, s. 74).

[12] Produkt postrzegany przez konsumenta przez pryzmat jakości i prestiżu, a nie ceny; produkt pożądany.

[13] Powszechnie stosowany w ZSRR żargonowy termin oznaczający wykorzystywanie znajomości w celu zdobycia dóbr deficytowych albo innych korzyści.

[14] Okres rządów Leonida Breżniewa.

[15] *Biez opriedielonnogo miesta żytielstwa*.

[16] Łac. w agonii, konający.

[17] Fr. grupa baletowa, której członkowie nie są solistami.

[18] Balet romantyczny Adama Adolphe'a

[19] Postacie występujące w balecie *Giselle* — zjawy dziewcząt zmarłych przed zamążpójściem, napadających na zbłąkanych wędrowców.

[20] Brytyjski komediowy duet rewiowy, popularny w czasie drugiej wojny światowej.

[21] Odmiana ziemniaka.

[22] Figura taneczna w balecie — położenie wyciągniętej stopy jednej nogi na wysokości kostki nogi, na której stoi tancerka.

[23] Tytut nadawany wybitnym baletnicom, które wniosły ogromny wkład w rozwój baletu; przyznany tylko kilka razy w historii.

[24] *Écarté* — poza tańca klasycznego, w której tułów i głowa tancerza zwrócone są do uniesionej nogi, a ręce znajdują się w odpowiednich pozycjach. *Éffacé* — jedna z głównych póz tańca klasycznego charakteryzująca się otwartym („rozłożonym") układem ciała. *Croisé* — jedna z głównych póz tańca klasycznego, w której krzyżują się linie nóg. Tułów jest lekko obrócony.

[25] Gosudarstwiennyj Uniwiersalnyj Magazin.

[26] Stadion liczy trzydzieści tysięcy miejsc.

[27] Obecnie Niżny Nowogród.

[28] Założona w 1935 roku brytyjska organizacja dobroczynna zrzeszająca spacerowiczów, dbająca o ich prawa i interesy, która m.in. promuje piesze wędrówki i angażuje się w ochronę terenów wiejskich.

[29] Chodzi o tak zwaną siatkę szpiegowską Cambridge, pięciu brytyjskich szpiegów zwerbowanych przez radziecki wywiad NKWD na Uniwersytecie Cambridge na początku drugiej wojny światowej.

[30] Nazbieramy grzybów, wrzucimy je do garnka, / Wsadzimy do pieca, podamy bardzo gorące.

[31] Ros. gówno.

[32] Polityczna organizacja założona w Nowym Jorku pod koniec XVIII wieku jako maszyna polityczna Partii Demokratycznej. Stowarzyszenie kontrolowało działalność miejscowych polityków i w praktyce oddziaływało na życie polityczne USA aż do lat trzydziestych XX wieku.

[33] Jurij Łużkow był merem Moskwy wiatach 1992-2010.

[34] Bywalec.

[35] Znane rosyjskie powiedzenie. Wilk od wieków jest symbolem Tambowa. W dawnych czasach, kiedy te tereny porastały nieprzebyte lasy, mordowscy poganie oddawali cześć wilkowi. Według innej wersji wilkami nazywano rozbójników, którzy grasowali tu w XIV-XIX wieku.

[36] Jeden z najsłynniejszych tancerzy baletowych XX wieku.

[37] W Sutton Coldfield znajduje się najstarsza działająca telewizyjna stacja nadawcza na świecie.

[38] Zakrytyje Administratiwno-Tierritorialnyje Obrazowanija.

[39] Aluzja do popularnego amerykańskiego ciasta czekoladowego, nazywanego *Devil's food cake*, czyli ciastem — pokarmem diabla.

[40] Jedna z dzielnic Pittsburgha.

[41] Zapis Aktów Graždanskogo Sostojanija.

[42] Obszar w środkowej Anglii, gdzie w XIX wieku koncentrował się przemysł metalowy i wydobywczy Zanieczyszczenia produkowane przez fabryki pokryły te tereny warstwą czarnej sadzy.

Bieguny to książki o podróżach i poznawaniu świata. Relacje z wypraw do najbardziej niebezpiecznych i zapomnianych terytoriów na kuli ziemskiej i fascynujące historie z miejsc pozornie dobrze znanych. Opowieści o ludziach i ich losach, zaskakujące przemyślenia na tematy kulturowe i obyczajowe, a także poruszające przygody.

Bieguny to próba spojrzenia na świat oczyma wytrawnych podróżników, dziennikarzy i korespondentów. Poważnie i humorystycznie. Refleksyjnie i ironicznie. Na tle historycznym i z przymrużeniem oka.

W serii Bieguny dotychczas ukazały się:

Anna Badkhen, **KAŁASZNIKOW KEBAB. Reportaże wojenne**
tłum. Ewa Kleszcz

Anthony Bourdain, **ŚWIAT OD KUCHNI. W poszukiwaniu posiłku doskonałego**
tłum. Jacek Środa

Bryan Bruce, **HISTORIA SMAKU. Jak warzywa i przyprawy budowały fortuny, wywoływały wojny i wpędzały ludzi w szaleństwo**
tłum. Ewa Kleszcz

Tim Butcher, **RZEKA KRWI. Podróż do pękniętego serca Afryki**

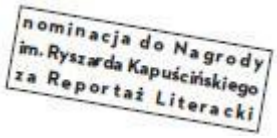

tłum. Jakub Czernik — www.atominium.com

Henry Hemming, **KIERUNEK BAGDAD. Jak zostałem włóczęgą, terrorystą i szpiegiem na Bliskim Wschodzie**
tłum. Ewa Kleszcz

Kari Herbert, **CÓRKA POLARNIKA. Zapiski z krańca świata**
tłum. Maciej Miłkowski

Kari Herbert, **ŻONY POLARNIKÓW. Siedem niezwykłych historii**
tłum. Maciej Miłkowski

Merle Hilbk, **CZARNOBYL BABY. Reportaże z pogranicza Ukrainy i Białorusi**

tłum. Barbara Tarnas

Dom Joly, **WITAMY W PIEKLE. Wyprawy do miejsc odradzanych przez biura podróży**

tłum. Mariusz Gądek

Nicholas Jubber, **TAJEMNICA PREZBITERA. Śladami papieskiego emisariusza z Wenecji do Etiopii**

tłum. Maciej Miłkowski

Peter Kerr, **POMARAŃCZE W ŚNIEGU. Pierwsza zima na Majorce**

tłum. Ewa Kleszcz

Radek Knapp, **INSTRUKCJA OBSŁUGI POLSKI**

tłum. Maurycy Merunowicz — www.atominium.com

Boris Reitschuster, **RUSKI EKSTREM. Jak nauczyłem się kochać Moskwę**

tłum. Sylwia Miłkowska

Boris Reitschuster, **RUSKI EKSTREM DO KWADRATU. Co zostało z mojej miłości do Moskwy**

tłum. Sylwia Miłkowska

Jarek Sępek, **W 80 DNI DOOKOŁA ŚWIATA (NIE WYJEŻDŻAJĄC Z LONDYNU)**

Emilia i Szymon Sokolikowie, **DO SANTIAGO. O pielgrzymach, Maurach, pluskwach i czerwonym winie**

Wojciech Śmieja, **GORSZE ŚWIATY. Migawki z Europy Środkowo-Wschodniej**

ŚWINKI NA PATYKU. Najlepsze opowiadania podróżnicze Lonely Planet

tłum. Marcin Kowalczyk

Jeffrey Tayler, **MORDERCY W MAUZOLEACH. Między Moskwą a Pekinem**

tłum. Julita Mastalerz, Klaudyna Michałowicz

UCHO NA ŚWIAT. Wywiady Katarzyny i Krzysztofa Świdraków

Eric Weiner, **GEOGRAFIA SZCZĘŚCIA**

tłum. Marcin Kowalczyk

Eric Weiner, **POZNAM SYMPATYCZNEGO BOGA. Moje flirty z istotami wyższymi**

tłum. Julita Mastalerz

Tony Wheeler, **PRZEKLĘTA ZIEMIA. Wyprawy do miejsc zatraconych, często nieprzyjaznych i trudnych do zrozumienia, ale może właśnie dlatego tak ciekawych i prowokujących**

tłum. Grzegorz Fik — www.atominium.com

Paulina Wilk, **LALKI W OGNIU. Opowieści z Indii**

Anna Wojtacha, **KRUCHY LÓD. Dziennikarze na wojnie**

Wojciech Śmieja
Gorsze światy
Migawki z Europy Środkowo-Wschodniej

Za cel swoich podróży Wojciech Śmieja obrał „gorsze światy" — rzadko odwiedzane i mało znane regiony Macedonii, Serbii, Kosowa, Rumunii, Mołdawii, Ukrainy, Rosji i Polski, które tylko z pozoru wydają się nieciekawe. Bo czy w szarym i nudnym świecie swoje pomniki mają nie narodowi bohaterowie, a Rocky Balboa, Bob Marley i Tarzan? Czy w nijakiej i pozbawionej wyrazu rzeczywistości możliwa byłaby przejażdżka jednym z wytworów domorosłej motoryzacji — łunochodem, zwanym też papajem lub patatajem? Czy w bezbarwnym świecie można spotkać dumnych ze swojego zawodu — wbrew wszelkim modom i prawom nowoczesności — pasterzy? Czy w mdłej rzeczywistości do pomyślenia byłaby kradzież łzy?

Autor pisze o miejscach, które istnieją i trwają jakby trochę na przekór — i zdrowemu rozsądkowi, i regułom współczesności. Takie są choćby macedońskie miejscowości Galičnik, do którego mieszkańcy wracają tylko na wiosnę i lato, oraz Malovište — „jedno z najsmutniejszych miejsc na ziemi", taka jest też Plemetina, która doczekała się miana „cygańskiego Czarnobyla" w Kosowie.

Wojciech Śmieja portretuje przestrzeń, która chyli się ku końcowi, i przekonuje, że warto ją — podobnie jak ludzi tam mieszkających — poznać, nim roztopi się w „nowym wspaniałym świecie" globalizacyjnej urawniłowki.

Wojciech Śmieja (ur. 1977) — miłośnik podróży i podróżopisania, literaturoznawca i wykładowca akademicki, autor książki *Literatura, której nie ma. Szkice o polskiej literaturze homoseksualnej.* Jego reportaże ukazywały się na łamach „Polityki", „Przeglądu", „Nowej Europy Wschodniej". Publikował także w „Przekroju", „Czasie Kultury", „Pograniczach", „Ha!arcie", „Opcjach".

Anna Wojtacha
Kruchy lód
Dziennikarze na wojnie

„Problem w tym, że kamera patrzy zawsze w jedną stronę. Na bohaterów wojny — uchodźców, osierocone dzieci, rannych cywili, pijanych żołnierzy. Reporter staje się bohaterem reportażu dopiero wtedy, gdy zginie.

Po drugiej stronie kamery nie ma wielu heroicznych wyczynów i uniesień. Jest radość, bo było się pierwszym, brud, dużo pustych butelek, wściekłość, że nie możemy pomóc — musimy pędzić, jest wejście na żywo.

Ale ci, których zostawiliśmy za plecami, wrócą. Żywi czy martwi — będą się śnić, czasem co noc. Kiedy reporter raz wyjedzie na wojnę, nigdy z niej nie wróci.

Na początku nie lubiłem tej książki — sądziłem, że dziennikarze nie powinni pisać o sobie. Potem nie mogłem się od niej oderwać. Anka potrafiła napisać, jak tam jest naprawdę".

Paweł Reszka, dziennikarz „Wprost"

„Debiut korespondencją wojenną i to od razu z frontu to osiągnięcie nie lada. Wojtacha zna kamerę, mikrofon i notes. I wie, co to uzależnienie. Widać, u kogo się uczyła".

Krzysztof Mroziewicz

Anna Wojtacha (ur. 1980 r.) to dziennikarka i korespondentka wojenna. Pracę dziennikarską rozpoczęła dziesięć lat temu w redakcji *Teleexpressu.* Następnie była związana z TVN24 i Polsatem News. Obecnie współpracuje z TVP Info. Relacjonowała konflikty zbrojne w Afganistanie, Gruzji, Izraelu i Strefie Gazy, a także zamachy terrorystyczne w Indiach oraz przewrót rządowy w Tajlandii. W *Kruchym lodzie* niezwykle szczerze, emocjonalnie i bez retuszu opisała swoje doświadczenia i kulisy pracy korespondenta wojennego.

Boris Reitschuster
Ruski ekstrem
Jak nauczyłem się kochać Moskwę
tłum. Sylwia Miłkowska

Co byście powiedzieli, gdyby w teatrze w trakcie *Jeziora łabędziego* ktoś z całych sił krzyczał w słuchawkę swego telefonu? Albo gdyby znajomy poprosił, byście go zwymyślali, a potem opluli, bo to pomoże mu szczęśliwie zaliczyć ważny egzamin? Lub gdyby taksówkarz zatrzymał się w nocy na przedmieściach i zdecydowanie odmówił dalszej jazdy, gdyż czarny kot przebiegł przez drogę, a inny pomocny kierowca przewiózł was stuningowaną ładą z prędkością 130 km/h po centrum miasta w środku dnia? Albo jeśli strażak zapytałby, co dostanie za to, że przystąpi do gaszenia waszego płonącego auta? W Moskwie to normalka — tak zwany ruski ekstrem.

W swoich zabawnych felietonach Boris Reitschuster — niemiecki dziennikarz mieszkający na stałe w Rosji — opowiada o troskach i radościach życia w kraju, gdzie pod dostatkiem jest tylko niedostatku.

Po dwudziestu latach od upadku komunizmu rosyjska codzienność nadal przypomina ekstremalne doświadczenie. Reitschusterowi udało się dopiero po wielu latach przyswoić zasady tamtejszego *savoir-vivre'u*. Nie pozdrawia już swoich sąsiadów, by nie patrzyli na niego jak na kosmitę. Rzuca przekleństwami nawet w najbłahszych sytuacjach i nie przepuszcza pieszych na ulicy. Nauczył się pić wódkę, nie zdejmować kąpielówek w saunie, bawić się na weselu nieznajomych ludzi, chronić samochód przed złodziejami za pomocą kurzej krwi, a za założenie eleganckiego szwu w szpitalu zapłacić kilka rubli ekstra. Krótko mówiąc: Boris Reitschuster przestał być w końcu mięczakiem.

Jest to obowiązkowa lektura dla tych, którzy chcą w Rosji (prze)żyć, a także serdeczny hołd złożony jej wspaniałym mieszkańcom.

Boris Reitschuster
Ruski ekstrem do kwadratu
Co zostało z mojej miłości do Moskwy
tłum. Sylwia Miłkowska

Pamiętacie Borisa Reitschustera — niemieckiego dziennikarza mieszkającego na stałe w Rosji — który przez wiele lat zmagał się z tamtejszą rzeczywistością, a swoje śmieszne i straszne doświadczenia opisał w bestsellerowych felietonach *Ruski ekstrem. Jak nauczyłem się kochać Moskwę?*

Teraz powraca z nowym zbiorem intrygujących opowieści!

Tak samo zabawny, wciąż uroczo naiwny, z jeszcze większym zapałem tropi absurdy i szaleństwa postsowieckiej codzienności, tym razem jednak jest już bardziej wnikliwy i krytyczny wobec władzy, odważniej zagląda pod podszewkę rosyjskiego świata. Dzięki temu zza żartobliwych, chwilami surrealistycznych historii wyłania się wielobarwny obraz państwa rządzonego przez Władimira Putina.

Kiedy większość Rosjan zapada na śpiączkę alkoholową? Czego boją się wszechpotężni oligarchowie? Czy to możliwe, by system przepustek przyczynił się do rozpadu ZSRR? Czy ulubionym napitkiem Stalina była woda mineralna? Co może grozić za pisanie o kolorze włosów rosyjskiego prezydenta? Jak wpaść w trans w moskiewskim metrze? Czy opłaca się wygrać Muzyczny Konkurs dla Więźniów „Czerwona Kalina”? Czy da się uszczelnić rakietę beretem? W jaki sposób moskiewscy policjanci odróżniają korespondenta zagranicznego od nielegalnego emigranta? Jak z rosyjskiego dżentelmena zmienić się w niemieckiego gbura?

Boris Reitschuster nie mieszka już w Moskwie, wrócił do Niemiec. Co wynikło z jego miłości do przybranej ojczyzny? Czy przerosły go „codzienne skoki adrenaliny, absurdalne zamachy na system nerwowy i perwersyjne ataki na zdrowy rozsądek”? Czy ruski ekstrem okazał się jednak nie do zniesienia? Warto poszukać odpowiedzi w książce.